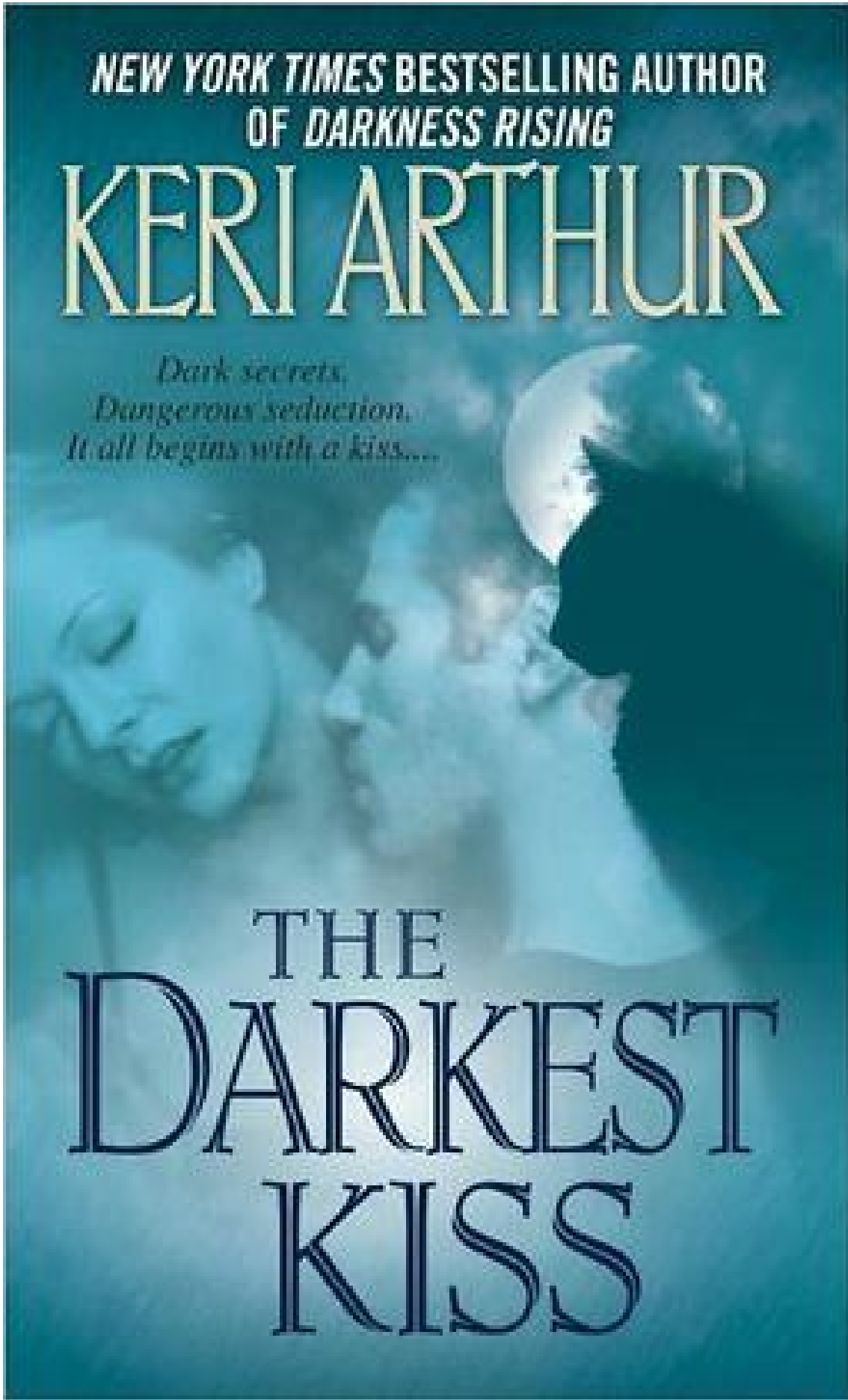


NEW YORK TIMES BESTSELLING AUTHOR
OF *DARKNESS RISING*

KERI ARTHUR

*Dark secrets.
Dangerous seduction.
It all begins with a kiss...*



THE
DARKEST
KISS

Keri Arthur

Początek ciemności

Mroczne sekrety.

Niebezpieczne pożądanie.

A wszystko zaczęło się od początku...

Rozdział 1

Zostanie zrzuconą z drzewa nie było moim sposobem na zabawę.

Chociaż trzeba przyznać, że niezliczone pisklęta na całym świecie przechodziły przez to co roku, ale one musiały zrobić to tylko raz, bo dla nich to była po prostu próba na latanie, albo śmierć.

Ale ja nie byłam pisklęciem i nie zostałam stworzona do tego, by umierać. W każdym razie nie w ten sposób. Byłam dhampirem – potomkiem nowopowstałego wampira, którego umierające nasienie jakoś stworzyło życie w wilkołaku, którego zgwałcił, a który potem został zabity – a moje kości były niezwykle silne.

Zepchnięcie z drzewa nie mogło mnie zabić tak, jak te niezliczone pisklęta. Ale Boże, to jednak *boleło*.

To znaczy, wilkołaki nie były zaprojektowane do tego, by latać, a mięśnie, przystosowane do bycia zarówno wilkiem, jak i kobietą, miały trudności z mechaniką bycia ptakiem.

Nie chodzi o to, że jakoś szczególnie chciałam być ptakiem. A już szczególnie nie takim rodzajem ptaka, jakim mogłam stać się teraz. Mewą? Szczurem morza? Dlaczego nią? Dlaczego nie czymś bardziej dostojnym i przerażającym – jak jastrząb, czy orzeł? Coś z bardziej przydatną bronią, jak szpony i haczykowaty dziób przystosowany do rozdzierania?

Ale nie. Los *rzucił* mi mewę. Jestem pewna, że była tam teraz w górze i śmiała się ze mnie.

Oczywiście, prawdopodobnie mogłam zostać czymś innym. Lek w moim ciele, który spowodował wstępną zmianę w mewę, prawdopodobnie pozwoliłby mi przybierać także inne kształty, ale nie miałam zamiaru ryzykować. Inni mieszkańcy, którym wstrzyknięto ARC1-23, zmieniali się w tak wiele różnych kształtów, że w końcu stracili umiejętność stania się człowiekiem, a ja nie chciałam stawiać czoła temu problemowi. Zwłaszcza nie wtedy, gdy czułam się zakłopotana tuż po tym, jak uzyskałam kształt mewy, a magia, która pozwoliła mi zmienić kształt, wydawała się wahać, jakby nie pamiętała mojej ludzkiej postaci.

To mnie przeraziło.

Jednak, chociaż nie cierpiałam być mewą, zamierzałam wytrwać i ćwiczyć ten kształt, dopóki bycie mewą nie będzie tak naturalne i zakorzenione w mojej psychice, jak bycie wilkiem czy kobietą.

Może wtedy zaczęłabym bawić się z innymi kształtami.

Może.

- Riley, nie możesz zostać na ziemi na wieki – zahuczał z góry niski głos. – Nauka latania jest kwestią wytrwałości. I wysokości.

Wymamrotałam coś nieprzyjemnego pod nosem i przetoczyłam się na plecy. Tuzin różnych dolegliwości napadło na mięśnie moich ramion, kręgosłupa i barków, które sprawiły, że zatęskniłam za gorącym przyjemnej, głębokiej kąpielą. Chociaż nawet kąpiel nie pomogłaby zbyt wiele na wszystkie te stłuczenia, które zaczęłam zbierać.

Ale kąpiel nie była przewidziana w mojej najbliższej przyszłości, jeśli stary Henry miał tu coś do powiedzenia.

Siedział na jednej z najwyższych gałęzi eukaliptusa nade mną, jego jaskrawoczerwona koszula kontrastowała ostro z radosną żółcią kwiatów porzrzucanych po drzewie. Jego srebrzyste włosy świeciły niczym lód w prześwitującym między liśćmi słońcu, a jego smagła skóra była tak ogorzała i pomarszczona, jak kora drzewa.

Nie był pracownikiem Departamentu, tylko przyjacielem Jacka. Był także zmiennym jastrzębia, a jego rodzina najwyraźniej, gdzieś w przeszłości, miała jakieś powiązania z rodziną Jacka. Próbowałam delikatnie go wypytać, chcąc dowiedzieć się czegoś przydatnego o moim szefie, ale Henry, jak do tej pory, okazał się być niechętnym plotkarzem.

- Riley – ostrzegł jeszcze raz.

- Henry – odpowiedziałam, przedrzeźniając jego rozgniewany ton. – Nie zostanie na mnie ani centymetr białej skóry, jeśli nadal będziesz kazał mi to robić.

- Jack powiedział, że musisz nauczyć się tego, jak najszybciej.

- Jack nie został zepchnięty z drzewa milion razy.

Roześmiał się – głębokim, wesołym dźwiękiem, który szarpnął moimi wargami, pomimo mojej zrzędlivosti.

- Dzisiaj tylko dwadzieścia. Jack próbował dobre trzydzieści lub więcej razy dziennie – w ciągu tygodnia – zanim załapał.

Jack mógł być sobie wampirem – dzięki ceremonii krwi, którą przeszedł już ponad osiemset lat temu – ale urodził się jako zmienny jastrząb i miał przewagę dzięki swojemu pochodzeniu z tej rodziny zmiennych. Ale gdyby to on miał mnie uczyć, wtedy Boże dopomóż mi.

Uniosłam brwi i z trudem usiadłam.

- Uczyłeś Jacka?

- Nie jestem takim starym wilkiem. Nie, ale jest trochę prawdy w opowieściach z naszej grzędy. Niewiele jest jastrzębi, które wolno się uczyć. – Roześmiał się jeszcze raz. – Są tacy, którzy mówią, że to dlatego jest łysy. Stracił włosy, ponieważ zbyt często spadał na głowę.

Uśmiechnęłam się.

- Cóż, dobrze wiedzieć, że to nie dotyczy tylko nas mew.

- Spędziłaś większość swojego życia, jako wilk. To jest normalne, że latanie jest dla ciebie trudne. – Pociągnął za linę przywiązaną do gałęzi obok jego nóg. – Chodź.

- Gdyby to było tak łatwe, jak chodzenie, byłabym normalna. – Wstałam i powstrzymałam się od jęku, kiedy tuzin nowych boleści wybuchł w mojej piersi i nogach. Cholera, będę cała posiniaczona do wieczora. Chociaż to tak naprawdę nie miało znaczenia. Nie miałam już w domu nikogo, do kogo mogłabym wrócić.

Ból wezbrał, jak stary duch. Szybko odsunęłam jakiegokolwiek myśli o Kellenie do pudełka opatrzonego etykietą *nie myśleć*, a potem sięgnęłam po linę i zaczęłam się wspinać. Minęły już dwa miesiące od czasu, jak zerwaliśmy. Powinnam już dojść do siebie. Powinnam już o nim zapomnieć.

Ale nie doszłam i nie byłam tak całkiem pewna, czy kiedykolwiek zapomnę. Kochałam go, a on odszedł. I nie z powodu, którego tak naprawdę oczekiwałam – nie z faktu, że byłam bezpłodna i byłam mieszańcem. Nie, odszedł dlatego, że byłam strażnikiem i nie chciałam tego rzucić. A fakt, że nie mogłam tego zrobić, z powodu leku i spustoszenia, które wciągnął się w moim ciele, nie robiło różnicy.

Odszedł. Stał się po prostu innym człowiekiem, który nie mógł zaakceptować tego, czym byłam. Kolejnym mężczyzną, który zdołała złamać mi serce.

Miałam dość całej tej cholernej rzeczy zwanej *miłość i związek*. Tak bardzo, że od naszego rozstania, zbyt wiele zatrzymywałam w sobie. Oczywiście, byłam wilkołakiem, więc gorączka księżycowa zawsze będzie pobudzać mnie do seksu, który był częścią mojego życia. Ale ten jeden tydzień był tylko dla mnie, nie dla mężczyzn. Wydawało się, jakbyśmy miłość i ja, nigdy nie mogli znaleźć złotego środka, i chociaż nadal pragnęłam swojego idealnego płotka, to po prostu nie zniosłabym teraz żadnych kaprysów, ani słabostek mężczyzn.

Czekolada, kawa i lody były dużo bardziej niezawodne w zapewnieniu spędzenia dobrego czasu i przynajmniej nigdy mnie nie rozczarują.

I za to musiałam podziękować szybkiemu metabolizmowi wilka, że nie przytyłam w ciągu paru ostatnich miesięcy. Gdybym była człowiekiem, pewnie wyglądałabym, jak wielki dom.

Wspięłam się do gałęzi Henry'ego i ostrożnie po niej przesunęłam, by usiąść i pozwolić stopom pomachać. Moje palce zacisnęły się mocno wokół gałęzi i unikałam patrzenia w dół. Od czasu mojego ostatniego spadania z klifu – wtedy, gdy zmieniłam się w mewę – mój żołądek buntował się odrobinę na wszelkie oznaki spadania. Chociaż przypuszczam, że ciągłe skakanie z tego samego drzewa i lądowanie twarzą na ziemi – bez łamania sobie kości – prowadziło długą drogą do wyleczenia, choć odrobinę, mojego niepokoju.

Zrobiłam głęboki wdech i powiedziałam miękko.

- No więc, wyjaśnij mi to wszystko jeszcze raz.

- Ptak nie leci tylko dlatego, że trzepocze skrzydłami – powiedział cierpliwie. – Wyciągnij swoje ramiona w bok i spróbuj poruszać nimi naprawdę szybko.

Zrobiłam tak, czując się jak głupek. Na szczęście, byliśmy w posiadłości Henry'ego na wzgórzach Dandenong, i daleko od ciekawskich oczu przechodniów.

- A teraz, spróbuj obrócić swoje ramiona, jak nimi poruszasz. Złapiesz więcej prądu powietrza, kiedy przekręcisz swoje ramiona, prawda?

Kiwnęłam głową, jednak szczerze mówiąc, różnica nie była zbyt istotna. Ale może uderzyłam o ziemię o jeden raz za dużo i moja skóra już po prostu niczego nie wyczuwała.

- Tak to właśnie działa, jak jesteś ptakiem. W dolnym pociągnięciu skrzydła krawędź natarcia musi być niższa od tylnej krawędzi. I nie poruszasz nimi tylko w dół, ale też w dół i z powrotem, co zapewnia uniesienie i lot do przodu.

- No, łapię całkowicie. – *Nie.*

Pstryknął mnie lekko w ucho.

- Dość mądrości, młoda damo. Potrafisz to zrobić. Tylko myśl.

- Wszystkie moje komórki myślowe są też albo posiniaczone, albo ogłuszone – wymamrotałam, przesuając się trochę dalej po gałęzi, żeby nie mógł mnie zbyt mocno uderzyć.

Można by pomyśleć, że z powrotem stałam się nastolatką i wróciłam do szkoły.

- Myśl – powiedział. – W dół i z powrotem, a potem w górę. Nie w górę i w dół. A teraz się zmień.

Odetchnęłam głęboko, zmieniłam pozycję i wezwałam moją magię, która była w mojej duszy – magię, która miała przynieść mi kształt mewy, tak jak wilka. Moc przepłynęła przeze mnie, wokół mnie, zmieniając moje ciało, zmieniając mój kształt, przemieniając mnie w mgnieniu oka z człowieka w mewę.

- Ruszaj – krzyknął Henry.

Rozłożyłam moje skrzydła, zamknęłam oczy i skoczyłam. Poczułam, jak spadam, odczucie starej znajomej paniki przeszło moje ciało, grożąc obezwładnieniem. Niemożnością ruchu.

Więc, zamiast tego, spróbowałam się skoncentrować na poruszaniu skrzydłami.

W dół, z powrotem, w górę, w dół, z powrotem, w górę.

I w cudowny sposób, już nie spadałam. Otworzyłam zaciśnięte oko, zobaczyłam przesuającą się pod mną ziemię i otworzyłam drugie.

Leciałam!

- Właśnie tak – krzyczał Henry. – O to chodziło, dziewczyno!

- Woohoo! – Dźwięk, który wyszedł z moich ust, był raczej ochrypłym skrzekiem, niż rzeczywistym słowem, ale tym razem mnie to nie obchodziło. *Leciałam.* I to było takie niezwykle, silne uczucie.

Niestety, to nie trwało wystarczająco długo. Chyba byłam tak podniecona wrażeniem lotu, że tak naprawdę zapomniałam poruszać skrzydłami, ponieważ nagle ziemia zbliżyła się niebezpiecznie, a ja zaryłam ponownie w trawę, gałązki i glebę.

Zmieniłam się w człowieka i wyplułam z ust ziemię.

- Co za gównno.

Henry się roześmiał. Miał szczęście, że nie byłam tam razem z nim na górze, ponieważ z przyjemnością zepchnęłabym go z gałęzi.

- To nie jest zabawne, Henry.

- Nie, to jest prześmieszne. Większość opierzonych piskląt przynajmniej uczy się lądować z jakąś godnością. Obawiam się, że ty i Jack jesteście podobni do siebie, jak dwa ziarnka grochu.

Przetoczyłam się na plecy i podniosłam wzrok na błękitne niebo, które wyglądało na równie niemożliwe do osiągnięcia, co kiedyś.

- Jeśli to wszystko sprawi, że będę taka łysa, jak on, nie będę z tego zadowolona.

- Leciałaś, Riley – powiedział, rozbawienie wciąż brzmiało w jego głosie. – Może niezbyt długo, ale leciałaś. Wkrótce załapiesz mechanikę latania.

- Nawet z moją koordynacją? Lub jej brakiem?

- Nawet.

Mruknęłam i miałam cholerną nadzieję, że ma rację. Gdy zerknęłam na zegarek, zobaczyłam, że była już prawie trzecia. Uczestniczyłam w tej całej latająco-spadającej sprawie już niemal sześć godzin i miałam już dość.

Oczywiście, intensywny kurs latania był najmniejszym z moich problemów. Jack nie był szczęśliwy z faktu, że czekałam tak długo z poinformowaniem go o mojej zmianie, i ostatnio przy każdej okazji zmywał mi głowę. Według niego, złamane serce nie było żadnym powodem dla głupoty. Zaczynałam myśleć, że nigdy nie był zakochany. Albo, że to zdarzyło się tak dawno temu, że już zapomniał o bólu tym wywołanym.

- Myślę, że skończę już na dzisiaj, Henry. Moje kości czują się trochę poturbowane.

- W takim razie idź do domu i weź prysznic. A ja, w tym czasie, sobie polatam, żeby rozprostować swoje skrzydła.

- Zobaczymy się jutro?

- Oczywiście, moja dziewczynko, oczywiście.

Zmienił kształt i zeskoczył z gałęzi, nurkując nisko nad moją głową zanim nie wzniósł się w górę w niebo. Patrzyłam na jego brązowo-złotą postać, dopóki nie zniknął, i nie mogłam powstrzymać nutki zazdrości. Chciałam latać w ten sam sposób, naprawdę, ale zaczynałam wątpić, czy kiedykolwiek się to stanie.

Z westchnieniem, uniosłam moje zmasakrowane ciało i podeszłam do drzewa, by odzyskać ubranie. Magia, która pozwalała nam zmienić kształt, nie zawsze dobrze działała na ubrania, które nosiliśmy, więc postanowiłam zrzucić moją zewnętrzną warstwę na te lekcje i nosić tylko mocną bawełnianą bieliznę i T-shirt. Oczywiście, to oznaczało więcej otarć i stłuczeń, niż gdybym nosiła dżinsy i grubsze koszule. Ale, jak większość wilków i zmiennych, leczyłam się niezwykle szybko. A dżinsy i koszule nie były tak łatwe do naprawienia, czy zastąpienia. Nie wtedy, gdy miałam brata, który wciąż nadwierał domowy budżet.

Złapałam kupkę moich ciuchów i skierowałam się do domku Henry'ego na drzewie. Tak naprawdę to ten domek nie był na drzewie – to był po prostu stary drewniany dom zbudowany na palach, którego pomieszczenia mieszkalne były wysoko w baldachimie otaczających go drzew. Światło, które przenikało przez okna, miało jasny, zielono-złoty blask, a powietrze było zawsze wypełnione zapachem eukaliptusa i śpiewem ptaków. Uwielbiałam go, pomimo mojego lęku wysokości. To musiało być rajem dla zmiennego ptaka.

Wspięłam się po schodach i ruszyłam do łazienki, biorąc szybki gorący prysznic zanim zaczęłam się ubierać. Szczotkowanie włosów zajęło mi jednak trochę więcej czasu niż zwykle. Urosły zdumiewająco szybko w ciągu ostatnich paru miesięcy, a teraz spływały w dół grubymi, czerwonymi pasmami dużo poniżej moich ramion. Jedynym z nimi kłopotem było to, że strasznie się plątały, szczególnie wtedy, gdy spadałam z drzew na zaścieloną liśćmi ziemię.

Jak tylko je rozczesałam, związałam je w koński ogon, a potem zabrałam torbę i kluczyki do samochodu i wyszłam. Ale ledwie potarłam do samochodu, zadzwoniła moja komórka.

Wiedziałam, z absolutną pewnością, że to będzie Jack. I to nie była moja nasilająca się umiejętność jasnowidzenia, która mi to powiedziała.

To było doświadczenie.

Jack zawsze dzwonił w momencie, kiedy najmniej chciałam, czy potrzebowałam pracy.

Zaczęłam grzebać w bałaganie mojej torby, dopóki nie znalazłam mojego wideo-telefonu.

- Dałeś mi tydzień, żebym nauczyła się latać – powiedziałam zamiast powitania. – Minęły dopiero trzy dni.

- Taa, cóż, powiedz to złym facetom. – Głos Jacka brzmiał zmęczeniem, co pasowało do ciemnych podkówek pod jego oczami. – Dranie jakby się ostatnio zgadali i znaleźli sposób, żeby być wrzodami na naszych tyłkach. Podobnie, jak niektórzy strażnicy, których znam.

Przepraszałam go już z milion razy za to, że nie powiedziałam mu o zmianie w ptaka, więc jeśli myślał, że zniosę to jeszcze jeden raz, to nie miał szczęścia. Spadając na ziemię nieskończoną ilość razy, wytrząsnęłam z siebie wszystkie możliwe odczucia żalu. Poza tym, tak bardzo jak lubiłam Jacka – zarówno jako szefa, jak i wampira – mógł odpuścić sobie resztę lekcji, gdy chodziło o bycie wrzodem na tyłku.

- A więc, co masz dla mnie tym razem?

- Zmarły biznesman na Collins Street. Na Paris End.

Aż uniosłam brwi. Tak zwany Paris End na Collins Street był zabudowany pięknymi, starymi budynkami i mega-bogatymi spółkami i biznesami. Musiały takie być, skoro ich właściciele stać było na płacenie tam czynszu. To na pewno nie był ten rodzaj miejsca, gdzie można było oczekiwać, że zostaniemy wezwani. Chociaż, jak przypuszczam, śmierć tak naprawdę nie szanowała ani bogactwa, ani lokalizacji.

- Mówimy o śmierci na ulicy, czy wewnątrz budynku?

- Wewnątrz. Został znaleziony w swoim biurze przez jego sekretarkę. Żadnych oznak włamania, ani oczywistych śladów przestępstwa.

Zmarszczyłam brwi.

- To dlaczego zostaliśmy wezwani? To raczej sprawa dla zwykłych gliniarzy niż dla nas.

- Ta sprawa dotyczy nas, ponieważ ofiarą był Gerard James.

Kim oczywiście był ktoś, kogo powinnam znać, ale nie znałam.

- Więc?

- Więc, Gerard James był prezesem Ligii Praw Nieludzi – partia ta zamierzała wystawić kilku niehumanicznych kandydatów do następnych wyborów federalnych.

- I jego śmierć jest polityczną śliską sprawą, więc gliny wepchnęły tę sprawę nam?

- Dokładnie.

A to oznaczało naciski pochodzące z góry, by jak najszybciej ją rozwiązać. Super.

- Jak przypuszczam to nie był człowiek, prawda?

- Nie. Jest – *był* – zmiennym jastrzębia.

- Miał rodzinę w Melbourne?

- Starsi już rodzice mieszkają w Coburg. Gerard był człowiekiem, który do wszystkiego doszedł własną pracą i pojawiły się pogłoski, że został podpisany na niego wyrok kilka miesięcy temu.

- Cóż, prawdopodobnie mnóstwo jest takich osób, które zadałyby sobie wiele trudu, żeby powstrzymać niehumanici dostać się do rządu.

- Pogłoska została sprawdzona i okazała się bezpodstawna.

Więc dlaczego leżał teraz nieżywy w swoim biurze?

- Wezwałeś już ekipę sprzątającą?

- Cole i jego zespół już tam są. Kade spotka cię z tobą przed budynkiem Martin i Pleasance za pół godziny.

Rzuciłam okiem na zegarek. Była prawie trzecia trzydzięci, co oznaczało, że codzienne korki na ulicach już się zaczęły.

- Dostanie się tam zabierze mi więcej czasu.

- Nie wtedy, jak się pospieszysz.

Przebiegło przede mną rozbawienie. Miałam dość burzliwą przeszłość, jako kierowca – ostatnim samochodem, którym jeździłam, wjechałam w drzewo, i do tej pory nie mogłam sobie przypomnieć tego wypadku. Jednak biorąc pod uwagę fakt, że wylądowałam w wariackim centrum ras zaraz po tym, bardzo mocno zaczęłam

podejrzewać, że ten szczególny wypadek nie był z mojej winy. Ale miałam kilka niefortunnych wypadków w samochodach Departamentu, stąd moje zdziwienie na rozkaz Jacka. Do diabła, dopiero co w zeszłym tygodniu palnął mi kazanie, że jeszcze jeden taki wypadek, a jego budżet rozbłyśnie czerwonym światłem.

- Jeśli rozkazujeś mi jechać szybko w pojeździe Departamentu to *musi* być naprawdę pilne.

- Tylko nie rozbij znowu samochodu, który masz. – Zawahał się, a potem dodał. – Albo siebie.

- O rany, dzięki za troskę, szefie.

- Riley, zamknij się już i jedź tam – powiedział i się rozłączył.

Więc zamknęłam się i pojechałam.

Przebiecie się przez miasto zabrało mi dobre czterdzieści, a następne dziesięć walka o dojazd przez ruch uliczny do Paris End na Collins Street. Mogłam dostać pozwolenie na super szybki przejazd, ale ten akurat samochód Departamentu nie był wyposażony w światła ani syreny. Co było cholerną szkodą – uwielbiałam jechać na syrenie przez ulice miasta, rozpraszając pieszych i samochody. Co, z tym moim szczególnym rekordem, prawdopodobnie nie było takim dobrym pomysłem.

Kade czekał już przed frontem budynku, jego tyłek ubrany w dżinsy opierał się o bagażnik samochodu, muskularne ramiona były skrzyżowane, a długie nogi wyciągnięte do przodu

Sam jego widok wysłał przyjemne dreszcze wzdłuż mojego kręgosłupa. Może i byłam niechętnie nastawiona do jakichkolwiek emocjonalnych związków w tej chwili, ale nadal byłam wilkiem i byłam zdolna do zachwycenia się przystojnym facetem. A Kade był taki, a nawet jeszcze więcej. Był zmiennym konia, gniadoszem, o głębokim mahoniowym umaszczeniu, które doskonale współgrało z kruczoczarnymi włosami i szelmowskimi aksamitnie-brązowymi oczami. Miał budowę istoty pełnej krwi o szerokich ramionach, szczupłych biodrach i wspaniałych długich nogach. Nogach, które mogły przytrzymać dziewczynę we właściwym miejscu, kiedy ujeżdżała go głęboko i mocno.

Odetchnęłam, zgarniając włosy z czoła, i próbując ignorować podekscytowane wirowanie moich hormonów. Nawet gdybym chciała wrócić na seksualną karuzelę, to Kade nadal byłby poza zasięgiem. Jack dał jasno do zrozumienia w dniu, w którym

Kade ostatecznie skończył szkolenie, że nie życzy sobie, żeby koledzy z pracy stali się partnerami w łóżku.

Co jednak nie powstrzymało Kade'a przed odrobiną flirtu, ale ani on ani ja, nie dążyliśmy do czegoś więcej. Jack był już wystarczająco mocno na mnie wkurzony.

Wyszarpnęłam kluczyki ze stacyjki i wysiadłam. Spojrzał wymownie na zegarek, a potem powiedział.

- To było najdłuższe pół godziny, jakie czekałem.

- Jack oczekuje cudów. Nie było sposobu – chyba, że bym leciała, a wierz mi, jeszcze się tak nie stanie – żebym w ciągu pół godziny przebiła się przez miasto. Przynajmniej nie z Dandenongs. – Nacisnęłam przycisk autopilota i podeszłam bliżej.

Jego spojrzenie przesunęło się po moim ciele w gorącej pieśczoście, która wysłała niewielkie mrowienia pożądania przez moją skórę. Z wielu względów, to był cholerna szkoda, że nie mogłam zabawić się z Kadem, ponieważ on był jedynym mężczyzną, który był całkowicie bezpieczny. Gdy chodziło o naszą dwójkę, nie żądał ode mnie niczego więcej oprócz seksu. Nie przejmował się tym, że byłam mieszańcem, że nie mogłam mieć dzieci, że byłam strażnikiem, i że moje DNA może zmieniać się na gorsze, a nie na lepsze. Nie zażądał ode mnie, żebym trzymała się z dala od innych mężczyzn, że mam być z nim, i tylko z nim. Wszystko, czego chciał, to spędzić miło czas, i żeby dobra zabawa trwała, jak najdłużej.

I naprawdę chciałabym móc się odwzajemnić – ale to nie było warte piekła, w jakie zamieniłoby się moje życie, gdyby Jack się dowiedział. Tylko kilka razy widziałam go tak naprawdę wkurzonego i nie miałam zamiaru doświadczać tego niepotrzebnie jeszcze raz. A wkurzony Jack nie był wtedy zbyt przyjemny do oglądania, a tym bardziej przebywania w jego obecności.

- Czy wiesz, jakie to było nudne, takie czekanie na ciebie? – powiedział ciepłym, głębokim głosem i bardzo, bardzo seksownym. – Nie było nawet przyzwoitych widoków do podziwiania.

Uśmiech szarpnął moimi wargami.

- To znaczy pożądania.

Rozbawienie zmarszczyło kąciki jego aksamitno-brązowych oczu.

- Podziwianie, pożądanie. Wszystko jedno.

- Nieważne. Ale nie wierzę ci, że na ulicy, wypełnionej tyloma biurami – a tym samym mnóstwem sekretarek i pracownic – nie było żadnej samotnej i ładnej dziewczyny, która by przechodziła obok.

- No cóż, może jedna lub dwie. Chociaż mam kilka numerów telefonów, wetkniętych do mojej kieszeni, które warto sprawdzić. – Podniósł rękę i lekko odgarnął kosmyk włosów z mojego policzka. Jego palce były ciepłe w porównaniu do mojej skóry, a dreszcz, który był samą przyjemnością, przebiegł wzdłuż mojego ciała, ale oparłam się pragnieniu śmielszej pieszczoty i się cofnęłam.

Jego wargi drgnęły.

- Jack - powiedział ciężko. – Jest potwornie upierdliwy.

- Oh, uwierz mi, że byłby bardziej, gdybyśmy oboje ulegli naszym pragnieniom. – Zrobiłam krok w bok, machnęłam na niego dłonią i dodałam. – A więc, co Jack powiedział ci o tej sprawie?

- Prawdopodobnie tyle samo, co tobie. Mamy nieżywego zmiennego, którego polityczne aspiracje czynią go zbyt gorącego dla zwykłej policji. – Spojrzał na mnie, gdy otwierał szklane drzwi budynku i przepuścił mnie przodem. – Założę się, że sprowadził sobie tutaj kogoś i dostał ataku serca, kiedy pokazała mu majtki.

Uniosłam brwi.

- Ile miał lat?

- Czterdzieści-pięć.

Nikt nie nazwałby go starym, szczególnie jeśli to dotyczyło zmiennego.

- Miał przedtem jakieś problemy z sercem?

- Nie, ale miał opinię playboya. A nawet najbardziej wysportowany playboy może zejść z tego świata, jeśli się nadweręży, ale jedno można powiedzieć o naszym chłopcu - na pewno nie był wysportowany.

Wyciągnęłam odznakę z torby i pokazałam gliniarzom, którzy byli na służbie, zanim skierowaliśmy się do wind. Nasze kroki rozbrzmiewały echem na marmurowej posadzce i wydawało się, jakby ten dźwięk został wzmocniony dzięki wysokiemu sufitowi. To musiało być piekło dla uszu, gdy pomieszczenie wypełniało się przechodzącym, w tę i z powrotem, personelem biurowym.

- Ale gdyby to był tylko atak serca, nie zostalibyśmy wezwani.

Kade prychnął łagodnie i nacisnął guzik windy.

- Ależ tak, bylibyśmy. Kiedy polityk ginie w podejrzanych okolicznościach, zawsze przeprowadza się śledztwo. Ale w tym przypadku, chcieli być podwójnie pewni, że nie było żadnego przestępstwa. No i do tego wszystkiego, był pierwszym nieludzkim politykiem.

- Cały czas pocieszam się, że polityczne zagrożenie, które sobą reprezentował, bez wątpienia zostało bardzo starannie załatwione.

- Bez wątpienia. Gerard James niezbyt łatwo zdobywał przyjaciół i naprawdę wątpię, żeby miał ich wielu, czy to w polityce, czy poza nią. Nie chodzi o to, żeby to miało jakieś znaczenie – przynajmniej nie dla tych, którzy interesowali się działalnością jego partii.

Uniosłam brew.

- Jesteś stronnikiem Ligii Praw Nieludzi?

- Do diabła, tak. – Drzwi windy się rozsunęły. Przycisnął ramię do drzwi i wprowadził mnie ze środka. – Podoba mi to, co próbują osiągnąć.

- To znaczy?

- Wprowadzić, nas nieludzi, do stanowych i parlamentarnych biur, abyśmy mieli coś do powiedzenia w sprawach, które są za nas decydowane.

- Taa, jakby ludzie zamierzali kiedykolwiek do tego dopuścić. – Nacisnęłam guzik piątego piętra, który był ostatnim piętrem, a potem zerknęłam na Kade'a. – Skoro nie miał zbyt wielu przyjaciół, dlaczego był tak popularny publicznie?

- Ponieważ tu chodziło o image, a on był w tym dobry. Mógł być wstrętnym łajdakiem za kulisami, ale na arenie politycznej - i w kręgach społecznych - wszystko było gładkie, wyrafinowane i serdeczne.

- A więc skoro był taki wstrętny i był playboyem, dlaczego ludzcy politycy nie zrobili z tego politycznego siana?

- O, próbowali, ale Gerard miał za sobą bardzo dobrą machinę reklamową. Potrafili wszelkie drwiące komentarze zmienić w zalety.

Rzuciłam okiem na licznik windy, widząc, że jeszcze nie dojechaliśmy. To musiała być najwolniejsza winda, jaką kiedykolwiek zrobiono.

- Jak?

Kade wzruszył ramionami.

- W przypadku pań, koncentrując się na fakcie, że wiele kobiet, z którymi się zadawał, było ludźmi, więc wyglądało na to, że ataki dotyczą różnic rasowych.

- Mądrze.

- Ale wciąż dupek. To jednak nie powstrzymało mnie od głosowania na niego. Chcę bardziej uczciwego świata dla moich przyszłych dzieci i sądzę, że mógł pomóc to osiągnąć.

No cóż, nie było żadnego prawa mówiącego, że musisz lubić polityków, na których głosujesz. Gdyby tak było, w parlamencie nie byłoby nikogo. Ale czy jeden samotny polityk mógłby zrobić aż taką różnicę? Jakoś w to wątpiłam.

Popatrzyłam znowu na licznik windy, widząc, że prawie już jesteśmy, i zapytałam.

- A co tam słyhać u Sable?

Sable była jego główną klaczą, jedyną klaczą, jaką zdołał odzyskać ze stada, które miał wcześniej, zanim został schwytyany i zamknięty w laboratoriach hodowlanych szaleńca. W których go spotkałam, ponieważ również zostałam zamknięta w tym samym laboratorium. Uciekliśmy razem, a dopiero potem odkryłam, że nie był żadną niewinną, przypadkowo schwytaną ofiarą, tylko raczej częścią wojskowego śledztwa prowadzonego w sprawie kradzieży broni, która w jakiś sposób dostała się do laboratoriów hodowlanych.

Tak jak Kade, Sable była zmiennym konia – olśniewającą, długonogą czarną klaczą, której każdy ruch wyrażał klasę i wyrafinowanie. Spotkałam ją tylko raz, ale dość często widywałam ją w telewizji. Ta kobieta była fenomenem, mająca swoje własne kucharskie show dzięki wrażliwemu podniebieniu i z pięcioma, z ośmiu, jej książek na temat ziół i uzdrawiania, które wciąż utrzymywały się na liście największych bestsellerów w kraju.

Oczywiście, nie była jedyną klaczą, którą obecnie miał. Zdołał już zebrać przynajmniej siedem innych, o których wiedziałam, i wciąż szukał więcej, żeby zwiększyć swoje stado. Najwyraźniej mottem ogiera było *im więcej, tym weselej*. Dlaczego więc nam wilkołakom przypinano etykietkę niewyżytych seksualnie szaleńców, skoro to zmienne konie miały większe możliwości. Wiedziałam na pewno, że Kade jest seksualnie nienasycony i nie miał księżycy, jako usprawiedliwienia, tak

jak my wilkołaki. I nie chodzi o to, że oczywiście używamy go, jako usprawiedliwienia. Seks był czymś, czemu wilki uwielbiały się oddawać, bez względu na to, czy księżyc był w pełni czy nie.

I kiedy ich serca nie były złamane.

- Sable jest na ostatnich nogach w ciąży, jest bardzo gruba i psioczy, że została zmuszona do zostawienia jej bujnego Toorak, by żyć ze mną. – Jego nieoczekiwany uśmiech był przepełniony męską dumą. – I następna klacz potwierdziła wczoraj, że jest w ciąży.

- A więc jest was w tej chwili pięcioro? Cholerna, to znaczy, że twoje małe plemniki bardzo się starają.

- U nas, oznaką męskości i siły, jest nie tylko wielkość stada, ale także liczba źrebiąt. A ja zamierzam mieć największe stado w Melbourne.

- Popisujesz się. – Stara winda podskoczyła, gdy się zatrzymała, więc złapałam się poręczy, żeby zachować równowagę. – Twoja pensja w Departamencie nie rozciągnie się, żeby wykarmić tak wiele gęb.

- Nie musi. Stada pracują, jako kompletny system wspomagający. Każdy przyczynia się do wspierania drugiego.

- A co się stanie, jeśli umrzesz?

Wzruszył ramionami.

- Moje prywatne ubezpieczenie zaspokoi ich potrzeby. A i polisa ubezpieczeniowa Departamentu jest całkiem hojna.

Tego nie wiedziałam, bo unikałam tego *śmierć na służbie* sposobu myślenia. Co, jak sądzę, było głupotą, skoro styl życia strażnika nie za bardzo współgrał z długim życiem – chyba, że byłeś wampirem, lub czym innym, ale niezniszczalnym. Choć z drugiej strony, gdyby coś mi się stało, nie sądzę, żeby Rhoan martwił się o pieniądze. Ani ja, jeśli sytuacja byłaby odwrotna.

Drzwi windy w końcu otworzyły się ze świstem i Kade mnie przepuścił. Hol był pusty, ale słyszałam głosy dochodzące z prawej strony, a jeden z nich był znajomy. Poszłam w jego kierunku.

Cole obejrzał się, kiedy weszliśmy do biura. Był wysokim, siwym zmiennym wilkiem z pobrużdżoną twarzą i szorstkim obejściem – przynajmniej, gdy miał mieć

do czynienia ze mną. Chociaż musiałam przyznać, że prawdopodobnie na to zasłużyłam. Lubiłam go drażnić nieco bardziej, niż było to uzasadnione. Oczywiście, nie pomagało też jego mówienie, że nie jest zainteresowany, skoro ja wiedziałam, że na pewno jest. A do tego, zmienne wilki miały skłonności do myślenia o sobie, że są lepsze od wilkołaków, nawet wtedy, gdy nie mogli ukryć podniecenia.

- O, świetnie – odezwał się, jego głos był poważny, ale rozbawienie błyszczało w jego bladoniebieskich oczach. – Przybyli piękna i bestia.

- Zapytałabym, które z nas zostało sklasyfikowane jako bestia, ale obawiam się, że nie spodoba mi się odpowiedź. – Zatrzymałam się dokładnie w drzwiach i rozejrzałam się po pokoju. Stało tu olbrzymie biurko, kilka sof i świecący ekspres do kawy, który wydał się mieć więcej niż tuzin różnych funkcji. Wyglądało na to, że Gerard James był człowiekiem niezadowolonym z przyziemnych wyborów. – Gdzie jest ciało?

Cole ruszył w stronę następnych drzwi.

- W głównym biurze. Jego osobista sekretarka znalazła go leżącego na biurku o drugiej czterdzieści pięć dziś po południu.

- To raczej dość późna pora, jak na rozpoczęcie pracy, prawda?

Wzruszył ramionami.

- Najwyraźniej to był jednorazowy wyskok.

Jednorazowy, ponieważ wiedział, że być może przyprowadzi kogoś do biura? Kogoś, z kim nie chciał być widziany? Chociaż, jeśli tak by było, biuro powinno być ostatnim miejscem, do którego pomyślałbyś kogoś przyprowadzić. Prasa na pewno miała oko na jego przyjscia i wyjścia, niezależnie od czasu.

- Długo już nie żyje?

- Na razie trudno powiedzieć. Stężenie pośmiertne działa szybciej u tych, którzy byli aktywni przed śmiercią.

- A on był? To znaczy, aktywny?

- Bardzo – powiedział suchym głosem. – Niedokładnie obliczając, mogę powiedzieć, że czas śmierci to około szóstej dzisiaj rano.

- A gdzie jest teraz jego osobista sekretarka?

- Na trzecim piętrze, w barze szybkiej obsługi. Jest z nią policjantka. Pomyślałem, że przynajmniej niech ci leniwi łajdacy, zrobią coś pożytecznego, skoro zrzucili to na nas.

- To znaczy, że nie znalazłeś tutaj czegoś podejrzliwego? – zapytał Kade.

- Na pierwszy rzut oka, nie. – Cole wzruszył ramionami. – Ale w tej robocie, nigdy niczego nie możesz być pewny, dopóki nie przeprowadzisz pełnego śledztwa. Bo możesz się pomylić.

- Naprawdę? – powiedziałam, przybierając mój najlepszy wstrząśnięty wyraz twarzy. – Powiedz mi, że tak nie jest.

Uśmiech, który wygiął jego wargi, odmienił jego twarz, pozbawiając go zwyczajnych rysów w taki *o,rany*.

- Dlaczego nie ruszysz swojej chudej dupy do biura i dla odmiany nie popracujesz?

- Chudej dupy? – Uniosłam moje brwi i spojrzałam na Kade'a. – Czy mój tyłek jest naprawdę chudy?

- Kochana, myślę, że to jest warte pocałunku. Ale i tak mi nie pozwolisz.

- Nie, Jack ci nie pozwoli. To on psuje zabawę, nie ja. – Obejrzałam się na Cole, akurat w momencie, gdy przewracał swoimi oczami i się uśmiechnął. – Więc, co tutaj robisz, skoro ciało jest tam?

- Zbieram płyny ustrojowe. Wygląda na to, że nasz chłopiec miał wczoraj wieczorem coś w rodzaju seksualnego maratonu.

Moja teoria o nielegalnym spotkaniu roztrzaskała się z hukiem. Dosłownie.

- Możemy się tego uchwycić? – zapytał Kade zadowolonym głosem. – Czy jego partner seksualny jest gdzieś tutaj? Będziemy chcieli z nią porozmawiać. Albo z nim, zależnie od sytuacji.

- Z nią, jak myślę. Można wyczuć ślad perfum w głównym biurze i to z pewnością jest kobiecy zapach, ale to nie są perfumy jego sekretarki. Jednak nie ma żadnego śladu osoby noszącej ten zapach. Poprosiłem, żeby dostarczono nam taśmy z monitoringu. – Pochylił się i zaczął skrobać biurko. – Kimkolwiek była, miała dostęp do wszystkich kodów zabezpieczających. Całe biuro było zamknięte na klucz, kiedy przyszła tu sekretarka.

- Może użyła swoich kluczy. – A jednak dlaczego uciekła, skoro miał tylko atak serca? Uprawianie seksu w biurze nie jest niezgodne z prawem, chociaż to może być polityczne szaleństwo.

Oczywiście, mogło tak być, że jego partnerem w przestępstwie była czyjaś żona. To z pewnością wyjaśniałoby zniknięcie.

Cole zerknął na mnie.

- Klucze nadal leżą na biurku.

- Oh.

- Tak, to jest naprawdę dziwne. – Urwał, a potem dodał z bezczelnym błyskiem w oczach. – I dlatego pewnie, Jack przysłał tu waszą dwójkę.

- Zachowaj swoje zniewagi dla siebie, bo wiesz, że mogę narobić bałaganu na tym twoim miejscu przestępstwa.

- I tak prawdopodobnie zrobisz. – Jego rozbawienie zniknęło, kiedy kiwnął głową i ruszył do głównego biura. – Nie otrzyjcie się o drzwi. Jeszcze nie zdjęliśmy z nich odcisków palców.

- Uprawiali seks przy drzwiach?

- Najwyraźniej.

Spojrzałam na Kade'a.

- Jesteś pewny, że ten facet nie był bardziej wilkołakiem niż zmiennym?

Uśmiechnął się i przycisnął swoje palce do moich pleców, popychając mnie do przodu.

- Nie. On był tylko przeciętnym, niewyżytym seksualnie politykiem.

- Dlaczego żaden z nich nie może trzymać tego w swoich spodniach?

- Bo tu chodzi o władzę i dostępność.

- Co nie idzie w parze z całym tym publicznym wizerunkiem i próbami zdobycia głosów.

Przeszłam przez drugie drzwi, przechodząc nad dużą plamą po kawie i porzuconą filiżanką leżącą dokładnie w drzwiach, zanim się zatrzymałam. Dwaj mężczyźni z zespołu Cole'a – zmienny ptak i kot, których imion nie znałam, a którzy nie wydawali

się być zainteresowani przedstawieniem się – byli już na miejscu; jeden badał fotel biurowy, drugi ostrożnie robił zdjęcia.

Gerard James był całkowicie nagi i rozciągnięty, jego ramiona były szeroko rozłożone, zza biurkiem, jego błyszczący biały tyłek wystawiony był w stronę okna i świata, który mógł go zobaczyć. Albo przynajmniej dla tych w biurach naprzeciwko. Mogłam się założyć, że takie żenujące zdjęcia ukażą się jutro na pierwszych stronach gazet.

Zapachy seksu i żądzły wisiwały w powietrzu, a pod nimi można było wyczuć ślad jaśminu i pomarańczy. Kobięcy zapach, jak sugerował Cole. Ale było jeszcze coś innego, coś co sprawiało, że mój nos się zmarszczył, a paranormalne zmysły zamrowiły.

Nie śmierć, ale coś bardzo podobnego.

Zmarszczyłam brwi i popatrzyłam na ciało, czekając aż energia zmarłego poruszy moje zmysły. Czekałam na jego duszę, by wyszła i przemówiła.

Ale to nie nastąpiło.

Tak naprawdę, w całym pokoju wyczuwałam jakieś dziwne uczucie pustki, jakby ktoś tutaj przyszedł i wyssał całe ciepło. Usunął wszelkie utrzymujące się resztki życia.

Zadrżałam i potarłam moje ramiona. Jasnowidzenie mogło być czasami potwornie upierdliwe – zwłaszcza, kiedy nie dawało niczego więcej, oprócz takiego *coś jest nie w porządku* wrażenia.

Kade zatrzymał się za mną, gorąco jego ciała przycisnęło się do mojego kręgosłupa.

- Coś dziwnego jest w tym pokoju.

Popatrzyłam na niego. Kade był wrażliwy na uczucia, nie na dusze czy śmierć, więc jeśli coś odczuwał w tym pokoju, to musiało być bardzo silne. I to również musiało być coś zupełnie innego niż cokolwiek, co do tej pory czułam. Był również telekinetykiem¹, co okazywało się być niezwykle przydatne, gdy walczył z wampirami, którzy byli naturalnie szybsi od niego.

- W jak sposób?

¹ Telekineza – inaczej psychokineza, czyli zdolność wpływania psychicznego na fizyczne materię

Zmarszczył brwi, jego spojrzenie omiotło pokój zanim wróciło do ciała.

- Czuć mocny zapach ekstazy i żądz.

- Cóż, musi tu być, skoro robili to na stole, ścianach, drzwiach i na każdym innym skrawku mebla, którego mogli się chwycić.

Jego aksamitne spojrzenie opadło, a wydatne usta zacisnęły. Niespecjalnie słuchając, nie bardzo słysząc, tylko koncentrując się na tym, czym to było, co czuł.

- To jest coś więcej. Coś, jakby był na haju i nie mógł opaść.

Moje spojrzenie uciekło do Gerarda.

- Narkotyki? – To na pewno nie byłby pierwszy raz, kiedy polityk zostałby przyłapany na używaniu niedozwolonych substancji. I to mogło też wyjaśniać to głupie ryzyko, jakie podjął, przychodząc do swojego biura i zostawiając szeroko otwarte żaluzje.

- Nie wyczułbym narkotyków, ale coś wyczuwam. – Zmarszczył brwi. – Coś wisi w powietrzu, coś, czego nigdy wcześniej nie czułem.

- Co masz na myśli?

Zawahał się na chwilę, a potem jego spojrzenie wróciło do mnie.

- Coś bardzo starego, bardzo potężnego i niezwykle śmiertelnego było w tym pokoju.

Rozdział 2

Uniosłam brew ze zdziwieniem.

- No cóż, to ewidentnie nie może być śmierć, ponieważ bym ją wyczuła.

Moje jasnowidzenie zostało dostrojone do dusz i spraw zmarłych – przez co prawdopodobnie byłam wrażliwa na obecność wampirów, nawet jeśli moje jasnowidzenie nie zostało już wyparte przez lek ARC1-23.

Podeszłam bliżej do ciała Gerarda i złapałam silniejszy zapach kobiecych perfum. Jaśmin i pomarańcza były ostrzejsze, ale zmieszane z nutami lilii i róż. Zmarszczyłam brwi.

- Znam te perfumy.

- Nie sądziłem, że używasz perfum. – Odpowiedź Kade'a była niemal automatyczna. Obszedł mnie, jego nozdrza się rozszerzyły, kiedy wyciągnął parę gumowych rękawiczek z pudełka stojącego na krawędzi biurka.

- Ja nie, ale przechodziłam obok perfumerii Chanel któregoś dnia, i jakaś kobieta wahała coś podobnego do tego.

Oczywiście, nie zwracałam sobie głowy sprawdzeniem, co to było. Taka ilość perfum, wydobywających się z takiej ograniczonej przestrzeni, niemal spowodowała wybuch mojego zmysłu węchu. I kiedy następnym razem, przechodziłam obok tego sklepu, przeszłam, tak dla bezpieczeństwa, na drugą stronę ulicy. Chwyciłam parę rękawiczek i włożyłam je. Kade już pochylał się nad ciałem, oglądając szyję Gerarda.

- Co zobaczyłeś?

- Ślady zadrapań.

Obeszłam biurko, żeby spojrzeć. Nagi tyłek Gerarda wzbudził mój niepokój. Sprawność fizyczna i dieta najwyraźniej nie figurowały w jego priorytetach. Cóż, niektórzy z najpotężniejszych ludzi w historii byli również jednymi z najmniej atrakcyjnych, gdy chodziło o fizyczne atrybuty. W życiu, to władza czyniła ich atrakcyjnymi. W przypadku śmierci, ta władza nie była taka oczywista.

- Jakie to są zadrapania?

- Kota, jak sądzę. – Wskazał na trzy rozcięcia wyryte głęboko na szyi Gerarda. – Rana jest świeża.

Zapach krwi, choć słaby, był wyczuwalny blisko ciała. Pochyliłam się niżej i lekko nacisnęłam jedną z ran. Otworzyły się nieznacznie na mój dotyk, pokazując jak głęboko pazury przecięły ciało.

- Rany się nie zagoiły, więc nie zmienił się przed swoją śmiercią. – Zerknęłam na Kade'a. – Czy to możliwe, że jego partnerką była zmienna kotka?

- Cóż, wątpię, żeby miał kota. Zmienni ptaków i koty mają swego rodzaju awersję do siebie.

Spojrzałam na ranę jeszcze raz.

- Te cięcia są z pewnością zrobione kocimi pazurami, nie ludzkimi, więc dlaczego ona w ogóle zmieniła się w kota, skoro przyszli się tutaj pieprzyć, jak króliki?

Rozbawienie błysnęło w oczach Kade'a, kiedy jego spojrzenie spotkało moje.

- Może po prostu chciał zabawić się trochę z kotkiem, zanim przejdzie do interesów.

- Co za gra słów – powiedziałam ciężko. – To śmierdzi. Byłoby dobrze obejrzeć taśmy ochrony i zobaczyć, że nie ma na nich zapisu jej wejścia lub wyjścia w jakiegokolwiek postaci.

- Dlaczego?

- To tylko przeczucie. Nie zawiadomiła nikogo o jego śmierci, nie było jej, gdy znalazła go sekretarka, a biuro było najwyraźniej zamknięte na głucho. Wszystko to ma posmak tajemnicy. Więc, dlaczego miałyby pozwolić, żeby ktoś ją zobaczył, jak wchodzi do budynku?

- Przyjmujemy więc, oczywiście, że mamy do czynienia z kobietą.

Te perfumy z pewnością wskazywały na obecność kobiety, ale biorąc pod uwagę fakt, że ja nie używałam czegoś takiego, nie mogłam powiedzieć, że jestem ekspertem.

- Czy kiedykolwiek pojawiły się pogłoski, że Gerard był gejem?

Kade potrząsnął głową.

- Nie, ale politycy są świetni w ukrywaniu tego rodzaju gówna. Ale pozycja jego ciała jest dość sugestywna.

Moje spojrzenie prześlizgnęło się w dół jego kręgosłupa na okrągły tyłek.

- Nie, jeśli była pod nim w czasie śmierci i jedynie przesunęła go, żeby się wydostać.

Zdjął swoje rękawiczki i wrzucił je do pojemnika na odpady.

- Nie sądzę, żebyśmy dużo tu znaleźli. Chcesz pojechać do jego mieszkania i zobaczyć, czy coś – lub ktoś – tam było?

- Ty to zrób. Ja pójdę porozmawiać z jego sekretarką.

Kiwnął głową i wyszedł z pokoju. Ostatni raz spojrzałam na Gerarda, jeszcze chwilę czekając, by zobaczyć, czy jego dusza się nie pokaże, a potem wzruszyłam ramionami i skierowałam się do zewnętrznego pokoju.

Cole spojrzał na mnie.

- Tak szybko już wychodzisz?

Uśmiechnęłam się.

- Zostanę, jeśli tego naprawdę chcesz.

- Obawiam się, że nie.

- Kłamiesz, wilczy człowieku.

Nie zaprzeczył, co było miłą odmianą, ale jego niebieskie oczy pozostały chłodne. Był mężczyzną, który nie tak łatwo poddawał się swoim hormonom – nie chodziło o to, że i ja faktycznie byłam podatna, szczególnie nie w tej chwili – ale połowa zabawy była w próbowaniu. Chociaż, nie byłam pewna, co bym zrobiła, gdyby kiedykolwiek powiedział *tak*. Oczywiście, oprócz wstrząsu, który takie wydarzenie by spowodowało, były jeszcze zasady Jacka, z którymi trzeba było się liczyć.

Machnęłam ręką w stronę głównego biura.

- Zauważyłeś zadrapania na jego szyi?

- Tak.

- Prześlesz mi pełną analizę i protokół z sekcji zwłok, jak już będzie?

- Dobrze.

- Dzięki. Wychodzę, żeby pogadać z jego sekretarką – a tak w ogóle, to jak ona ma na imię?

- Rosy Ennes. Możesz ją puścić, jak tylko z nią porozmawiasz.

- Dzięki, tak zrobię.

Zeszłam na dół, idąc schodami a nie zjeżdżając windą, nie chcąc ryzykować kolejnego podejścia żołądka do gardła.

Zapach kawy uderzył we mnie, jak tylko popchnęłam drzwi i odetchnęłam głęboko. To nie był szczególnie świeży zapach, mogłam wyczuć lekki zapach spalenizny, ale jakakolwiek kawa była zdatna do picia, kiedy byłeś tak uzależniony do czegoś, jak ja.

Rozejrzałam się za dwoma kobietami, zauważając niebieski policyjny mundur w dalekim kącie, więc skierowałam się do lady, chwyciłam dwie białe kawy i kilka czekoladowych ciastek. Jak tylko za nie zapłaciłam, nasypałam sobie cukru i przeszłam przez pokój.

- Mogę w czymś pomóc? – zapytała policjantka, a jej zielone oczy były tak samo chłodne jak jej głos.

- Riley Jenson, Departament. – Postawiłam kawę i ciastka na stole, a potem wyciągnęłam odznakę z kieszeni i ją pokazałam.

Nie wyglądała na osobę pod wrażeniem. Żadna niespodzianka. Chociaż policja, na ogół, była nam wdzięczna za obecność – szczególnie biorąc pod uwagę fakt, że to uwalniało ich od zajmowania się najgorszymi, nieludzkimi wybrykami – to wciąż byli tacy, którzy uważali nas za coś trochę gorszego od licencjonowanego zabójcy. Co, na wiele sposobów, można było uznać za prawdę. I wyglądało na to, że ta kobieta mogła być jednym z nich.

Albo to, albo po prostu nie dała się oszukać na moją czarującą osobowość i z łatwością zgodziła się z tą obiegową opinią.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że Departament ma teraz dzienną zmianę strażników – powiedziała oglądając odznakę bardziej uważnie niż to było konieczne.

Tak, jakby ktoś w ich prawych umysłach chciał sfałszować odznakę strażnika.

- Nowy oddział, stworzony kilka miesięcy temu. – Schowałam odznakę do kieszeni i oparłam się sugestii, że może powinna czytać trochę częściej wewnętrzne notatki służbowe. – Przejmuję sprawę od tej chwili. Dzięki.

Prychnęła, a potem wstała i odeszła. Usiadłam na jej miejscu, a moje nozdrza rozszerzyły się łapiąc zapach Rosy. Pachniała lawendą i eukaliptusem, a także człowiekiem. Podałam jej kawę i ciastka.

- Proszę. Wyglądasz, jakbyś tego potrzebowała.

Zignorowała ciastka, ale zawięła swoje palce wokół styropianowego kubka, uśmiech miała równie blady, co pomarszczoną twarz. Sądziłam – błędnie – że ktoś taki jak Gerard James, będzie miał młodą i atrakcyjną asystentkę. Kogoś, kto będzie miły dla oczu i wydajny w pracy. I tak jak powiedział Kade, właśnie taki typ preferował.

Ale Rosy była grubo po pięćdziesiątce – bez makijażu, a jej siwe włosy były obcięte w staromodnego boba, przez co wyglądała dużo starzej. Może to dobrze wpływało na jego polityczny image, mieć starszą asystentkę albo może po prostu była cholernie dobra w swojej pracy.

- Obawiam się, że muszę zapytać cię o dzisiejsze popołudnie i znalezienie Gerarda Jamesa. – Zdjęłam pokrywkę z mojego kubka z kawą i wrzuciłam go do najbliższego kubła na śmieci. – Opowiedz mi wszystko. Nie musisz się śpieszyć.

Kiwnęła głową, ale przez następne kilka sekund się nie odezwała. Siedziała tylko z rękami zawiniętymi wokół kubka z kawą, z oczami patrzącymi w dół.

- Rosy? – odezwałam się łagodnie.

Podskoczyła odrobinę.

- Oh, tak. – Jej głos zadrżał, ale mówiła dalej. – Było trochę po wpół do trzeciej, gdy pojawiłam się w biurze.

- Zawsze tak późno zaczynacie?

- Nie, ale wczoraj wieczorem był na zbieraniu funduszy, więc dał mi wolny ranek. Zamierzaliśmy przyjść później do pracy, żeby to nadrobić.

- Więc, kiedy przyszedł, całe biuro było zamknięte?

- Tak. – Wypiła łyk kawy, a potem dodała. – Ja miałam klucze, ponieważ jestem tutaj zazwyczaj przed nim. Lubi - *lubił* - mieć przygotowaną filiżankę kawy, jak tylko przyjeżdżał.

- O której godzinie miał zamiar się zjawić?

- Nie przed trzecią, ale zazwyczaj był kwadrans wcześniej. – Zawahała się, jej bladoniebieskie oczy iskrzyły się wstrzymywanymi łzami. – Poszłam do jego biura i, jak zwykle, chciałam postawić kawę na jego biurku. I wtedy zobaczyłam...

Urwała i zaczerpnęła duży łyk powietrza. Jej ręce drżały tak mocno, że kawa groziła przelaniem się przez krawędź kubka i sparzeniem jej palców. Wyciągnęłam rękę, delikatnie wyjęłam styropianowy kubek i odstawiłam go z powrotem na stół. Ale nie mogłam przestać się zastanawiać, czy jej głęboka reakcja była spowodowana szokiem, czy to było coś głębszego. Coś, co nie było faktycznie seksualne, ponieważ z tego, co słyszałam o Gerardzie Jamesie, bardzo wątpiłam, żeby Rosy była w jego typie. Ale to nie oznaczało, że Rosy nie mogła mieć słabości do niego. To na pewno nie byłby pierwszy raz, że asystentka zakochuje się w swoim szefie. Chociaż, było prawdopodobnie między nimi więcej niż dziesięć lat różnicy. Niewiele, szczerze mówiąc.

- Czy zauważyłaś tam coś niezwykłego, albo nie na swoim miejscu?

Potrząsnęła głową.

- Tylko on, na tym biurku. – Jej wargi zadrżały i samotna łza spłynęła w dół jej bladego policzka. – To był taki szok, zobaczyć go w ten sposób, wiesz?

- Wiem. – Zawahałam się. – Zauważyłaś gdzieś jego ubranie?

Ja na pewno nie, ale może ekipa Cola już je schowała.

- Nie – odparła. – Ale prawdopodobnie wisi w łazience. Pod tym względem zawsze był schludny.

Nawet w gorączy parowania? Trudno było mi w to uwierzyć, ale z drugiej strony, był politykiem. Byli rasą zupełnie inną niż reszta z nas.

- Jaką funkcję pełnił ostatniej nocy?

- To było w Crystal Palace w St. Kilda. Jakieś dobroczynne zbieranie funduszy, na które został zaproszony, by przemówić.

- Wiesz, z kim miał tam pójść?

Jej prychnięcie było lekceważące. Po raz pierwszy na jej twarzy zobaczyłam coś więcej niż smutek.

- Alana Burns. Była jedną z *Ladacznic* z Toorak.

Rozbawienie szarpnęło moimi wargami. Nie było potrzeby pytać Rosy, co myślała o *Ladacznicach*, ponieważ było to słyszalne w jej cierpkim głosie.

- Kim one są?

Machnęła ręką, znajdując się niebezpiecznie blisko przewrócenia kubka z kawą. Pochyliłam się do przodu i przesunęłam kubek jeszcze raz.

- To kilkanaście samotnych albo rozwiedzionych pań z Toorak, które udostępniają się we wszystkich możliwych rolach. Oczywiście, tylko z dobrze urodzonymi mężczyznami.

- Więc są wysoko opłacanymi dziwkami?

Zmarszczyła brwi.

- No. Pieniądze nie mają tu znaczenia, o ile wiem. Możesz sobie wyobrazić ten skandal, który wywołałyby panu Jamesowi? Nie, one są po prostu dobrze urodzonymi, dobrze ustosunkowanymi zdzirami.

Uśmiechnęłam się, ale musiałam się zastanowić nad tym, czy wyraziłaby takie sentymenty w stosunku do swojego szefa. Jakoś tego nie podejrzewałam.

- A często wychodził z tą Alaną?

- Ładnych kilka razy, chociaż myślę, że ostatnio już był nią zmęczony.

Wypiłam łyk kawy i dopiero wtedy zapytałam.

- Dlaczego?

Zawahała się.

- On ogólnie preferował traktować niektóre sprawy dość przelotnie.

Bo jeśli Alana zaczęła stawiać żądania i źle reagowała na odmowy, to właśnie mogło wyjaśniać jego morderstwo. Rzucenie kobiety nie zawsze uciekało się do podarowania jej czekoladek. Niektóre z nich były wściekłe – niektóre chciały się policzyć.

- Jak on zazwyczaj rzucał swoje kochanki?

- Z kwiatami następnego dnia. Zazwyczaj to ja je zamawiam, stąd wiem, że był już zmęczony Alaną. Poprosił mnie, bym sprawdziła ceny róż.

No cóż, przynajmniej nie rzucał jej z żonkilami.

- Ale wyszli razem wczoraj wieczorem?

- Tak. Zadzwoiłam do niej po południu, by potwierdzić spotkanie, tak jak zwykle to robię. Była bardzo rozdrażniona. – Rosy pociągnęłam nosem. – Większość tych kobiet myśli, że są zbyt dobre, by mieć do czynienia z pospółstwem.

I może *Ladacznice* nie były jedynymi z chipem w ich ramionach.

- Czy Alana była pierwszą *Ladacznicą*, z którą spotykał się twój szef?

- Nie. – Zawinęła jeszcze raz swoje dłonie wokół kubka kawy i przysunęła do siebie. – Wciąż mu powtarzałam, że któregoś dnia wpakują go w kłopoty, ale jemu podobały się te kontakty.

- Z kim jeszcze się spotykał?

- Z kilkoma z nich. Z jedną był nawet rok, ale stała się bardzo przyklepna, więc się wycofał.

Co oznaczało, że prawdopodobnie chciała zobowiązań. Biedaczka. Zastanawiałam się, czy ona też otrzymała róże, czy po prostu zostały jej pokazane drzwi.

- Jak ona się nazywała?

Zmarszczyła brwi.

- Cherry jakaś tam. To powinno być w aktach – chyba, że zmieniła adres, więc to będzie już nieaktualne. Są pod literą *L*.

Tym razem, mój uśmiech się uwolnił. Rosy z pewnością miała w sobie więcej ognia niż z początku się wydawało.

- Są tam też dane Alany? Muszę z nią porozmawiać.

- Tak.

- Czy jeszcze coś możesz mi powiedzieć? Coś, co może być przydatne?

Sięgnęłam do telepatii, kiedy zadałam to pytanie i połączyłam się delikatnie z umysłem Rosy. Jej myśli były mieszaniną smutku i żałoby za szefem, z jednoczesnym zmartwieniem o swój wiek i myślami, gdzie teraz znajdzie inną pracę. Nie mogłam znaleźć nic podobnego do kłamstwa, czy pół prawdy, ani że coś ukrywała. Więc delikatnie się wycofałam.

Upiła łyk kawy i zmarszczyła brwi.

- Na przykład co?

- No cóż, czy ostatnio był chory? Czy otrzymał jakieś groźby? Czy coś niezwykłego zdarzyło się w zeszłym tygodniu lub coś w tym stylu?

- Nie. Do wszystkich pytań.

- W takim razie, na obecną chwilę, niewiele możesz mi pomóc. – Machnęłam ręką na policjantkę, a potem dodałam. – Powiem policjantce, żeby zabrała cię do domu, jeśli chcesz.

Rzeczona policjantka nie wyglądała na szczęśliwą, gdy została zdegradowana do obowiązku szofera, ale Rosy była zadowolona.

- Byłoby miło. Dziękuję.

Chwyciłam moją kawę i niezjedzone ciastka, powiedziałam *do widzenia* i wyszłam stamtąd. Schrupałam czekoladowe ciastka idąc po schodach, zostawiając za sobą ślady okruchów.

Cole spojrział, kiedy ponownie weszłam do biura.

- Chcesz, żebym wskoczył z tobą do łóżka, a nawet nie masz na tyle poczucia przyzwoitości, by przynieść mi kubek kawy? Ach te dzisiejsze kobiety. Są takie samolubne.

Uśmiechnęłam się.

- Taa, tu chodzi o mnie i moje apetyty, kumplu, nie twoje.

Rozbawienie rozbłysło w jego niebieskich oczach.

- Co mogę dla ciebie zrobić?

- Widziałeś wizytownik?

Machnął ręką w kierunku biurka.

- Druga szuflada.

Postawiłam kawę na biurku i, przed otwarciem szuflady, założyłam rękawiczki, by wyjąć wizytownik. Adres Alany rzeczywiście był umieszczony pod literą *L* jak *Ladacznice*. Tak naprawdę, to zostało tam wpisanych ogólnie siedem kobiet. Gerard najwyraźniej testował szeregi *Ladacznic*. Zanotowałam wszystkie ich nazwiska i

adresy, potem chwyciłam moją kawę i kiwnęłam Colowi głową na dowidzenia. Byłam już prawie przy drzwiach, gdy przypomniałam sobie, co Rosy mówiła o ubraniach, i się zatrzymałam.

- Cole, czy znalazłeś ubranie Gerarda?

Odpowiedział nie patrząc na mnie.

- Tak, są starannie ułożone w łazience.

- Naprawdę?

Ponieważ nie mogłam powstrzymać zdziwienia w moim głosie, więc podniósł wzrok z uśmiechem.

- Tak. Podejrzewam, że nasz chłoptaş to jakiś czyścioch-dziwak. Oba biura są niezwykle porządne.

- Tyle, że nie było niczego porządnego w tym, co robili wczoraj wieczorem.

- No cóż, nie, ale przecież nawet polityk by nie oczekiwał, że seks będzie porządny. – Urwał, żeby unieść kosmyk włosów i umieścić go w torebce. – Okno w łazience jest rozbite, i to jest dziwne.

Na jego słowa uniosłam brwi.

- A więc, gdyby nasz zabójca był zmiennym kotem, to mogłaby uciec tą drogą?

- Gdyby to nie było pięć piętér w dół na chodnik, to tak. – Jego głos był na krawędzi irytacji. – To będzie w moim raporcie. Jeśli kiedykolwiek skończę mój raport, ot co.

Zrozumiałam aluzję, jakby mocno mnie strzelił. Więc odwróciłam się i zeszłam na dół schodami.

Kiedy już znalazłam się w samochodzie, włączyłam komputer pokładowy i wpisałam nazwisko Alany, jednocześnie sprawdzając, czy mamy coś na nią. Traf chciał, że praktycznie nie było niczego. Najgorszym przewinieniem w jej życiu było to, że spóźniła się z zapłaceniem mandatu za przekroczenie dozwolonej prędkości. *Ladacznice* mogły być trudnymi w miłości, korzystającymi z życia kobietami, ale wydawało się, jakby ta jedna, przynajmniej zasadniczo, przestrzegala prawa.

Dwa razy sprawdziłam, czy znaleziony adres, był taki sam jak ten z wizytownika, a następnie uruchomiłam samochód i pojechałam tam.

Powiedzieć, że Toorak był zamożną podmiejską dzielnicą, byłoby niedopowiedzeniem roku. Tylko milionerzy, i ci ponad, mogli pozwolić sobie na mieszkanie w tym miejscu – chociaż ostatnio, niektórzy bardziej zamożni, wyprowadzili się do modniejszych podmiejskich dzielnic przy plaży, jak Brighton.

Jedyny raz, kiedy przyjechałam do Toorak z chęcią, był wtedy, gdy odwiedziłam Dię — osobę o zdolnościach parapsychologicznych, która była na liście płac Departamentu, i która stała się przyjacielem – albo żeby oglądać witryny sklepowe wzdłuż Chapel Street. Tak naprawdę, kupienie czegoś droższego niż kawa nie wchodziło w rachubę – Departament nie płacił nam aż tak dobrze – a i tak kawa była tam droższa niż normalnie w podmiejskiej dzielnicy.

Głośny ryk klaksonu przywrócił moją uwagę do drogi, więc gwałtownie skręciłam, żeby uniknąć nadjeżdżającego samochodu. Ignorując raczej ożywione gesty kierowcy, przełączyłam komputer na nawigację i pozwoliłam mu się poprowadzić do Alany.

Okazało się, że nie mieszka w jednym z bujnie porośniętych bloków, które były zaludnione przez mniej możnych w Toorak, ale biorąc pod uwagę jej mieszkanie znajdujące się prawie na końcu Yarra River na Kooyong Road, to nadal ceny tutaj przekraczały milion dolarów. Co najmniej.

Wysiadłam z samochodu i popatrzyłam w górę budynku. Miał tylko trzy piętra i nowoczesną architekturę, całą w betonie i szkłe. Piętra nie zostały wybudowane bezpośrednio jedno nad drugim, tylko z niewielkimi kątami, dając każdemu widok i wrażenie, jakby budynek został źle ułożony.

Nie brzydki, nie oszalamiający, tylko kolejny budynek, który prawdopodobnie zostanie zburzony i zastąpiony przez coś większego i bardziej okazałego w ciągu kolejnych dwudziestu lat. Nawet Dia otrzymała oferty kupna jej pięknego starego domu – podobno plan był taki, żeby go zburzyć i wybudować okazale wyglądające mieszkania, z których każde mogłoby być opchnięte za miliony. Dia do tej pory opierała się pokusie – za co byłam jej wdzięczna, ponieważ kochałam to miejsce. To był taki ciepły i spokojny dom do odwiedzenia – szczególnie w porównaniu do pobożowiska, jakim było moje mieszkanie. Nie byłam dobrą gospodynią. Ani mój brat – chociaż był zazwyczaj bardziej schludny ode mnie.

Zablokowałam samochód i ruszyłam. W momencie, kiedy wbiegałam na schody, zadzwonił mój telefon, więc zatrzymałam się, żeby wyciągnąć go z torby.

W tej chwili, jak go odebrałam, odezwał się ostry głos.

- Ile razy ci mówiłam, że Departament nie jest twoim osobistym biurem zleceń?

Uśmiechnęłam się. Nie było mowy, żebym się pomyliła w rozpoznaniu tego głosu – należał do Salliane, wampirzycy, która zajęła moje miejsce, jako łączniczka strażników i główna asystentka Jacka.

- Jak miło usłyszeć ponownie twój melodyjny głos.

- Ugryźć mnie, wilcza dziewczynko – odburknęła. Oczywiście, Jacka nie było w pokoju, bo inaczej byłaby bardzo słodziutka. Sal chciała dobrać się do spodni Jacka, więc przypuszczałam, że ostrzenie sobie zębów na ulubionym strażniku szefa, gdy był w zasięgu słuchu, nie pomogłoby jej w tych wysiłkach.

Oczywiście, już dawno się zorientowałam, że nic jej nie pomoże – i nie chodziło tylko o jego własne zasady, bo Jack od miesięcy był niewzruszony na wszelkie seksualne podteksty i napaście, dlatego bardzo wątpiłam, żeby uległ, w najbliższej przyszłości. Ale zabawnie było patrzeć na jej próby. I zawody.

- Sal, kochanie, nic na tym świecie nie skłoniłoby mnie, żebym cię ugryzła. I co z tymi prywatnymi wiadomościami?

- Mam tu jedną od Bena Wilsona. Powiedział, że to jest pilne i pyta, czy mogłabyś natychmiast do niego zadzwonić.

Zmarszczyłam brwi.

- Ben Wilson? Nie znam nikogo o tym nazwisku.

- On twierdzi inaczej.

Co w niczym nie pomogło. Przystąpiłam z nogi na nogę i popatrzyłam na przechodzącą obok mnie kobietę w super-wysokich i super-czerwonych szpilkach. Mój nos drgnął. Pachniała rumem i dymem od papierosów.

- To wszystko, co powiedział?

- Nie, powiedział coś o pamiętaniu *Cienia*, cokolwiek do diabła to jest.

Imię kliknęło. Ben był Cieniem, dużym, czarnym wilkiem, który zarządzał *Nonpareil*, biurem striptizerów, które to obsługiwało ludzi i nie ludzi podczas przyjęć – zapewniając im zarówno striptizerów, jak i *ogier*y. Spotkałam go kilka miesięcy temu podczas prowadzenia śledztwa, i chociaż podzieliliśmy wzajemne przyciąganie, to byłam wtedy z Kellenem i obiecałam mu dochować wierności.

Co okazało się mało przydatne.

Odetchnęłam, by odepchnąć utrzymujące się jeszcze resztki smutku, a potem powiedziałam.

- Zostawił numer telefonu?

- Tak. Ale po raz ostatni przekazuję prywatne wiadomości.

- To nie jest prywatne. To jest interes. – Co tak nie do końca było kłamstwem, ponieważ tak naprawdę nie miałam pojęcia, czego Ben może chcieć. I wątpiłam, żeby to było coś prywatnego. Nie po takim czasie.

Sal burknęła.

- Nie uwierzę w to ani przez sekundę, wilcza dziewczynko. – Wyklepała numer telefonu. – Powiedział też, że możesz skontaktować się z nim przez biuro, jeśli nie będzie odbierał komórki.

- Jesteś skarbem, Sal.

- Wiesz, gdzie możesz sobie wsadzić tego *skarba* – odparła i się rozłączyła.

Zachichotałam łagodnie. Jack powtarzał mi wiele razy, żebym przestała być taką suką dla Sal, ale drażnienie tej kobiety było zbyt zabawne, żeby to odpuścić.

Wystukałam numer, który mi podała. Zadzwoił kilka razy, zanim odezwał się głęboki głos.

- Ben Wilson, słucham.

- Ben, tu Riley Jenson, miałam oddzwonić do ciebie.

- Dziękuję za telefon. – W jego tonie było coś więcej niż nutka ulgi. – Wiem, że mnie nie znasz, ale potrzebuję pomocy, a ty jesteś jedynym strażnikiem, o którym słyszałem.

A więc, miałam jednak rację. To był interes. Nie miałam pewności, czy powinnam poczuć ulgę czy rozczarowanie, ale dałam sobie klapsa za takie myślenie.

- Jaką pomoc? – powiedziałam, może troszkę bardziej ostro niż miałam zamiar.

Zawahał się.

- Jeden z naszych striptizerów właśnie został zamordowany.

- To zadzwoń na policję.

- Zadzwoń. Ale potraktowali to, jako niski priorytet.

- Dlaczego?

- Ponieważ Denny był znanym uczestnikiem scen BDSM, a jego śmierć wyglądała, jak nieszczęśliwy koniec seks-zabawy.

- Skoro był na tej scenie, to może mają rację.

- Oprócz faktu, że Denny tylko bawił się w BDSM. To, co naprawdę mu zaszkodziło to asphyxiophilia.²

Zmarszczyłam brwi.

- Co to jest?

- Erotyczne duszenie. Tyle, że nie został znaleziony powieszony za szyję, tylko za nadgarstki, z obnażonym brzuchem i plecami.

- To znaczy, że próbował sam się zabić? – To nie brzmiało zbyt śmiesznie, jak dla mnie. Co więcej, nigdy nie miałam tak zbitego brzucha czy pleców, by ciało odpadło płatami.

- Sam sobie tego nie zrobił. On zawsze – ale to *zawsze* – był z partnerem.

Czego Ben, tak naprawdę, nie mógł być pewien, chyba że był tam za każdym razem. I jak szczerze i otwarte były wilki w seksie, większość z nas nie gadałaby wszem i wobec o każdym seksualnym wyczynie.

- Czy policja znalazła jakikolwiek ślad innej osoby w mieszkaniu?

- Nie, chociaż musiał być co najmniej jeden, zważywszy na stan jego ciała.

- Więc, czego ode mnie oczekujesz? Że znajdę jego partnera?

- Chcę poznać prawdę o tym, co się stało. Znalezienie jego partnera byłoby dobrym początkiem.

- Będę musiała dostać się do jego mieszkania. – Poczuc zapachy, zobaczyć, czy jego dusza nie będzie chętna na pogawędkę. Chociaż nie wszystkie dusze tak robiły, co dowodził przypadek Gerarda.

- Mam klucz. Mogę cię wpuścić.

² Asphyxiophilia to praktyka celowego zmniejszenia dopływu ilości tlenu do mózgu podczas stymulacji seksualnej w celu zwiększenia przyjemności z orgazmu

Uniosłam brew.

- Masz klucze do wszystkich mieszkań swoich pracowników?

- Nie, tylko tych, którzy zajmują się bardziej niebezpiecznymi rzeczami.

- Masz na myśli to, że seksualne fetysze są bardziej niebezpieczne niż próba uduszenia samego siebie?

- Może nie aż tak niebezpieczne, ale to jest na pewno balansowanie na krawędzi.

Podeszłam do drzwi głównych budynku i nacisnęłam brzęczyk do mieszkania 1B. Czekając na odpowiedź Alany, zapytałam.

- Kiedy on umarł?

- Wczoraj. Nie pojawił się dzisiaj w pracy, więc wstąpiłem do niego w drodze do domu. I wtedy go znalazłem.

Więc przynajmniej minęło dwadzieścia cztery godziny, jeśli nie więcej. Zmarszczyłam nos. Szanse, że dusza zmarłego nadal tam jest były bardzo nikłe. A nawet, gdyby tam była, szanse, że naprawdę bym ją zrozumiała były praktycznie zerowe. Jak do tej pory, wyglądało na to, że im świeższa był zbrodnia, tym mocniej widziałam czy słyszałam duszę – i odwrotnie.

- Policja spisała twoje zeznania, jak sądzę. – Nacisnęłam brzęczyk jeszcze raz, potem cofnęłam się i spojrzałam do góry. Nikt nie odpowiedział i nie zauważyłam żadnego ruchu czy dźwięku dochodzącego z żadnego z mieszkań na pierwszym piętrze.

- Tak. Możesz to sprawdzić, skoro myślisz, że kłamię w tej sprawie.

Uśmiechnęłam się.

- Oh, zrobię to, ale nie dlatego, że myślę, iż kłamiesz. Chcę zobaczyć, co gliny i koroner o tym sądzą.

- Nie sądzę, żeby koroner tak szybko pracował.

- To zależy od sytuacji. – A w tym przypadku, pewnie miną dni zanim nadejdzie pełny raport. W jednym miał rację – śmierć spowodowana BDSM była traktowana na równi z samobójstwami i plasowała się na samym końcu listy priorytetów, jeśli chodziło o zbadanie przyczyny śmierci. Chociaż odnotowywali w aktach sprawy swoje pierwsze wrażenia. – Gdzie teraz jesteś?

- W domu.

Nacisnęłam brzęczyk interkomu ostatni raz. Nadal nie było odpowiedzi. Alana albo wyszła, albo pracowała.

- Możesz, jak najszybciej, dojechać do mieszkania twojego kolegi?

- Będę tam za piętnaście minut. – Podał mi adres, a potem dodał. – Naprawdę jestem ci wdzięczny.

- Jesteś mi winny kawę. I mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, że mogę tam niewiele zrobić.

- Wiem.

- W takim razie, spotkamy się na miejscu. – Rozłączyłam się, schowałam komórkę do torby i wróciłam do mojego samochodu. Zmarły przyjaciel Bena mieszkał w Prahan, co nie było tak daleko, nawet przy późno-popołudniowym ruchu ulicznym.

Dojechałam tam kilka minut przed czasem. Bena nigdzie nie było widać, więc oparłam się o maskę samochodu i oglądałam budynek. To był jeden z tych nudnych ceglanych projektów, które były budowane w drugiej połowie dwudziestego wieku – proste kąty z niewieloma oknami i małą wyobraźnią. Ktoś ostatnio pomalował go na kremowo, wzdłuż frontu i po bokach były starannie przycięte żywopłoty, ale zieleń niewiele pomogła, by pozbyć się tej nijakości.

To nie było miejsce, gdzie chciałabym mieszkać, choćby dlatego, że apartamenty nie wyglądały na szczególnie duże. A to sprawiłoby, że czułabym się jak zwierzę w klatce.

Ryk motocykla zwrócił moją uwagę. Obejrzałam się, żeby zobaczyć ubranego w skórę mężczyznę na dużym, nędznie wyglądającym motorze, który rycząc, jechał w moją stronę ulicą. Pomachał do mnie, kiedy mnie zobaczył, a potem zwolnił i podjechał motorem na miejsce parkingowe za moim samochodem.

Uśmiechnęłam się i podeszłam do niego.

- Niesamowite wejście – powiedziałam, gdy zdjął kask.

Ben pogłaskał czule swój motocykl.

- Nie mogłem się powstrzymać przed małą przejażdżką na tej *dziewczynce*. Miło jest znaleźć się na niej ponownie.

Spojrzałam na motor. Jak dla mnie, nie było w nim niczego szczególnego.

- To motor.

Rozbawienie zabłysło w jego jasnoniebieskich oczach.

- Nie, to jest GL1000 Gold Wing z 1975³. Niektóre z funkcji tej dziecińcy wybiegały ówczesne czasy.

- Cóż, jestem oczarowana spotkaniem jej – powiedziałam sucho. – A teraz, zaprowadzisz mnie do mieszkania twojego kolegi?

Jego uśmiech był tak seksowny, jak całe piekło, gdy schodził z motoru, jego zęby rażąco kontrastowały z jego czarną skórą.

- Nie jesteś fanką motocykli?

- Nie. – Ale moje podstępne hormony z całą pewnością były fanami całej tej skóry. Był wysokim mężczyzną – prawie trzydzieści centymetrów wyższym ode mnie, a nie byłam niska – potężnie zbudowanym, z rzeźbionymi rysami i gęstymi czarnymi włosami. A cała ta cudowna, czarna skóra była dopasowana jak rękawiczka, podkreślając i uwydatniając jego umięśnioną budowę ciała.

Oderwał zatrzask przy swojej szyi, potem opuścił zamek błyskawiczny swojej kurtki, ukazując pod spodem ciemnoniebieski T-shirt. Moje nozdrza się rozszerzyły, wsysając piżmowy zapach mężczyzny zmieszany z nikłym śladem jego potu.

Naprawdę, bardzo miłe.

- Myślę, że będziesz musiała zgłosić się na przejażdżkę na jednym z moich motocykli. To zmieni twoje nastawienie.

Wizja przyciśnięcia się do jego obleczonego w skórę ciała, gdy mkniemy ulicami miasta na jego hałaśliwej maszynie, podniosła gwałtownie mój puls – ale nie wiedziałam, czy to było podniecenie czy panika. To znaczy, lubiłam się rozglądać – i to dużo – ale w tej chwili nie czułam się gotowa na nic więcej. Szybki numer z nieznanym podczas gorączki księżycy był dość bezpieczny, zarówno dla mojego zranionego serca, jak i uczuć.

Ale nie z tym wilkiem.

Cofnęłam się i machnęłam ręką.

³ http://www.motorcycleclassics.com/uploadedImages/MC_Specs/1975/Honda/Gold-Wing-1975IMG_3265.jpg

- Samochody są bardziej bezpieczne.

- W tym problem. Nie ma żadnych emocji.

- Są, w sportowym samochodzie.

- To nie jest to samo, uwierz mi. – Obrzucił mnie spojrzeniem, jego brew się uniosła. – I jak strażnik może sobie pozwolić na sportowy samochód?

- Nie może. Ale jeździłam nim.

- To nie to samo. – Zaczął wspinać się po zewnętrznych schodach budynku na pierwsze piętro, zostawiając mnie z tyłu w raczej idealnej pozycji, by podziwiać ruch jego tyłka. – Mieszkanie Denny'ego jest na samym końcu. Nie cierpiał mieć sąsiadów po obu stronach.

- Czy policja rozmawiała z sąsiadem, którego miał?

Wzruszył ramionami, powodując zmarszczenie się skórzanej kurtki, co było dość przyjemne.

- Tak naprawdę to zbyt wiele mi nie powiedzieli. – Rzucił uśmiech przez ramię. – Ale to mogło mieć coś wspólnego ze mną, bo nazwałem ich palantami, którzy nie potrafią poznać morderstwa, nawet gdyby uderzyło ich w twarz.

- Mogło tak być – zgodziłam się sucho.

Doszliśmy do końca balkonu. Zatrzymał się i otworzył drzwi, które wyglądały na świeżo pomalowane. Powietrze, które wyleciało ze środka, wypełnione było zapachem róż i śmierci.

Weszłam obok Bena do mieszkania. To nie było zbyt duże miejsce, ale było czyste i jasne, dzięki białym ścianom i świetlikom. Pierwszy pokój to było połączenie salonu i kuchni, a całe to pomieszczenie było niezwykle czyste. Nawet zlew błyszczał.

Obejrzałam zdjęcia z polowań, wiszące na ścianach, zastanawiając się, czy sam je zastrzelił, a potem zapytałam.

- Gdzie został znaleziony?

- W pierwszej sypialni.

Obeszłam kanapę w kształcie litery L i skierowałam się do pierwszych drzwi. Zapach śmierci był coraz ostrzejszy im bardziej zbliżałam się do sypialni, a moja skóra

zaczęła mrowić. Nie z powodu zapachu śmierci, ale dlatego, że było tam coś innego, coś, co było złe.

Zatrzymałam się dokładnie w drzwiach, szybko zauważając rozpryski krwi na ścianach i szeroką, ciemną plamę na dywanie, zanim mój wzrok przyciągnął masywny hak zwisający z sufit nad plamą.

- Tutaj to się stało? – Głupie pytanie, ale czasami takie właśnie trzeba było zadać.

- Tak.

Ben zatrzymał się tuż za mną, jego wyraźne, ciepłe gorąco opłynęło mnie, drażniąc moje zmysły i wysyłając dreszcze podniecenia przez moją skórę. Nie tego potrzebowałam w tej chwili.

Ani później, jeśli o to chodzi.

Obróciłam się i lekko dotknęłam palcami jego brzucha. Poczułam stalowe mięśnie pod bawełnianym T-shirtem.

- Cofnij się. Przytłaczasz moje zmysły.

- Myślę, że to była najmiłsza rzecz, jaką dotychczas powiedziała mi kobieta.

Nie ruszył się, ale z drugiej strony, nie popchnęłam go zbyt mocno. Jeszcze nie.

Prychnęłam miękko.

- Jakoś w to wątpię.

- Byłabyś zaskoczona. – Zrobił kilka kroków do tyłu. Intensywność jego aromatu osłabła na tyle, że mogłam poczuć coś więcej z zapachów pokoju. – My striptizerzy nie jesteśmy za bardzo doceniani.

- Myślałam, że już teraz nie zajmujesz się striptizem. – Odwróciłam się i zrobiłam krok do przodu, dystansując się jeszcze bardziej i próbując złapać źródło tego słabego, niepokojącego zapachu.

- No nie. Ale nie zawsze byłem kierownikiem.

- A więc, jak długo już jesteś w zawodzie? – Zrobiłam kolejny krok do przodu. Dziwny zapach stał się trochę silniejszy, coraz bardziej przypominając mi zapach wampira – jeżeli zabójca był wampirem, w takim razie nie pachniał tak, jak inne wampiry, z którymi miałam styczność.

- Znalazłem się w tym interesie odkąd skończyłem siedemnaście lat. Nie było wtedy zbyt wielu rzeczy, które może robić dzieciak bez wykształcenia. Nawet nauka zawodu potrzebuje minimalnego poziomu.

Im bliżej podchodziłam do łóżka, tym ten dziwny zapach był wyraźniejszy, i tym bardziej byłam pewna, że to był wampir. Wampir, który pachniał, jak żaden inny, ale wampir tak czy inaczej. I był tutaj ostatnio. Zdarłam kapę i pochyliłam się, żeby powąchać prześcieradła.

Emanował z nich zapach wilka i seksu, ale chociaż smród wampira był niezwykle silny obok łóżka, on – albo ona – nie był w nim. Nie, że to coś znaczyło. Ktoś, kto lubił wieszać się dla jaj, nie ograniczał się tylko do łóżka, by się kochać.

Spojrzałam na Bena.

- Czy któryś z kochanków Denny'ego był wampirem?

Zmarszczył brwi.

- Tego nie wiem. Wspominał ostatnio o kilku wilkach, ale nigdy o wampirze.

- Cóż, jeden z nich był w tym pokoju. Możesz poczuć go obok łóżka.

Wszedł do pokoju, wypełniając jego biel swoją mroczną witalnością. Zaciągnął się, a potem jego niebieskie spojrzenie napotkało moje.

- Pachnie jakąś starzyzną. Jakimś zepsuciem.

Kiwnęłam głową.

- Wampir.

Zmarszczył brwi.

- Wampiry tak nie pachną.

- Może te, z którymi się zadajesz nie, ale te, z którymi ja mam do czynienia, to tak, one tak pachną. – Przez chwilę przyglądałam się ciężkiemu metalowemu hakowi. Nie było żadnych wibracji mocy w tym pokoju, żadnego chłodu, który wskazałby, że coś z drugiej strony nadchodzi, by się zabawić. Może jego dusza już wyruszyła, albo może po prostu nie chciała rozmawiać. – Sądzę, że pierwszą rzeczą, jaką musimy zrobić, to spróbować dowiedzieć się imienia wampira, który tu był. W jakich klubach często bywał Denny?

Ben się uśmiechnął.

- We wszystkich. Lubił krążyć.
- Nie miał więc żadnego ulubionego? Do żadnego klubu nie chodził częściej?
- Może. Nie wiem. Mogę zadzwonić i zapytać Jilli. Ona może wiedzieć.
- Jilli jest jednym z wilków, o których ostatnio wspominał?
- Tak. Jest właścicielką i prowadzi kawiarnię niedaleko *Blue Moon*.

Uniosłam brwi.

- *Chiquita*? Mają tam najlepsze bułeczki z czarnymi borówkami. I kawa też nie jest zła.
- Tak, ta kawa, którą jestem ci winien – mogę ci tam opłacić rachunek?

Obserwowałam go przez chwilę, a widząc rozbawienie i swawolność w jego oczach, poczułam, jak odpowiedź odzywa się w dole mojego brzucha. Zastanawiając się kiedy – czy – kiedykolwiek wydostanę się z tego interesu i stanę się na powrót wolnym wilkiem.

Nie wiedziałam, naprawdę nie wiedziałam, ale wiedziałam, że po części to był strach przed zostaniem zranioną kolejny raz. Przecież, moje serce nie może zostać jeszcze raz złamane, skoro nie położę je na szali. I w końcu, jak długo jeszcze mogę ignorować tę część mnie, która jest częścią mojej duszy?

- Prawdopodobnie będzie prościej, jeśli tam pójde i porozmawiam z nią sama, więc tak, tak będzie świetnie.

Uniósł brew lekko zdziwiony.

- Dlaczego odnoszę wrażenie, że uchylasz się od intencji zawartej w tym pytaniu?
- Bo tak jest. – Obróciłam się i otworzyłam szufladę nocnego stolika. Środki przeciwbólowe, książki i prezerwatywy. Wyciągnęłam jedną i pokazałam Benowi. – On pieprzył ludzi?

- Tak. Nie przez cały czas, ale lubił wyzwania w ograniczeniach, jakie reprezentowali. Używał prezerwatyw, żeby nie było żadnymi niechcianych ciąży.

Ponieważ wilk nie musiał martwić się o STD⁴, dzięki naszej umiejętności leczenia wszelkiego rodzaju tych rzeczy podczas zmiany.

⁴ STD – Sexually Transmitted Diseases - choroby przenoszone drogą płciową

- Prezerwatywa nie jest stuprocentowo bezpieczna.

- To lepsze niż nic. – Patrzył na mnie przez chwilę, a potem zapytał. – Biorąc pod uwagę fakt, że czuję twoje zainteresowanie, jednak nie chcesz ze mną wyjść?

Wepchnęłam prezerwatywę z powrotem do szuflady i zatrzasnęłam ją.

-Nie bierz tego do siebie. W tej chwili z nikim nigdzie nie wychodzę.

- Jesteś wilkiem. To jest fizycznie niemożliwe.

- Oczywiście, nie mówię tutaj o gorączce księżycy. – Obeszłam go i skierowałam się do szafy. Otwarcie drzwi ujawniło, że schludność Denny'ego widoczna jest nawet tu. Jego wszystkie ubrania były ułożone według typu i koloru.

- A ja nie mówię o seksie – odparł Ben. – Tylko kawa i pogawędka. Nic więcej, nic mniej.

Rzuciłam mu spojrzenie nad ramieniem, uśmiech szarpnął moje wargi.

- Nie wierzę w to. Ty, jako wilk, umysł masz wypełniony kochaniem.

- Umiem kontrolować swój umysł. I nie uprawiam seksu na pierwszej randce.

Aż zakrztusiłam się z niedowierzania.

- Taa. Na pewno. W takim razie ciężko musi być ci striptizerem.

Machnął ręką.

- Rozbieranie się jest czym innym. A seks jest w razie potrzeby. Poza pracą i gorączką księżycową – albo może z ich powodu – wolę, jak sprawy rozwijają się powoli. Chcę poznać dziewczynę, zanim ją wypieprzę.

W takim razie był rzadko spotykanym mężczyzną w wilczych szeregach. Zamknęłam drzwi szafy.

- To może wypijemy kawę i pogawędzimy, podczas gdy ja będę pytała, czy ta Jilli faktycznie coś wie, i zobaczymy, co z tego wyniknie?

Obserwował mnie przez chwilę, a potem kiwnął głową.

- Muszę przyznać, że jestem ciekawy tego twojego zwrotu w twoim zachowaniu. Ostatnim razem, jak się spotkaliśmy, nie byłaś taka niechętna.

- Ostatnim razem, jak się spotkaliśmy, również nie poszłabym za moim impulsem. Nieważne, jak gwałtowne było pożądanie.

Kiwnął głową.

- Widziałem to. Ale też widzę, że dzisiejszy powód jest inny. To jest zagadka, którą będę chciał rozwiązać.

- Próbuj zbyt mocno, a nie będzie żadnej kawy. Nie jestem w nastroju, żeby w tej chwili zostać poddaną psychoanalizie.

Obeszłam naokoło hak. Zapach wampira był tutaj silniejszy, co sugerowało, że mógł brać udział w śmierci Denny'iego.

- Dlaczego ktoś chciałby zabić Denny'iego?

- Nie wiem. Nie był typem faceta, który mógłby mieć wrogów.

Każdy miał wrogów, nawet najmiłsi z ludzi. Moje spojrzenie zatrzymało się na ciężkim metalowym haku. Nie mogłam sobie wyobrazić, jak ktoś z własnej woli zawiązuje linę wokół własnej szyi i odcina dopływ tlenu, aż do granicy śmierci, tylko po to, by doznać orgazmu. Ale też, nie mogłam sobie wyobrazić znajdowania radości w zostaniu zbitym tak mocno, że ciało z moich pleców będzie zwisać w surowych pasach. Jednak to widziałam i czułam czystą, bezbrzeżną przyjemność, że kobiety tego unikały.

Dla każdego coś miłego, jak przypuszczam.

Ale nawet tu, w miejscu, gdzie umarł, nie było żadnego odczucia energii. Żadnego wrażenia powracającego zmarłego. Denny najwyraźniej musiał wyruszyć już na następny poziom swojego życia.

Obeszłam plamę zaschniętej krwi i sprawdziłam stolik nocny po drugiej stronie, ale nie było tam nic innego oprócz skarpetek. Odwróciłam się jeszcze raz do Bena.

- W tej chwili naprawdę już nic więcej nie mogę zrobić. Muszę przeczytać policyjny raport i porozmawiać z jego dziewczyną zanim zdecyduję, co robić dalej.

Jeśli będzie coś, co można zrobić dalej.

Ben spojrział na swój zegarek.

- Jilli ma dzienną zmianę, więc wątpię, żebyśmy złapali ją tam teraz.

- No cóż, świetnie, ponieważ mam pilną robotę. Zadzwoń do niej i umów się na jutro na spotkanie. – Sięgnęłam do torby i wyjęłam wizytówkę i długopis. Po nagryzmoleniu na niej mojego numeru telefonu, wręczyłam mu ją. – Zadzwoń do mnie, jak ustalisz termin spotkania.

Rzucił okiem na numer, a potem wsunął do tylnej kieszeni.

- Dzięki za przyjsście, Riley. Naprawdę jestem ci wdzięczny.

Machnęłam niedbale ręką na jego podziękowania.

- Tak, jak powiedziałam, może jeszcze się okazać, że nie będę mogła nic zrobić.

- Ale próbowałaś. To więcej niż zrobiła policja.

Nie było sensu odpowiadać, bo po prostu miał rację. Policja nie będzie się zajmować sprawą BDSM, która źle poszła, tak jak by się zajęła prawdziwym morderstwem. To był prosty fakt z życia policji, że należało trzymać się priorytetów.

Opuściliśmy mieszkanie i zeszliśmy po schodach. Dwóch starszych mężczyzn stało obok motoru Bena, a jeden z nich klęczał, jakby oglądał zawieszenie. Uśmiechnęłam się.

- Masz kilku fanów. Albo raczej twój motor.

- Piękne motory zawsze mają wielbicieli. To było do przewidzenia. – Wzruszył ramionami. – Więc zobaczymy się jutro?

- Tak. – Pomachałam mu na dowidzenia, krótko oglądając się – i śmiejąc się – za nim, jak podchodzi do dwóch mężczyzn, a potem wsiadłam do samochodu i odjechałam.

Jak tylko dostałam się w uliczny korek, złapałam telefon i zadzwoniłam do Kade'a.

- Hej, ogierze – powiedziałam, gdy się odezwał. – Co tam u ciebie słycać?

- Nic ciekawego w mieszkaniu Gerarda. Wracam do Departamentu, żeby pognać Cole'a o wstępny raport. Może tam będzie coś pomocnego.

Gnębnienie Cole nic nie da. Próbowałam tego.

- A więc żadnego śladu kota, prawdziwego czy zmiennego, u Gerarda?

- Nawet włoska. – Urwał, a w tle, muzyka zmieniła się z dance na rock. – Co robisz?

- Sekretarka powiedziała mi, z kim spotkał się wczorajszego wieczora. Jadę do niej w tej chwili, żeby pogadać.

- Chcesz, żebym przyjechał?

- Nie, dam sobie radę. Spotkamy się w Departamencie. Przygotuj mi kawę. Taką prawdziwą, nie ten czarny gnój, jaki mamy w maszynie.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem – powiedział, jego głos był głęboki i taki, oh, seksy.

Prychnęłam.

- To nie działa, mój przyjacielu.

Roześmiał się.

- Zawsze warto spróbować. Do zobaczenia.

Rozłączyłam się i pojechałam dalej. Ruch na ulicach był tak duży, że powrót do mieszkania Alany Burns zajął mi następne dwadzieścia minut. Nacisnęłam jeszcze raz brzęczyk, ale niewiele to pomogło, i nie było też żadnego ochroniarza, który siedziałby w dogodnym miejscu, żeby go poniekać.

Cofnęłam się i rozejrzałam po balkonach. Była tam niewielka betonowa ściana, która rozdzielała frontowe schody od drogi wjazdowej do podziemnego parkingu, ale nawet gdybym na niej stanęła to wciąż byłaby to zbyt duża odległość, żeby wskoczyć na pierwszy balkon.

Ale może nie byłoby za daleko dla niedoświadczonej mewy, żeby mogła przefrunąć.

Podniecenie i zwątpienie przepłynęły przeze mnie. Lot z wysokości był zupełnie czym innym, niż podlecenie w górę, ale nie miałam nic do stracenia próbując. Nic więcej z wyjątkiem większej ilości stłuczeń.

Chwyciłam moją komórkę i odznakę z torby, wrzuciłam je do kieszeni, a potem upchnęłam torbę pod niski krzak, dobrze poza zasięg wzroku. Potem wdrapałam się na ścianę i wezwałam magię z mojej duszy. Przemknęła przeze mnie, zmieniając mięśnie, kości i ciało, dopóki po raz kolejny nie stałam się mewą. Podreptałam kawałek po murku, a potem spojrzałam w górę na balkon.

Wyglądało to na długą, długą drogę.

Mogę to zrobić. To była tylko kwestia koncentracji. Otrząsnęłam pióra na ogonie i rozwinęłam skrzydła, uderzając nimi tak szybko, jak mogłam, żeby unieść się tyle, ile potrzebowałam. *W dół, z powrotem, w górę, w dół, z powrotem, w górę.* I nagle, uniosłam się do góry, przecinając powietrze. Lecąc.

Cieszyłam się, jak głupia. Skoncentrowałam się jednak, żeby nie spaść.

Trzepotałam w górę nad barierkami, a potem rozłożyłam pióra w ogonie, które zadziały jak hamulec. Ale mój ruch był zbyt nagły, bo opadłam zbyt szybko, uderzając piersią o beton.

- A! – wymamrotałam, chociaż z moich ust wyszło coś podobnego do ostrego skrzeku. Przetoczyłam się na plecy i zmieniłam w ludzką postać. Moja klatka piersiowa wciąż bolała. Bez wątpienia będę miała więcej stłuczeń.

Mimo wszystko, nie mogłam powstrzymać mojego głupiego uśmiechu. Leciałam. Nawet, jeśli moje lądowania wymagały jeszcze trochę pracy, to jednak leciałam, a nie tylko miałam kontrolowany ślizg. Może to całe latanie nie było takie złe, jak wcześniej myślałam.

Wstałam. Jak zwykle, moje dzinsy świetnie zniosły przemianę, ale moja koszula była zniszczona. Były zazwyczaj całkiem do niczego po zmianie w wilka, ale obecnie zniszczenia były jeszcze gorsze.

Może to miało coś wspólnego z próbą upchnięcia całego ciała w mniejszą postać. Ja nie wiedziałam, ale może Jack albo Henry będą wiedzieli.

Ściągnęłam żalotne resztki mojego stanika i wsunęłam do tylnej kieszeni, a potem związałam rozdarte krawędzie mojej koszuli. Nie miałam zamiaru nigdzie chodzić, tylko wrócić do Departamentu, jak tylko tu skończę, więc stan mojej odzieży nie będzie miał znaczenia. Teraz musiałam tylko dostać się do mieszkania.

Podeszłam do szklanych rozsuwanych drzwi i wtedy to uderzyło we mnie.

Zapach śmierci.

Śmierci, tak starej i zgniłej, jak piekło.

Tłumaczenie: panda68

Rozdział 3

Skoro zapach był tak odrażający już tutaj, nie chciałam się zastanawiać nad tym, jaki był w mieszkaniu.

Niestety, moja praca polegała na tym, żeby tego się dowiedzieć.

Zerknęłam przez szybę i próbowałam nie oddychać zbyt głęboko. Jedyne, co mogłam zobaczyć na tej małej powierzchni mieszkalnej, to zakurzone meble i pożółkłe gazety leżące na stoliku – obie te rzeczy wskazywały, że nikt tutaj nie mieszkał od dłuższego czasu.

Więc skoro Alana już tu nie mieszkała – a jeśli nie, to dlaczego odebrała wczoraj telefon od Rosy? – to albo była tutaj, albo coś jej się stało.

Co, jak zgadywałam, sugerował ten zapach.

To również sugerowało, że może to nie Alana spotkała się z naszym zmarłym politykiem.

Odetchnęłam, a potem chwyciłam za klamkę rozsuwanych drzwi i pociągnęłam z całej siły. Miałam dość siły, zarówno tej wilkołaczej, jak i wampirzej, więc ten mały metalowy zaczep, przytrzymujący drzwi, nie miał żadnych szans. Drzwi otworzyły się z tak głośnym dźwiękiem, że obudziłyby zmarłego, a siła tego wysłała dreszcz, który wstrząsnął całym moim ramieniem.

Ale to było nic w porównaniu do zapachu, który zaatakował moje zmysły. Mój żołądek uniósł się gwałtownie i prawie zwymiotowałam. Smród był nieprawdopodobny.

Ktokolwiek – jakkolwiek – umarł w tym mieszkaniu, musiało to się stać już jakiś czas temu. Powietrze, które wypadło z mieszkania było gorące – ogrzewanie najwyraźniej było ustawione na najwyższym poziomie – więc widocznie to pomogło przyspieszyć rozkład tego, co leżało w środku.

Cofnęłam się, zaczerpnęłam jeszcze kilka razy świeżego powietrza, a potem wzięłam głęboki wdech i wparowałam do środka. Tylko po to, by zrobić krótki

rekonesans. Nie mogłam wstrzymać mojego oddechu dłużej niż minutę, albo coś koło tego.

Wpadłem do pierwszego pomieszczenia tuż przy salonie. Okazało się być nieskazitelnie czystą kuchnią. Żadnego jedzenia w lodówce, żadnych nieumytych naczyń, żadnych śmieci w koszu. Nic, co tłumaczyłoby ten zapach. Następna była łazienka, i ona również była nieskazitelnie czysta.

Trzeci pokój...

Tu ją znalazłam, na pół ubraną, leżącą na łóżku z jednym ramieniem wciąż uwięzionym w rękawie swetra – jakby ten, ktokolwiek ją zabił, złapał ją w środku zdejmowania go albo zakładania. Dolna część ciała ubrana była tylko w majtki, a jej ciało było ciężkie i wzdęte i... okropne.

Żółć podeszła mi do gardła, więc wybiegłam na zewnątrz, wciągając w płuca świeże powietrze i próbując nie zwymiotować. Boże, słowo *nieprzyjemne* nawet nie było zdolne opisać tego doświadczenia.

To nie było tak, że nie czułam zapachu śmierci już wcześniej. Bo czułam. Do diabła, byłam wilkiem i moja dzika część tak naprawdę lubiła tarzać się w czymś, na co moja ludzka połowa krzyknęłaby w odrazie. Ale nigdy wcześniej nie czułam tak starego zapachu śmierci. Albo tak głębokiego rozkładu.

Zadrżałam, a potem wyciągnęłam telefon i zadzwoniłam do Jacka.

- Parnell, słucham – odezwał się obojętnym głosem. Tonem zarezerwowanym na oficjalne przemówienia, jak konferencje prasowe. Używany do powiedzenia, kto był naszym zmarłym, i mogłam się założyć, że właśnie tam był. – Czym mogę służyć?

- Jack, tu Riley. Jestem w mieszkaniu Alany Burns, kobiety, z którą ponoć Gerard James wyszedł wczoraj wieczorem. Tylko, że ona nie żyje, i musiało się to stać przynajmniej tydzień temu, jeśli rozkład jej ciała jest tu jakąś wskazówką.

- Poczekaj chwilę. – Na linii rozległ się przytłumiony odgłos rozmowy, a potem kroki. – Okej, będziemy musieli szybko się tym zająć. Mam pokój pełen reporterów czekających na nowości. Co z tą zmarłą kobietą?

- Nazywa się Alana Burns – jeśli to *jej* ciało jest w mieszkaniu. Według słów sekretarki, Gerard James wyszedł z nią wczoraj wieczorem.

- Albo ktoś ją udający.

Dokładnie.

- Sekretarka James'a zadzwoniła do Alany, by potwierdzić popołudniowe spotkanie. Wspominała, że Alana była rozdrażniona, więc z pewnością z kimś rozmawiała. Ale z całą pewnością to nie była ta nieżywa kobieta w mieszkaniu.

- Interesujące. – Zamilkł, a ja usłyszałam głosy w tle. – Czy Cole poprosił ochronę o taśmy?

- Tak. Wciąż był w biurze Gerarda, gdy wychodziłam. Myślę, że jeszcze tam będzie przez jakiś czas.

- Wezwij inną ekipę sprząającą do mieszkania, a potem jedź i pogadaj z ludźmi w Marrberry House. To oni prowadzili wczorajszą imprezę dobroczynną, na której ten Gerard był obecny. I informuj mnie na bieżąco. Mam prasę i polityków siedzących mi na tyłku.

- Zrobi się.

Rozłączyłam się i zadzwoniłam do Departamentu. Odezwała się mniej-niż-radosna Sal.

- Co?

Jej głos był bezbarwny i nawet nie brzmiał tym zwykłym odcieniem irytacji, gdy wiedziała, że to ja dzwonię. Coś oczywiście poszło nie tak, odkąd ostatnim razem z nią rozmawiałam.

- Gdybym nie wiedziała, że jesteś wampirem, poważnie zaczęłabym podejrzewać, że masz PMS.

- To dlatego, że muszę użerać się z dupkami przez cały dzień. Czego chcesz?

Okej, tę kpinę w pełni mogłam zrozumieć – i hej, mogłam też być wrzodem na tyłku, kiedy tylko chciałam. Tak, jak każdy inny strażnik.

- Potrzebuję ekipy sprząającej do mojej obecnej lokalizacji. Znalazłam jednego dojrzałego.

- Czarujące. – W tle usłyszałam dźwięk pisania. – Okej, wysłałam Mel i jej zespół. Powinna być tam za piętnaście minut. Coś jeszcze?

- Możesz wysłać mi adres Marrberry House? Zajmują się prowadzeniem imprez dobroczynnych.

- Wiem to, kretynko. – Zamilkła. – Wysłałam ci szczegóły na twój komputer w samochodzie.

Zamrugałam. Sal była zazwyczaj super-sprawna, ale to była błyskawiczna obsługa, nawet jak na jej standardy. A suka we mnie nie mogła powstrzymać się od komentarza.

- Jesteś dzisiaj strasznie profesjonalna. Może to napięcie przedmiesiączkowe powinnaś mieć częściej.

- Jeszcze nie jadłam – powiedziała i się rozłączyła.

Wpatrywałam się przez chwilę w mój telefon, moje brwi aż się uniosły. Dlaczego Sal nie jadła? Departament trzymał zapas syntetycznej krwi dla zatrudnionych wampirów, więc nie było żadnego powodu, żeby była głodna. Chyba, że może była jednym z tych wampów, które wołały świeżą krew, prosty z żył. Z pewnością wydawała się być grymaśnym typem. Korciło mnie, by zadzwonić do niej jeszcze raz i dowiedzieć się, o co chodzi, ale przecież nie byliśmy przyjaciółkami ani czymś podobnym. Rozmowa ze mną była prawdopodobnie ostatnią rzeczą, jaką chciała.

Wzruszyłam ramionami i schowałam telefon, a potem oparłam się o balustradę i czekałam na przyjazd ekipy sprzątającej. Mel okazała się być wysoką, ciemnowłosą kobietą z fantastyczną figurą noszącą czerwone szpilki do bardziej rozsądnych dzinsów. Kobieta po mojej myśli, oczywiście.

Podeszła ścieżką, widząc, że na nią czekam, i się zatrzymała.

- Riley Jenson?

Kiwnęłam głową.

- Obawiam się, że mam dla ciebie raczej takiego dojrzałego. Ofiara wydaje się nie żyć od co najmniej tygodnia, ale ogrzewanie było włączone na full, więc to przypuszczenie może być błędne.

- Jakież oczywiste oznaki śmierci?

- Nie podeszłam na tyle blisko, żeby to sprawdzić.

Uśmiechnęła się.

- Strażnik z delikatnym żołądkiem. Miło wiedzieć, że jest taka bestia.

- Teraz to zabrzmiało, jakby powiedział to Cole.

Jej uśmiech się rozszerzył.

- On i ja chodziliśmy razem do szkoły, a z jego siostrą jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami. – Obejrzała się na swoją ekipę – brzuchatego mężczyznę i kobietę, niesamowicie chudą i niemal podobną do owada – która wyładowywała sprzęt, a potem dodała. – Chcesz, żebym przesłała ci kopię raportu, jak tylko go napiszę?

- Byłoby świetnie. Oh, drzwi główne budynku są zamknięte. Otworzę drzwi od mieszkania zanim wyjdę.

- Marshall spokojnie sobie poradzi z tymi drzwiami. Coś jeszcze powinnam wiedzieć?

- Potrzebujemy jej ID tak szybko, jak to możliwe. Ona może być połączona z innym przypadkiem, który badamy.

- Zrobimy to priorytetowo.

- Dzięki.

Kiwnęła głową i zniknęła z mojego wzroku. Zrobiłam głęboki wdech, a potem wpadłam do środka i otworzyłam frontowe drzwi. Potem wybiegłam na zewnątrz, złapałam się jedną ręką balustrady na balkonie i skoczyłam, by upaść na beton.

Mel i jej zespół w tym czasie weszli już do środka. Może Marshall był złodziejem albo ślusarzem, zanim zaczął pracować w Departamencie.

Zabrałam moją torbę, a potem skierowałam się do samochodu. Informacje dotyczące Marrberry House już na mnie czekały, więc szybko je przejrzałam, zbierając tak dużo informacji ile mogłam, bez potrzeby czytania pełnej dokumentacji. Wyglądało na to, że zajmowali się szeregiem działalności przez miniony rok, przeważnie na rzecz takich głównych beneficjentów jak Królewski Szpital Dziecięcy, czy Fundacja Petera MacCalluma do Walki z Rakiem. W zeszłym roku zebrali niemal pół miliona dla tych dwóch organizacji.

Naprawdę nie mogłam pojąć, w jaki sposób mogli pomóc w naszym śledztwie, ale będąc dobrym strażnikiem, którym czasami byłam, pojechałam tam i ucięłam sobie pogawędkę z organizatorem imprezy z wczorajszego wieczora.

Okazało się, że miałam rację – zbyt dużo mi nie pomógł. Ale dał mi zdjęcie, które planowali użyć dla celów reklamowych – to, na którym Gerard stoi z uderzająco piękną blondynką przy jego boku.

Ale trudno było powiedzieć, czy to była kobieta, którą znalazłam martwą na łóżku, ponieważ ciało było w mocnym stanie rozpadu, ale wzrost był podobny, tak samo jak blond włosy.

Więc, jeśli to Alanę Burns znalazłam w mieszkaniu, w takim razie, kto to był? I dlaczego narażała się na takie kłopoty, spotykając się – a potem zabijając – Gerarda Jamesa?

Dopóki Cole nie wyłapie czegoś w swoich badaniach, te pytania mogą pozostać bez odpowiedzi. Co już w ogóle z Jacka nie uczyni szczęśliwego wampira.

Rzuciłam zdjęcie na siedzenie, a potem zadzwoniłam do Kade'a, żeby powiedzieć mu, że zmieniłam zdanie i jadę prosto do domu. Mogłam obiecać Benowi, że sprawdzę policyjne akta w sprawie morderstwa jego przyjaciela, ale naprawdę nie miałam już sił na cokolwiek innego dziś wieczorem.

Znalazłam na ulicy miejsce parkingowe, niedaleko naszego budynku mieszkalnego, i miałam cholerną nadzieję, że miejscowi wandyści zmęczeni się już malowaniem sprayem. Ostatnim razem, jak przyjechałam do domu samochodem Departamentu, zastałam go pomalowanego na zielono i czerwono. No i Jack nie był z tego zadowolony.

Nocne powietrze było chłodne i zadziwiająco świeże, wolne od codziennych wycieków z autostrady biegnącej obok. Może wiatr wiał w inną stronę, a potem przestał wcześniej niż zwykle tego wieczoru, ponieważ wszystko, co czułam, to był słaby ślad zapachu ludzkości, połączony z ostrym fetorem farby dochodzącej z nowo wybudowanej pizzerii, kilkanaście metrów dalej. Gdyby robili dobrą mięsną pizzę, to praktycznie ja i Rhoan zamieszkalibyśmy na ich progu.

Pchnęłam szklane frontowe drzwi naszego budynku i wbiegłam na piętro. Mieszkaliśmy na szóstym piętrze, w jednym z większych mieszkań, które zostały przerobione z magazynu, i które w bezchmurne letnie dni oferowało widok na zachodnie dzielnice miasta. Byłoby jeszcze milej, gdyby to był widok na park, czy nawet zatokę, ale nie mogliśmy sobie pozwolić na mieszkanie, które miałyby taki widok. Bo te, które miały przyzwoity widok, ostatnio kosztowały duże pieniądze – nawet, jeśli budynek był tak zaniedbany, jak nasz.

Wyciągnęłam z torby klucze i otworzyłam drzwi do mieszkania. I nagle się zatrzymałam.

Od strony mojej sypialni dochodziły jakieś złowrogie pomruki, a wszędzie leżały porzucane ubrania. Na podłodze, na oparciu starej skórzanej kanapy, ozdabiały

chodnik i prowadziły ścieżką po drewnianej podłodze, nawet wisiały na starej plastikowej czerwonej lampie.

Ani mój brat, ani ja, nie byliśmy schludnymi ludźmi, ale dom z pewnością był w lepszy stanie, gdy wychodziłam dziś rano.

Podniosłam swój głos i krzyknęłam.

- Co ty, do diabła, robisz, Rhoan?

Wyszedł z mojej sypialni, jego twarz była niemal tak czerwona, jak jego włosy, a szare oczy błyszczały ogniem.

- Szukam koszuli.

Popatrzyłam znacząco na koszule porozrzucone na podłodze i meblach.

- Jakiej dokładnie koszuli?

- Tej różowej.

- Tej, której tak nie cierpisz?

- Tak.

- Tej, którą przysięgałeś, że wyrzucisz do śmieci kilka tygodni temu?

- Tak, chodzi o tą. – Przeszedł przez pokój i odwrócił do góry dnem kosz z czystym praniem, wyrzucając je na stolik.

- Mogę zapytać, dlaczego szukasz tej koszuli, i tylko tej koszuli?

- Ponieważ Liander dał mi ją na naszą rocznicę, a ja muszę ją dzisiaj wieczorem założyć.

Zmarszczyłam brwi.

- Myślałam, że dał ci zegarek na waszą rocznicę?

- To też. Ale również dał mi ciuchy. Chce, żebym założył ją dziś wieczorem.

- Dlaczego? – Weszłam do środka i zamknęłam drzwi, a potem rzuciłam torbę i klucze na pobliski stolik.

Posłał mi zirytowane spojrzenie.

- Z powodu premiery filmu, pamiętasz?

Zrozumienie rozświetliło mój umysł. Rhoan zazwyczaj nie uczestniczył w żadnych premierach filmów, w których miał swój udział Liander, po prostu dlatego, że unikał świateł rampy. Ale ta była ważna. To był pierwszy film, w którym spółka Liandera była całkowicie odpowiedzialna za wszystkie efekty specjalne filmu. Co znaczyło, że Liander siedział jak na szpilkach przez cały zeszły tydzień, mając nadzieję i modląc się, by ten film – i jego efekty – zostały dobrze przyjęte. I co wiązało się z pojawieniem się ich obu, jego i mojego brata, na przyjęciu.

O czym świadczyły te porzucane ubrania.

Potrząsnęłam głową i weszłam do sypialni Rhoana. Podobnie, jak w salonie, wyglądało tutaj, jakby przeszedł cyklon. Bez wątplenia moja sypialnia wyglądała tak samo – jednak dlaczego myślałam, że ukradłam mu różową koszulę, było dla mnie zagadką. Różowy i ja nigdy nie pasowaliśmy do siebie.

Oczywiście, biorąc pod uwagę to, że byliśmy bliźniakami, koszula tak naprawdę również nie pasowała Rhoanowi, ale przynajmniej jego skóra była trochę bardziej opalona niż moja. I przez to wyglądał lepiej.

Zignorowałam pootwierane szuflady i podeszłam prosto do jego szafy, wysuwając dolną szufladę. Wiedziałam z doświadczenia – i z moich własnych nawyków chowania – że prawdopodobnie była tam, gdzie trafiały wszystkie niechciane ciuchy.

I faktycznie, była tam, wepchnięta do tyłu, pod fluorescencyjnie różowe i limonkowo zielone skarpety, które dałam mu na jego ostatnie urodziny. Myślałam, że będzie je uwielbiał, tak jak zazwyczaj kochał wszystkie jaskrawe rzeczy. Oczywiście, byłam w błędzie.

Wyciągnęłam koszulę i zatrzasnęłam szufladę.

- Czy to tej koszuli szukasz? – zapytałam, zawieszając ją na jednym palcu, kiedy wszedł do pokoju.

- Tak. Dzięki Bogu! – Przeszedł przez pokój i wyrwał mi ją. – Gdzie ją znalazłaś?

- W szufladzie *martwych* rzeczy.

- Ach. – Zamilkł, a potem dodał. – Lubię tę skarpetki. Naprawdę.

- Tak bardzo, jak ja lubię te lśniące żółte buty z wężowej skórki, które mi dałeś. – Mój głos był suchy. – O której przyjedzie Liander?

- Powiedział, że zabierze mnie koło siódmej. – Rzucił okiem na zegarek. – Cholera, lepiej się pospiesz. Jesteś pewna, że nie chcesz tam pójść?

Potrząsnęłam głową.

- Zombie, trolle i wszystko inne biegające wkoło i siejące spustoszenie nie jest w moim stylu. – A do tego, miałam dość rozlewu krwi i spustoszenia w mojej codziennej pracy. Nie musiałam odkrywać tego jeszcze bardziej na dużym ekranie. – Możesz zabrać mnie na jakąś miłą komedię romantyczną.

Uścisnął mnie szybko.

- Wciąż jesteś dziewczęco naiwna w swoim sercu, prawda?

- Przyganiał kocioł garnkowi, braciszku.

Prychnął.

- Ja jestem panem swoich związków, dziękuję bardzo.

Zerknęłam na mój zegarek.

- Jeśli ten pan się nie pośpieszy, to żona pobije cię za spóźnienie.

- Racja.

Popędził z powrotem do swojej sypialni, a ja skierowałam się do kuchni, by zrobić sobie kawę i zapiekanekę. Nie byłam najlepszym kucharzem na świecie, ale zazwyczaj dawałam sobie radę z podstawami, bez puszczenia tego miejsca z dymem.

Ale ledwie usiadłam na kanapie, żeby zjeść, gdy zadzwoniła moja komórka.

- Telefon – zawołał Rhoan usłużnie.

- O rany, dzięki – powiedziałam ironicznie, ledwie opierając się pokusie rzucenia w jego stronę poduszki. Odebrałam. – Halo?

- Riley? Tu Ben. Potrzebuję znowu twojej pomocy i to szybko. Właśnie dzwonił mój znajomy i jest w tarapatach. Takich śmierć-w-ciągu-kilku-minut tarapatach.

- A gliny?

- Powiedział, że to był wampir. Gliny nie chcą pomóc.

Odetchnęłam i zastanowiłam się, co to były za dziwne zbiegi okoliczności, że dwóch jego przyjaciół zostało zaatakowanych przez wampiry.

- Podaj mi adres. – Chwyciłam długopis i nagryzmołam go na przeterminowanym rachunku za elektryczność, który leżał obok. – Mam. Będę za dziesięć minut.

Do tego czasu, jeśli to był wampir, jego przyjaciel mógł już nie żyć.

- Mnie zabierze to więcej czasu, ale powiedziałem Ivanowi, że zadzwonię do ciebie po pomoc. Będzie na ciebie czekał.

Jeśli nadal będzie żył. Rozłączyłam się, chwyciłam niedojedzoną kanapkę, odznakę i kluczyki do samochodu, a potem wyszłam.

Mogłam wyczuć zapach wampira, jak tylko wysiadłam z samochodu. Nocne powietrze zmieniło się z rześkiego w chłodne, a zgniły zapach nieumytych wampirów wydawał się utrzymać gęstą masą w nocy.

Włożyłam kluczyki do kieszeni i rozejrzałam się po oknach bloku mieszkalnego, kiedy szłam chodnikiem. To był jeden z tych wysokich ceglano-szklanych budynków, które rząd wybudował jakiś pięćdziesiąt lat temu na potrzeby rozładowania kryzysu mieszkaniowego dla ludzi o niskich dochodach. Oczywiście, rząd budował je za minimalne budżety – chyba, że chodziło o ich własne wygody – więc w rezultacie budynki nie były ani ładne, ani tak naprawdę funkcjonalne. Dodaj do tego najemców, których za cholerę nie obchodziło to miejsce, i w zasadzie otrzymywałeś dużą rudę. Wiele rozbitych okien i drzwi, udekorowany przez pstre graffiti.

To nie było miejsce, w którym spodziewałam się, że będzie mieszkał przyjaciel Bena.

Szłam wzdłuż budynku, zmierzając do głównego wejścia. Smród wampira stał się jeszcze silniejszy, dopóki mdły, niezdrowy zapach mnie nie otoczył, wypełniając każdy oddech i przylegając do mojego ubrania.

To nie był ludzki budynek o niskich dochodach. Już nie.

Co było niezwykle. Wampiry zazwyczaj były samotnymi duszami i za wyjątkiem tych, którzy byli nowo powstałymi młodymi, którymi trzeba było się zająć, rzadko mieszkali razem. Z pewnością ich grupa przyciągnęłaby uwagę Departamentu, a ja nie mogłam przypomnieć sobie żadnej wzmianki o obozowisku wampirów, tak blisko miasta. Ale przypuszczałam, że skoro wampiry dobrze się zachowywały, to mogły uniknąć zainteresowania Departamentu.

Kroki zaszemrały w nocy, dźwięki tak miękkie, że normalny słuch, by ich nie wyłapał. Okrążali mnie, obserwowali. Co gorsza, niekontrolowany smak ich podniecenia i głód krwi, skaził powietrze.

Młode wampiry, pomyślałam. Świetnie. Wyciągnęłam moją odznakę, trzymając ją w kierunku budynku i szłam dalej.

- Departament, ludziska. Pilnujcie swojego nosa, albo będziecie mieli kupę kłopotów.

Nie musiałam nawet podnosić głosu. Byli na tyle blisko, że mnie słyszeli, nawet jeśli nie mogłam ich zobaczyć normalnym wzrokiem. A nie chciałam widzieć ich na podczerwieni. Po prostu wiedząc ilu ich było, mogli mnie trochę wystraszyć.

Głód krwi obniżył się trochę, ale musiałam się dowiedzieć, co ich tak podkreśliło. Jeśli były na tyle dorosłe, by kontrolować swój głód, to dlaczego mój widok sprawił, że urósł tak gwałtownie?

Pomyślałam, że tylko jedna rzecz mogła wywołać taką reakcję – krew. Zapach świeżej krwi było wezwaniem, które niewiele wampirów potrafiło zignorować, a u młodych tym bardziej pobudziło do życia głód krwi, sprawiając, że reagowali zachłannie na każdy, nawet najmniejszy, objaw życia.

A jednak noc wydawała się być wolna od tego zapachu. Albo aromat wampirów przytłoczył wszystko inne.

Nie wiedziałam, ale podejrzewałam, że szybko się tego dowiem. A jeśli przyjaciel Bena był wilkiem i mieszkał z tą grupą, w takim razie był odważniejszą duszą niż ja.

Wampiry wciąż podążały za mną, więc moja skóra aż mrowiła tym odczuciem. Oddychałam przez usta i usiłowałam je zignorować. Jednak, będąc wampirami, słyszeli moje przyspieszone tętno. Miałam tylko nadzieję, że wezmą to, jako gotowość do działania, a nie za jakikolwiek rodzaj strachu.

Oczywiście, gdyby zdecydowali się zaatakować masowo, byłabym kolejnym zdechłym szczenięciem, choćby nie wiem co. Mogłam mieć siłę i prędkość wampira, ale wciąż byłabym jedna przeciw tuzinom. Żadnych szans, w każdym razie.

Wbiegłam po schodach i przeszłam przez szklane drzwi. Żółte światło samotnej żarówki rozpraszało ciemność, sprawiając, że cienie w kątach wyglądały na jeszcze głębsze. Na szczęście, w tych cieniach nie było żadnych wampów. Jeszcze nie.

Budynek miał dwie windy, ale żadna z nich nie wydawała się działać – jedna stała na piątym piętrze, w drugiej nie paliły się liczby pięter. Zawahałam się, włączając moją podczerwień zanim popatrzyłam w lewo, potem w prawo, na korytarze. Tak jak podejrzewałam, było dość przerażająco. Tam musiało być co najmniej dwadzieścia wampirów, które czołgały się po ścianach, ich oczy błyszczały jasno, a spiczaste kły rzucały się w oczy.

Wciąż nie mogłam wyczuć zapachu krwi, ale zmysł wampira na nektar życia był o wiele bardziej wyczulony niż mój. I najwyraźniej wciąż ich wzywał.

To nie byłoby zbyt przyjemne miejsce, gdyby sprawy wymknęły się spod kontroli.

Pstryknęłam niewielki włącznik w moim uchu, włączając się na odbiór i mowę – który został mi wstawiony, gdy wchodziłam do legowiska wariata, ale teraz był standardowym wyposażeniem dla wszystkich strażników. Jack nie lubił gubić swoich ludzi, więc to małe urządzenie było również wykorzystywane, jako nadajnik.

Wampiry rozmyły się w głębszych cieniach, gdy skierowałam się do schodów, więc przy odrobinie szczęścia to był dobry znak, że nie chciały mieć kłopotów.

Ale nie miałam zamiaru ryzykować.

- Halo, ktoś mnie słyszy? – powiedziałam łagodnie.

- Co znowu, wilcza dziewczynko? – Ton głosu Sal był teraz jeszcze ostrzejszy niż normalnie, przechodząc przez metaliczne ograniczenia połączenia.

- A ty co, ciągniesz na dwie zmiany, czy co?

Wbiegałam po schodach, kiedy mówiłam, kierując się na czwarte piętro. Dzięki Bogu, wampiry nie podążały za mną, chociaż ich zapach się nie zmniejszył. Co znaczyło, że było ich wkoło mnóstwo.

- Tak – warknęła Sal. – Ciągnę. Czego chcesz?

Też byłam strasznie zjadliwą suką, gdy musiałam siedzieć na podwójnej zmianie. Dodaj do tego głód i to z pewnością wyjaśniało jej nastawienie.

- Badam możliwy atak wampira w mojej obecnej lokalizacji. Mamy kogoś w okolicy, w razie gdybym potrzebowała wsparcia?

- Co, ulubieniec nauczyciela potrzebuje wsparcia? – Zabrzmiała zdecydowanie radośnie na tę myśl. – No cóż, właśnie poprawiłaś mi humor.

- Bardzo się cieszę. – *Wcale nie.* – Masz jakieś informacje na temat tego bloku mieszkalnego?

Klawiatura zastukała, a potem powiedziała.

- Niewiele. To jest stara rządowa dzielnica mieszkaniowa, która została wpisana na listę do rozbiórki za dziesięć lat. Stała się miejscem spania dla wędrowców i bezdomnych.

- Cóż, w tej chwili stała się raczej domem dla dużej wampirzej społeczności. Tych najmłodszych.

- Niemożliwe. Wampiry nie zbierają się w grupy tak, jak wy wilki.

- No cóż, powiedz to tym wampirom.

Chrząknęła.

- Nic nie ma w aktach na ten temat.

- W takim razie lepiej to zanotuj i daj znać Jackowi. Może będzie chciał to zbadać.

- Zanotowałam. Talvin jest niedaleko, gdybyś go potrzebowała.

- Dzięki. Krzyknę, jeśli będę go potrzebować.

- Nie krzycz zbyt późno, wilcza dziewczynko. Talvin nie cierpi słuchać głośnych kawałków.

- A ja nie zamierzam stać się kawałkiem.

Zwolniłam, gdy dotarłam na czwarte piętro. Nieświeży zapach wciąż wisiał w powietrzu, a mój podczerwony wzrok wyłapał kilka wampów kręcących się po prawym korytarzu, ciepło ich ciał odcinało się ostro od otaczającej ciemności. Spojrzałam w lewo. Żadnych wampirów.

Na szczęście, przyjaciel Bena mieszkał w mieszkaniu 41, które, zgodnie z oznakowaniem na ścianie, było jednym z ostatnich po lewej stronie. Obcasy moich butów ostro stuknęły o wytartą wykładzinę dywanową, rozbrzmiewając echem w gęstym powietrzu, tak nieruchomym jak serce. Tylko, że nie moje serce.

Im bardziej zbliżałam się do mieszkania 41, tym bardziej stawałam się napięta. Delikatny zapach krwi dopiero teraz zaczynał wypełniać swoją wonią powietrze, ale z mieszkania nie dochodziły żadne niezwykle hałasy. Żadne odgłosy walki, nic co wskazywałoby, że coś jest nie w porządku.

Może przyjaciel Bena zaznał małej paranoi od tego wspólnego mieszkania z tymi wszystkimi wampirami. Albo może zaciął się przy goleniu i spanikował na myśl o konsekwencjach.

Zatrzymałam się, gdy doszłam do drzwi, a potem poruszyłam palcami i uniosłam rękę, żeby zapukać.

I wtedy to usłyszałam. Ten cichy, unoszący włoski na karku jęk.

Ten rodzaj jęku, który dochodził od umierającego.

Cofnęłam się, podniosłam stopę i kopnięciem otworzyłam drzwi. Uderzyły z hukiem o ścianę, wzniesając kurz i odpryskując tynk. Ciężki zapach zła i pośpiechu wampira, przytłoczyły moje zmysły i sprawiły, że chciało mi się zwymiotować. Albo może to była reakcja na widok znajdujący się przede mną.

Nagi mężczyzna wisiał na linie przerzuconej przez belkę na suficie – nie za szyję, ale za nadgarstki. Lina była zakrwawiona tak, jak jego postrzępione plecy i tyłek.

To ten mężczyzna spowodował całe to zamieszanie i był przyczyną obu rzeczy – zapachu wampira i zła. A jego zapach był jedynym, jaki rozpoznałam.

- Mówiłem ci... – zaczął, kiedy się obracał, a potem zamilkł. Jego wyraz twarzy zmienił się z irytacji w zdziwienie, a potem, bez jednego mrugnięcia swoimi nabiegłymi krwią brązowymi oczami by mnie uprzedzić, obrócił się i rzucił w stronę drzwi z tyłu salonu.

Ruszyłam za nim biegiem, a zapach krwi, potu i strachu uderzył w moje nozdrza, gdy przebiegałam obok nagiego mężczyzny. Cuchnący złem wampir zniknął w czymś, co wyglądało na sypialnię.

Wbiegłam do pokoju akurat w momencie, by zobaczyć, jak wyskakuje przez okno. Szkło się roztrzaskało, rozpryskując się na zewnątrz, gdy rzucił się przez okno, a potem spadł w dół.

Upadek nie zabije wampira. Może go uszkodzić, ale wampiry były żywotnymi istotami. Na nieszczęście, w tym przypadku.

Przeklełam i obróciłam się. Mogłam przyjąć kształt mewy, ale uderzenie o ziemię z wysokości czwartego piętra, byłoby dużo gorsze niż uderzenie z najwyższej gałęzi drzewa. I pomimo tego, że dzisiaj leciałam – krótko, ale z powodzeniem – nie miałam ochoty narażać mojego życia, aby sprawdzić moje nowe umiejętności. Przebiegłam obok okrwawionego i wciąż związanego Ivana, mówiąc.

- Uciekł. Zaraz wrócę.

- Czekaj – powiedział zachrypniętym głosem. – Czekaj...

Nie czekałam. Wampiry, na zewnętrznym korytarzu, zbliżyły się bardziej, prawdopodobnie zwabione mocniejszym zapachem krwi.

- Dotknijcie go, a wszyscy za to zapłacicie! – Wyciągnęłam jeszcze raz moją odznakę z kieszeni i trzymałam ją przed sobą. Nie wiedziałam, czy to faktycznie pomoże, ale nie mogłam pozwolić sobie na zostanie i dowiedzenie się tego. Nie, gdy chciałam zatrzymać wampira.

Ponieważ wampir, który był skłonny do zadawania takich ekstremalnych tortur zanim posmakuje krwi swojej ofiary, był wampirem, który nie skończy na jednej ofierze.

Kiedyś, może zadbałabym najpierw o żyjącego zanim pognałabym za zmarłym, ale nauczyłam się, w dość twardy sposób, że takie czyny generalnie powodowały jeszcze więcej śmierci – a ja miałam dość takich na moim sumieniu.

I miałam tylko nadzieję, że wampiry w tym budynku, będą bały się bardziej Departamentu, niż chciały poznać smak krwi Ivana.

Z głośnym tupotem zbiegłam ze schodów i wypadłam na zewnątrz przez szklane drzwi. Nawet pod ciężkim smrodem wampirów, który zwisał w nocnym powietrzu, mogłam dość łatwo wyczuć dziwny zapach mojego ściganego. Przebiegłam przez jałową ziemię, gdzie kiedyś chyba był plac zabaw, i na ulicę. Wampira nigdzie nie było widać, ale jego zapach pociągnął mnie za nim.

- Sal, wampir ucieka. – Reflektory omiotły ciemność, rozpraszając cienie. Wampir stał się na krótko widoczny – rozwiane, skołtunione włosy, jego nogi były tylko niewyraźną plamą, ramiona poruszały się w rytm biegu. – Jest jakieś pół bloku przede mną. Jeśli Talvin jest w pobliżu, możesz wezwać go, jako wsparcie?

- Robi się.

Samochód przejechał obok, reflektory omiotły moje ciało. Podniosłam rękę do góry, by ochronić oczy i biegłam dalej. Ale się zbliżałam. Powoli, lecz systematycznie.

Skręcił w prawo w boczną uliczkę. Sięgnęłam po większą prędkość, żeby nie tracić go z oczu na zbyt długo, ale wtedy poczułam ukłucie protestu w moich posiniaczonych i poobijanych mięśniach nóg.

Wpadłam w boczną uliczkę. Mocny zapach pieczonego mięsa wypełnił noc, sprawiając, że pociekła mi ślinka. Wampira znowu nigdzie nie było widać, ale jego utrzymujący się zapach wskazywał na to, że przeszedł przez jezdnię i wcale nie był tak daleko. Przeszłam na podczerwień i zdałam sobie sprawę, że siła jego zapachu była myląca. Jego ciało było zanikającą plamą daleko przede mną. Cholera, był szybki.

Podniosłam moją własną prędkość jeszcze raz, a ukłucia w moich nogach zmieniły się w jawny ból. Zignorowałam to i biegłam dalej.

Wampir skręcił w lewo w kolejną boczną uliczkę. Minęło prawie trzydzieści sekund zanim wybiegłam zza rogu. Kto by pomyślał, że wampir z takimi chudymi, małymi nogami, może biec z taką utrzymującą się stałą prędkością?

W blasku podczerwieni na ulicy nie było widać żadnego śladu życia. Zmarszczyłam brwi, rozglądając się w obie strony, widząc mignięcia życia w domach wzdłuż obu stron ulicy, ale niczego, co wskazywałoby, że mój potencjalny morderczy wampir był gdzieś w pobliżu.

Nie mogłam go tak po prostu zgubić. Żaden wampir nie mógł poruszać się tak szybko.

Jednak jego zapach nie tylko szybko zanikał, ale także rozwiewał się we wszystkich kierunkach. Tak, jakby się zatrzymał, a coś rozproszyło jego zapach.

Spojrzałam w górę. Nie było żadnego wampira na pobliskich drzewach, żadnego niezwykłego kształtu na niebie. Nie chodzi o to, że wampiry faktycznie umiały latać – bo nie umiały, chyba że w swoim życiu staną się zmiennym ptaka.

A było możliwe, że czyste zło jego zapachu przytłoczyło wszystko inne, i nie wyczułam na nim zapachu zmiennego.

Jeśli jednak był zmiennym ptaka, dlaczego nie poleciał, kiedy wyskakiwał przez okno? Mógł w ten sposób uciec szybciej i łatwiej.

Chyba, że jego zamiarem, od samego początku, było odciągnięcie mnie na tyle daleko, żeby mógł wrócić i dokończyć to, co zaczął?

- Sal – zawołałam, jednocześnie odwracając się i biegnąc z powrotem tak szybko, jak pozwalały na to moje bolące nogi. – Mój cel się rozplynął i go zgubiłam.

- Cholera, Riley. Niech to diabli.

Bez wątpienia.

- Ma jakieś metr osiemdziesiąt, chudą budowę ciała, brązowe oczy i włosy w strąkach. Możesz wstawić to do biuletynu? Mam zakrwawionego faceta w bloku mieszkalnym wypełnionym wampirami. Wyślij tam możliwie jak najszybciej karetkę.

- A co z Talvinem?

- Poproś go, żeby spatrołował tereny wokół budynku. Na wypadek, gdyby nasz łobuz zdecydował się na powrót.

- Robi się.

Graffiti ozdabiające budynki nie sprawiały, że powrót był bezpieczniejszy niż wtedy, gdy biegłam tędy pierwszy raz. Wampiry wciąż się kręciły, a ich głód kłuł w powietrzu.

Ale przynajmniej nie unosiło się to odczucie szału pożywienia się. Nie było tego przytłaczającego aromatu krwi wypełniającego powietrze.

Wbiegłam z powrotem na piętro, zastanawiając się, czy jutro będę mogła w ogóle chodzić po tym wszystkim, przez co moje biedne mięśnie musiały dzisiaj przejść.

Wampiry na czwartym piętrze trzymały się z dala, tak jak im rozkazałam. Zwolniłam, kiedy zbliżyłam się do mieszkania, mój oddech był krótki, a ostre gwałtowne wdechy wypełniły powietrze. Podniosłam ramię, żeby zetrzeć pot spływający po moich policzkach i weszłam do mieszkania.

Okrwawiony przyjaciel Bena wciąż wisiał za nadgarstki, a dziwnie pachnącego wampira nigdzie nie było w pobliżu. Przepłynęła przez mnie ulga. Chociaż raz, los nie rzucił mi kłody pod nogi.

- Proszę – wychrypiał. – Zdejmij mnie.

- Masz nóż w kuchni?

Potrząsnął głową, rozpryskując kropelki krwi z przecięcia na policzku.

- Nie na tyle ostry. W sypialni.

Uniosłam brew, ale biorąc po uwagę jego warunki życia, przypuszczałam, że to wcale nie był taki zły pomysł. Osobiście, trzymałabym też kilka przydatnych kołków, by zachować jakiś dystans.

Znalazłam kilka dużych noży myśliwskich w nocnym stoliku, wraz z kilkoma mniejszymi nożami do rzucania. Wybrałam największy i zawróciłam.

By stwierdzić, że nie byliśmy już sami.

- Kurwa – powiedział Ben stojąc w samych drzwiach, jego twarz wyrażała zarówno wstrząs, jak i wściekłość. – Tego się nie spodziewałem.

- Nie – zgodziłam się z nim. Machnęłam nożem w kierunku jego przyjaciela. – Zechcesz go podtrzymać, gdy ja będę go odcinać?

Podszedł szybko, jego duże ramiona okrążyły talię jego mniejszego przyjaciela, i uniósł go do góry, odciążając zranione i krwawiące nadgarstki Ivana.

Ivan jęknął, chociaż nie byłam pewna, czy z ulgi czy z bólu. Przyniosłam krzesło z kuchni i weszłam na nie.

- Wezwałam karetkę. Powinni przyjechać za kilka minut.

- Dobrze – mruknął Ben. – A co z wampirem, który to zrobił?

- Zgubiłam go.

- Cholera.

- Mówiąc uprzejmie, tak.

Uniosłam nóż i zaczęłam ciąć. Nóż był ostry jak brzytwa i przecięcie grubej, skręconej liny nie wymagało wiele wysiłku. Ivan nic nie mówił, a jego wzrok wydawał się być trochę rozkojarzony. Może szok zaczynał właśnie działać, tak samo jak upływ krwi i czysta trauma, przez którą przeszedł. Jego ciało zostało pocięte z przodu i z tyłu, a rany były poszarpane i nierówne. Żaden nóż tego nie zrobił, to było pewne.

Ostatnie nici liny poddały się. Ben przeniósł swojego przyjaciela na ratanową sofę i delikatnie go położył. Ivan syknął, jego twarz wykrzywiła się z bólu.

- Przepraszam, kolego – mruknął Ben, a potem spojrzał na mnie. – Myślisz, że wpadnie w szok?

- Tak. – Zerknęłam na zegarek. – Karetka powinna już tu być, ale może powinniśmy dać mu trochę wody do napicia. Jeśli to upływ krwi jest powodem wstrząsu, musimy podać mu jakieś płyny.

- Przyniosę. – Wstał i przeszedł obok mnie, pachnąc krwią i gniewem.

Uklękłam przed Ivanem. Nie zareagował, więc dotknęłam jego spuchniętych palców. Podskoczył, a kiedy jego spojrzenie zetknęło się z moim, wypełniło się strachem zanim zdał sobie sprawę, kim byłam i że nadal jest bezpieczny.

- Muszę wiedzieć, co się stało – odezwałam się łagodnie.

Oblizwał swoje wargi i przełknął ciężko.

- Przyszedł jakąś godzinę temu. Powiedział, że musimy pogadać.

- Więc go znasz?

Potrząsnął głową.

- Ale wyglądał nieco znajomo, a Vinny go sprawdziła, więc myślałem, że jest w porządku.

Zmarszczyłam brwi.

- Kim jest Vinny?

- To przywódczyni wampirzej grupy, która tu mieszka – powiedział Ben wchodząc z powrotem do pokoju. Ukucnął przy mnie, jego gorąco przepłynęło przeze mnie, ciężkie od zapachu przepełniającej go kontrolowanej złości. Zwilżył wodą wargi Ivana, a potem spojrzał na mnie. – Ivan przeszedł ceremonię krwi, by zostać wampirem, i dlatego mieszka tu z Vinny i innymi wampirami.

Zakłopotanie zawirowało we mnie.

- Przejście ceremonii nie oznacza, że on od razu umrze. Chyba, że planował samobójstwo.

I bardzo wątpiłam, że takie były jego zamiary. Nie wezwałby Bena na pomoc, gdyby to był ten przypadek.

- Ma raka. Nieoperacyjnego. Najwyżej ma rok życia przed sobą.

- Och. – Przynajmniej to wyjaśniało jego warunki życia. To miało sens, żeby być bliżej swojego Stwórcy, gdyby zszedł prędzej niż oczekiwano. Rzuciłam okiem na Ivana. – Więc Vinny może wiedzieć, kim był ten wampir?

Zamknął oczy, wziął drżący oddech, a potem wyszeptał.

- Nie wiem. Ale nie było żadnej interwencji.

I to było miażdżące.

Większość wampirów była bardzo opiekuńcza w stosunku do swoich młodych – albo przyszłych młodych – przynajmniej do czasu, gdy byli na tyle dorośli, by kontrolować swoją żądzę krwi i poznać sekrety zawodowe, żeby tak powiedzieć.

Musieli tacy być, ponieważ Departament uważał ich za odpowiedzialnych za czyny ich młodych. Tylko raz zdarzyło się, że musieli załatwić wampira, który pozwolił młodym uwolnić się na duży rozległy świat. Wampiry przejawiały skłonności terytorialne, więc dwa dorosłe wampiry generalnie nie mogły żyć razem. Co czyniło to, co działo się tutaj, jeszcze bardziej dziwnym. Oni wszyscy po prostu nie mogli być młodymi. A żaden żyjący wampir nie mógłby kontrolować tak wielu młodych.

Lub coś w tym rodzaju, pomyślałam.

Ben dał Ivanowi jeszcze parę kropli wody. Poczekalam, aż nie przełknie, a potem zapytałam.

- Dlaczego zaprosiłeś go przez próg, skoro go nie znałeś?
- Ponieważ przedostał się przez Vinny. Dlatego myślałem, że jest w porządku.

Wydaje się, że Vinny będzie musiała odpowiedzieć na kilka pytań. I być może to bardziej Vinny, a nie moja odznaka, trzymała te młode wampiry na smyczy. Co znaczyło, że biorąc pod uwagę liczbę wampirów mieszkających w tym starym budynku, musiała być dość potężna.

Ale to było interesujące, że nasz samotny wampir wiedział aż tyle o tym budynku i jego mieszkańcach, żeby przejść protokół. W przeciwieństwie do mnie, że po prostu tu wparowałam.

Oczywiście, to właśnie, my strażnicy, powinniśmy robić. Wpadać w miejsca, do których zmarli obawiali się zapuszczać. Szczęśliwcy z nas.

- Czy Vinny ma jakieś nazwisko?
- Castillo.

Miałam nadzieję, że Sal nie była znudzona przebiegiem wydarzeń i właśnie sprawdza, co mamy na niejaką Vincentę Castillo.

- Czy twój napastnik powiedział, o czym chciał z tobą rozmawiać?
- Nie, po prostu mnie zaatakował, mówiąc, że zapłacę mu za jego krzywdę.

Uniosłam brwi.

- A więc go znałeś?

- Nie. Był cholera szalony. Nigdy w życiu go wcześniej nie widziałem, przysięgam.

Nie mogłam wyczuć kłamstwa w jego słowach, ale to nie oznaczało, że go nie było. Zastanawiało mnie, dlaczego wampir miałby narażać się na takie kłopoty, by się tu dostać, tylko po to, żeby zaatakować zupełnie obcego człowieka?

- Więc skoro zaatakował cię od razu, to kiedy miałeś szansę zadzwonić do Bena?

Zamknął oczy.

- Nie miałem.

Popatrzyłam na Bena, który powiedział.

- Może wstrząs i upływ krwi wpływają na jego pamięć.

Może. A może mówił prawdę, a tutaj działo się coś dziwnego.

W korytarzu rozległy się kroki i kiedy spojrzałam w stronę drzwi, zabrzmiał głos.

- Obsługa karetki. Kto potrzebuje pomocy?

- Tutaj – zawołałam.

Kroki się zbliżyły, a sekundę później w drzwiach pojawiło się dwóch facetów.

- Cóż, to było mrozące krew w żyłach doświadczenie – odezwał się pierwszy mężczyzna. – Nigdy nie byłem w miejscu, gdzie tyle wampirów chowa się w ciemnościach. – Spojrzał na Ivana i pstryknął językiem. – Wampiry to zrobiły?

- Nie. Tylko tego nie powstrzymały.

- Wampiry czasami takie są – powiedział filozoficznie. – Chodzi tylko o ich potrzeby, nikogo innego.

I to, pomyślałam jak wstawałam, by zejść mu z drogi, było najlepszym podsumowaniem tego, co słyszałam o wampirach, od jakiegoś czasu.

Podążyłam za Benem do salonu. Skrzyżował swoje nagie ramiona, jego niebieski T-shirt naprężył się na jego piersi i oparł się ramieniem o ścianę. Musiał zostawić swoje skórzane motocyklowe ciuchy w domu, spiesząc się, by dostać się tu jak najszybciej, ale podkoszulek i dzinsy i tak cholernie dobrze wyglądały.

Spróbowałam skoncentrować się na sprawie.

- Czy Ivan również pracuje w *Nonpareil*?

Ben potrząsnął głową. W jasnym świetle lampy salonu, jego niebieskie oczy były prawie szafirowe i wypełnione gniewem, który wciąż obezwładniał jego zapach.

- Jest doradcą inwestycyjnym.

- Wiec, jak wy dwaj, się poznaliście?

- Chodzimy na tę samą salę gimnastyczną i zostaliśmy przyjaciółmi kilka lat temu.

- Zawahał się. – Dlaczego pytasz?

- Ponieważ sędzę, że to jest trochę dziwne, że dwie osoby, które znasz, zostały zaatakowane w identyczny sposób.

Zmarszczył brwi.

- Dlaczego oba ataki miały być ze sobą powiązane, a co dopiero powiązane ze mną?

- No cóż, ty musisz mi to powiedzieć. Dlaczego ktoś miałby ci się czymś odpłacać, atakując twoich przyjaciół? Bo jednego jestem pewna. Tego, że są powiązane.

Jego grymas się pogłębił.

- Niemożliwe. Ivan i Denny nawet się nie znają. Więc dlaczego myślisz, że to ten sam zabójca ścigał ich obu?

- Ponieważ rozpoznałam zapach wampira. Wampir, który był w sypialni Denny'ego – i który prawdopodobnie też go zabił – to ten sam wampir, który jest odpowiedzialny za powieszenie Ivana za nadgarstki i pocięcie go na kawałki.

Rozdział 4

Wpatrywał się we mnie przez chwilę, wyraz jego twarzy pozostał obojętny. Ale jego niebieskie oczy pociemniały jeszcze bardziej niż wcześniej, a odczucie gniewu wzrosło. Tym razem, wycelowane we mnie.

- Jesteś pewna? – powiedział w końcu, a wysiłek, żeby utrzymać kontrolę, był tak oczywisty, jak głębokie tony słyszalne w jego głosie.

- Tak.

- W takim razie dlaczego, do diabła, pozwoliłaś mu uciec? – powiedział to z taką siłą, że jego oddech zdmuchnął spocone kosmyki włosów z mojej twarzy i sprawił, że faceci z pogotowia gwałtownie się obejrzeli.

Dałam im znak ręką, żeby ich uspokoić, a potem wyszłam na spotkanie gniewu Bena.

- Ponieważ to był pieprzony wampir, który wyskoczył przez okno, a potem prawdopodobnie odleciał. Jestem wieloma rzeczami, Ben, ale jeszcze nie nauczyłam się latać.

Patrzył na mnie przez chwilę, a potem zrobił głęboki wdech i wypuścił go powoli.

- Przepraszam. Robisz mi przysługę przez samą obecność tutaj, więc ja nie powinienem wyładowywać na tobie mojej frustracji.

Uśmiechnęłam się i dotknęłam lekko jego ramienia. Ciepło zamrowiło w moich palcach – to była reakcja nie tyle od gorąca jego skóry, co od prostego kontaktu. Mogłam zaprzeczać mojej potrzebie przez tych kilka ostatnich miesięcy – no cóż, na tyle na ile wilk mógł wytrzymać – ale głód zawsze był we mnie.

I zaczynałam wątpić, czy mogłam go dłużej hamować.

- W porządku. Dobrze znam tę potrzebę atakowania innych, kiedy ludzie, na których ci zależy, są krzywdzeni. – Do diabła, sama tak robiłam dość często.

Rozbawienie zmarszczyło kąciki jego oczu.

- Nie zależy mi na nich w sposób, w jaki sugerujesz. To tylko dobrzy przyjaciele – ludzie, którym mogę ufać – co jest dość rzadkie w tym cynicznym świecie.

- Prawda. – Pozwoliłam mojej ręce zsunąć się z jego ramienia, ale opuszki palców nadal czuły to mrowienie od kontaktu z nim. Oparłam się pragnieniu zaciśnięcia ich w celu zachowania tego wrażenia na dłużej. Moje hormony nie potrzebowały tego rodzaju zachęty. – Sądzę, że moim następnym obowiązkiem powinno być przesłuchanie naszego miejscowego mistrza wampirów. Zamierzasz towarzyszyć Ivanowi do szpitala?

- Lepiej tak zrobię, przynajmniej dopóki nie pojawi się jego rodzina.

- W takim razie informuj mnie na bieżąco.

- Dobrze. – Dotknął delikatnie mojego policzka. – Do zobaczenia jutro.

- Do jutra. – Odsunęłam się od pokusy jego bliskości, a potem odwróciłam się i wyszłam. Kiedy z powrotem znalazłam się w ciemnościach korytarza, zapytałam cicho. – Hej, Sal, zdobyłaś jakieś informacje o tym Vincencie Castillo?

- Żadnych szczegółów na temat Vinny, czy Vincenty Castillo. Jeśli jest głową całego tego jublu, to trzyma się z dala od naszej kontroli.

Co nie oznacza, że Jack nie wiedział o nim, ale po prostu niczego na niego nie miał.

- Zapytasz szefa o niego, kiedy go zobaczysz?

- On nie wróci wcześniej jak jutro, ale zostawię mu wiadomość.

- Dzięki, Sal.

- Nie dziękuj mi, wilcza dziewczynko. Dziękuj Bogom, że czuję się potrzebna w tej chwili.

Uśmiechnęłam się. Bez wątpienia jutro będzie w swoim zwykłym rozdrażnionym nastroju, ale mi to nie przeszkadzało. Nie sądziłam, żebym mogła znieść zbyt długo tą super-wydajną, super-uprzejmą Salliane.

Dotknęłam delikatnie mojego nadajnika, wyłączając głos, ale nie nadawanie. Wątpiałam, żeby wampiry nas teraz zaatakowały – już z samego faktu, że za bardzo zwróciłyby na siebie uwagę Departamentu.

Wampiry na drugim końcu korytarza wciąż się nie ruszyły. Podeszłam do nich, po raz pierwszy zauważając, że wszystkie pięć wydawały się być zmienione w tym samym wieku. Wszyscy mieli ten chudy, prawie niezgrabny wygląd chłopców będących w latach późnych nastolatków. I wszyscy byli blondynami.

Zatrzymałam się przed nimi i spróbowałam nie oddychać zbyt głęboko.

- Muszę porozmawiać z Vinny Castillo.

Spojrzeli jeden na drugiego, a potem jeden powiedział.

- Górne piętro. Jesteś oczekiwana.

- Świetnie. – Chociaż, nie byłam pewna, czy tak było.

Skierowałam się do schodów i zaczęłam się wspinać. Nieświeży zapach wampira zaczął zanikać im wyżej szłam na górę, a zanim osiągnęłam ósme piętro, całkowicie zniknął. W jego miejsce pojawił się zmieszany zapach kwiatów i sosny, który przypominał mi o wiosnie i sprawił, że moim nosem szarpnęła potrzeba kichnięcia.

Zatrzymałam się na podeście i rozejrzałam. Ciemność panowała na korytarzu z lewej, ale prawy był oświetlony rzędem czerwonych świec w stylizowanych na kształt róż kinkietach. Migotliwe światło tańczyło ciepło na pomalowanych w graffiti ścianach i dało korytarzowi dziwne, odpychające wrażenie. Biorąc po uwagę fakt, że Ivan wciąż miał w swoim mieszkaniu prąd, świece były oczywiście bardziej na pokaz niż z konieczności.

W dalekim końcu korytarza, czekała kobieta. Tak, jak wampiry na niższych piętrach, była młoda i wysoka. Ale w przeciwieństwie do nich, jej blond włosy były świeżo umyte, przez co błyszczały jak blade złoto w migotliwym blasku świec.

Dwie rzeczy stały się oczywiste – Vinny lubiła, żeby byli młodzi i jasnowłosi, i nie miało znaczenia, czy to byli chłopcy czy dziewczęta.

Opuściłam tarczę i sięgnęłam ostrożnie, czując psychicznie obecność następnych w pokoju za nią. Równie dobrze mogłam zagłębić się w źródło dużej czarnej dziury. Nie poczułam żadnych osób ze zdolnościami parapsychologicznymi, ani jakiegokolwiek naturalnej paranormalnej ściany. Po prostu to była dziura. Albo to może było coś więcej niż czarna dziura, ponieważ wydawało się, jakby zasysała jakikolwiek rodzaj umysłowego rezonansu.

Ten dzieciak w drzwiach w ogóle nie pokazał się na moim paranormalnym radarze, bo nawet nie wyglądała na wystarczająco starego wampira, by mogła zablokować dość słabego telepatę.

Dziwne.

Ruszyłam w stronę strażniczki. Niewiele uczuć było widocznych na jej bladej twarzy, czy w ciemnych oczach, ale jej ostrożność kłuła w powietrzu. Była ubrana zwyczajnie – dzinsy, tenisówki i blad różowa koszulka – ale zauważyłam podejrzenie wyglądające wybrzuszenie z jej prawej strony. Zastanawiałam się, czy kule były tutaj zwyczajem, czy po prostu mieli wszyte jakieś srebrne na uodpornienie.

- Jestem Riley Jenson. – Zatrzymałam się tuż przed nią i wyciągnęłam moją odznakę. – Chciałabym pomówić z Vinny Castillo.

Coś przemknęło w jej oczach. Chyba rozbawienie.

- Jesteś oczekiwana.

Otworzyła drzwi, ukazując pokój cały w pluszu, który był zupełnie inny niż cała reszta budynku. Tutaj nigdzie nie było można zobaczyć graffiti. Bowiem ściany zostały przykryte grubymi, aksamitnymi zasłonami w ciemnym, dramatycznym kolorze czerwieni. Dywan był gruby i puszysty w kolorze jasnego piasku. Z sufitu, podobnego do nieba, zwisały żyrandole – dwie ogromne lampy, które rozsyłały tęcze promienie rozpraszające cienie. Reszta jego gangu mogła żyć w brudzie i nędzy, ale stary Vinny cieszył się królewskim życiem.

Weszłam do środka. Zobaczyłam wyściełane skórą fotele i przyjemnie wyglądające kanapy zanim moje spojrzenie zostało przyciągnięte do małej grupy ludzi w drugim końcu pokoju.

Pół tuzina, ubranych w togi, chłopców i dziewcząt – nie chciałam nazywać ich inaczej, ponieważ żadne z nich nie wyglądało na starsze niż siedemnaście lat – stało wokół mahoniowo-skórzanej rozłożystej kanapy. Na której leżała kobieta.

Kobieta, która śmierdziała mocą i zmysłowością.

Zatrzymałam się. Nie mogłam tego powstrzymać. Siła tej kobiety nie przypominała niczego, z czym do tej pory się spotkałam. Znałam wampiry, które zbliżały się, albo nawet były starsze niż tysiąc lat, ale żaden z nich nie miał tak natychmiastowego wpływu, jak miała ta kobieta. A jednak wątpiłam, żeby ona znajdowała się w ich wieku.

Do diabła, postawiłabym pieniądze na to, że nawet jeszcze nie osiągnęła trzycyfrowej liczby – choćby dlatego, że wampiry z takimi latami z pewnością były w stanie pozwolić sobie na lepsze zakwaterowanie i spełnianie ich potrzeb.

Nie była jakaś olśniewająca. Mogłam nawet zaryzykować stwierdzenie, że można ją uznać za przeciętną – ani ładną, ani brzydką, po prostu normalną. Średniego wzrostu, średnio zbudowana kobieta z ciemno brązowymi włosami i oczami w kolorze czekolady.

Ale w jej przypadku, wygląd nie miał znaczenia. Jej siła tkwiła w jej istocie. W samej jej naturze.

Wilkołaki miały aury, które były całkowicie zdolne uwieść każdego, chętnego czy nie. Jednak nie wykorzystywaliśmy jej na innych rasach, tylko na sobie, ale to nie znaczyło, że nie zdarzało się to od czasu do czasu. Energia, którą wysyłała, była podobna do aury wilkołaka. To była czysta gorączka, potrzeba i pożądanie, i to okręcało się wokół mnie zmysłowo, podwyższając moje tętno. Głód mojego ciała.

Pragnienie, by podbiec do przodu, i pieścić jej bladą skórę tak, jak pieścili ją inni – lekko i z czcią – uderzyło we mnie, jak stalowa kula. Pot zaczął rosić moją skórę, a pragnienie dotknięcia jej, pocałowania jej, kochania się z nią, było tak silne, że zrobiłam krok do przodu.

Ale to nie było moje pragnienie, to nie było prawdziwe, a ja nie miałam zamiaru stać się zabawką jakiegoś młodego wampira. Szczególnie zabawką młodej wampirzej kobiety. Więc zacisnęłam pięści, wbijając paznokcie w moją skórę, wykorzystując ból do obezwładnienia pożądania. W każdej innej sytuacji, wykorzystywałabym moją własną aurę do walki z nią, ale stałam pośrodku meliny wampirów, a to mogło spowodować jeszcze więcej problemów.

- Przestań, – powiedziałam ostrym głosem, – albo każę Departamentowi zamieść i oczyścić całe to cholerne miejsce.

Roześmiała się, tak miękko i ciepło jak ten pokój, ale wirujące gorąco pragnienia się obniżyło. Nie całkowicie, ale na tyle, że to zignorować.

- Nie chciałam zrażać Departamentu. Proszę, podejdź bliżej, żebym mogła lepiej cię zobaczyć.

Miałam ochotę powiedzieć, że jako wampir powinna mnie doskonale widzieć w miejscu, gdzie stałam, ale mogłoby to zostać odebrane, jako swoista niegrzeczność.

Którą z pewnością mogłam wykorzystać więcej niż przy jednej okazji, ale teraz odniosłam wrażenie, że to nie był dobry czas, i lepiej będzie, jak się dostosuję.

Przynajmniej do czasu, gdy nie dowiem się kilku rzeczy.

Podeszłam do przodu. Zapach kwiatów i wiosny stał się wyraźniejszy, mieszając się z ciepłym mocnym zapachem pożądania wciąż utrzymującego się w powietrzu. Ubrane w togi nastolatki obserwowały mnie z prawie ospałymi minami, ale ich źrenice były bardzo rozszerzone. Mogłabym się założyć, że byli czymś odurzeni, oprócz faktu, że wciąż stali bardzo spokojnie.

Moje spojrzenie skupiło się na kobiecie. Może jedynym narkotykiem, jaki potrzebowali, była bliskość ich twórcy. Może dotykanie jej było rodzajem seksualnego albo narkotycznego otępienia. Chociaż nigdy nie słyszałam o wampirach zdolnych uspić kogoś samym tylko zwykłym kontaktem, to jednak nie znaczyło, że nie jest tak w tym przypadku. I, do diabła, ta kobieta sprawiła, że jej zapragnęłam. Jeśli kontakt z nią, skóra do skóry, był tak potężny jak jej aura, w takim razie ich odczucia były zrozumiałe.

Zatrzymałam się, by zachować między nami bezpieczną odległość przynajmniej trzech metrów. Z tak bliska, jej skóra wyglądała, jakby świeciła, jakby bogactwo samego księżycy świeciło z głębi niej... zamrugałam. Ponownie wbiłam paznokcie w skórę moich dłoni. By zobaczyć, że jej blada skóra, była właśnie tym. Błądą skórą. Niczym świecącym i pięknym.

Gniew zawirował we mnie. Jako wilkołak, byłam nauczona powściągliwości niemal od samego początku. Oh, nie seksualnej powściągliwości, ponieważ dla wilkołaka, seks był życiem. Ale aura to była już inna sprawa. Od czasów szczenięcia, dużo wcześniej niż moja aura nawet zaczęła się rozwijać, byliśmy uczeni, że było coś złego w zmuszaniu innych – zarówno moralnie, jak i legalnie. Fakt, że aura wilkołaka mogła skłonić niechętnych do stwierdzenia, że wszystko jest okej, ale końcowy rezultat był ten sam – narzuciłeś działanie komuś, kto nie mógł postąpić inaczej.

Oczywiście, robiłam to, jako strażnik, ale tylko po to, by uzyskać przewagę nad wrogiem. Ale nigdy bym tego nie zrobiła, żeby wymusić na kimś innym seks.

Tej kobiety jednak nie nauczono tej powściągliwości.

- Ostrzegałam cię, żebyś przestała. – Obróciłam się na pięcie i ruszyłam do drzwi.

Roześmiała się jeszcze raz, a dźwięk jej śmiechu spłynął dreszczem wzdłuż mojego kręgosłupa.

- Proszę, już będę grzeczna. Masz pytania odnośnie Ivana Langa, prawda?

Odwrociłam się ponownie.

- Tak.

- W takim razie na nie odpowiem. Ale proszę, podejdź bliżej. Miałam zwyrodnieniową chorobę oczu zanim zostałam przemieniona i, w efekcie, mój wzrok nie jest zbyt dobry.

Wpatrzyłam się w nią na dłuższą chwilę, nie widząc żadnego kłamstwa w jej brązowych oczach, ale też nie byłam pewna, czy bym je zobaczyła, nawet gdyby tam było.

- Jakie jest twoje prawdziwe nazwisko?

- Vincenta Castillo. Proszę, zapewniam cię, że już nie będę się z tobą bawić. Podejdź bliżej.

Zawahałam się, ale podeszłam. Dziwnie było myśleć, że ta kobieta sprawiła, że miałam ochotę uciec, chociaż stałam twarzą w twarz z rzeczami tysiąc razy silniejszymi i dużo bardziej niebezpiecznymi. Do diabła, miałam stałe przypomnienie o jednym takim spotkaniu na mojej lewej ręce, gdzie brakowało małego palca dzięki żądzy boga śmierci.

Uśmiechnęła się. To był po prostu zwykły uśmiech, który oznaczał, że dotrzyma swojego słowa. Przynajmniej na chwilę.

- Skoro Ivan przeszedł ceremonię zostania wampirem, dlaczego go nie chroniłaś?

- Ponieważ zapłacono mi, żebym w żaden sposób się nie mieszała.

Zdziwienie wstrząsnęło mną.

- Wzięłaś pieniądze za brak ochrony?

- A dlaczego by nie? Rozejrzyj się, strażniczko. Ten teren jest bardziej odpowiedni dla ulicznych szumowii niż dla wampira pnącego się po szczeblach drabiny społecznej. Ale jestem jeszcze młoda, według standardów wampirów, i dlatego nie mam jeszcze dość zebranych pieniędzy, jakich potrzebuję.

To znaczy, że zarabiała swoją gotówkę legalnie? Jakoś w to wątpiłam. Wampir z takimi umiejętnościami do uwodzenia, jakie miała ona, mógł wyciągnąć wszelkiego rodzaju rzeczy od swoich partnerów do łóżka.

- Więc zamierzałaś po prostu siedzieć i pozwolić samotnemu wampirowi zabić Ivana?

Wyrzuciła z siebie niegodne damy prychnięcie. Dzieciak najbliżej stojący przy jej ramieniu przesunął palcami po jej szyi i po policzku, w czymś, co jak przypuszczałam, miało być uspokajającym gestem.

- Ale nie umarł, prawda?

- Bo miał cholerne szczęście, że w porę zainterweniowałam.

Uśmiechnęła się. To był uśmiech zarówno rozbawienia jak i kalkulacji, który ostrzegał, że tam za całą tą seksualną swawolnością był bystry umysł.

- Ah, ale twoja interwencja w porę, nie zdarzyłaby się, gdybyśmy nie zadzwonili.

Uniosłam brew.

- Myślałam, że ci zapłacono, byś nie interweniowała?

- Właściwe słowo brzmiało *ja*. Kiedy poprosił, żebym trzymała z dala moje nieopierzone pisklęta i kontrolowała ich głód, nie wspomniał o tym, aby oni nie wtrącali się w żaden inny sposób. Więc jeden z nich wykonał telefon.

- Ten, który miał głos najbardziej podobny do Ivana?

Kiwnęła głową.

- Wiedzieliśmy o striptizerze. Kilkakrotnie odwiedzał tutaj Ivana. Jest potężnym mężczyzną, silnym. Jego obecność mogła wystarczająco odstraszyć samotnika.

Ale mogła też nie. Podczas gdy Ben był wielkim wilkołakiem, to samotnik był wampirem, a wampiry zwyciężały zwykle wilki za każdym razem. I nie chodziło o siłę, tylko szybkość.

- A czy ten samotnik powiedział, dlaczego chce posiekać Ivana?

Wzruszyła ramionami.

- Wyczułam potrzebę zemsty na nim. Więcej już nic nie wiem.

- Więc nawet nie zapytałaś?

- To była duża kwota pieniędzy. Nie zadawanie pytań było częścią umowy.

Co tak naprawdę niewiele pomagało Ivanowi, ale ona była zadowolona z tej małej klauzuli ich układu.

- Dlaczego odprawiłaś ceremonię z Ivanem? – Moje spojrzenie spoczęło na krótko na nastolatkach ubranych w togi za nią. – Jest podobny do całej twojej reszty.

- Chociaż bardzo kocham moje zabawki, wampir nie może istnieć sam. Ivan jest bardzo dobrym doradcą inwestycyjnym. To będzie przydatne w przyszłości.

- Skoro jest takim dobrym doradcą inwestycyjnym, dlaczego tu mieszka?

Uśmiechnęła się jeszcze raz. W głębi jej brązowych oczu przemknął głód. Nie głód krwi, ale raczej głód pieniędzy. Albo władzy, która często przychodziła wraz z pieniędzmi w tym zwariowanym świecie. Mogła nie mieć jeszcze zbyt dużych wpływów w wampirzym świecie, ale z pewnością miała taki zamiar. I czułam, że nie bardzo troszczy się tym, jak do tego dojdzie.

Ale nie można było tego powiedzieć o wszystkich wampirach? Większości z nich nie można było zaliczyć do troszczących się, dzielących się typów.

- To proste – odpowiedziała. – Przepisał na mnie swój apartament w Brighton, jako zapłatę za ceremonię. Ma dość pieniędzy, żeby zamieszkać gdzie indziej, ale pozostaje w pobliżu, ponieważ jego śmierć jest bliska. To jego wybór, nie mój.

- W takim razie, skoro tak bardzo nienawidzisz tego miejsca, dlaczego nie wprowadzisz się do jego mieszkania?

Uniosła swoje ciemne brwi.

- To jest sprawa logistyki. Liczymy sobie czterdzieści osób, a ta liczba po prostu nie pasuje do apartamentu z dwoma sypialniami, nieważne jak będzie luksusowy.

- Czy to nie jest zbyt duża liczba wampirów, żeby żyć tak wspólnie? I co z tymi obiegowymi opiniami, jakie słyszałam na temat tego, że *wampiry są terytorialnymi istotami i się nie dzielą?*

Uśmiechnęła się jeszcze raz.

- Wampiry krwi są terytorialne. My nie mamy takiego rodowodu. Dla nas, im większa jest społeczność, tym lepiej. Wspólnota nas żywi.

- A więc ci, którzy są bywalcami dolnych pokoi, są żywieni przez tych tu na górze?

- Coś w tym guście.

- Więc to nie zapach krwi wzbudził ich głód, tylko raczej uczucia?

- Tak.

Przesunęła się, stawiając stopy na podłodze i się prostując. Nastolatki za nią zbiły się w grupkę, a ich ciała przycisnęły się mocno jeden do drugiego. Ten kontakt wysłał jakieś dziwne brzęczenie w powietrzu. Nie czułam tego tak, jak aury ich mistrza, ale jednak miało podobne odczucie mocy. Może dlatego nie czułam tego tak samo, bo nie było tak naprawdę wymierzone we mnie. Może byłoby takie samo, gdyby tak było.

Tak czy owak, gęsia skórka smyrnęła przez moją skórę. Odniosłam wrażenie, że nie chciałbym być tutaj podczas karmienia.

Ale tak bardzo, jak chciałam iść w diabły z tego miejsca, tak szybko jak mogłam, to wciąż miałam pytania, które musiałam zadać.

- Czy ten samotny wampir przypadkiem nie zdradził swojego nazwiska?

Uśmiechnęła się ponownie.

- Zastanawiałam się właśnie, kiedy zadasz to pytanie.

- To znaczy tak, powiedział?

- Oczywiście. Nikt nie wejdzie za próg moich drzwi zanim nie poznam jego nazwiska.

- Więc może być mi je podała?

Rozbawienie zaigrało na jej wargach.

- Co zaoferujesz w zamian?

Patrzyłam na nią przez moment, a potem powiedziałam.

- Może to, że nie naślę na ciebie Departamentu?

- Już potwierdziłaś swoją tu obecność. Jest inny strażnik patrolujący na zewnątrz, prawda?

- Jest tutaj, by złapać napastnika Ivana, ale może wrócić tu z powrotem.

Machnęła ręką.

- Ale Departament i tak mimo wszystko przeprowadzi śledztwo.

- Tak. Ale śledztwo to nie sprzątanie.

- Nie pozwolisz, by posunęli się tak daleko. Nie jesteś takim typem.

Uniosłam brew.

- Paniusiu, nie masz pojęcia, jakim typem jestem.

- Mogę wyczuć to w powietrzu, mały wilku. – Obserwowała mnie przez chwilę, a potem się uśmiechnęła. – Jesteś honorowa, na swój własny sposób. I w tej chwili, jesteś również bardzo ostrożna na to, co wyczuwasz w tym pokoju.

Głównie dlatego, że to, co wyczuwałam w tym pokoju nie było podobne do niczego, przez co przechodziłam wcześniej.

- Nie mogę ci zapłacić.

- Nie proszę o pieniądze.

- W takim razie, o co prosisz?

- O pocałunek. Jeden prosty pocałunek.

Nie było niczego prostego w pocałunku. Nie wtedy, gdy to obejmowało tego wampira.

- Dlaczego?

- Ponieważ chcę poczuć twój smak.

- Myślałam, że nie jesteś wampirem krwi.

Wstała z kanapy, jej długa spódnica wydeła się na chwilę wokół niej w obłoku krwistoczerwonej organzy. Niespodziewanie, była mojego wzrostu i budowy. Wydawała się być o wiele mniejsza i delikatniejsza na tej kanapie – bez wątpienia, następna zręcznie stworzona iluzja.

- Nie jestem wampirem krwi – powiedziała łagodnie. – I nie daję niczego za darmo. Jeśli chcesz nazwisko, strażniczko, musisz zapłacić pocałunkiem.

Wpatrywałam się w nią, pragnąc móc czytać w jej myślach. Pragnąc poznać jej motywy. Pragnąc zrozumieć, dlaczego cała ta umowa z całowaniem nappełniła mnie takim niezdecydowaniem. Do diabła, gdyby była mężczyzną proszącym o zapłatę, zrobiłabym to w ciągu sekundy.

I czy to właśnie myśl o całowaniu kobiety sprawiała, że się wahałam? Czy raczej miało to coś wspólnego z faktem, że tak naprawdę nie wiedziałam, czym była, albo co mogła zrobić?

Bardzo chciałam wierzyć w to, że to było raczej to drugie niż pierwsze, ale prawda była taka, że nie mogłam.

Nie chciałam całować innej kobiety. To było bardzo proste.

Ale byłam strażnikiem, a strażnicy czasami musieli robić rzeczy, których tak naprawdę nie chcieli robić. Zwłaszcza, kiedy czyjeś życie wisiało na włosku.

Wzięłam głęboki wdech i wypuściłam go wolno.

- Żadnego żywienia, żadnej aury albo tego, czym jest ta twoja seksualna gorączka. Jeśli wyczuję cokolwiek z tego, wystrzelam was wszystkich.

Uśmiechnęła się.

- Sądzę, że mówisz poważnie.

Sądziłam, że ja też. Poruszyłam moimi palcami, czując wilgoć na moich dłoniach i bardzo mi się to nie spodobało.

- I żadnego języka – dodałam. – Odgryzę go, jeśli poczuję.

Roześmiała się, melodyjnym wesołym dźwiękiem, który wywoływał drżenie warg. Nie pomijając mnie. I tylko to wywołało moją ostrożność i jeszcze silniejszy sprzeciw przed zrobieniem tego.

- Ktoś mógłby pomyśleć, że nigdy wcześniej nie całowałaś kobiety.

- Nie całowałam.

Podniosła elegancką brew.

- Naprawdę, nawet, jako przyjazny gest na powitanie?

Chciałam zwrócić jej uwagę, że nie jestem społecznym, przyjaznym typem, ale nie zamierzałam podawać jej aż tyle informacji.

- Zróbmy to już.

- Jak sobie życzysz.

Podeszła bliżej. Moje nozdrza się rozszerzyły, wsysając jej zapach, smakując kwiaty i wiosnę, i coś jeszcze, coś, czego nie mogłam dokładnie określić. Coś, co było niebezpieczne i pasjonujące zarazem.

Zatrzymała się tak blisko mnie, że jej suknia zawirowała wokół moich nóg, otaczając je morzem czerwieni. Zacisnęłam palce, przewyciężając chęć na cofnięcie się, na ucieczkę przed jej ciepłem i dotykiem, i obserwowałam jej twarz. Widząc, jak oczekiwanie w jej brązowych oczach wciąż wzrastało, kiedy się zbliżała.

A potem jej wargi otarły się o moje. Niepewnie, łagodnie. Były zadziwiająco chłodne i miękkie, nie nieprzyjemne, tak jak przewidywałam. Nie zareagowałam, stałam nieruchomo, nie chcąc przedłużyć tego kontaktu.

Otworzyła swoje oczy i wpatrzyła się w głąb moich.

- Pocałunek wymaga dwóch osób, strażniczko. Zareaguj, albo zapłata nie będzie przyjęta.

Jej wargi dotknęły moich jeszcze raz, i po chwili wahania, poruszyłam nimi, całując ją łagodnie, ale z zaangażowaniem. To był dziwny pocałunek, pozbawiony uczucia, a jednak był to pocałunek, który wprowadził moje nerwy w drżenie, a tętno w przyspieszenie. To nie było pożądanie. To był strach przed nieznanym.

Miałam złe, bardzo złe przeczucie, że tu chodziło o coś więcej, a nie tylko o smakowanie ust.

Odsunęłam się, czując jak chłód pokoju pieści moją skórę, zmywając jej gorąco. Uśmiechnęła się i strzepnęła spódnicę z moich nóg.

- Nie smakujesz jak wilk, strażniczko.

- Dostałaś swój pocałunek, wampirze. Chcę moje nazwisko.

Obserwowała mnie przez chwilę, a potem powiedziała.

- Aron Young.

- Mam to – powiedziała Sal do mojego ucha. – Rozpocznam szukanie.

- Dziękuję – odparłam, bardziej do Sal niż Vinny. Cofnęłam się jeszcze raz, rozkoszując się każdym krokiem zwiększającym odległość między nami. – Gdyby przypadkiem wrócił, Vincenzo, proszę zadzwoń natychmiast do Departamentu.

- Oczywiście. Nie zniosłabym nacisków ze strony potężnego Departamentu, jakie by na mnie nałożono. – Jej głos był łagodnie kpiący. – I zobaczy cię jeszcze raz, strażniczek.

Nie, do cholery, z pewnością nie, pomyślałam i wyniosłam się stamtąd w diabły.

Rhoana nadal nie było w domu, gdy obudziłam się następnego ranka. Pozbierałam sterty ubrań, które były wszędzie porozrzucane, segregując je do ich właściwych koszy, a potem zrobiłam sobie kawę i jakieś śniadanie, i włączyłam telewizor, by zobaczyć, czy nie uda mi się złapać jego i Liandera na jakimś rozrywkowym programie.

Nie zobaczyłam ich, ale ukazali się w drzwiach jakieś dziesięć minut później, z ramionami wokół siebie, oboje w połowie rozebrani i wyglądający trochę bardziej niż źle w swoich niekompletnych strojach.

- Hej, wy dwaj, – odezwałam się z buzią pełną płatków, – wyglądacie, jak gówno.

Liander machnął ręką i posłał mi głupi uśmiech.

- Ale czujemy się dobrze.

Zahaczył się o koniec chodnika, jak tylko to powiedział, i byłby upadł jak długi na twarz, gdyby Rhoan go nie przytrzymał. Najwidoczniej ten wysiłek spowodował, że obaj zachwiali się na boki, omijając wieszak stojący centymetry od nich. Prychnęłam. Byli pijani jak skunksy, obaj.

Postawiłam miskę z płatkami na stoliku, a potem wstałam i poszłam do kuchni, żeby wstawić czajnik.

- Wnioskuje, że wczorajszy wieczór się udał?

- Bardzo. Efekty są hitem.

Skóra zaskrzypiała, kiedy obaj padli bezwładnie na kanapę.

- A jak sam film?

- Wiesz, jaki jest biznes filmowy. Niektórzy będą się zachwycać, niektórzy go rozszarpią, inni będą unikać jasnej odpowiedzi. – Liander zamachał beztrzesko ręką, a potem wpadł w ramiona Rhoana. – Ale efekty wyglądały fantastycznie i to było wszystko, o co się martwiłem.

Rhoan przytulił go, a potem spojrział na mnie.

- A ty, jak wypełniłaś sobie wieczór, kiedy my świętowaliśmy?

Z nich dwóch, wyglądał na znacznie mniej zmarnowanego. Chociaż obaj wymawiali dość bełkotliwie swoje zdania. Oparłam się ramieniem o framugę drzwi i się uśmiechnęłam.

- Wyszłam i pocałowałam dziewczynę.

Obaj zamrugali oczami, patrząc na mnie przez chwilę bezmyślnie, aż w końcu odezwał się Rhoan.

- Co takiego?

Nie odpowiedziałam od razu, najpierw robiąc im kawę, a potem siadając z powrotem i zabierając się za śniadanie.

- Dziewczyna była wampirem, który nie był krwio pijcą, a pocałowałam ją, żeby dostać nazwisko tego samotnika, który pobił księgowego.

- No i jak było? – zapytał Liander. – To znaczy, całowanie dziewczyny?

- Nie bardzo pobudzające. – Co był prawdą, ale jednak nie całą prawdą. Chwyciłam mój kubek z kawą i upiłam łyk. Faktem było, że pieszczota jej warg nawiedziła dobrą część mojego snu, ale powodem tego był raczej niepokój, a nie pożądanie. Nawet moje sny zostały napelnione pewnością, że zdarzyło się coś więcej podczas dotyku naszych warg.

Rhoan wyplątał się z ramion Liandera i pochylił się do przodu.

- Pocałowałaś wampira, żeby zdobyć informacje? Dlaczego po prostu nie odczytałaś jej myśli albo nie zmusiłaś jej do tego?

Zamachałam na niego łyżką.

- To niezbyt miłe bić kobiety.

- Nie, ale nie wtedy, gdy to są wampiry, które mogą zaszkodzić większości normalnych ludzi.

- Nie jesteśmy normalnymi ludźmi. – Nie byliśmy normalni nawet w nieludzkim znaczeniu słowa. Zgodnie z tym, co mówi Jack - który najwyraźniej ma oko na takie rzeczy – byliśmy najrzadsi z rzadkich. Kto by pomyślał, po tych wszystkich latach dostawania ciągów za to, że jesteśmy mieszańcami?

Poruszył ręką na ten komentarz.

- Ale oni o tym nie wiedzą. Więc dlaczego ją pocałowałaś, skoro nie chciałaś? – Zawahał się, a potem dodał z bezczelnym uśmiechem. – Chyba, że chciałaś?

- Nadal jestem heteroseksualna, braciszku. Uwierz mi. – Wypiłam łyk kawy i dodałam. – Próbowałam czytać w jej myślach, ale czułam się tak, jakbym wpadła w czarną dziurę.

- Więc dlaczego nie wykorzystalaś groźby albo siły? Skoro zatajała dowody, jesteś do tego upoważniona.

Wzruszyłam ramionami.

- Spranie jej byłoby szczytem głupoty. Miała za sobą czterdziestkę popleczników, mieszkających razem z nią, więc szala szans była trochę przytłaczająca.

- Czterdziestkę? – Zmarszczył brwi. – W jaki sposób jeden wampir kontroluje tak wielu nowopowstałych? I jak oni są w stanie znieść siebie nawzajem mieszkając razem?

Skończyłam płatki, odstawiłam pustą miskę na stół i powiedziałam.

- Ona nie jest wampirem krwi, raczej pewnego rodzaju wampirem emocjonalnym. Najwyraźniej mieszkanie razem jest potrzebne tym frajerom żywiącymi się uczuciami.

- To są wampiry żywiące się uczuciami? – zapytał Liander. – To jest nieco przerażająca myśl.

Uniosłam brew.

- Nie bardziej od wampirów krwi, tak naprawdę.

Prychnął.

- Trudno nie zauważyć karmiącego się na tobie wampira krwi. Założę się, że to samo można powiedzieć o wampirach emocjonalnych.

Miał rację. Zwłaszcza, jeśli wszystkie te emocjonalne wampiry miały aurę tak silną, jak Vinny.

- Zameldowałaś ich obecność Jackowi? – zapytał Rhoan.

- Tak.

- To dobrze. – Urwał, żeby napić się kawy. – A tak w ogóle to dlaczego się tam znalazłaś i ratowałaś tego księgowego? Czy to miało coś wspólnego z tą rozmową telefoniczną z wczorajszego wieczora?

Kiwnęłam głową i wyjaśniłam, dlaczego Ben dzwonił, a potem dodałam.

- To dlatego pocałowałam tego wampira. By dostać nazwisko zanim zaatakuje kogoś innego.

- Więc to nie jest powiązane z tym Benem? – wtrącił Liander.

- Ben nie przyjmuje do wiadomości tego, że może być z tym powiązany, ale nie rozmawiałam z nim od czasu, jak dostałam to nazwisko. Może się okazać, że w ogóle nie zna tego Arona Younga.

Co nie byłoby zbyt dobre, ponieważ działania Younga zapewniły mu nakaz egzekucji. Wampiry zamieszane w tortury innych, nie żyły wiele dłużej od tych, których faktycznie zabijały – po prostu dlatego, że jedno przestępstwo zazwyczaj przekształcało się w następne. A Ben, jako dobry przyjaciel, również podlegał śledztwu Departamentu.

Liander zmarszczył brwi.

- To nazwisko coś mi mówi.

Uniosłam brew.

- Znasz kogoś, kto nazywa się Aron Young?

- Nie powiedziałem tego. Powiedziałem tylko, że gdzieś je słyszałem.

- Jestem pewien, że jest więcej niż jeden Aron Young – powiedział sucho Rhoan.

Liander podciągnął nosem.

- Cóż, oczywiście, że tak. Ale chcę powiedzieć, że to nazwisko jest mi dziwnie znajome.

- Dobra – powiedziałam, a chwytając kubek i miskę wstałam. – Daj mi znać, kiedy sobie przypomnisz. W tym czasie, pojedę do Departamentu. Chcesz, żebym przekazała Jackowi, że będziesz później?

- Nie ma potrzeby. – Głos Rhoana był bardzo zadowolony. – Mam dzień wolny. Niektórzy z nas od czasu do czasu myślą i są przygotowani.

- A to u ciebie zdarza się chyba po raz pierwszy.

Rzucił za mną poduszką. Walnęła głucho o ścianę, omijając mnie dużym łukiem. Z jakiegoś powodu, to wzbudziło u tych dwóch atak śmiechu. Potrząsnęłam głową i tak ich zostawiłam.

Na szczęście, samochód przetrwał noc bez dodatkowej dekoracji z strony lokalnych matołów. Wrzuciłam bieg, przypięłam telefon komórkowy do podstawki, żeby mieć wolne ręce, a potem włączyłam się do ruchu i pojechałam do pracy.

Telefon zadzwonił zanim jeszcze tam dotarłam, a moje serce zamarło. Numer wskazywał na to, że to jest albo Jack, albo Sal, więc telefon o tej porze nigdy nie był dobrą rzeczą.

Nacisnęłam guzik odbierania i powiedziałam.

- Przecież wiesz, że mój żołądek nie zniesie złych wieści zanim nie wypiję drugiej kawy.

- No cóż, to nie jest wcale takie złe, – odezwał się Jack, jego głos brzmiał zmęczeniem i tylko lekką frustracją, – ponieważ mam następnego dla ciebie.

Zatrzymałam samochód, kiedy światła zmieniły się na czerwone.

- Przyjmuję, że masz na myśli kolejnego zupełnie nagiego zmarłego polityka świecącego swoim tyłkiem na świat?

- Nie całkiem. Ten to nagi właściciel sklepu z butami świecący tyłkiem wszem i wobec.

To uniosło moje brwi.

- Człowiek czy nie?

- Nie. Wilkolis, ściślej mówiąc.

Najwidoczniej, zabójca nie ograniczał się do jakiegokolwiek jednej rasy.

- Gdzie został znaleziony?

- W jego sklepie, przez jego pracownika. Najwyraźniej zmarły i jego przyjaciółka spędzili gorące i radosne chwile w oknie wystawowym, i to tam umarł.

Więc mieliśmy zabójcę, który lubił to robić w wyeksponowanych miejscach, i który najwidoczniej nie miał obaw o to, że zostanie zauważony. Albo to, albo to zwiększało dreszcz jego podniecenia.

- Niech zgadnę – tej przyjaciółki nigdzie nie można znaleźć?

- Trafiłaś.

- Więc dlaczego jesteś tak pewny, że to się łączy? Oprócz faktu, że nasz zabójca jest w pewnym sensie ekshibicjonistą?

- Przeczucie, nic więcej.

A ja postawiłabym kasę na przeczucia Jacka.

- Kade już tam jedzie – ciągnął. – I chciałbym, żebyś była tam możliwie najszybciej, by sprawdzić, czy czegoś nie wyczujesz.

- Nie wyczułam niczego przydatnego w biurze Jamesa. – I jeśli moja praca w Departamencie miała polegać tylko na odwiedzaniu miejsc zbrodni i wyczuwaniu odchodzących dusz, to wolałabym już raczej odejść.

Co było bez wątpienia czczym gadaniem, biorąc po uwagę fakt, że nigdy tak naprawdę nie chciałam być strażnikiem z pierwszego miejsca.

- Jednak warto spróbować. Wyślę ci adres. – Przerwał, a w tle usłyszałam szelest papierów. – No i sprawdzamy to gniazdo, które znalazłaś wczoraj wieczorem.

Uniosłam brwi.

- To szybko.

- Wampiry emocjonalne mogą być dość niebezpieczne. Musieliśmy zdiagnozować sytuację.

- Więc oni naprawdę żywią się uczuciami, a nie krwią?

- Tak. I posiadają umiejętność - skłonność - wzmacniania uczuć. W pewnych sytuacjach, to może stać się niezwykle niebezpieczne.

- Ten jeden wydaje się żywić seksualną energią.

- Seksualne uczucia wydają się być najlepsze, i dlatego są bardziej satysfakcjonujące dla tych wampirów, ale zadowolą się także pomniejszymi uczuciami, takimi jak strach, gniew i ból, gdy będą musieli.

To dlatego wyczułam tak silne odczucie głodu w tym budynku, gdy weszłam – żywili się tym, co stało się w mieszkaniu Ivana.

I nie byłabym zaskoczona, gdyby to było częścią porozumienia, pomiędzy Vinny, a tym wampirem, gdy pozwoliła mu na wizytę u Ivana.

- Jakie było twoje wrażenie, co do Vincenty Castillo? – zapytał Jack.

Zawahałam się.

- Ona jedna to kontroluje. Myślę, że ma wspaniałe plany dotyczące siebie i jej nowopowstałych, ale nie sądzę, żeby zrobiła w tej chwili coś, przez co przekroczy linię.

- Interesujące.

Jego głos był suchy, więc moje brwi uniosły się jeszcze raz.

- Dlaczego?

- Ponieważ nasz inspektor złożył palące sprawozdanie.

Uśmiechnęłam się.

- Był młody i jasnowłosy?

Jack zamilkł.

- Młody, tak. Blondyn, nie.

- Ona go zbałamuci, szefie. Pewnie nawet nie wiedział, którą stroną długopisu pisać, gdy robił notatki.

- Młody Clark ma silne tarcze. Nawet wampirowi emo nie powinno się udać go poruszyć.

- Ja też mam silne tarcze, a poczułam jej przyciąganie.

- W takim razie będziemy mieć na nią oko, tak dla pewności. Napisałaś już raport z wczorajszego wieczora?

- Nie. Miałam zamiar go napisać, kiedy dostanę się do pracy. Sal znalazła coś na tego Arona Younga?

- Znaleźliśmy trzech. Wciąż staramy się zdobyć adresy dwójki z nich.

- Przynajmniej nie ma ich setki.

- Prawda. – Przerwał na chwilę. W tle, ktoś coś mruczał. Zaszleścił papier, a potem dodał. – Sal wspominała, że badasz jakiś przypadek BDSM?

A to znaczyło, że Sal podsłuchiwała moją rozmowę telefoniczną – nie było żadnego innego sposobu, żeby się o tym dowiedziała, ponieważ nie napisałam jeszcze raportu.

- Jest powiązany ze sprawą z ostatniej nocy – to ten sam wampir.

Nie byłam tego oczywiście stuprocentowo pewna, ale nie miałam zamiaru mówić o tym Jackowi.

- Wydobędę raport policyjny o tym dla ciebie i zaczniemy natychmiastowe poszukiwania tego Younga. Jeśli to jest początek serii morderstw, musimy się do tego zabrać od razu.

- Mógłbyś również przeświecić Bena Wilsona? To czarny wilk, który zarządza w *Nonpareil* tym striptizowym interesem. I z tego, co widzę, on jest jedynym realnym powiązaniem między tymi dwoma mężczyznami.

- Okej.

- Dzięki, szefie. – Rozłączyłam się, zmieniłam pas i skierowałam się do South Yarra na adres, który przesłał Jack – a który przypadkiem był w samym sercu modnej Chapel Street.

Najwyraźniej, ten, kto mordował tych ludzi, miał zakusy na władzę i pieniądze. I może potrzeba takiego ekshibicjonizm mu to dawała. Co, samo w sobie, mogło wskazywać na jakiegoś wilka. Chociaż niebezpieczeństwo publicznych aktów seksualnych – które dawało wysoki poziom ryzyka – nie było jedyną dziedziną wilkołaków, to my wilki z pewnością gotowi byliśmy podjąć ją szybciej, niż większość ras.

Niemożliwością było znaleźć miejsce do parkowania przy sklepie z butami na Chapel Street, więc zaparkowałam na pobliskiej. I upewniłam się, że znak *Urzędowy Pojazd Departamentu* był dobrze widoczny przez przednie okno, na wszelki wypadek, gdyby inspektorzy parkingowi dostali lekkiego świra ze swoimi maszynkami do mandatów.

Włożyłam kluczyki do kieszeni i ruszyłam na Chapel Street. Sklep z butami można było dość łatwo zauważyć – był jedynym, przed którym stały samochody z glinami i czarnym plastikowym workiem pod oknami.

Kade'a nigdzie nie było widać, więc prześlizgnęłam się pod taśmą, pokazując moją odznakę patrolowi, i weszłam do środka. I odkryłam, że sklepy z butami na Chapel Street nie były takie, jak zwykłe sklepy z butami. Po pierwsze, buty były dobrze wyeksponowane, a nie naładowane razem w rzędach w żołnierskim stylu. Poza tym, były reflektory punktowe nad stelażami do wystawiania towarów, wysokie wygodne krzesła i pluszowe dywany.

I zmarły nagi facet we frontowym oknie.

Gęsta strzecha jego rudych włosów była pierwszy rzeczą, jaką zauważyłam. Przechylał się przez stojak do wystawiania butów, jego tyłek świecił przez okno, ramiona i głowa zwisały w dół przez metalowe raski, a wokół jego stóp zostały porzucane kolorowe szpilki i buty.

- Przedstawia nowy trend na efektowne wystawy sklepowe, co nie? – odezwał się Cole, zdejmując okrwawione rękawiczki, i wychodząc z okna.

Spojrzałam na niego z marsową miną.

- Czyja to krew?

- Jego. Wygląda na to, że tym razem nasz zabójca był trochę nieokrzesany z zadrapaniami. – Kiwnął głową w kierunku tułowia ofiary. – Ma zadrapania na klatce piersiowej, genitaliach i nogach.

- Co to za zadrapania?

- Jakiegoś rodzaju kota. Ona musi być naprawdę duża.

- Jak duży jest duży?

- Dwa razy wielkości normalnego kota, co najmniej.

- A więc szukamy czegoś wielkości pumy, czy raczej bliżej tygrysa?

- Raczej czegoś wielkości tygrysa.

Podeszłam bliżej. Metaliczny cierpki zapach krwi wypełniał powietrze, tak jak zapach potu i seksu. Ale pod nimi wyczułam ślad aromatu jaśminu i pomarańczy. Ten sam zapach, który był tak wyraźny w biurze Gerarda Jamesa.

Moje spojrzenie zsunęło się wzdłuż szyi zmarłego na jego plecy i w dół jego nóg. Zadrapania znaczyły jego blade ciało – duże, szerokie, brzydkie zadrapania, które rozerwały coś więcej niż tylko skórę.

- To nie może być ten sam kot, który zadrapał Jamesa – powiedziałam, oglądając się na Cole'a. – Ten ma zbyt masywne łapy.

- Też tak sędzę, ale będę wiedział na pewno, gdy zrobię testy DNA.

Uniosłam brwi.

- Znalazłeś tym razem coś więcej niż tylko DNA ofiary?

- Ostatnim razem też znalazłem. Mam nadzieję, że ślina znaleziona na fiucie Jamesa będzie pasować do tej znalezionej na tym mężczyźnie.

- I to było jedyne DNA naszej tajemniczej przyjaciółki, jakie znalazłeś?

- Nie. Okazuje się, że nasza morderczyni jest w okresie rui.

To uniosło jeszcze wyżej moje brwi.

- To dlaczego zabija swoich partnerów? To raczej jest zwyczaj pająka, a nie kota, prawda?

Uśmiechnął się. To był miły uśmiech, uśmiech, który rozświetlił całą jego twarz.

- Może tak naprawdę ją rozczarowali.

- W takim razie miejmy nadzieję, że jej przyszłe randki podciągną się trochę bardziej w swojej technice. – Albo złapiemy ją zanim te randki się wydarzą. Przemoc w jej atakach wydawało się, że się nasila, i naprawdę nie chciałam sobie wyobrazić, co może zrobić następnemu facetowi. – Tutaj też mamy świadka?

- Henry Rollins jest tym panem, który go znalazł. Czeka w głębi magazynu, jeśli chciałabyś z nim rozmawiać. Jest także inny potencjalny świadek, ale lepiej będzie jak pozwolisz Kade'owi się nim zająć.

Uniosłam brwi.

- Dlaczego?

- Bo jest pijany jak szewc i śmierdzi wymiocinami. – Jego spojrzenie napotkało moje, niebieskie oczy zamigotały. – Wszyscy wiemy, jaki masz delikatny nosek.

- Dzięki. Tak myślę.

Odwróciłam się i poszłam na zaplecze sklepu, ale zrobiłam tylko trzy albo cztery kroki, kiedy w końcu przyjechał Kade. Nie musiałam nawet go widzieć, żeby

wiedzieć, że tu jest – jego czysty, męskiego zapach obezwładnił prawie wszystkich w pokoju.

- No zjawiasz się na czas – powiedziałam łagodnie nad ramieniem.

- Hej, musiałem zatrzymać się na kawę.

- Dla wszystkich, mam nadzieję – zauważył Cole.

- Nie sądzę, żeby wam chłopcy wolno było pić podczas pracy. Bo gdybyście czasem rozlali, etcetera.

Uniosłam wskazujący palec i spróbowałam być sroga, pomimo uśmiechu wpływającego na moje wargi.

- Skoro nie przyniosłeś nam kawy, możesz wyjść na zewnątrz i przesłuchać świadka, którego zatrzymały gliny.

- O rany, czy apodyktyczność jest w genach wilków, czy co?

- Tak – powiedzieliśmy razem Cole i ja, a potem podzieliliśmy uśmiech. Muszę powiedzieć, że podobała mi się ta zrelaksowana wersja Cole'a, o wiele bardziej niż ten ponurak, którego spotkałam kilka miesięcy temu. Chociaż może otwierał się coraz bardziej, ponieważ poznaliśmy się trochę lepiej dzięki naszym słownym potyczkom w trakcie pracy.

Ruszyłam ponownie do magazynu z tyłu. Musieli mieć też niewielką kuchnię, bo poczułam zapach kawy. I to nie taką z najwyższej półki, jeśli można było ją określić na podstawie zapachu. Albo to ekspres do kawy potrzebował dobrego czyszczenia.

Ale pod zapachem niemal spalonej kawy, wyczułam inne zapachy. Skóry i mężczyzny i delikatniejszy zapach pomarańczy i jaśminu.

A jeszcze pod nimi, zapach, który wzburzył moją wilczą duszę.

Kota.

Był bardzo słaby, ale był. Nasza morderczyni z pewnością wtedy przechodziła, jednak zapach nie był na tyle silny, żeby zasugerować, że wciąż tu jest.

Minęłam najpierw glinarza – wysokiego mężczyznę z blond włosami opierającego się niedbale o jedną z półek. Wyprostował się, gdy się zbliżyłam.

- Departament?

Kiwnęłam głową, patrząc za niego i pokazując mu swoją odznakę. Rollins siedział skulony na kuchennym krześle, blade ręce zawinął wokół kubka z kawą.

- Czy pan Rollins coś powiedział?

Gliniarz potrząsnął głową.

- Dałem mu kawę, żeby uspokoić jego nerwy.

- Dzięki. – Przepisnęłam się obok niego i podeszłam do Rollinsa. Nie zareagował, więc przycupnęłam przed nim. – Panie Rollins? Obawiam się, że muszę zadać panu kilka pytań.

Popatrzył na mnie, w jego brązowych oczach był strach.

- Widziałem ją, wiesz.

Uniosłam brwi.

- Widziałeś kobietę, która zabiła twojego szefa?

- Tak, była z nim w frontowym oknie, kiedy przyjechałem, więc tak, sądzę, że to ona zamordowała Franka.

- A ona cię widziała?

Prychnął.

- Do diabła, tak. Przerwała i pomachała do mnie. Na jej rękach i ciele była rozmazana krew.

- Więc była naga?

Kiwnął głową.

Nie tylko zabójczyni, ale też bezwstydnica, która najwidoczniej nie przejawiała żadnego strachu, że zostanie złapana.

- Gdzie wtedy stałeś?

- Niemal na środku ulicy, trochę wstrząśnięty. To znaczy, nie co dzień widzisz swojego szefa i laskę uprawiających seks w oknie.

Nie, raczej nie.

- Tylko ty jedyny na to patrzyłeś?

- Był jeszcze jakiś pijak. – Wzruszył ramionami. – Ruch uliczny tylko przemyka. Ktoś nawet by mnie potrącił. Ludzie w samochodach ogólnie nie zwracają za dużo uwagi na to, co dzieje się wokół nich.

A nawet, gdyby spostrzegli nagą kobietę, czy tak naprawdę by w to uwierzyli? Czy raczej pomyśleliby, że to manekin?

- Co się stało potem?

- Zeskoczyła z wystawy i, jak sądzę, poszła na tył sklepu. W sklepie nie paliły się żadne światła, więc nie mogłem być pewny, ale absolutnie nie wyszła frontem.

- Wszedłeś do sklepu?

Potrząsnął głową.

- Wezwałem gliny i czekałem od frontu. Skoro mogła zabić Franka – bo on nie odpowiadał na moje walenie w okno, więc założyłem, że nie żyje – nie chciałem ryzykować i stanąć z nią twarzą w twarz. To znaczy, jestem połową Franka.

Mądry facet. Odczekałam aż nie wziął łyka kawy, a potem zapytałam.

- Czy jest tutaj jakieś inne wyjście poza głównymi drzwiami?

Potrząsnął głową.

- Tylko okno nad nami.

Popatrzyłam w górę. Omawiane okno mogło mieć jakieś pół metra kwadratowych i nie było wystarczająco duże dla kobiety, ani kota wielkości tygrysa, żeby się przez nie przedostać. Ale zasuwka była odsunięta, a kobieta zniknęła, więc to musiał być jej punkt wyjścia.

Co znaczyło, że musiała być zmienną, która mogła zmienić rozmiar swojej bestii. Interesujące.

- Czy widziałeś ją wystarczająco dobrze, żeby podać nam jej rysopis?

Kiwnął głową.

- Była wysoka i smukła, z dużymi piersiami i pełnymi ustami. Blond włosy, długie palce.

Uniosłam brwi jeszcze raz.

- Długie palce?

- Jestem pianistą. Zauważam ręce. – Zawahał się. – Jestem pewny, że ona gdzieś tutaj w pobliżu mieszka. Widziałem ją kilka razy na ulicy.

- Ale nie wiesz, jak się nazywa?

- Nie. Przykro mi.

Uścisnęłam jego rękę, a potem wstałam.

- Za chwilę przyjdzie tu inny oficer z Departamentu, żeby spisać twoje zeznania i stworzyć jej obraz, a potem odwieziemy cię do domu.

Kiwnął głową.

- Dzięki.

Zostawiłam go z jego kawą i wróciłam do głównego pomieszczenia sklepu. Cole spojrział na mnie, kiedy weszłam.

- Masz coś przydatnego?

- Widział zabójczynię, więc potrzebujemy pełnego zeznania.

- Czy jego opis pasuje do kobiety, z którą James był ostatnio widziany?

- Tylko wtedy, gdy obie miały blond włosy.

Zmarszczył brwi.

- Będzie interesująco, kiedy sprawdzę, co wykaże badanie DNA, ponieważ MO⁵ jest takie samo w obu morderstwach.

- Oprócz ilości krwi i rozmiarów zadrapań. – Podeszłam do ofiary i ukucnęłam, oglądając jego szyję. Podobnie, jak u Gerarda Jamesa, ten facet miał trzy niewielkie zadrapania koło punktu tętna. Ale dlaczego – zwłaszcza wzięwszy pod uwagę o wiele większe pazury, które zostawiły ślady na reszcie jego ciała? Przesunęłam się trochę i dostrzegłam odcisk szminki na jego wargach. Była w kolorze zaschniętej krwi - niezbyt przyjemny odcień. – Jeśli to była ta sama kobieta, to myślisz, że powinniśmy poszukać kogoś, kto może zmieniać się do wielkości jej zwierzęcia?

Cole uniósł brwi.

- To będzie coś rzadkiego.

⁵ MO to według slangu policyjnego charakterystyczny, powtarzający się sposób działania przy przestępstwie

- Ale są wilki, które mogą zmieniać swoje ludzkie postacie, więc dlaczego nie może być zmienny, który zmienia swoją zwierzęcą?

- Nie wiem. Zrobię badania i zobaczę, co z tego wyniknie.

- Dobra. – Wstałam. – Sądzę, że ona uciekła przez tylne okno. Pójdę na tyły i sprawdzę, czy pochwycę jakiś jej ślad.

Cole kiwnął głową, oczywiście nie zwracając już na mnie uwagi, ponieważ podniósł jakiś włos i ostrożnie umieścił go w torebce.

Wyszłam na zewnątrz i rozejrzałam się, dopóki nie zobaczyłam Kade'a, i dopiero wtedy podeszłam. Wyczułam pijaka zanim znalazłam się dostatecznie blisko nich, a jego nieświeży, kwaśny odór rzygowin zatrzymał mnie kilka metrów od nich. Kade spojrzał ponad swoim ramieniem, zmarszczył nos i skrzywił się, a potem wrócił do przepytывania na kilka następnych minut.

- Cóż – powiedział, gdy w końcu do mnie dołączył. – To było interesujące.

- Interesujące, ponieważ miał mnóstwo informacji, czy dlatego, że śmierdział jak zrzygany kot?

Uśmiechnął się.

- Tak naprawdę, z obu powodów. Nasza zabójczyni najwyraźniej lubi klapsy – on przysięga, że kiedy była człowiekiem, jedna z jej rąk była podobna do dużej kociej łapy.

- Co przynajmniej wyjaśnia całą tę krew i ślady pazurów. – Dotknęłam jego ramienia, próbując zignorować pragnienie popieszczenia jego ciepłej, śniadej skóry, i dodałam. – Najwyraźniej uciekła przez tylne okno. Spróbuję złapać jej zapach.

Jego kroki dopasowały się do moich, kiedy zmierzaliśmy do niewielkiej uliczki na końcu grupy sklepów.

- Powiedział również, że przy końcu sesji, wydawało mu się, że robi taką dziwną ssącą rzecz z jego ustami, bo gwałtownie wygiął się, jak w silnym bólu.

Uniosłam brew, rozbawienie szarpnęło moimi ustami, kiedy zerknęłam na niego.

- Może ugryzła go w język.

- Raczej zasugerował, że to było coś w rodzaju bólu, *O mój Boże umieram*, ale przecież był pijany jak skunks, więc kto wie, co naprawdę widział. – Wypił kawę do

dna i wrzucił kubek do śmieci. – Są takie japońskie legendy o złodziejach dusz, więc nie sądzisz, że właśnie mierzymy się z czymś w tym guście?

- To z pewnością wyjaśnialoby, dlaczego nie ma żadnych wędrujących dusz. – Cienie zgęstniały wokół nas, kiedy weszliśmy do wąskiej uliczki. – Ale w japońskich legendach, złodziejami dusz były lisy, prawda?

Wzruszył ramionami.

- Nie ma żadnego powodu, dlaczego złodziejami dusz nie mogłyby być koty.

- Racja. – To z pewnością był pomysł wart sprawdzenia.

Ostry zapach śmieci, leżących trochę zbyt długo na słońcu, zaczął wypełniać powietrze i wypierać słodki zapach żółtych róż, wychylających się zza ogrodzenia, które oddzielało uliczkę od sąsiedniego domu.

Kade przeszedł przez kałużę, a potem zapytał.

- Masz coś przydatnego ze środka?

- Cole sądzi, że to ta sama kobieta i że ona jest w okresie rui, ale opis kobiety od naszych innych świadków, który mamy, nie bardzo pasuje do kobiety, z którą Gerard James był najwyraźniej ostatnio widziany.

- A to niczego nie wyklucza. Mogła mieć na sobie perukę, szkła kontaktowe, albo coś podobnego. Mój świadek najwyraźniej nie był wystarczająco blisko, by zauważyć tego typu rzeczy.

- Mój także.

- Czy miał te małe zadrapania na boku szyi, tak jak James?

Kiwnęłam głową i przekroczyłam przez inną kałużę o słonawym wyglądzie.

- W tym samym miejscu, tej samej wielkości.

- W takim razie to jest nasza stała. Tylko, z jakiego powodu, ona oznacza swoje ofiary.

- I czy robi to przed, czy potem? Wiesz co, przy całej tej krwi w tym morderstwie, nie wydaje się, żeby z tych zadrapań pochodziła jakaś krew. Mimo, że to były otwarte, niezagojone rany.

- Może to jest jakiś dziwny sposób na sprawdzenie ich, zanim zabije. – Wzruszył ramionami. – Nie będziemy tego wiedzieć na pewno, dopóki nie złapiemy tej suki.

- Koty to królowe. Tylko psy są sukami.

Prychnął łagodnie.

- Skoro przybiera kobiecą, człekopodobną formę, w takim razie metka suki do niej pasuje. Wierz mi, mieszkam z całą ich gromadą.

Uśmiechnęłam się kpiąco.

- A mi przedstawiasz obrazek jednej, dużej szczęśliwej rodziny.

- Oh, jesteśmy tacy. Ale tam, gdzie jest grupa kobiet, sukowatość zawsze się znajdzie. Jestem pewny, że to jest część żeńskiego DNA, tak jak umiejętność wywęszczenia czekolady obojętnie gdzie jest schowana.

- Możesz mieć rację. – Doszliśmy do końca linii sklepów i weszliśmy do uliczki za nimi. Stało tu kilka samochodów, stłoczonych na małej przestrzeni, zostawiając tylko tyle miejsca, żeby przejść między nimi a murem. Żaden ze sklepów nie miał tylnych wejść, co było niezgodne z przepisami przeciwpożarowymi. Nawet sklepy będące na liście zabytków – chociaż nie sądziłam, że takie tu są – musiały mieć wyjście ewakuacyjne. Może właściciel zapłacił komuś pod stołem, żeby uniknąć ich zainstalowania.

Zatrzymałam się pod oknem naszego sklepu i popatrzyłam do góry. Słońce jeszcze nie weszło na tę ścianę, więc cegły wciąż były wilgotne od wczesno-porannej rosy. Małe ślady łap był doskonale widoczne w wilgotnej ziemi pod ścianą zanim zniknęły.

- Z pewnością wyszła tędy – zauważył Kade, zerkając na mnie. – Myślisz, że możesz ją wytropić?

- Wkrótce zobaczymy. – Zdjęłam kurtkę i sweter, które mu wręczyłam, a potem wezwałam moją magię z głębi duszy.

Energia zawirowała wokół mnie, przeze mnie, zmieniając mnie w postać, która była ze mną od okresu dojrzewania. W postać, która była częścią mnie w sposób, w jaki kształt mewy – nieważne jak wygodna w końcu okazała się być – nigdy nie będzie.

Dla mojego wilczego nosa, świat ożywił się z miriadami zapachów i dźwięków. Pokłusowałam do przodu, uwielbiając odczucie zimnej wilgoci pod moimi łapami i

grę słońca na moim futrze. Faktura powietrza była gęsta i bogata i, po przesortowaniu wszystkich różnych, wspaniałych zapachów, znalazłam ten, który chciałam.

Kota.

Ale był zmieszany z zapachami pomarańczy, jaśminu i człowieczeństwa. Umknęła w ludzkiej postaci, nie kociej. Co było dziwne, ponieważ jej kocia postać byłaby mniej zauważalna.

Ale to sprawiło, że jej ślad był łatwiejszy do wytopienia.

Z nosem przy ziemi i ogonem do góry, podążyłam za nim, lawirując między samochodami i wychodząc na główną uliczkę. Z Kadem, towarzyszącym mi jak cień, i z jego mocnym, bogatym zapachem drażniącym moje zmysły, pobiegłam z powrotem tą uliczką, którą przyszlismy, przeskakując przez kałużę zanim znalazłam się na głównej ulicy.

Zapach zawirował, jakby moja ścigana tu czekała i obserwowała przez chwilę przebieg wydarzeń, a potem poszła dalej. Pobiegłam ulicą, idąc tropem na drugą jej stronę, minęłam kilka domów, a potem skręciłam w inną ulicę. Zapach doprowadził mnie w końcu do jednego z domów.

Zatrzymałam się przy furtce i poczekałam, aż Kade mnie dogoni. Dom był mały, ceglany, co sugerowało, że prawdopodobnie kosztował majątek pomimo faktu, że nie wyglądał na wystarczająco duży, by pomieścić coś więcej niż tylko niewielką sypialnię i przedpokój. Frontowe podwórko praktycznie nie istniało, ale było utrzymane w porządku, obsadzone słodko pachnącymi różami i obfitymi krzakami lawendy.

Rozejrzałam się, kiedy zbliżył się Kade i wtedy uderzyłam w furtkę moją łapą. Otworzyła się bez jednego skrzygnięcia, a potem razem skierowaliśmy się do frontowych drzwi. Zapach kota stał się silniejszy, ale zmieszany był z tym metalicznym cierpkim zapachem krwi i nowej śmierci.

Nie znowu, pomyślałam i zmieniłam się z powrotem w człowieka. Bez jednego słowa, skinęłam Kade'owi, żeby obszedł dom, a potem uniosłam dwa palce. Kiwnął głową i przeskoczył boczny płotek, znikając szybko i cicho. Rzuciłam okiem na mój zegarek, odczekałam dwie minuty, a potem ramieniem trzasnęłam w drzwi. Mogły mieć jakieś zamki, ale nie miały szans w obliczu zdecydowanego wilkołaka. Drzwi uderzyły z hukiem o ścianę, wgniatając tynk i wzniecając kurz.

- Departament – krzyknęłam. – Wychodzić z rękami uniesionymi w górę.

Rozdział 5

Nikt nie pofatygował się otworzyć drzwi, ale stukanie maleńkich pazurów o wyfroterowaną podłogę sugerowało, że nasza ścigana z pewnością mnie usłyszała. Pobiełam korytarzem, podążając za dźwiękiem uciekających kroków, próbując zignorować narastający zapach śmierci i skoncentrować się na zapachu kota.

Mając nadzieję, że biegnie prosto do tylnych drzwi, w ręce czekającego tam Kade'a.

Korytarz przebiegał wzdłuż całej długości domu i kończył się w pomieszczeniu kuchennym. Okna znajdowały się na tylnej ścianie, wpuszczając strumienie słońca i napełniając białe pomieszczenie ciepłem, którego inaczej by tam nie było. Przez te okna nie widziałam w ogrodzie Kade'a, ale wiedziałam, że jest blisko, czekający i gotowy.

Rozejrzałam się po pokoju, szukając kota, i zobaczyłam mignięcie czarnego ogona tuż przed tym zanim zniknął w innych drzwiach. Pobiełam za nim, słysząc jakieś skrzypiące odgłosy i miękkie tąpnięcie, i wparowałam tam akurat w momencie, by zobaczyć jak niewielkie okienko w pralni się zamyka. Sekundę później wpadłam na pralkę, zostawiając olbrzymie wgniecenie w nieskazitelnej metalowej obudowie. No cóż, nie zrobiłam kolanami nic dobrego.

Przekląłam, a potem rzuciłam się – trochę kulejąc – do tylnych drzwi i energicznie je otworzyłam.

Kade był niczym więcej jak ciepłą czerwono-czarną niewyraźną plamą, która przeskakiwała przez ogrodzenie na podwórko sąsiada. Zmieniłam mój kształt jeszcze raz i podążyłam za nimi, brzuchem owal nie ocierając się o szczyty drewnianych desek.

Jednak Kade zniknął. Wciągnęłam powietrze, znajdując zarówno jego zapach, jak i kota, i pobiegłam za nimi – przez trawnik i nad innym ogrodzeniem. Kade stał na środku następnego podwórka, z rękami na biodrach, a jego twarz wyrażała frustrację.

Chwilę później, zrozumiałam dlaczego. Zapach kota pomnożył się i ten, za którym goniliśmy, nie był dostatecznie silny, by wybić się spośród zapachów pół tuzina

innych kotów, utrzymujących się teraz w powietrzu i na ziemi. Przeklełam paskudnie i węsząc wkoło miałam nadzieję złapać ten trop jeszcze raz. Zamiast tego, znalazłam kota białego i pręgowanego, a żaden z nich nie ucieszył się na mój widok – demonstrując ten fakt w sposób, w jaki robią to koty, przykucając i sycząc na mnie. Trzymałam się z dala od ich ostrych pazurów, kontynuując poszukiwania w ogródku i za starą szopą, ale nic nie znajdując.

Zmieniłam się z powrotem w człowieka.

- Cholera, zgubiliśmy ją.

- Na to wygląda. – Kade przeczesał ręką swoje spocone, ciemne włosy. – Nawet nie widziałem jej zbyt dobrze, żeby zatrzymać ją kinetycznie.

Zmarszczyłam brwi.

- Musiała poruszać się naprawdę szybko, skoro nie mogłeś jej unieruchomić. Możesz przecież unieruchomić wampiry, gdy są niewyraźną plamą, prawda?

- Tak, ale zazwyczaj zdradza je ślad ich emocji. W jej przypadku nie było niczego takiego. – Spojrzał na mnie. – Zauważyłaś ją chociaż?

- Tak. Jej zwierzęca postać jest czarna, ale najwyraźniej może zmieniać wielkość swojego kota, ponieważ to, co teraz goniliśmy, nie jest tym, co zabiło tego faceta w oknie wystawowym. Cole uważa, że jej ręce są przynajmniej wielkości tygrysa.

Kade zmarszczył brwi.

- Nie sędzę, żeby było możliwe, u zmiennych czy wilkołaków, zmienianie wielkości swojego zwierzęcia, nie mówiąc już o częściowej zmianie.

- No cóż, aż do niedawna nie myślałam, że istnieje wataha wilków, która może zmieniać swoją ludzką postać, więc kto wie, co jeszcze żyje na tym świecie? – Wzruszyłam ramionami i poprawiłam stanik. Na szczęście, dziś rano założyłam jeden z lycrowych, a nie koronkowych, który w efekcie dość dobrze zniósł moje zmiany i nadawał się do noszenia. Co znaczyło, że z pewnością będę musiała kupić więcej takich do pracy. Bieganie w staniku było zdecydowanie o wiele lepsze niż bieganie bez niego.

- Lepiej tam wróćmy i sprawdźmy co – albo kto – umarł w tym domu.

- Nasza zmienna najwyraźniej zabija te kobiety, żeby przybrać ich tożsamości, co znaczy, że ona prawdopodobnie jest, przynajmniej na początku, bardzo do nich podobna.

- Niekoniecznie. Prawdopodobnie może zmieniać swój ludzki kształt równie dobrze, jak zwierzęcy. Przecież, jej kot jest czarny, a świadkowie twierdzą, że była blondynką. – Wzruszyłam ramionami i przeskoczyłam z powrotem przez ogrodzenie. – Albo ona w ogóle nie jest zmienną. Może jest czymś zupełnie innym.

- Ale w co jeszcze może się zmienić?

- Kto wie? – Bo skoro można było wezwać ducha starożytnego boga śmierci w nasze czasy, żeby po raz kolejny siał spustoszenie, to można się było zastanowić, co jeszcze tu było.

Albo, co jeszcze można było wezwać.

Chłód przemknął po mojej skórze, więc potarłam ramiona. Kade musiał dostrzec ten ruch, ponieważ rzucił mi mój sweter. Wciągnęłam go z wdzięcznością, a potem założyłam kurtkę. Jednak ubranie się, nie ukończyło tego chłodu.

Nasze kroki odbiły się echem po cichym domu, kiedy weszliśmy do korytarza. Zapach śmierci dochodził z pierwszego pokoju, a moje kroki coraz bardziej zwalniały im byliśmy bliżej. Widziałam wystarczająco dużo krwawych jatek i morderstw przez ostatni rok – miałam nawet w nich swój sprawiedliwy udział – ale nigdy nie przychodziło mi spokojnie stanąć z nimi twarzą w twarz.

Miałam nadzieję, że nigdy tak się nie stanie.

Miałam nadzieję, że jakaś część mnie, nadal będzie opłakiwać bezsensowne niszczenie niewinnych istot, które nawiedzają moje dni – i noce – tak długo, jak będę wykonywać tę pracę. Ponieważ to będzie znaczyło, że nie stanę się moim bratem, nie stanę się bezmyślną maszyną do zabijania, jaką czasami był, i jaką Jack chciał, żebym była.

Weszliśmy do pokoju. Duże łóżko dominowało w tej małej przestrzeni. Tak, jak reszta domu, wszystko było białe – tylko, że tu, jej blask został zmaćcony ciemnymi czerwonymi plamami zdobiącymi ściany, narzutę i dywan obok łóżka.

I podobnie, jak ta kobieta, którą znalazłam wczoraj, ta też leżała na pół rozebrana w poprzek łóżka. Koronkowy stanik zwisał z kikuta jej ramienia, a tułów był

poznaczony krwawymi cięciami. Cięciami zrobionymi przez coś większego niż ten średniej wielkości czarny kot.

- Chryste – powiedział Kade. – Prasa to pokocha. Najpierw James, potem jego kochanka, a teraz następna członkini znakomitości z Toorak.

- Prasa niczego nie dostanie, jeśli tylko Jack będzie miał tu coś do powiedzenia. Sprawę, że skupię się na Jamesie.

- Prasa ma nosa do takich rzeczy.

- A Jack ma doświadczenie w ich hamowaniu.

Kade coś mruknął, ale czy to była zgoda, czy nie, nie miałam pojęcia.

- Nie żyje już od dość dawna. – Zatrzymał się obok ciała i spojrzał na nią. – Dlaczego ta kotka wróciła do tego domu, skoro użyła już twarzy tej kobiety i wiedziała, że była widziana?

Wzruszyłam ramionami.

- Biorąc pod uwagę fakt, że prawdopodobnie mamy do czynienia z nieracjonalnym umysłem, może ona po prostu myślała, że nie odnajdziemy jej tak łatwo.

Zatrzymałam się przy nim. W odróżnieniu od jej ciała, twarz kobiety była nienaruszona, ale chwile jej męki widać było w jej zastygłym wyrazie. Moje spojrzenie przesunęło się jej usta i zmarszczyłam brwi.

- Czy to szminka? – Pochyliłam się niżej, żeby to zbadać. Smród śmierci i rozpadu górował nad metaliczną wonią krwi, ale zapach kota i ten niewyraźny, pomarańczowo-jaśminowy, aromat też był wyczuwalny.

- Gdzie? – zapytał Kade.

Wskazałam palcem na smugę czerwieni na górnej wardze kobiety.

- Wygląda na to, jakby ktoś, kto miał uszminkowane usta, ją pocałował. Ten facet od butów miał taki sam kolor na swoich wargach.

- Więc pocałowała tę kobietę zanim ją zabiła, a potem ukradła jej tożsamość i zabiła tego faceta od butów. Może faktycznie mamy do czynienia z jakimś rodzajem wysysaczem dusz. – Oglądał przez dłuższą chwilę jej usta, a potem odsunął się i rozejrzał. – Ogromnie dużo strachu wisi w tym pokoju. Strachu i gniewu.

- Gniewu? – Uniosłam brwi. – To samo źródło, czy inne?

- Gniew jest starszy. Głębszy. – Zmarszczył brwi. – Kiedy wyczułem to w biurze Jamesa, było starożytne i potężne. Teraz wydaje się być jeszcze gorsze.

Byłam zadowolona, że chociaż *on* coś wyczuwał, bo ja ani trochę. I tak naprawdę, zaczynało mnie już to wkurzać. Cztery morderstwa i ani jednej duszy, która gdzieś by została? Należało przyznać, że kobieta, którą wczoraj znalazłam, nie żyła już od dłuższego czasu, więc mało prawdopodobne było, żeby jej dusza wciąż tam była, ale u trzech innych powinnam *coś* wyczuć. Do diabła, życzyłam sobie więcej niż raz, żeby podczas oglądania miejsca morderstwa, nie wyczuć zmarłego, ale rzeczywistość tych zdarzeń drażniła mój radar. Coś tu było bardzo nie w porządku.

I, przynajmniej te kocie zabójstwa, faktycznie sugerowały, że spotkaliśmy się ze swego rodzaju wysysaczem dusz.

Gęsia skórka pojawiła się na mojej skórze. Oparłam się pragnieniu potarcia ramion i powiedziałam.

- A więc nasza morderczyni w jakiś sposób zdobywa moc, za każdym razem jak zabije?

- Według mojego zdania tak. – Jego spojrzenie napotkało moje. – Co oznacza, że musimy ją złapać zanim stanie się zbyt potężna.

- Skoro poradziłam sobie z bogiem śmierci, to poradźmy sobie i z tym. Czymkolwiek jest. – Ale chciałam zabrzmieć trochę bardziej zdecydowanie. – Jednego tylko nie rozumiem, dlaczego ona najpierw oznacza swoje ofiary. Chodzi mi o to, po co zawraca sobie głowę tymi trzema niewielkimi nacięciami, skoro zamierza ich potem paskudnie pociąć, a nawet wyrwać ramię? I dlaczego zrobiła to tej kobiecie i temu facetowi od butów, a nie Jamesowi i tej pierwszej kobiecie?

- Może to jest jakiś rodzaj testu, który rozwija się w coś bardziej agresywnego. – Jego spojrzenie omiotło ciało kobiety, a wstręt mignął w jego ciepłych oczach. – Ona nie tylko ją pocięła. Także ugryzła.

Mój żołądek zrobił dziwny skręt.

- Co?

- Tutaj. – Wskazał na miejsce obok lewej piersi kobiety. Skóra została rozerwana i można było zobaczyć kuleczki tłuszczu i ciała. – To nie są ślady po pazurach. To zęby.

- Dlaczego, do diabła, miałyby teraz zjadać ciało, skoro nie robiła tego wcześniej?

- A jaki jest najlepszy sposób na to, żeby wywołać strach, niż zjedzenie kawałka swojej ofiary? – Wzruszył ramionami. – Wydaje się, jakby stawała się coraz bardziej brutalna z każdym popełnianym morderstwem, więc może to jest jakaś część tej eskalacji.

Zadrzałam na tę myśl. Nie chciałam nawet myśleć o wyglądzie następnej jej ofiary, jeśli szybko jej nie powstrzymamy.

- Jeśli to jest ślad po ugryzieniu, w takim razie musiała być w swojej mniejszej postaci. Bo przecież nikt – nawet człowiek – nie będzie stał bezczynnie i pozwalał, żeby kot pożywiał się na jego ciele. Poza tym, ta kobieta została zaskoczona w trakcie ubierania – trudno byłoby kotu podkraść się i ją ugryźć zanim kobieta by zareagowała.

- Nie wiemy, jakie jeszcze inne umiejętności posiada, oprócz tej umiejętności zmieniania swojego kształtu i wielkości.

To była prawda. Rzuciłam okiem na zegarek i przeklełam cicho. Byłam już spóźniona na spotkanie na kawę z Benem.

- Posłuchaj, muszę iść pogadać z takim jednym facetem o innym psychopatycznym mordercy. Chcesz do niej wezwać zespół sprzątający?

Kiwnął głową.

- Potem, pójde pomówić z sekretarką Jamesa, by sprawdzić, czy miał jakieś powiązania z tymi dwiema kobietami.

- Nawet gdyby miał, to jakie oni mieliby powiązania z tym facetem od butów? – Chociaż łatwo można było sobie wyobrazić, że obie kobiety kupowały tam buty, ale bardzo wątpiłam, żeby James był typem, który nosił obcasy.

- Z politykami nigdy nic nie wiadomo. – Wyciągnął rękę i pstryknął mnie lekko w nos. – Dobrze się z tobą pracuje, nawet jeśli nie możemy się kochać.

Uśmiechnęłam się.

- Mnie również. Tylko bądź ostrożny, bo kot czasem może wrócić i zdecydować, że urządzi sobie z ciebie posiłek.

Jego ciepłe, brązowe oczy zamigotały psotnie.

- To nie byłby pierwszy raz, kiedy kobieta zdecydowałaby się mnie zjeść.

- Tak, ale ta bierze coś więcej niż tylko funt ciała ze sobą. Jestem pewna, że nie spodobałoby ci się to.

- Nie, i żadnej z moich klaczy.

- No nie wiem – odparłam, starając się mówić tonem zadumy, a nie rozbawienia, ale niestety mi się to nie udało. – Założę się, że Sable, która musi już być w mocno zaawansowanej ciąży, przeklina teraz ten funt lub dwa twojego ciała i ma nadzieję, że zniknie na jakiś czas.

- Bez wątpienia – powiedział z uśmiechem. – Ale kiedy ponownie będzie w rui, to już będzie inna historia.

- Wiesz, ona nie jest maszynką do rodzenia dzieci,.

- Ona jest klaczą. I one to właśnie robią.

To tyle, jeśli chodzi o postępowy świat zmiennych koni. Potrząsnęłam głową i wyszłam.

Dzięki porannemu korkowi, dostanie się na Lygon Street zabrało mi blisko trzydzieści minut. Miejsce do parkowania trudno było znaleźć jak zawsze, więc gdy weszłam do *Chiquity*, byłam dobre piętnaście minut spóźniona. Kawiarnia była bardziej przytulna, niż krzykliwa w swoim wystroju, zapełniona intymnymi stolikami i siedzeniami, które owijały się wokół ciebie i dawały wrażenie prywatności. W dalekim końcu pomieszczenia był jeden z tych kominków, który wyglądał, jakby był na drewno, ale tak naprawdę był na gaz, więc powietrze było wystarczająco ciepłe, by prawie natychmiast przepędzić ten chłód z mojej skóry.

Nigdzie nie zauważyłam Bena, ale chwilę później wstał i pomachał. Nie mogłam powstrzymać uśmiechu, który wypłynął na moje wargi. Do diabła, wyglądał świetnie.

Miał na sobie dzinsy, które dopasowały się do jego silnych nóg i podkreślały mocny zarys mięśni. Rękawy jego czerwonej koszuli były podwinięte do łokci i uwydatniały nie tylko szerokość jego ramion, ale także intensywność jego czarnej skóry.

Uśmiechnął się, gdy nasze spojrzenia się spotkały, a białe zęby błysnęły jasno w mroku. Moje hormony wykonały kilka podekscytowanych podskoków. Mogłam skorzystać z przypadkowych okazji przez kilka ostatnich miesięcy, ale ten facet sprawiał, że musiałam zrewidować moje opcje.

Albo może byłam po prostu gotowa wrócić ponownie do polowania. Być może jeszcze czułam ból po zerwaniu z Kellenem, ale ta przerwa przynajmniej dała mojemu zranionemu sercu czas na uleczenie.

Może byłam już gotowa na wejście do gry, nawet gdybym nie miała zamiaru ciągnąć tego dłużej niż na chwilę.

Oczywiście, znając chore poczucie humoru przeznaczenia, to prawdopodobnie uważało, że teraz jest doskonały czas na dorzucenie mi do tego wszystkiego partnera duszy.

Jeśli on już tak naprawdę nie odszedł, wyszeptał mały głosik.

Wrzuciłam tę myśl do pudła, gdzie było jej miejsce, a potem pozwoliłam uśmiechowi uznania zaigrać na moich wargach.

- Ładnie wyglądasz dziś rano – powiedziałam, rzucając torebkę na siedzenie zanim uniosłam się na palcach i pocałowałam jego policzek. Miło było poczuć jego skórę pod wargami – ciepłą i nieznacznie szorstką od zarostu – a jej smak był lekko piżmowy. To było kuszące, bardzo kuszące, by nadal go całować i smakować, ale nie po to tu przyszłam. Nieważne, co moje hormony nagle sobie wymyśliły.

- A ty wyglądasz na trochę wykończoną. – Z ciepłymi rękami na każdym moim ramieniu, cofnął się trochę i popatrzył na mnie krytycznie. – Miałaś ciężki ranek, co?

- Tak, i suka jeszcze uciekła. – Uwolniłam się z jego lekkiego uścisku i opadłam na ławkę. Moja skóra wciąż mrowiła od gorąca jego dotyku, a część mnie chciała, bym mogła poczuć takie ciepło gdzie indziej.

Oparłam ramiona na stole i spróbowałam być rzeczowa.

- Jilli dzisiaj pracuje?

Kiwnął głową.

- Wyjdzie i porozmawia z nami podczas swojej porannej przerwy. – Zamilkł i spojrzał na zegarek. – Która będzie za mniej więcej dziesięć minut.

- W takim razie lepiej zamówmy sobie kawę. – Chwyciłam menu i przejrzałam je, chociaż wiedziałam już, co zamówię, zanim jeszcze przeszłam przez drzwi. – I mam nadzieję, że twoje kieszenie zniosą jeszcze kawałek ciasta. Pogoń za szalonymi, złych ludźmi zawsze pobudza mój apetyt.

- Wszystko, co pani chce, pani może dostać.

Uniosłam wzrok znad menu, a kiedy zobaczyłam bezczelne błyski w jego niebieskich oczach, uśmiechnęłam się.

- Myślałam, że nie uprawiasz seksu na pierwszej randce?

- Nie. Ale jeśli zabiorę cię na kolację dziś wieczorem, to będzie już druga randka. W związku z tym, wszystkie zakłady są odwołane.

Uniosłam brew, ponieważ uśmiech podrażnił jeszcze bardziej moje wargi.

- A kto powiedział, że mam ochotę zjeść z tobą kolację? Nawet nie wypiliśmy razem kawy. To wszystko może fatalnie się skończyć.

Roześmiał się. To był taki ciepły, głęboki dźwięk, który zalał szmer głosów i sprawił, że ci, siedzący najbliżej, na krótko spojrzeli w naszą stronę.

- Wilczku, pragniesz mnie tak bardzo, jak ja pragnę ciebie.

- Co nie znaczy, że cię wezmę.

Obserwował mnie przez chwilę, a potem jego uśmiech przygasł odrobinę. Nachylił się nad stołem, wyjął menu z mojej ręki i wziął w swojego duże ręce moje.

- Ktoś naprawdę bardzo cię zranił, prawda?

Łzy zakłuły w moich oczach. Odwróciłam wzrok, mrugając z wściekłością. Po tak długim czasie, to nie powinno wciąż tak boleć, prawda?

- Raniliśmy siebie nawzajem. Ostatecznie, wybrał najlepsze dla siebie rozwiązanie. I nie mogę powiedzieć, że go o to winię.

- W takim razie, nie mógł być twoim partnerem duszy.

Nasze spojrzenia znowu się spotkały. Jego ciemna twarz była pełna współczucia, co było zadziwiające, biorąc pod uwagę fakt, że zasadniczo był zupełnie obcy. Ale może był w podobnej sytuacji.

Wzruszyłam ramionami.

- Nasz związek dopiero się rozwijał, ale miłość z pewnością była jego częścią. To mogło rozwinąć się w coś więcej.

Potrząsnął głową zanim nawet skończyłam.

- To mogła być miłość – to nawet mogła być głęboka miłość – ale nie miała tej głębi właściwej dla partnera duszy. Uwierz mi.

- Mówisz to z taką pewnością. Dlaczego?

Coś bliskiego do żalu – ale bardziej głębokie, ciemne – na krótko wykrzywiło jego twarz. Nie odpowiedział natychmiast, i przez kilka minut, odgłosy kawiarni opływały nas wkoło, gdy walczył ze swoimi wewnętrznymi demonami.

- Ponieważ spotkałem moją partnerkę duszy dziesięć lat temu. – Jego głos był miękki, rzeczowy i zaskakująco wywołał dreszcz, który przeze mnie przepłynął. Tak, jakby mówił o meczu piłkarskim, a nie o jedynym wydarzeniu, dla którego żyje każdy wilk.

Gdyby jednak miał partnera duszy, nie siedziałby tutaj i robił mi niestosownych propozycji.

Prawda?

Chociaż, znalezienie partnera duszy nigdy nie powstrzymało Rhoana.

Moje spojrzenie napotkało jego. Tam w jego oczach był męka i cierpienie tak głębokie, że mogła je wywołać tylko śmierć, a czego ja nigdy nie czułam w całym moim życiu.

Uśmiechnął się – takim skrzywionym uśmiechem, który wywołał ból gdzieś wewnątrz mnie – a potem dodał.

- Straciłem ją cztery lata temu.

Ponownie obiegł mnie dreszcz. Wiąż między partnerami duszy była niewzruszona i nierozzerwalna. Na wiele sposobów była podobna do więzi między bliźniakami. Wiedziałam, kiedy Rhoan był chory, wpadał w kłopoty, czy został zraniony. Może nie byłam zdolna czytać w jego myślach, ale znałam go, rozumiałam i prawdopodobnie przez to lepiej znałam i rozumiałam też siebie. Wiąż dusz była podobna – tylko głębsza. Znacznie głębsza.

Stracić partnera duszy było jak utracenie części siebie.

- Przysięgliście sobie miłość przy księżycu?

Bo gdyby tak było, to było jeszcze bardziej niezwykle, że siedzi tu zdrowy na umyśle i cały. Zawsze słyszałam – i zawsze wierzyłam – że kiedy wiąż zostanie złożona przy księżycu, to śmierć jednego partnera oznaczała śmierć drugiego. Że jeden nie może przeżyć bez drugiego. A nawet jeśli... wynikiem tego było szaleństwo.

Ben wyglądał na niezwykle zdrowego psychicznie, jak na wilka, który stracił swoje serce i duszę.

- Nigdy nie odprawiliśmy ceremonii przy księżycu z powodu pracy. Obydwoje chcieliśmy wydostać się z pracy, ale żeby to zrobić, potrzebowaliśmy pieniędzy. A żeby zdobyć pieniądze, musieliśmy pracować.

- I żadne z was nie mogło robić czegoś innego?

Skrzywił się.

- Nic innego nie było tak dobrze płatne.

Przesunęłam ręce i ścisnęłam lekko jego palce. Te pocieszające gesty niewiele dawały, ale przecież, czy cokolwiek mogło pomóc? Ten mężczyzna stracił swoją partnerkę duszy. Nie było takich słów, takich czynów, które mogłyby zapewnić wystarczającą pociechę po takim strasznym wydarzeniu.

- Jak umarła?

Jego wargi się wykrzywiły.

- Wypadek samochodowy. Głupi, pieprzony wypadek samochodowy. I nikt, oprócz pogody, nie był winny.

- Przykro mi... – Słowa wymknęły mi się z ust zanim zdążyłam je powstrzymać. To były głupie słowa, naprawdę, ponieważ nie miały żadnego znaczenia, bo byliśmy nieznajomymi, a ja nawet nie znałam jego partnerki. Więc dodałam. – Przykro mi, że poruszyliśmy ten temat. Przepraszam, że wywołałam twoje wspomnienia...

Tak, jakby *kiedykolwiek* o tym zapomniał.

- Hej, to ja poruszyłem ten temat, nie ty. – Wzruszył ramionami i to wyglądało tak, jakby zrzucił z siebie pelerynę żalu, odkładając ją na inny dzień. Zastanowiłam się, ile czasu tak naprawdę zabiera zdobycie kontroli nad takim bólem. – A żeby odpowiedzieć na twoje pytanie, żaden wilk nie może odejść od swojego partnera duszy. To jest jak wydzieranie twojego serca i wyrzucenie go – nie możesz przeżyć, jeśli to zrobisz.

- A jednak przeżyłeś jej śmierć.

Jego śmiech był gorzko-słodki.

- Tak, przeżyłem. Ale tylko dzięki mojej kochanej, cholernie dokuczliwej siostrze.

Uniosłam brwi.

- Jak siostra cię uratowała?

- Zabroniła mi umrzeć. – Wzruszył ramionami. – Nasza wataha jest mała, a my dwoje zawsze byliśmy sobie bliscy. Myślę, że nasza więź jest jedynym powodem, że dzisiaj żyję.

Obserwowałam go przez chwilę, a potem zapytałam.

- Więc próbowałeś umrzeć?

- Oczywiście. Moje serce i moja dusza mnie opuściły. Nie miało znaczenia, że nie przysięgliśmy sobie miłości przy księżycu – ona była moim światem. Powodem do życia. Bez niej... – Wzruszył ramionami i posłał mi jeszcze raz ten rozdzierający serce uśmiech. – Tylko, że moja siostra nie chciała puścić mnie tak łatwo.

Musieli mieć jedną z tych piekielnie silnych więzi, że była zdolna wyciągnąć go z krawędzi śmierci. Bardzo wątpiłam, żeby normalna więź między rodzeństwem mogła to zrobić.

Boże, gdyby cokolwiek stało się Liander'owi, czy Rhoan wybrałby śmierć? Mieliśmy silną więź – więź tak silną jak samo życie – ale naprawdę nie wiedziałam, czy ona by wystarczyła, żebym mogła powstrzymać mojego brata. Nieważne, jak źle czasami traktował swojego partnera, Rhoan kochał Liandera każdym włóknom swojego jestestwa.

Oblizalam wargi i powiedziałam.

- Nadal jesteś blisko ze swoją siostrą?

- Przywróciła mnie z powrotem do życia. Jak mógłbym nie być po czymś takim?

Podeszła kelnerka i zamówiliśmy kawę i ciastko. Zerknęłam na zegarek, zastanawiając się, kiedy ta Jilli ma zamiar przyjść. Jack nie byłby zadowolony, gdybym tu została i gadała zbyt długo – zwłaszcza, że mieliśmy szaleńca, który zabijał ludzi.

- Ten wilk, który odszedł, – zapytał Ben po chwili, – sprawił, że myślałaś, iż był twoim partnerem duszy?

Wzruszyłam ramionami.

- To było bardziej pobożne życzenie niż cokolwiek więcej. Zależało mi na nim - bardzo zależało - ale nie byliśmy ze sobą wystarczająco długo, żeby sprawdzić, czy mogło z tego wynikać coś więcej.

- A kiedy się kochaliście?

Uniosłam brew, a rozbawienie zadrgało na moich ustach.

- Kiedy się kochaliśmy, przede wszystkim liczyła się dobra zabawa.

Rozbawienie szarpnęło pełnymi wargami Bena.

- To oczywiste dla wilka.

- To dlaczego zadałeś to pytanie?

Jego uśmiech był seksowny, jak diabli, a moje hormony wykonały kolejny mały taniec. I naprawdę, nie było mi przykro, że moje dobrowolne wyrzeczenie się seksu, wydawało się dobiegać końca. Mogłam nadal odczuwać ból, ale dlaczego miałam nadal powstrzymywać się od czegoś, co było integralną częścią tego, kim byłam?

Mogłam nie być gotowa na podanie na talerzu komuś mojego serca, ale dobra zabawa z pewnością mogła pojawić się ponownie w moim życiu.

- Zadałem to pytanie – powiedział, – ponieważ chciałem się dowiedzieć, co czułaś w głębi duszy? Oprócz podniecenia, oprócz pożądania?

Czułam mnóstwo rzeczy, gdy byłam z Kellenem, i niektóre z tych uczuć nie były całkowicie moimi własnymi. Quinn, jak odkryłam, znalazł sposób, wykorzystując zmysłowe, erotyczne sny, które dzieliliśmy, jako drogę do moich głębszych myśli, umieszczając głęboko w środku przymus, bym unikała rzeczy, którym był przeciwny. Jak wilcze kluby. I Kellen.

- To, co czułam, często zależało od tego, jak czułam się w naszym związku w danej chwili, albo co jeszcze wydarzyło się w moim życiu. Dlaczego chcesz to wiedzieć? "

- Ponieważ, kiedy pierwszy raz kochałem się z Jodie, wiedziałem, że jest tą jedyną. Moim sercem, moją duszą, moim życiem. Byliśmy nierozłączni od tej chwili.

Uniosłam brwi. Nigdy z nikim tego nie czułam. Nawet z Quinnem.

- Więc to była miłość od pierwszego spojrzenia?

Roześmiał się, tym melodyjnym głębokim tonem, który wysłał dreszcz pożądania przez moje ciało.

- Boże, nie. Wręcz przeciwnie. Pracowaliśmy ze sobą pół roku i nigdy nie nabraliśmy żadnych podejrzeń. A nasz pierwszy pocałunek był niczym więcej, jak grzecznym pocałunkiem kolegów, dzielonych na Boże Narodzenie. Tak było do czasu, dopóki nie poszliśmy ze sobą do łóżka, a wtedy wszystko się zmieniło.

A to znaczyło, że ten cały spotkanie-się-oczu-przez-zatłoczony-pokój moment, o którym marzyłam pół mojego życia, było właśnie tym? Marzeniem? Albo może to zależało tylko od samych wilków i sytuacji?

Musiałam mieć taką nadzieję. Los odebrał mi ostatnio tak wiele moich marzeń, że naprawdę strata jeszcze jednego byłaby bolesna.

Skrzyżowałam ramiona i pochyliłam się trochę do przodu. Jego spojrzenie zsunęło się w dół, pieszcząc moje piersi, a we mnie uderzyło pożądanie. Moje nozdrza się rozszerzyły, gdy wessałam powietrze, czując, jak zawirowało we mnie we właściwy sobie sposób. To było miłe, bardzo miłe, po tak długiej nieobecności.

- I do czego to było podobne? Mam na myśli ten pierwszy raz.

- No cóż, nie było żadnego chóru aniołów, jeśli tego się spodziewałaś.

Uśmiechnęłam się kpiąco.

- W obecnych czasach, myślę, że anioły mają lepsze rzeczy do robienia, niż pałętać się gromadnie po świącie, kiedy ludzie gniotą części swojego ciała.

Rozbawienie zaigrało jeszcze raz na jego ustach.

- To było bardziej jak uczucie przynależenia i pełni. Od chwili, kiedy się kochaliśmy, nie mogłem myśleć o żadnej innej, nie chciałem żadnej innej.

Z pewnością nie czułam tego z Kellenem. Ani z Quinnem, jeśli o to chodzi, chociaż między nami była więź – głęboka więź. Taka bogata i silna, niż kiedykolwiek będę mogła ją wyjaśnić. Ale czy to upewniało moje uczucia, że on nie był tym jedynym? Fakt, że odeszłam – albo raczej go odesłałam – wydawał się potwierdzać tę możliwość. Nie wspominając o tym, że nawet, gdy byliśmy razem, miałam także innych partnerów. Niewątpliwie ku jego oburzeniu, ale jednak...

- To nie było tak, jak z wami – powiedziałam w końcu. – Ale mam nadzieję, że to jest coś, do czego dorastamy.

- Nie dorastas do partnera duszy – odparł, a rozbawienie na jego wargach usłyszałam także w jego głosie. – To jest coś, co po prostu jest. Albo i nie.

- Wierz mi, nic nie jest tak proste w moim życiu.

- Miłość jest.

- Być może dla ciebie. – Podziękowałam kelnerce, kiedy przyniosła nasze zamówienie, a potem zabrałam się za gęste, brejowate ciasto czekoladowe. Które nie był tak pyszne, jak zapach dochodzący od tego dużego, siedzącego naprzeciw mnie, wilka, ale jednak pozostało wierne standardom tego miejsca.

- A jak sobie radzisz obecnie z seksem i randkami? – zapytałam.

Wzruszył ramionami.

- Zawsze będę miał pustkę w głębi mojego serca i żadna ilość kochania się nigdy jej nie wypełni. Ale jestem wilkołakiem i seks nadal jest cholernie dobry. – Uśmiechnął się do mnie szeroko, a to było tak seksowne, że moje wnętrzości niemal się roztopiły. – Mogę ci zademonstrować jak jest dobry, jeśli chcesz.

- Wiesz co, – odparłam zadowolona, że mój głos zabrzmiał sucho, a nie chropawo od podniecenia, które buzowało w moim wnętrzu, – chociaż lubię trochę ekshibicjonizmu, to jednak tutaj jest trochę zbyt publicznie, jak dla mnie.

Roześmiał się – głęboko i zmysłowo.

- No cóż, nie miałem na myśli tutaj i teraz.

- Cieszę się. – Czas, pomyślałam, odmienia sprawy. – Miałeś jakieś wiadomości od Ivana?

Wypił łyk kawy, a potem powiedział.

- Tak. Wypisał się dziś rano ze szpitala.

Zmarszczyłam brwi.

- Czy to rozsądne? Ten wampir wciąż tam jest, a Ivan wciąż może być celem.

- On chyba myśli, że najgorsze już minęło. – Ben wzruszył ramionami. – Powiedział, że Vinny będzie go chronić.

Prychnęłam.

- Vinny sprzeda go, jako pierwsza. Dlaczego nie miałyby zrobić tego jeszcze raz?

- Wierzy, że za bardzo go ceni, żeby wpuścić ponownie tego wampira.

- Jeżeli w to wierzy, to jest idiotą. – Vinny była głodna zarówno władzy, jak i bogactwa, i nie sądziłam, żeby była szczególnie wybredna w tym, jak zdoła to zdobyć.

Wzruszył ramionami, a potem popatrzył za mną.

- Ah, idzie.

Okręciłam się. Zbliżająca się kobieta była normalnie zbudowanym wilkiem, ale biorąc pod uwagę fakt, że prawdopodobnie miała nie więcej niż metr sześćdziesiąt, zaliczała się do tych małych. Ale emanowała autorytetem, a jej brązowe oczy posiadały ten rzeczowy błysk.

Pocałowała Bena lekko w policzek, a potem jej spojrzenie spoczęło na mnie.

- Riley Jenson, jak się domyślam?

Kiwnęłam głową i wyciągnęłam odznakę z torebki, żeby jej pokazać.

- Ben prosił mnie o pomoc, żebym dowiedziała się, dlaczego zmarł twój kochanek Denny.

- Tak, powiedział mi o tym.

W jej oczach coś błysnęło, coś na kształt smutku. A potem zniknęło, zastąpione przez trzeźwy blask. Jilli może była smutna po śmierci swojego kochanka, ale nie pozwoliła, żeby to powstrzymało ją od dbania o codzienny interes. Jack pokochałby jej nastawienie.

- Powiedz mi, wiesz, czy miał jakiś wampirzych kochanków?

Małe linie zmarszczek na krótko zburzyły jej gładkie czoło.

- Nie wśród tych, o których wiedziałam. Ale też byliśmy kochankami dopiero od kilku tygodni.

- A w klubach? Do których najczęściej chodził?

- Do wszystkich. Szczególnie do tych podziemnych.

Uniosłam brwi i rzuciłam okiem na Bena.

- Wciąż są jakieś podziemne wilcze kluby?

- Dla ludzi, którzy mają podobne seksualne potrzeby jak Denny. Takie rzeczy ogólnie są niedozwolone w legalnych klubach.

Co znaczyło, że to są miejsca, gdzie nie chciałam bywać – chociaż mogłam, gdybym znalazła tam odpowiedzi. Spojrzałam z powrotem na Jilli.

- Kiedy ty i Denny ostatnio uprawialiście seks?

- Tej nocy, kiedy umarł.

- A więc to ciebie wyczułam na prześcieradle? – Moje spojrzenie przesunęło się na jej szyję, kiedy to mówiłam, ale miała na sobie golf.

- Tak, ale miał się doskonale, gdy wychodziłam. – Pociągnęła nosem. – Tak naprawdę, to spał.

Jej ton wydawał się sugerować, że nie był zbyt wytrzymały, więc oparłam się pragnieniu uśmiechu.

- I nic więcej nie możesz mi powiedzieć? Nic, co powiedział, albo zrobił, nie wydawało ci się dziwne?

- Nie. – Zawahała się. – Narzekał tylko, że jest śledzony.

Uniosłam brwi.

- Kiedy?

- Tej nocy, kiedy umarł. Powiedział, że zauważył jakiegoś patykowatego gościa, który śledził go kilka razy. Chciał pokazać mi go poprzedniej nocy, ale nie mogłam go zobaczyć.

Patykowaty – napastnik Ivana też był taki. Co potwierdzało, że zapach, który był w obu mieszkaniach, i wyglądało na to, że mój zmysł węchu jest bezbłędny, pochodził od tego samego napastnika.

- Uwierzyłaś, że był śledzony?

Zawahała się.

- Denny nie bawił się w ten sposób. Gdy powiedział, że jest śledzony, to tak, uwierzyłam mu. – Zerknęła na zegarek. – Czy to wszystko?

- Tak. Dzięki.

Kiwnęła głową i odmaszerowała do pracy.

- Denny nigdy mi o czymś takim nie wspominał. – powiedział ciężko Ben.

- Zastanawiam się, czy wspomniał o tym policji? – I zastanowiłam się, czy zrobiła to Jilli. Powinnam była zapytać, ale przypuszczałam, że jeśli powiedziała będzie to w raporcie. Napiałam się kawy, a potem dodałam. – Czy Ivan odwiedzał podziemne kluby?

- Nie. Ivan jest bardzo pruderyjny, jeśli o to chodzi.

- W takim razie, prawdopodobnie nie ma tu żadnego związku. – Obserwowałam go przez chwilę, a potem powiedziałam. – A ty?

Rozbawienie zaświeciło w jego oczach.

- Wiem, gdzie one są, ale tylko dlatego, że czasami muszę kierować tam klientelę. *Nonpareil* nie spełnia takich potrzeb.

- Tylko dobry stary seks, co?

- Nie po prostu dobry. Nasze standardy są powyżej doskonałości.

Uśmiechnęłam się.

- Nie chwaląc się, oczywiście.

- Oczywiście – zgodził się z tym rodzajem spojrzenia, które wzburzyło krew w moich żyłach.

O rany, chyba nie byłabym zdolna do...

Mój telefon wybrał ten moment, żeby zadzwonić, co prawdopodobnie było dobrą rzeczą. Naprawdę nie potrzebowałam rozmyślać nad tym, co chciałabym zrobić z tym wilkiem. Chwyciłam torebkę spod stołu i wyciągnęłam komórkę. Nie rozpoznałam numeru, co było niezwykle, ponieważ to był telefon Departamentu i tylko niewiele osób miało bezpośredni numer.

Odebrałam i powiedziałam.

- Riley, słucham.

- Riley? Tu Vincenta.

O wilku mowa, a ona dzwoni. Coś we mnie zamarło.

- Skąd masz ten numer?

- Ach – powiedziała przeciągając samogłoski, rozbawienie ewidentnie zabrzmiało w jej głębokim głosie. – Czyżby to była jakaś tajemnica?

Pocałunek, pomyślałam. To miało coś wspólnego z tym przeklętym pocałunkiem. To nauczy mnie nie iść za moimi instynktami.

Dostałam nowy numer, jak tylko pojawiłam się w Departamencie.

- Czego chcesz, Vinny?

- Ivan został zabity. Poczułam jego śmierć kilka sekund temu.

- Poczułaś? – Jak coś takiego było możliwe? Z tego, co wiedziałam, więź wampira i jego – albo jej – nowopowstałych nie była głębsza niż twórcy i dziecka. Mieli obowiązek zaopiekowania się nimi i pomagać im przetrwać pierwsze zdradliwe lata zmiany, oraz wziąć odpowiedzialność, którą wielu traktowało poważnie, jeśli nie chcieli, by Departament nie polował na ich tyłki. Ale żeby mieć aż tak głęboką więź, by faktycznie poczuć prawdziwą śmierć?

- Wampiry, które żywią się emocjami, różnią się od krewniaków żywiących się krwią – odparła, a jej głęboki głos podszyty był gniewem. – Ja dzielę się częścią mnie podczas ich stworzenia, a potem oni dzielą się częścią siebie. To czyni nas jednością. I dlatego poczułam moment jego odejścia z tego świata.

- Jak to się stało?

Zakryłam ręką telefon i powiedziałem bezgłośnie jej imię Benowi. Powaga nagle ustąpiła miejsca rozbawieniu, które jednak zostało w jego oczach.

- Kłopoty? – zapytał łagodnie.

Kiwnęłam głową.

- Został ścięty – powiedziała Vinny.

Ścięcie głowy było jedynym sposobem na to, by uniemożliwić komukolwiek, kto przeszedł ceremonię krwi, ponownie powstać. Do diabła, to był jeden z niewielu dobrych sposobów na powstrzymanie normalnego wampira. To ich wprost nie zabijało, ale ze złamanym karkiem nie mogli się ani poruszać ani żywić, więc śmierć była końcowym wynikiem.

- Czy odczucie jego śmierci powiedziało ci coś więcej?

- Nie widziałam jego mordercy, jeśli o to pytasz – powiedziała Vinny. – Ale tak naprawdę, nie musiałam. Ta śmierć przyszła razem z Aronem Youngiem.

Po tych wczorajszych krojono-siekanych próba na Ivanie, Young automatycznie stał się głównym podejrzanym. To nie czyniło go oczywiście winnym, ani też pewność w głosie Vinny.

- Skoro tego nie widziałaś, jak możesz być tego pewna?

- Ponieważ poczułam smak potrzeby zemsty na jego wargach.

Co sugerowało, że jej pocałunek był czymś o wiele więcej niż tylko spotkaniem ust – a tego się właśnie bałam od samego początku. Boże, a co ona posmakowała na moich? Jakaś część mnie chciała zapytać, ale może lepiej będzie zignorować całą sytuację.

- Poczułaś ten smak, a jednak pozwoliłaś zobaczyć mu się z Ivanem?

- Jego pieniądze były dobre – odparła Vinny. – I myślałam, że będę mogła kontrolować sytuację.

I jej zbytnia pewność siebie kosztowała Ivana nie tylko jego życie, ale też życie pozagrobowe.

- Wczoraj wieczorem miałaś szansę powiedzieć mi, co wiesz o Aronie Youngu. Ta śmierć jest na twoim sumieniu, Vinny.

Gdyby oczywiście miała sumienie. Osobiście uważałam, że jej sumienie dochodziło do głosu tylko wtedy, gdy jej to odpowiadało.

- Zdaję sobie z tego sprawę – warknęła. – I dlatego zadzwoniłam. Aron Young mieszka na Havard Street w Glenroy pod czwórka. Zabij go dla mnie.

- Departament nie jest twoim osobistym oddziałem zabójstw – odwarknęłam z powrotem, a potem się rozłączyłam i wrzuciłam telefon do torebki. Po głębokim, uspokajającym oddechu, napotkałam spojrzenie Bena. – Ivan nie żyje.

- Wywnioskowałam to z rozmowy. – Skrzyżował ramiona, jego twarz była ponura. – Jak?

- Przez ściecie.

Zrozumienie zamigotało w jego jasnych oczach.

- Więc nie będzie odrodzenia.

- Nie. – Zawahałam się i po chwili dodałam. – Przykro mi, że straciłeś kolejnego przyjaciela.

Uśmiechnął się i sięgnął przez stół, biorąc moją rękę w swoją i ściskając lekko moje palce.

- Złap dla mnie tego łajdaka.

- Złapię. – Spojrzałam w dół i nagle zapragnęłam, żeby ręce, które trzymały moje z tak ciepłą siłą, pieściły resztę mnie i wprowadziły z powrotem do podniecającego, gwałtownego życia. Chciałam tego. Bardzo tego chciałam.

Ale nie miałam pewności, czy byłam na to gotowa.

Poza tym, miałam do złapania jednego łajdaka, i tak bardzo, jak nigdy nie chciałam zostać strażnikiem, to dorosłam do cieszenia się pewnymi aspektami mojej pracy. I teraz nie mogłam wymigać się od obowiązku, by gonić za przyjemnością.

Wstałam.

- Zadzwoń do ciebie później. Skończymy to innym razem.

- Mam taką nadzieję.

Puścił moją rękę, a moje hormony wydały wspólne westchnienie frustracji. Zignorowałam je i skierowałam się do wyjścia.

Jak tylko wsiadłam do samochodu i włączyłam się do ruchu, włączyłam połączenie i skontaktowałam się z Departamentem. Odpowiedział mi Jack.

- Potrzebuję nowy numer telefonu, szefie.

- Tak, jakby one były czymś, co po prostu mogę wyciągać z mojego tyłka i rozdawać ile mi się podoba.

Uśmiechnęłam się.

- Odniosłam wrażenie, że możesz wszystko.

- Ty, mój drogi strażniku, naciągasz do granic moje limity. – W jego głosie słyszalne były tony rozbawienia, co znaczyło, że nie był tak zrzędlawy, jak wskazywałyby na to jego słowa. Szybkie spojrzenie na ekran potwierdziło ten fakt. W jego oczach zdecydowanie był ten błysk. Może wczorajszego wieczora znalazł sobie przyjemnego dawcę krwi. – W takim razie, powiedz mi, dlaczego chcesz pozbyć się doskonale dobrego numeru telefonu.

- Ponieważ nasz emo wampir jakoś go zdobył. Zadzwoiła do mnie przed chwilą, by powiedzieć, że mamy kolejne zwłoki.

- Pocałowałaś ją, prawda?

- No cóż, tak, ponieważ to był jedyny sposób, by zdobyć informacje, których potrzebowałam.

- Wampiry emo wysysają informacje przez intymny kontakt.

- Myślałam właśnie, jak wiele, gdy zadzwoniła do mnie. Ale dzięki temu zdobyłam nazwisko, więc nie mogę powiedzieć, że nie zrobiłabym tego jeszcze raz.

Prawie mogłam wyczuć jego nagły uśmiech.

- Kochana, przeszłaś długą drogę, od kiedy wciągnęliśmy cię, kopiając i krzyczącą, do tej pracy.

Nie miałam nic do powiedzenia na prawdę zawartą w tym oświadczeniu, więc wróciłam do sprawy.

- Księgowy, który został zaatakowany wczoraj wieczorem, najwyraźniej dziś rano został zabity. Vinny zadzwoniła do mnie i podała mi adres zabójcy. Jadę tam teraz.

- Czy wampir, który wczoraj go zaatakował, był bardzo stary?

- Nie miałam zbyt dużo czasu, żeby mu się przyjrzeć, ale podejrzewam, że nie.

- W takim razie to nie może być ten sam zabójca. Jest po dziewiątej.

A młode wampiry smażyły się przy najlżejszym dotknięciu promieni słońca.

- A więc, albo ma współnika, albo jest starszy niż na to wygląda.

- Zatem bądź przygotowana na obie możliwościach, kiedy tam zajedziesz.

- Szefie, robię to już od dłuższego czasu. Nie musisz mi powtarzać podstaw.

Odchrząknął znacząco.

- Możesz znać podstawy, moja droga, ale masz przerażającą skłonność do ich ignorowania.

- Ale to czyni ze mnie dobrego strażnika, tak nie jest? – powiedziałam i szybko się rozłączyłam, zanim mógł wygłosić kolejny komentarz.

Nie zabrało mi dużo czasu dostanie się do Glenroy. To była jedna ze starszych dzielnic Melbourne i początkowo była ulubionym miejscem klasy robotniczej. Obecnie, stała się terenem niezagospodarowanych, podupadłych i o brudnym wyglądzie domów – i równie zaniedbanych i brudno wyglądających ludzi. Co było naprawdę dziwne, zważając na bliskość miasta.

Używając nawigacji, znalazłam Havard Street i zaparkowałam kilka domów dalej od mojego celu. Numer cztery to był budynek z czerwonej cegły z zapadającym się dachem i wybitymi frontowymi oknami. Nie wyglądało na to, żeby ktoś tu mieszkał, ale może o to właśnie chodziło.

Wyjęłam broń ze skrzynki pod siedzeniem, a potem wysiadłam, zablokowałam samochód i ruszyłam. Zapach rozpadu rozkwitł w powietrzu, wzbogacony mocnym zapachem ludzkości. Dom, obok mojego celu, był w podobnie złym stanie, ale zauważyłam dość czysto wyglądające kwieciste zasłonki ozdabiające okna i błyszczący, nowy samochód stojący na podjeździe. Nie trudno było zgadnąć, gdzie w tym domostwie poszły całe pieniądze.

Z tymi mocnymi zapachami, płynącymi w powietrzu, trudno było złapać ten Younga. Nawet, gdy weszłam przez wyłamaną frontową bramę, krzywda, którą z nim kojarzyłam, nie dała się zmaterializować. Zmarszczyłam brwi i zatrzymałam się tuż przed schodami. Żaden z frontowych pokoi nie miał okien, ani tym bardziej zasłon, więc bardzo wątpiłam, żeby Young był w któryś z nich. Nawet gdyby był starszy niż sądziłam, nadal nie mógłby wytrzymać takiej ilości słonecznego światła, która wpadała przez okna.

Poruszyłam palcami, chwytając laser trochę mocniej, i obróciłam się, żeby wyjść z domu. Rozpadający się drewniany płot oddzielał tylne podwórko od frontu. Przeskoczyłam go z łatwością, a potem trzymając się boku domu, zaczęłam skradać się do przodu. Ziemia była tu jałowa, a z każdym krokiem wzbijały się małe kłęby kurzu, sprawiając, że mój nos odczuwał potrzebę kichania.

Pochyliłam się pod oknem i zbliżyłam na tyły domu. Tutaj było tylko kilka okien, ale żadne z nich nie miało kotar, ani nie było zasłonięte – co było naprawdę niezwykle jak na miejsce zamieszkania wampira.

Brud i pajęczyny pokrywały tylne drzwi, ale stara metalowa klamka świeciła w słońcu. Brud wokół klamki był rozmazany, jakby czyjeś palce starły go podczas otwierania drzwi.

Więc najwyraźniej, ktoś tutaj ostatnio był. Musiałam mieć tylko nadzieję, że to był wampir, a nie jakiś włóczęga szukający schronienia na noc. Bo gdyby to był ten drugi, przeraziłby się na śmierć.

Weszłam po schodach i zawinęłam palce wokół klamki. Wydawało się, że nic w środku się nie porusza, a zapach wampira był denerwująco nieobecny.

Mając nadzieję, że Vinny nie wpuściła mnie w maliny, nacisnęłam klamkę i ostrożnie otworzyłam drzwi. Wypadło na mnie zimne powietrze, wypełnione aromatami rozkładu i starości. Ale pod tymi wszystkimi zapachami wyczułam leciutki ślad zapachu wampira.

To nie był jakiś świeży zapach, ale przynajmniej tu był. On wciąż mógł tu być.

Wsunęłam się do środka, z plecami przy ścianie i z palcem na spuście mojej broni. Ten tylny pokój był niewielki, wypełniony pajęczynami i pożółkłymi gazetami. Rozszerzyłam moje nozdrza, szukając zapachu pod tym, co było w tym pokoju. Nadal nie było nic mocniejszego. Cicho przeszłam obok stosu papierów i weszłam do czegoś, co kiedyś było kuchnią. To, co znalazłam na blacie, wskazywało, że ktoś tu mieszkał. Prawie nowy czajnik na kuchence, słoik kawy i popękany kubek.

Young – albo ktoś, kto tu mieszkał – poszedł na całość, jeśli chodziło o luksusy.

Ruszyłam dalej do korytarza. Drewniane deski podłogowe zaskrzypiały pod moimi stopami, a dźwięk wydawał się dziwnie rozbrzmieć echem w ciszy.

Następny pokój był na prawo, ale i tutaj, poza gazetami i śmieciami, było pusto. Tak samo łazienka i salon. We frontowym pokoju stało łóżko, które wyglądało na używane, jeśli pomarszczone prześcieradło miało być tego dowodem.

I Young był tutaj. Jego zapach był słaby, ale jednak tu był – bo nawet słaba bryza wpadająca przez rozbite okna nie mogła rozwiać jego smrodu.

Ale dlaczego wampir miał łóżko w jednym z najbardziej słonecznych pokoi domu? Czy tylko używał go w nocy, gdy nie wychodził torturować ludzi z jakichkolwiek chorych powodów?

Bez względu na powód, nie było go tu i teraz. Odetchnęłam i opuściłam broń. Co dalej? To nie było normalne dla wampira mieć więcej niż jedną dziuplę, ale Vinny była całkiem pewna, że to był jego obecny adres. Mogłam jej nie ufać, ale uwierzyłam w gniew słyszalny w jej głosie. Uwierzyłam jej potrzebie zemsty.

Cofnęłam się do korytarza. Żaden z tych pokoi nie był wystarczająco ciemny – w każdym razie, na pewno nie dość ciemny dla wampira zmuszonego unikać światła słonecznego.

Więc skoro tu był, musiał mieć jakąś kryjówkę za dnia. Popatrzyłam w górę na sufit. Takie stare miejsca, jak to, miały wysokie sklepienia, więc nie było nic niezwykłego w tym, że były wykorzystywane na strych. Więc skoro można tam było przechowywać niepotrzebne rzeczy, z pewnością takie miejsce mogło pasować też wampirowi.

Włączyłam moją podczerwień i przesunęłam spojrzeniem po suficie jeszcze raz. Nic nie znalazłam tuż nade mną. Obeszłam ponownie dom, przeszukując cienie nade mną. Nic nie było, dopóki nie weszłam do kuchni, gdzie zobaczyłam ciepło życia.

Tylko, że ono nie wyglądało na wystarczająco duże, by być wampirem. Było bardziej wielkości niewielkiego kota.

Marszcząc brwi, odtworzyłam moje kroki, aż nie znalazłam wjazdu, który był w łazience. Po upewnieniu się, że stara szafka wytrzyma moją wagę, wspięłam się na nią i ostrożnie odepchnęłam klapę na bok.

Kurz i stare pajęczyny spadły w dół z ciemności, więc musiałam zetrzeć je z mojej twarzy. Długie pęknięcia światła wpadały przez dach, sugerując, że stara chata nie była tak wodoodporna – ani światłoodporna – jak to wyglądało z zewnątrz. Po upewnieniu się, że źródło życia się nie poruszyło, zabezpieczyłam laser i wsunęłam go do kieszeni, a potem złapałam się boków klapy i szybko wciągnęłam. Broń wróciła do mojej ręki zanim tyłkiem uderzyłam o sufit.

Czerwona niewyraźna plama życia się nie poruszyła, ale jej dziwnie okrągłe oczy wciąż się we mnie wpatrywały.

Tutaj na górze nie było żadnego zapachu wampira. Tylko gnijące drewno zmieszane z lekkim, ale wyraźnym, smrodem ekskrementów. Nie ludzkimi odchodami – nawet nie wampirzymi. To był zapach, który sugerował, że jakieś zwierzę zrobiło sobie tutaj mieszkanie.

Wróciłam z powrotem do normalnej wizji i się rozejrzałam. Pomimo światła wpadającego przez wszystkie te pęknięcia, kąty strychu wciąż zatopione były w cieniu, i tam właśnie mój poszukiwany – cokolwiek to było – się ukrywał.

Wstałam i podeszłam bliżej. Wzbił się kurz, który zatańczył w smugach światła, i połaskotał mój nos. Powąchałam, próbując nie kichnąć i nie wystraszyć tego, co było w kącie.

Byłam w połowie drogi w poprzek dachu, gdy to się poruszyło, na krótko pojawiając się w jaśniejszym miejscu, zanim czmychnęło do cienia na drugim końcu. Uśmiechnęłam się i trochę napięcia opadło z moich ramion.

To nie było nic niebezpiecznego, to był tylko opos. Te małe torbacze zaaklimatyzowały się w dzielnicach miast w całej Australii, i chociaż były cholernie hałaśliwe w nocy – i często robiły bałagan, gdy dostawały się na strych – nie były szczególnie niebezpieczne chyba, że zostały osaczone i były przerażone.

Fakt, że ten tu mieszkał, wskazywał na to, że wampira tutaj nie było. Podczas gdy swobodnie dzieliły przestrzeń z ludźmi i z większością nie ludzi, wampiry wydawały się je przepędzać.

Wypuściłam sfrustrowany oddech, a potem wróciłam do kłapy i skoczyłam w dół.

To miejsce dowodziło, że było jedną dużą, grubą pomyłką. Young może i tutaj był, ale nie było go teraz. Jednak czy tutaj wróci było zasadniczym pytaniem – bo czajnik i kawa sugerowały, że tak, chociaż z szalonymi wampirami nigdy nic nie wiadomo.

A ja nie miałam zamiaru tu się kręcić i czekać na niego. Jack mógł kogoś przysłać, by obserwował dom. Musiałam wrócić do drugiego śledztwa zanim nasza krwiożercza kotka znajdzie kolejnego napalonego mężczyznę do bicia i zamordowania.

W pokoju przede mną, zaskrzypiała deska. To nie było niezwykle w starych domach, ale jak zauważyłam, deski podłogowe zaskrzypiały dopiero wtedy, gdy na nie nastąpiłam.

Zatrzymałam się. Skrzypienie nie.

Ktoś – albo coś – było w domu ze mną. Moje palce zacisnęły się wokół lasera.

Nie mogłam poczuć obecności wampira. Nie mogłam nawet go wyczuć.

A jednak włosy na moim karku stanęły na sztorc, a nagle wrażenie, że kłopoty czekają tuż za rogiem, zaciążyło mi na żołądku.

I jak się okazało, moje jasnowidzenie nie zadziałało zbyt dobrze.

Kłopoty nie czekały zza rogiem. One były za mną.

Rozdział 6

Wyczułam go o jedno uderzenie serca wcześniej niż zaatakował, ale miałam dość czasu na jakikolwiek ruch. Byłam bardzo szybka, a chociaż myślałam, że nie poruszyłam się zbyt szybko, to jednak uratowało mi życie.

Stalowa rura, która była wycelowana w moją głowę, uderzyła mnie w ramię. Ból eksplodował – piekielne cierpienie, które odbiło się aż w moim mózgu i spłynęło w dół mojego ramienia. Moje palce niemal natychmiast zdrętwiały, a laser spadł na podłogę z brzękiem.

Powietrze poruszyło się jeszcze raz.

Przekląłam siarczyście i pochyliłam się, chwytając broń lewą ręką i strzeliłam na ślepo za siebie. Niebieskie światło rozbłysło, rozbijając tynk i wysyłając chmurę białego kurzu w powietrze. A potem poczułam, jak deski zadrżały i, chociaż nie usłyszałam żadnych kroków, poczułam, że wampir uciekł.

Obróciłam się gwałtownie i pobiegłam za nim. Pokój był zupełnie pusty i nawet zmiana na podczerwień nie pomogła. Cholera, był gdzieś tutaj, więc dlaczego nie mogłam go zobaczyć? Do diabła, nawet nie widziałam rury, której użył, i to było naprawdę bardzo dziwne.

Jego zapach się nasilał im bardziej zbliżałam się do drzwi prowadzących na korytarz. Wypadłam zza drzwi, zatrzymałam się i strzeliłam jednym ciągiem od lewej do prawej. Drewniane drzazgi dołączyły do gipsowego kurzu, a smród spalonych włosów nagle wypełnił powietrze. Kilka osmolonych, tłustych kępek spadło na podłogę tuż za progiem. Przeklął, a potem zaczął uciekać, smyrgając po ścianach jak pajak na czterech nogach – ale to było bardziej coś, co wyczułam, niż faktycznie zobaczyłam.

Wychynęłam przez drzwi, moje nozdrza się rozszerzyły, kiedy spróbowałam złapać jego ulotny zapach. Cholera, jak jego odczucie – jego zapach – mogło być wczoraj wieczorem tak silne, a teraz tak słabe, obojętnie jak blisko byłam? A tak poza tym, jak do diabła mógł być teraz niewidzialny, skoro był doskonale widoczny wczorajszej nocy?

I skoro posiadał ten rodzaj mocy, dlaczego nie użył tego wczoraj, tylko wolał biec?

To nie był psychiczny trik – nie tylko nie wyczułam żadnych prób psychicznej inwazji, ale też nie odrzucałam możliwości jakichkolwiek sztuczek czy podstępów wampira. Nie w *teraz mnie widzisz, a teraz nie sensie*, jak robili to ludzie.

To wyglądało prawie tak, jakby nie istniał.

Albo jakby był duchem.

Tyle że, żaden duch, o którym wiedziałam, nie mógłby trzymać metalowej rury i próbować rozwalić nią czyjąś głowę.

Zaczęłam cicho skradać się korytarzem, plecami do ściany, a moje ramię protestowało przy każdym ruchu. Zignorowałam to, koncentrując się na odczuciu mrowienia, spowodowanym obecnością Younga, pragnąc określić jego lokalizację. Był blisko. To było wszystko, co mogłam powiedzieć. Co i tak było dobrą rzeczą, gdyby zdecydował się ponownie mnie zaatakować tą rurą.

Inna deska zaskrzypiała w kuchni i tym razem, dźwięk wydawał się oddalać. Łajdak próbował obejść mnie jeszcze raz.

Albo chciał, żebym pomyślała, że tak robi.

Biorąc pod uwagę fakt, że nie miałam, co do tego pewności, zostałam tam, gdzie stałam, moja lewa ręka zacisnęła się kurczowo wokół lasera, a prawe ramię bolało jak diabli. Obojętnie, czy to był Young czy nie, w chwili, jak tylko go wyczuję lub poczuję, łajdak będzie martwy. Niewidzialne wampiry z morderczymi skłonnościami nie dostawały drugiej szansy – zwłaszcza nie wtedy, gdy próbowały mnie zabić.

No, no – prychnął mój wewnętrzny głos – czyżbyś zmieniła swoją melodię od czasu, kiedy stałaś się strażnikiem?

Może i tak – szczególnie, gdy chodziło o morderczych psychopatów. Ale nadal chciałam myśleć, że ten spust-i-pociągnięcie impuls był bardziej powściągliwy u mnie niż u mojego brata. I nie byłam *najpierw strzelaj później myśl* strażnikiem, którym Jack chciał, żebym się stała.

Przez kilka minut, nic się nie działo. Pot zaczął spływać w dół mojego kręgosłupa, a ja trzymałam broń tak mocno, że zaczęły cierpnąć mi palce. To nie było dobre, kiedy trzymałeś laser o takiej mocy.

Poruszyłam palcami, żeby choć trochę złagodzić napięcie. I w tym momencie, poruszyło się powietrze. Zerknęłam na prawo, zauważając zarys rury zmierzającej prosto w moją twarz, więc rzuciłam się w dół i do przodu.

Uderzyłam w przeciwległą ścianę z irytującym chrzęstem kości i, za chwilę, wściekły ból w moim ramieniu wywołał falę takiego bólu, że zakręciło mi się w głowie, a żołądek skręcił. Teraz widoczna już rura uderzyła w ścianę za mną i brzęknęła o podłogę.

Wessałam oddech, który niewiele zrobił, by złagodzić oślepiający ból, a przy okazji, posmakowałam obrzydliwości wampira.

Obrzydliwości, która z każdą sekundą stawała się coraz silniejsza.

Szedł prosto na mnie.

Opadłam niżej i się okręciłam, atakując go stopą. Zobaczyłam niewyraźną plamę spranego koloru, a potem on już był na mnie, uderzając we mnie jak tona cegieł, a sam ciężar jego ataku odrzucił mnie do tyłu. Rąbnęłam z całej siły w futrynę, co jeszcze bardziej nasiliło ból w moim ramieniu. Pot spłynął po moim czole i wszystko, co chciałam zrobić to wymiotować. Przeklełam i kopnęłam tak mocno, jak mogłam. Moja stopa uderzyła w coś twardego i rozległ się głośny trzask.

- Suka!

Słowo ukuło powietrze, napełniło jadem. Potem jego ciężar zniknął i nagle jego zapach znowu zaczął zanikać.

Pociągnęłam za spust lasera. Jasny promień wystrzelił, przecinając powietrze przede mną i przebijając się przez następne drzwi, zanim roztrzaskał więcej tynku i drewna.

Nie trafiłam Younga, ale na mgnienie, zauważyłam wychudłą, upiorną twarz, wąskie wargi rozciągnięte w warknięciu i błysk pożółkłych kłów. Strzeliłam jeszcze raz.

I znowu chybiłam.

A potem zniknął, a poczucie krzywdy rozplynęło się w powietrzu.

Zgubiłam go.

Przeklełam i odepchnęłam się od futryny, ale ten nagły ruch wywołał palący ból w każdym zakończeniu nerwów i sprawił, że pokój zawirował wokół mnie. Oparłam się

o ścianę, żeby odzyskać równowagę, i wzięłam kilka wolnych, głębokich wdechów. Boże, poczułam to tak, jakby całe moje cholerne ramię dostało spazmów, a to kurewsko bolało.

Ale nie mogłam tu zostać. Musiałam się ruszyć, podążyć za Youngiem, nieważne jak bardzo cierpiałam. Nie mogłam pozwolić mu uciec.

Ostrożnie zmieniałam moje obolałe ramię i przytrzymałam lewą, dając jej trochę podparcia, a potem ruszyłam do przodu. Zapach Younga już się rozpląnął, rozproszył w powietrzu. Co, do diabła, tu się dzieje? W jaki sposób tak młody wampir – nadal nie miałam wątpliwości, że jest młody – mógł poruszać się tak łatwo w tych słonecznych pokojach?

I jak, do cholery, mógł być niewidzialny?

Nigdy nie słyszałam o takiej zdolności u wampira. Ale przecież, nie znałam tak dokładnie praw i historii wampirów. Równie dobrze mogły istnieć tuziny różnego typu tych drani, o których nie wiedziałam. Tak jak wampiry emo, które były niespodzianką.

Poszłam za słabnącym zapachem. Zaprowadził mnie prosto do drzwi i na słońce. Każdy normalny wampir natychmiast by się spalił, ale nie Young. Podążyłam jego tropem do bramy i na ulicę, dopóki narastający wiatr nie rozwiął zapachu i nie zostawił mnie z niczym.

Zgubiłam go.

Boże, ten dzień nie należał do udanych.

Usiadłam na ceglanym murku i ostrożnie puściłam ramię, żeby móc włączyć połączenie w uchu.

- Cześć, jest tam ktoś?

Nastąpiła cisza, a potem niski głos powiedział.

- Tu łącznik Benson, Riley. Wszystko w porządku? Bo po głosie wydaje się, że nie.

- Bo tak jest. Jack gdzieś tam się kręci?

- Nie w najbliższym otoczeniu.

Cholera.

- Powiedz mu, że sprawdziłam ten adres, który podała mi Vinny, i to jest legowisko naszego wampira, ale łajdak uciekł. Zapytaj go, czy jest jakiś rodzaj wampira odpornego na światło słoneczne i niewidzialnego.

- Niewidzialnego? – Usłyszałam wątpliwość w głosie Benson. – Wiem, że są dzienni spacerowicze, ale oni skłaniają się bardziej do ludzi...

- Tak, wiem to – warknęłam. – Po prostu go zapytaj.

- No dobra. Coś jeszcze?

Nagły brak ciepła w jego tonie sugerował, że go uraziłam, więc westchnęłam. Ogólnym problemem z nowymi łącznikami było to, że oczekiwali uprzejmości – i chociaż przeważnie byłam bardziej niż szczęśliwa, żeby to okazać, teraz nie był to jeden z dobrych momentów.

Chociaż ja, w pewnym sensie, też byłam jeszcze nowa. Więc powiedziałam.

- Benson, ja nie tylko jestem wkurzona, że straciłam mój cel, ale również siedzę tu z rozwalonym ramieniem. Więc jeśli jestem trochę napastliwa, to przepraszam.

- Chcesz pomocy medycznej?

- Przyślij tylko kogoś, kto zabierze mnie do szpitala. Nie mogę prowadzić z tym ramieniem, a zmiana też nie pomoże. – Kości nadal będą rozwalone, bez względu na kształt, jaki przyjmę. Co bolało w jednej postaci, będzie boleć też w innej.

- Janny właśnie jedzie do domu i jest blisko twojej lokalizacji. Powiem jej, żeby podjechała i zawiozła cię do szpitala.

- Janny? Skąd ona jest?

- Jest z ekipy sprzątającej Mel. Widziałaś ją wczoraj. Jest wysoka i szczupła.

Ach, to ta kobieta, która przypominała mi owada.

- Byłoby super. Dziękuję, Benson.

- Nie ma sprawy.

Wyłączył się. Przełączyłam nadajnik tylko na odbieranie, żeby nie słyszeli jak będę przeklinać, gdy ból się rozszerzył, i czekałam na moją podwózkę.

Okazało się, że moje ramię nie jest rozwalone, tylko zwichnięte. A to znaczyło, że kiedy wszystko zostanie wstawione na swoje miejsce, ból zniknie i zostanie tylko pewna bolesność.

Złą wiadomością było to, bo jakżeby inaczej, że musiałam pozwolić nastawić ramię, żeby wszystko było w porządku.

A to zabieg, który bolał bardziej niż rzeczywisty uraz, a wilk wewnątrz mnie wychynął z warczeniem na powierzchnię w odwecie. To była prawdziwa bitwa, by powściągnąć moją instynktowną potrzebę dopadnięcia do tego, kto spowodował cały ten ból.

Jak tylko lekarz wstawił z powrotem kość w staw, ból prawie natychmiast ustał. Bolesność pozostała, ale mogłam ją wytrzymać.

- Powinnaś nosić temblak przez dzień lub dwa – zauważył, cofając się nieufnie, jak tylko zeskoczyłam ze stołu. – A regularne przykładanie lodu pomoże w opuchliznie.

- Jestem wilkołakiem, doktorze. – Złapałam sweter i broń z pobliskiego krzesła. – A Departament nie daje wolnego na kontuzje takie, jak ta.

- To jest sprzeczne z prawem pracy...

Prychnęłam łagodnie.

- Tak, jakby Departament, albo źli faceci przejmowali się prawem pracy. – Do diabła, nawet nigdy nie widziałam ludzi zaniepokojonych o nieprzestrzeganie praw w Departamencie. Nie wtedy, gdy to miało chronić ich grube tyłki. – Dzięki za opatrzenie.

Kiwnął głową, a ja wyszłam stamtąd najszybciej, jak mogłam. Szpitale były na samym szczycie mojej listy najbardziej nie lubianych miejsc – głównie dlatego, że podobnie jak cmentarze, przebywało tam zbyt wiele duchów. A ja miałam już dość, jak na dzisiaj.

Zdziwiłam się widząc Liandera czekającego u podnóża frontowych schodów szpitala. Był ubrany w ciemne dżinsy i niebieską koszulę, a jego srebrne włosy były pokryte niebieskimi pasemkami, pasującymi do jego koszuli. Jego zapach zakręcił się wokół mnie, bogaty i ciepły. Całkiem podobny do samego faceta. Uśmiechnęłam się na powitanie.

- Hej, makijażowy człowieku, co tu robisz? – Pocałowałam go w policzek, a potem wsunęłam moje zdrowie ramię pod jego łokieć. – I wcale nie wyglądasz fantastycznie.

Uśmiechnął się, a jego srebrne oczy zamigotały.

- Idę prosto z serii przesłuchań na temat efektów specjalnych. Załatwiam sobie udział w nowym filmie i tak dalej.

- Ale dlaczego tu przyjechałeś? Nie chodzi o to, że się skarżę, czy co.

- Rhoan zadzwonił i powiedział, że możesz potrzebować podwózki. I tak chciałem z tobą porozmawiać, więc jestem. – Zerknął na moje ramię. – Jak zranione ramię?

Ktoś z Departamentu najwyraźniej musiał skontaktować się z Rhoanem. Jack mógł być jedynym, który wiedział, że jesteśmy rodzeństwem, ale wszyscy wiedzieli, że pochodzimy z tej samej watahy i że razem mieszkamy. I wiedzieli, że nie należy trzymać w tajemnicy przed Rhoanem informacji o moich urazach – nawet jeśli on sam już wiedział, że zostałam zraniona, zanim mu powiedzieli.

- Nie jest złamane, tylko zwichnięte.

- Oj. – Zmarszczył nos. – Myślę, że to jest bardziej bolesne, niż sam uraz.

Mając kilka takich urazów w swoim życiu, nie mogłam się nie zgodzić. Zwichnięcie było cholernie bolesne, tak samo, jak połamana kończyna.

- Więc, o czym chcesz ze mną rozmawiać? – zapytałam, gdy poprowadził mnie na prawo. – Mam nadzieję, że nie o tym, iż mój brat do niczego się nie nadaje. Wiesz, że mam na niego mały wpływ.

Liander się uśmiechnął.

- Twój, nie nadający się do niczego, brat ostatnio dobrze się zachowuje. Nie mam żadnych skarg, ani w ani poza sypialnią.

Za co byłam wdzięczna. Ostatnie parę lat było naprawdę dość burzliwych dla Liandera, kiedy to tworzył się związek między nim a moim bratem, więc teraz zasłużył w zamian na coś dobrego.

- Więc w czym problem?

Otworzył drzwi swojego starego forda, a potem powiedział.

- Pamiętasz to nazwisko, o którym wspominałaś? To, o którym powiedziałem, że brzmi znajomo?

- Aron Young?

- Tak. Już pamiętam, skąd je znam. – Wskazał, żebym wsiadła. Zatrzasnął drzwi, a potem obiegnął wkoło auto, by zająć miejsce kierowcy. Po zapaleniu silnika, dodał. – Mam zdjęcia w domu, gdybyś chciała sprawdzić, czy to ten sam facet.

- Chcę, ale najpierw muszę zabrać mój samochód z Glenroy. – Podałam mu nazwę ulicy, a potem zmieniłam się na siedzeniu, stając z nim twarzą w twarz, i powiedziałam.

- Opowiedz mi wszystko.

- Krótco był w tej samej szkole, co ja. – Spojrzał w tylne lusterko i włączył się do ruchu. – Dziesiąta klasa, Beechworth Secondary College.

Uniosłam brwi.

- Chodziłeś do szkoły państwowej?

Kiwnął głową.

- Wataha Moore jest mała i na pewno nie mogliśmy sobie pozwolić na założenie własnej prywatnej szkoły. Koszt budowy i zatrudnienia nauczycieli był zbyt wysoki.

- A lokalna społeczność nie miała nic przeciwko? – Chociaż wilki i inni nadprzyrodzeni mogli być zaakceptowani – nawet jeśli czasami nie byli lubiani – jako część życia miasta, to wciąż istniały takie obszary, które wołały zachować swoje miasta wolne od nieludzkiego piętna.

Zadanie to było znacznie utrudnione na obszarach górskich, po prostu dlatego, że było tam bardzo dużo watah wilków. Góry były dobrym miejscem do swobodnego i dzikiego biegania.

- W odróżnieniu od niektórych watah, Moore'owie dobrze zintegrowali się z lokalną społecznością. – Wzruszył ramionami. – Udzielaliśmy się społecznie, ojciec trenował miejscową drużynę piłkarską, a matka była mocno zaangażowana w kościelne sprawy. Ludzie, w dużym stopniu, zapomnieli, czym byliśmy.

- Brzmi, jakby to było świetne miejsce do dorastania. – W każdym razie lepsze niż to, które mieliśmy ja i Rhoan. Ale przecież, wcale nie było tak źle.

- Takie było. – Posłał mi szybki uśmiech, a potem dodał. – Nieważne, Young został przeniesiony do naszej szkoły na początku dziesiątej klasy. Był tam wystarczająco długo, żeby znaleźć się na szkolnych zdjęciach, ale zniknął miesiąc, lub coś koło tego, przed zakończeniem roku.

- Wycofał się, czy został zawieszony?

- Ani to, ani to. Faktycznie zniknął. – Zatrzymał się na czerwonym świetle i zerknął na mnie. – Oczywiście, były pogłoski. Że dostał się w jakieś złe towarzystwo i, jak mówiono, brał udział w jakimś rodzaju inicjacji, która się nie udała.

- On był człowiekiem?

- Zmiennym. Jakimś rodzajem ptaka. – Wzruszył ramionami. – Nigdy nie miałem z nim do czynienia, więc nie mogę tak naprawdę powiedzieć, czy to prawda.

Przynajmniej to wyjaśniało, jak zniknął mi ten nocy, kiedy tropiłam go z domu Vinny. Kiedy nie-człowiek stawał się wampirem, zabierał ze sobą wszystkie umiejętności, jakie miał, do *nie-życia*. Ale skoro mógł się zmienić, dlaczego po prostu od razu nie odleciał z budynku? Do diabła, jeśli mógł zniknąć, dlaczego po prostu tego nie zrobił, tylko uciekał?

- Czy policja badała jego zniknięcie?

- Tak. Nikomu nie postawiono żadnych zarzutów, a ciała nigdy nie odnaleziono. Jeśli naprawdę coś się wydarzyło, to zostało to dobrze ukryte przez wszystkich zamieszanych.

- A jego rodzice?

Uniósł brwi.

- Co z nimi?

- Jak zareagowali na zaginięcie syna?

- Z tego, co pamiętam, to z wściekłością. Ale jakiś miesiąc po zniknięciu, spakowali manatki i wyjechali z miasta. Już nigdy ich nie zobaczyliśmy.

- I nie było żadnych szeptów w mieście, dlaczego wyjechali?

- Nie, tego nie pamiętam. Ale wtedy byłem dzieckiem, więc prawdopodobnie przestałem się interesować całą tą sprawą.

Co było jedną z głównych różnic między nim, a mną i moim bratem. Bo my byśmy to zbadali. Miałam nosa do kłopotów i się ich nie bałam – na co wskazują moje liczne blizny rozrzucone po całym ciele.

- Czy szkolne zdjęcia są opisane nazwiskami?

- Tak. – Spojrzał na mnie. – Myślisz, że ta obecna fala morderstw twojego Arona Younga ma coś wspólnego z tym Aronem Youngiem, który zniknął przed laty?

- Nie mam pojęcia, co mam myśleć. Nawet nie wiem, czy mam właściwego Arona Younga. W tej chwili, szukam igły w stogu siana.

- Jeśli to jest on, to kawał czasu żywił urazę.

- Może potrzebował czasu, by nabrać odwagi. – Albo może siły. Nie było łatwo duchowi podnosić trwałe przedmioty. – Czy mieszka jeszcze ktoś taki w Beechworth, kto pamiętałby więcej o tej sprawie? Kto prowadził tę sprawę?

- Stary Jerry Mayberry był miejscowym gliną. Teraz jest na emeryturze, ale nadal żyje z tego, co wiem. – Posłał mi skrzywiony uśmiech. – Nie byłem tam przez dłuższy czas.

Poprawiłam się na siedzeniu i spojrzałam na niego.

- Jak zareagowała twoja wataha, kiedy zdała sobie sprawę, że jesteś gejem?

- Doznałem więcej przykrości od miejscowych dzieciaków, niż od mojej watahy. – Wzruszył ramionami. – Sądzę, że sprawiłem zawód mojej mamie, bardziej niż wszystko inne, ponieważ chciała mieć wnuczęta. Ale moja siostra postarała się aż o piątkę w ostatnich siedmiu latach, więc ten problemem został rozwiązany.

Odrobinka zazdrość zawirowała we mnie. Posiadanie całej sfory dzieci, kiedyś było moim marzeniem. Ale teraz zniknęło na zawsze – no cóż, niezupełnie. Wciąż miałam zamrożone jajeczka, ale nigdy nie będę tą, która będzie je nosić.

- Twoja siostra ma pięcioro dzieci? Dlaczego nigdy ich nie poznaliśmy?

Roześmiał się.

- Ona przyjeżdża tu, żeby uciec przed dzieciakami, a nie żeby się nimi chwalić.

- Ale bardzo chciałabym je kiedyś poznać.

Posłał mi rozbawione spojrzenie.

- Spędzisz godzinkę z tą bandą, a cały pomysł zostania mamą nagle wyda ci się niezbyt kuszący. Uwierz mi, to łobuzy.

- Takie są dzieci. Do diabła, ja sama taka byłam.

- Wyobraź sobie siebie i Rhoana pomnożonego dziesięć razy. Właśnie tacy są źli.

Uśmiechnęłam się.

- Nikt nie może być tak zły.

- Okej, więc może trochę wyolbrzymiam. – Rozbawienie widniało na jego twarzy, a błysk w jego oczach potwierdzał to oświadczenie. To również pokazywało, jak bardzo kochał te dzieciaki. – Zobaczymy się u mnie, jak zabierzesz samochód, i zostaniesz na lunchu?

- Jeśli będziesz gotował, to z pewnością to zjem. – Mój telefon zdecydował się zadzwonić dokładnie w tym momencie, więc dodałam sięgając po niego. – Przynajmniej mam taką nadzieję, jeśli to nie jest Jack z następnym problemem.

Niestety, tak było.

- Riley? – odezwał się Jack, jak tylko odebrałam. – Mamy następnego.

- Mężczyznę czy kobietę?

- Kobietę. Kolejna z listy Jamesa.

- Wiesz, nasza morderczyni wydaje się wybierać kobiety, tak jak mężczyzn.

- I dlatego wysłałem Kade'a na miejsce zbrodni, a ty pojedziesz porozmawiać z Dią. Może będzie mogła rzucić jakieś światło na to, co się dzieje.

To było *wielkie* może. Lubiłam Dię – bardzo – ale informacje, jakie widziała, ogólnie mówiąc, były niejasne. Była dużo bardziej dokładna, gdy chodziło o sprawy prywatne – i to dlatego unikałam bezpośrednich kontaktów, obojętnie czy szłyśmy na kawę, czy na lunch. Moje życie, jak do tej pory, nie szło tak, jak zaplanowałam, więc nie chciałam dowiedzieć się czegoś więcej o mojej przyszłości, która rysowała się niezbyt różowo. Nieświadomość znaczyła, że wciąż mogłam mieć nadzieję. Wciąż mogłam marzyć.

Ale nawet, gdyby nie dała nam jakiegokolwiek bezpośredniej psychicznej pomocy, była częścią grupy z Toorak, więc przynajmniej mogła przekazać mi informacje o *Ladacznicach*, jak uroczo nazwała je sekretarka Jamesa.

- Już do niej dzwoniłem – ciągnął Jack. – Nie ma jej w domu, ale powiedziała, że spotka się z tobą w tym samym miejscu, co zwykle, za pół godziny.

To konkretnie miejsce było mało uczęszczanym kącikiem w *Brunswick*, gdzie mają najlepszą kawę, jaką kiedykolwiek piłam, i gdzie nie przeszkadzały mi nawet biegające, hałasujące dzieciaki. A to znaczyło, że Dia była ze swoją córką, Risą.

- Podjadę tam, jak tylko odbiorę samochód. Czy Benson przekazał ci moje pytanie odnośnie niewidzialnych wampirów?

- Tak, ale nie miałem czasu zajrzeć do bazy danych. Osobiście, nigdy nie słyszałem o takiej umiejętności u wampirów, ale też nie żyję aż tak długo, żeby poznać wszystkie ich rodzaje.

- Ale żyjesz już wystarczająco długo, by wskoczyć dość wysoko na wampirzą drabinę. – A biorąc pod uwagę fakt, że jest wampirem od ośmiuset lat, można było myśleć, że przez ten czas coś usłyszał.

- Tak, ale ta drabina składa się głównie z wampirów krwi, z paroma emo rzucony tu i tam. Więc zazwyczaj nie dołączają do niej inne typy wampirów.

Uniosłam brwi.

- Dołączają? Odniosłam wrażenie, że system hierarchii jest naturalną częścią zostania przemienionym. – To znaczy, że nowonarodzeni zaczynają od najniższego szczebla drabiny i pną się w górę w miarę starzenia się i nabierania siły.

- Tak jest u wampirów krwi. I to była – jest – dobra metoda śledzenia wszystkich wampirów krwi i przeciwdziałaniu wojny między różnymi rodami.

Zastanowiło mnie, z jakiego rodu pochodzi Jack – i czy kiedykolwiek stworzył swoich własnych nowonarodzonych.

Zastanowiłam się, czy Quinn też kiedykolwiek to zrobił.

Nie wydawał się być takim typem, ale przecież, co tak naprawdę wiedziałam o nim samym, czy jego przeszłości?

- Wciąż nie mogę pojąć, jak to działa, wiesz. Wampiry są głodne władzy tak samo jak każdy z nas. – Prawdopodobnie jeszcze bardziej. – Co powstrzyma kogoś z dołu drabiny przed straceniem tych przed nim?

- Groźba, że jego albo jej cały ród zostanie zlikwidowany.

- Więc to nie jest bardziej kwestia honoru i respektu, jak powiedział mi Quinn, ale raczej strachu?

- On często lepiej działa niż szacunek. – Jack wzruszył ramionami. – W każdym razie, jest baza danych, w której zapisana jest nasza historia – rejestr, jeśli chcesz, wampirów, które żyły i umarły od chwili, kiedy pojawiła się hierarchia. Sprawdzę, czy nie ma tam jakiejś wzmianki o rodzie wampirów odpornych na słońce. Ale nie rób

sobie zbyt wielkich nadziei. Bo gdyby naprawdę istniała taka odporność z pewnością już byłaby zbadana.

Albo trzymana w ścisłej tajemnicy. Przecież, nie chcieliby, by ludzkość wiedziała, że jest jakaś gałąź wampirów, które mogą poruszać się za dnia. Ludzie mają dość problemów z poradzeniem sobie z nocną wersją.

- Jak tylko porozmawiam z Dią, mogę pojechać do Vinny i dowiedzieć się, co jeszcze ma dla mnie. – Bo przecież pocałowała tego łajdaka. Może wyczuła smak tego, czym był.

- Tylko uważaj – odparł Jack i się rozłączył.

- Złe wieści? – zapytał Liander.

- Tak, wygląda na to, że muszę odpuścić sobie nasz lunch. – Schowałam telefon do kieszeni. – Jak będziesz widział się dzisiaj wieczorem z Rhoanem, mógłbyś dać mu te zdjęcia? Chcę sprawdzić, czy są jakieś inne powiązania z tą szkołą i zniknięciem Younga.

- Oczywiście. – Zamilkł, skręcając w prawo, a potem dodał. – No więc, ile Collingwood pokona Carlton w meczu w tym tygodniu?

Prychnęłam łagodnie i podjęliśmy dyskusję na temat za i przeciw naszych ulubionych drużyn piłkarskich. To wypełniło nam czas.

Podrzucił mnie do mojego samochodu i odjechał. Wyjęłam kluczyki z kieszeni, ale nie wsiadłam od razu do samochodu. Wróciłam ulicą i sprawdziłam, czy Young nie podkradł się do domu.

Nie było go – a przynajmniej ja go nie wyczułam. Co mogło nic nie znaczyć, zważywszy na to, że prawie nie mogłam wyczuć jego zapachu, będąc tu po raz pierwszy.

Brunswick był tylko dziesięć minut jazdy od Glenroy, ale zanim zaparkowałam i dostałam się do restauracji, byłam dobre dwadzieścia minut spóźniona. Nie zobaczyłam Dii siedzącej na jej zwykłym miejscu, przy jednym z zewnętrznych stolików, ale jak tylko zbliżyłam się do drzwi, mała Risa wypadła z restauracji i biegiem przypadła do moich nóg.

- 'iley! – krzyknęła, zawijając swoje maleńkie ramiona wokół mojej lewej nogi i ściskając ją niemal chwytem boa. – Cola!

Roześmiałam się i podniosłam ją do góry, ignorując klucie w moim ramieniu, gdy zakreśliłam nią wkoło, zanim do siebie przytuliłam. Pachniała mydłem i talkiem i ciepłem, i sprawiła, że ponownie zapragnęłam mieć własne dziecko.

- Hej, małą – powiedziałam. – A co na to powie twoja mama, że chcesz colę?

Jej zdumiewająco jasne, fiołkowe oczy zamigotały psotnie.

- Mamusia powie tak!

Uśmiechnęłam się, kiedy weszłam do kawiarni. Dia siedziała w dalekim kącie, siedząc w boksie blisko dużego placu zabaw, stworzonego przez właścicieli dla dzieci. Była, jak zwykle, zarówno nieskazitelna jak i olśniewająca. Jej włosy były czystym białym srebrem, które błyszczały prawie nienaturalnym blaskiem, a połączone z jasnymi niebieskimi oczami i białym garniturem, który na sobie miała, trudno było ją przegapić.

Oczywiście, błękit jej oczu nie były naturalny, tak samo jak srebrzyste włosy. Jej prawdziwy kolor włosów był mieszanką srebra i brązu, a jej oczy z natury były również brązowe, obwiedzione niebieskim.

Dia nie była tylko osobą o zdolnościach parapsychologicznych, ale także klonem ze zmiennymi genami Helki, które zdolne były subtelnie zmieniać jej wygląd, tak samo łatwo, jak ja mogłam stać się wilkiem. Srebrny i niebieski bardziej pasował do jej parapsychologicznego interesu – i umożliwiał jej wykorzystywać prawdziwą formę, kiedy nie chciała być zauważona. Mała Risa najwidoczniej wzięła ubarwienie po swoim ojcu, chociaż Dia nigdy o nim nie rozmawiała, ani nie wymieniła w metryce Risy.

Niewielu zgadłoby, że Dia jest niewidoma. Objawem tego była obecność istoty znanej, jako Fravardin – niewidocznego strażnika-ducha, któremu został przydzielony obowiązek ochrony przez jej brata klona, Miszę. Zawiedli w swoim obowiązku obrony jego, ale dopiero po krwawej bitwie, która zabrała wiele ich żyć. Po jego śmierci, uszanowali jego życzenie i zaczęli chronić Dię. Gdy była poza domem, jeden z Fravardin trzymał się blisko – i przez delikatne połączenie umysłów, Dia była zdolna poruszać się ze spokojem i gracją, których pozbawiło ją upośledzenie. Nie miałam pojęcia, gdzie istota była w tej chwili, ale biorąc pod uwagę to, że patrzyła prosto na mnie, musiała być gdzieś w pobliżu.

- Mamusia nie powiedziała tak – odezwała się sucho. – Ale Riley rzadko zwraca uwagę na nie.

- Ale tylko raz na tydzień. – Wślizgnęłam się do boks w kształcie litery U, a potem posadziłam Rise obok mnie. Dziewczynka skoczyła jednak na nogi i obiegła wkoło boks, a białe warkocze zafurkotały w powietrzu, kiedy zarzuciła ramiona wokół szyi Dii.

- Kocham Mamunię – powiedziała.

- To dziecko zawojuje cały świat – powiedziałam, przelękając śmiech. – Ona zrobi coś dobrego, gdy dorośnie.

- O, tak. – Dia podniosła swoją córkę i zahusła ją nad stołem. – Idź się pobawić, dopóki nie przyniosą napoi.

Risa uciekła radośnie. Dia potrząsnęła głową, rozbawienie i miłość widniały na jej twarzy.

- Już zamówiłam kawę i ciasto. Jaki masz problem?

- Muszę dowiedzieć się czegoś o *Ladacznicach* z Toorak.

Uniosła bladą brew.

- A w jaki sposób *Ladacznice* znalazły się pod lupą Departamentu? Zasadniczo są niegroźne.

- Tak, ale ktoś je sprząta i kradnie ich tożsamość, by zabijać ich kochanków.

Rozbawienie opadło z jej twarzy.

- Boże, nie było żadnych plotek sugerujących coś takiego.

- Udało nam się trochę uciszyć prasę. – Nadal byli skoncentrowani na zmarłym polityku i przypuszczałam, że Jack będzie chciał zachować ten stan rzeczy. – Co możesz mi o nich powiedzieć?

Zmarszczyła nos.

- To faktycznie nie są zbyt mili ludzie.

- Niemili, w jaki sposób?

- W swojej postawie. Nie tylko traktują mężczyzn jak głupie zabawki, ale wchodzą w związki tylko po to, by zobaczyć jak dużo mogą z tego wyciągnąć. To stało się swego rodzaju grą między nimi.

Uśmiechnęłam się do kelnerki w podziękowaniu, kiedy przyniosła trzy talerze z ciastem bananowym, a potem powiedziałam.

- Przypuszczam, że mówisz o prezentach i pieniądzach?

- Także o pozycji. Próbują przewyższyć siebie nawzajem, gdy chodzi o partnerów do łóżka.

- Więc polityk będzie bardziej ceniony niż właściciel sklepu z butami?

- Zależy, jaki polityk i jaki właściciel sklepu, ale tak. – Urwała, patrząc na mnie przez chwilę. – A więc morderstwo Gerarda Jamesa nie było polityczne, tak jak sugerowała prasa?

- Nie. Myślmy, że dokonał złego wyboru partnera do łóżka.

Chwyciła łyżeczkę i nabrała kawałek ciasta bananowego, przeżuując go przez kilka sekund zanim przemówiła.

- Wiem, że obie, Cherry Barnes i Alana Burns, spotykały się z nim. Nie mogę powiedzieć, że mi przykro, widząc obie martwe i na tamtym świecie.

Uniosłam brwi.

- A ja myślałam, że dogadujesz się z każdym.

Prychnęła łagodnie.

- W moim rzemiośle, muszę próbować. Nie oznacza to jednak, że mi się udaje. Skoro jednak Alana została zamordowana, to jest dziwne, że nie zobaczyłam jej śmierci.

- Więc była twoją klientką?

Dia kiwnęła głową.

- Tak jak Cherry. Żadna z nich nie była mile widzianą klientką, więc byłam wdzięczna, że inne trzymały się z dala.

- Po co do ciebie przychodziły?

Wzruszyła ramionami.

- Normalne sprawy. *Zamierzam znaleźć bogactwo i szczęście w swoim życiu, ten rodzaj bzdury.*

Kelnerka przyniosła zamówione kawy i małą szklankę coli. Pisk szczęścia wybuchł na placu zabaw, a niewyraźna plama bieli nagle rzuciła się w stronę matki, by złapać colę.

- Widzisz, co zrobiłaś? – odezwała się Dia, potrząsając głową w rozbawieniu. – Teraz będzie podekscytowana przez godziny.

- Mówiłaś, że polubienie tego jest czymś złym. – Uśmiechnęłam się, gdy dziewczynka złapała słomkę i zaczęła pić, a wyraz pełen rozkoszy zabłysł na jej twarzy.

- To było wtedy, gdy miałam umówionych kilku klientów na popołudnie. – Potrząsnęła głową. – Widziałam Alanę dwa tygodnie temu. Wydawała się być normalna, więc obciążyła samą siebie.

Jeszcze nie czytałam raportu ekipy sprzątającej, ale stan rozpadu sugerował, że Alana nie żyła, co najmniej od tygodnia – co znaczyło, że Dia prawdopodobnie widziała ją tuż przed śmiercią.

- I nie wyczułaś w niej niczego dziwnego?

- Nie. – Zmarszczyła brwi. – Jednak u Alany, trudno było coś powiedzieć. Egocentrycy często są ludźmi trudnymi do odczytania.

- Znasz kogoś, kto chciałby ją zabić?

Uśmiechnęła się.

- Z pewnością nie było jej na gwiazdkowej liście prezentów Cherry.

Ton Dii był suchy, więc uniosłam brwi.

- A więc, one dwie się nie dogadywały?

- Cherry była bardziej kiepską naśladowczynią *Ladacznicy*, niż oficjalnym członkiem. Obawiam się, że Alana była zachwycona udowodnieniem Chery, że nigdy nie będzie jedną z nich, ponieważ po prostu nie była wystarczająco dobra, by zatrzymać swoich mężczyzn.

- W takim razie Alana rozmyślnie uwiodła Gerarda Jamesa, by dowieść tego Cherry?

- Oh, Alana nie była jedyną *Ladacznicą*, która uwiodła podbój Cherry. To jest dla nich coś w rodzaju gry.

- W takim razie, dlaczego Cherry chciała być jedną z nich?

- Ponieważ one były „w” tłumie, a Cherry bardzo chciała być widziana z odpowiednimi ludźmi.

- Nawet, jeśli ich nienawidziła?

- Nawet. – Dia wzruszyła ramionami. – Pociągała ją władza, a ona myślała, że one ją mają. Chciała tego, nawet jeśli osobisty koszt był wysoki.

I ten osobisty koszt mógł dać jej powód do morderstwa.

- Nie sądzę, żeby Cherry była zmienną.

- Nie, jest jak najbardziej człowiekiem.

Cholera. Powinam wiedzieć lepiej, a nie łudzić się, że sprawy same wpadną na swoje właściwe miejsce.

- Widziałaś ostatnio Cherry?

- Nie, przynajmniej od miesiąca. – Zmarszczyła brwi. – Tak naprawdę, to wyjechała w pewnym pośpiechu po naszym ostatnim spotkaniu. Pachniała strachem.

- Co jej powiedziałaś?

- Że pewne wydarzenie z jej przeszłości nie jest tak dobrze schowane, jak myślała, i musi uważać, komu otwiera drzwi.

Uśmiechnęłam się.

- To ostrzeżenie jest tak jasne jak błoto. Jak zwykle.

Wzruszyła ramionami.

- Cherry nigdy nie była zbyt otwarta, jeśli chodzi o jej odczytywanie. Trudno było dostać się do szczegółów.

Uniosłam brwi.

- Ja też nie jestem zbyt otwarta, a jednak mogłaś mnie odczytać.

- Tylko dlatego, że nie jesteś obojętna na psychiczną inwazję. Jesteś po prostu bardzo dobrze przed tym osłonięta.

- Oh.

Uśmiechnęła się i machnęła łyżeczką trzymaną w ręce.

- Chcesz, żebym ci coś dzisiaj odczytała?

Zabrałam rękę, żeby nie mogła jej chwycić.

- Nie, dzięki. Mam dość złych wieści na całe moje życie.

Roześmiała się łagodnie.

- Niedługo znowu odsłonię ci twoja przyszłość, a wtedy gwarantuję, że mnie pokochasz.

Uniosłam brwi.

- Tylko wtedy, gdy zobaczysz w mojej przyszłości prawdziwą miłość i dzieci.

- A co ci powiedziałam ostatnim razem? Dostaniesz to, co chcesz, Riley. Tylko nie w takiej postaci, jak o tym marzyłaś.

Przewróciłam oczami.

- Jak dzieci mogą nie być w takiej postaci, o jakiej marzyłam?

Uśmiechnęła się.

- Nikt nie powiedział, że przyszłość łatwo zrozumieć.

- I jak ty się utrzymujesz z tych bzdur?

- Bardzo dobrze – powiedziała poważnie, a potem zachichotała. – Cieszę się, że większość moich klientów nie jest tak sceptyczna, jak ty.

- Nie jestem sceptycznie nastawiona do twojego talentu - tylko do tego, co mówisz o mojej przyszłości. – Upiłam łyk kawy i zlizalam piankę z warg. – Czy poza Alaną, była jakaś inna *Ladacznica* na czarnej liście Cherry?

Dia zmarszczyła brwi.

- Przy wszystkich winach Cherry, ona raczej nie wygląda na morderczy typ.

- Jak wielu seryjnych morderców.

Potwierdziła to kiwnięciem głową, ale dodała.

- Cherry chciała być częścią ich grupy. Morderstwo nie było przewidziane w jej zamiarach.

- No cóż, ale w czyichś zamiarach było, a w tej chwili, ona wydaje się być najbardziej prawdopodobna. Kogo jeszcze nienawidziła?

Zawahała się.

- Enna Free prawdopodobnie byłaby następna na czyjejkolwiek liście nienawiści.

Zastanowiłam się, czy ciało, do którego wezwano dzisiaj Kade'a, nie należało właśnie do Enny Free. Bo jeśli nie – a ona nadal żyła – to wtedy ktoś będzie musiał do niej pojechać zanim zjawi się tam zabójczy kot. Złapałam telefon i wysłałam Jackowi szybką wiadomość, żeby zainteresował się zarówno Enną jak i Cherry, a potem przyciągnęłam talerz z ciastem bananowym do siebie i zgarnęłam łyżeczką. Było, jak zwykle, pyszne. To było jedyne miejsce w Melbourne, gdzie wybrałabym bananowe zamiast czekoladowego, i to każdego dnia.

- Wiesz może, gdzie dzisiaj jest Enna?

- Nie, ale wieczorem jest bal dobroczynny w Sparkies, tylko na zaproszenia, i wiem, że kilka *Ladacznic* będzie tam obecnych. Najwyraźniej, będzie tam jakieś dobre męskie mięsko. To słowa Alany, nie moje.

Prychnęłam cicho.

- Wiesz, gdyby mężczyzna powiedział tak o kobiecie, wywołałby oburzenie.

- Świat jest wypaczony – zgodziła się, a potem znowu machnęła łyżeczką w moją stronę. – Chcesz dostać się na ten jubel?

- Jeśli możesz mnie tam wprowadzić, to tak.

- Risa, proszę, podaj mamusi telefon z torebki?

Dziewczynka pochyliła się, pogrzebała w skórzanej torebce leżącej koło niej, wyciągnęła telefon i podała. A potem posłała mi zawadiacki uśmiech i powiedziała.

- Ciastko, proszę.

- W takim razie, chodź tutaj, potworze.

Popędziła do mnie, a ja karmiłam ją ciastem, podczas gdy Dia rozmawiała przez telefon.

- Załatwione – powiedziała po kilku minutach. – I starczy już tego ciasta, bączku.

Grymas Risy trwał przynajmniej przez dwie sekundy, a potem przeniosła się z powrotem na swoje miejsce i dokończyła swoją colę.

- Bilet będzie czekał na ciebie przy drzwiach. Kosztuje pięć setek.

Niemal się udusiłam.

- Boże, cieszę się, że to Departament za niego zapłaci.

- Masz szczęście, że to jest jedna z tańszych imprez. Niektóre kosztują tysiąka, albo dwa.

Na szczęście, dzisiejsza impreza nie była jedną z tych, ponieważ reakcja Jacka nie byłaby zbyt przyjemna.

- Masz adres Cherry?

- Nie przy sobie, ale mogę oddzwonić, jak tylko wrócę do domu. – Zamilkła i napiła się kawy. – Chcesz pełną listę *Ladacznic*?

- Byłoby świetnie.

Otworzyłam moją torbę, a potem wręczyłam jej niewielki notatnik i długopis. Nagryzmoła czternaście nazwisk i oddała mi zarówno długopis, jak i notatnik.

- Coś jeszcze?

- Jak wygląda Enna?

Dia się uśmiechnęła.

- Myślałam, że już nie zapytasz.

Uniosłam brew.

- Blond włosy, niebieskie oczy, szczupła?

- Tak. To ich znak rozpoznawczy – nawet, gdy z natury mają ciemne włosy.

- Mężczyźni wydają się lubić blondynki.

Prychnęła.

- Tak, jakby rudzielce miały powody do narzekań. Chyba, że są na dobrowolnej diecie, prawda?

- Coś czuję, że dieta niedługo się skończy.

- Naprawdę? No mów.

Więc powiedziałam jej o Benie i o sprawie, w której oboje bierzemy udział, a potem następną godzinę spędziłyśmy na pogaduszkach, bardziej jak stare, a nie nowe przyjaciółki – a to było coś, co myślałam, że nigdy mi się nie przytrafi.

Oczywiście, chociaż bardzo chciałam spędzić tu cały dzień, to nie mogłam – Jack dostałby białej gorączki – i pojechałam do Departamentu.

Jacka nie było w biurze, kiedy przyjechałam, za to Kade siedział przy swoim biurku. Rzuciłam torebkę na biurko, a potem podeszłam do ekspresu do kawy. W końcu dostaliśmy kubki zamiast tych okropnych plastikowych kubeczków, ale to nie sprawiło, że kawa smakowała lepiej. Jack obiecał nam nowy ekspres, ale po miesiącach słuchania podobnych obietnic, nie miałam już żadnych złudzeń, że to faktycznie kiedykolwiek się stanie.

Nalałam trochę mleka do obu kubków, nacisnęłam guzik i podstawiłam pierwszy, a potem zerknęłam na Kade'a.

- Więc kogo zamordowano tym razem?

Skrzywił się i odchylił na krześle.

- Jakąś Cherry Barnes. Trzydziestoczteroletnia rozwódka, która nie żyje od trzech tygodni.

No cóż, to tyle, jeśli chodzi o moje myśli w sprawie Cherry mającej wszystkie powody do morderstwa.

- I nikt nie poczuł zapachu?

- Najwyraźniej nie. Ani nikt nie zgłosił jej zaginięcia. Jej mama i siostra myślały, że odbywa rejs z jakimś facetem.

- Więc kto ją znalazł?

- Służba zwalczania szkodników. Zostali wezwani z powodu nagłego napływu szczurów w drugim mieszkaniu.

Skrzywiłam nos i zamieniłam kubki.

- Tylko mi nie mów...

- Tak, jej ciało było nadjedzone. Nie sądzę, żeby ten pracownik był zdolny jeść przez cały tydzień.

- W takim razie cieszę się, że to nie ja zostałam tam wezwana. – Klapnęłam tyłkiem na jego biurko i podałam mu kubek. – Zgaduję, że ciało było w takim rozkładzie, że trudno powiedzieć, czy została okaleczona czy nie?

- Tak, ale według Cole'a, to nie był nasz kot. Cięcia na jej plecach i brzuchu są inne.

Uniosłam brwi.

- Co to znaczy inne?

Kade wzruszył ramionami.

- Nie chciał dokładnie wyjaśnić. Będziemy musieli poczekać na raport.

- A co z Alaną Burns?

- Miała podciętą szyję i żadnych siniaków. Nie była pocięta, ani nadjedzona, tak jak nasza druga kobieca ofiara.

- Więc przemoc zdecydowanie się nasila. – Urwałam i napiłam się kawy. Była bardziej gorzka niż zwykle, ale może to był efekt wypicia tej jedwabistej smacznej w kawiarni. – Więc, skoro Cherry nie żyje od trzech tygodni, to możemy się spodziewać kolejnego męskiego ciała czekającego na odkrycie.

- Może. Teraz przekopuję się przez policyjne nierozwiązane sprawy morderstw, by sprawdzić, czy czegoś nie znajdę. – Wyciągnął rękę, złapał akta i mi podał. – Raporty kryminalistyczne Gerarda Jamesa i tego sprzedawcy butów. DNA znalezione na obu miejscach zbrodni pasują do siebie.

- A co z Alaną Burns? Znalezione na niej jakiś DNA?

- Nie. Ale Cole podejrzewa, że znajdą ich dość na ciele drugiej kobiety. Została mocno pogryziona.

Otworzyłam akta i pominęłam zdjęcia, chcąc przejść do raportów. Na pierwszy rzut oka, nie było tam niczego, czego już nie odkryłam.

- A czy Cole ma jakiś pomysł, z czym mamy do czynienia?

- On myśli, że to może być bakeneko.⁶

- Co takiego?

⁶ <http://anime-wiki.pl/wiki/Bakeneko>

Kade się uśmiechnął.

- Taka też była moja reakcja.

- Co to jest?

- Najwyraźniej, to kot z nadprzyrodzonymi zdolnościami.

- Kot? Więc nie mamy do czynienia ze zmiennym, ale z prawdziwym kotem, który może przybrać ludzki kształt?

Co na pewno wyjaśniało arogancję, jaką ta kobieta pokazała machając do świadka. Koty miały ogromne poczucie własnej wyższości.

- A to sprawia, że złapanie tej suki będzie o wiele trudniejsze, prawda? Bo ona tak naprawdę nie będzie myślała, jak normalna osoba. – Potrząsnął głową, a potem wypił łyk kawy. Jego twarz skrzywiła się w ten sam sposób, co moja. – Boże, to jest ohydne.

- Co nie powstrzyma żadnego z nas od picia tego świństwa.

- Do diabła, nie. – Uniósł swój kubek w toaście, brązowe oczy zamigotały. – Przeszukałem Internet i jedyną rzeczą, jaką znalazłem, jest kilka japońskich legend.

- Jak przypuszczam, nie jest tam napisane jak zabić tę rzecz. – Japońskie mity rzadko to robiły z jakiegoś dziwnego powodu.

- Nie. Ale jest tam napisane, że bakeneko może zmieniać swój kształt w ludzki i jest znany ze zjadania swojego własnego kochanka, żeby móc się zmienić i zabrać mu tożsamość.

- Cóż, niektóre z tych kryteriów z pewnością pasują.

- Tak. Ale dlaczego ściga tych mężczyzn? Dlaczego kot – prawdziwy kot – chce zniszczyć tych ludzi?

- Nie wiem, ale coś najwyraźniej ją zdetonowało. Musimy tylko spróbować dowiedzieć się co. – Wzięłam łyk kawy i zagłębiłam się na chwilę w aktach. – Zastanawiam się tylko, czy ona należała do któregoś z zmarłych?

- Trudno powiedzieć. Chociaż najwyraźniej całkiem dobrze znała rozkład tego domu, bo pobiegła prosto do otwartego okna, by uciec.

- Tak, ale nie zauważyłam jakichkolwiek przedmiotów należących do kota, które sugerowałyby, że faktycznie tam mieszkała.

- A nie myślisz, że ona mogła być jakąś przybłądą, którą te kobiety przygarniały?

Uśmiechnęłam się.

- Powtarzając Dię, jedyną rzeczą, jaką przygarniają te kobiety to mężczyźni.

- Więc skąd ciekawość, do kogo ten kot należał?

- Nie wiem. Takie małe zastrzeżenie.

Patrzył na mnie przez chwilę, a potem powiedział.

- Ale wiesz co, w kuchni Cherry Barnes stały miseczki.

- W takim razie, może warto poszukać sąsiadów, którzy by wiedzieli, czy miała czarnego kota. Cherry Barnes miała dobry powód by nienawidzić swoje koleżanki *Ladacznice*, więc jeśli to był jej kot, może szuka zemsty w imieniu swojej zmarłej pani.

- Tak, tylko że Cherry nie została zabita przez kota, co znaczy, że mamy kolejnego mordercę.

- To sprawia, że dzień nie jest nudny – powiedziałam lekko i rzuciłam akta na biurko. – Niektóre z *Ladacznic* zamierzają być na ekstrawaganckiej fecie odbywającej się dziś wieczór. Idę tam i zobaczę, co zdołam wywęszyć.

- Chcesz towarzystwa?

- Przy pięciuset dolarach za bilet, może iść sama – powiedział Jack wchodząc do pokoju. Jego łysa głowa wręcz błyszczała we fluorescencyjnym świetle. Wyglądało to tak, jakby ją polerował. – Poza tym, będziesz pomagał w nagonce na pozostałe *Ladacznice*.

- Biorę wszystkie fajne prace – wymamrotał Kade.

- Dia dała mi listę ich nazwisk – powiedziałam pomocnie i przełknęłam uśmiech, kiedy posłał mi gniewne spojrzenie. Spojrzałam na Jacka i dodałam. – I to ona mi asystuje na tej imprezie, która jest jedną z tańszych, szefie.

- Dia zarządza wielomilionowym imperium. A my jedziemy na rządowych funduszach. Jak ramię?

- Możliwe do przeżycia.

- To dobrze. – Podał mi akta. – Raport o Vinny Castillo. Myślę, że chciałabyś to zobaczyć.

Nie bardzo, ponieważ tak naprawdę chciałam mieć z nią do czynienia tak mało, jak to tylko możliwe. Ale nie mogłam tak postępować w mojej pracy – i chociaż miałam do czynienia z wampirami na co dzień, odniosłam wrażenie, że Vinny zamierza pobyc w moim życiu przez jakiś czas.

I Boże, jak ja nie cierpiałam tych moich małych *przeczuć*. Zwłaszcza, gdy nie chciały dostarczać bliższych informacji.

- Mamy ją na oku?

- Tak. I jej budynek-imperium także. – Nalał sobie kawy i wziął łyk. W przeciwieństwie do Kade'a, czy do mnie, nie wykrzywił twarzy. Może smakowało mu to okropne coś. – Uważaj przy niej na siebie. Ona gustuje w kobietach i nie jestem całkiem pewny, czy twoje tarcze wytrzymają jej rodzaj magnetyzmu.

Gdyby nasze pierwsze spotkanie było czymś, o czym można by zapomnieć, mógłby mieć rację.

- Znalazłeś jakieś informacje o niewidzialnych wampirach?

- Jeszcze nie, ale to jest duża baza danych, i niestety, żadne wcześniejsze informacje nie są wpisane do komputera.

- A co z raportem policyjnym w sprawie morderstwa BDSM?

- Poszedłem nawet dalej. Wysłałem ekipę kryminalistyczną, żeby zbadała ciało. Cięcia na jego ciele pasowały do tych, które Ivan Lang otrzymał przed swoją śmiercią.

- Powiedzieli, jakiej użył broni?

- Czegoś ostrego, ale nie noża. Nie sądzą jednak, żeby to były zwierzęce pazury.

- Nic więcej?

- Jeszcze nie. – Rzucił okiem na Kade'a. – Jaki jest status morderstwa?

Kiedy Kade przekazywał mu najświeższe informacje, podeszłam do mojego biurka i usiadłam. Po zeskanowaniu oka i zalogowaniu się, sprawdziłam wyniki poszukiwań Arona Younga. Dwaj wciąż byli wymienieni, jako zaginieni, co było interesujące. Trzeci był żonaty, miał trójkę dzieci i pracował, jako szef kuchni, przez ostatnie trzydzieści lat. Jakoś wątpiłam, że to on był naszym facetem, ale i tak zaznaczyłam

jego plik. Ktoś mógłby tam pójść i porozmawiać z nim, na wypadek, gdybym się myliła. Bo przecież, to nie byłby pierwszy raz.

Przez chwilę, stukałam palcami o biurko, a potem wyciągnęłam metryki pozostałych dwóch.

Pierwszy Aron Young był koło siedemdziesiątki i nadal uważany był za człowieka, co znaczyło, że prawdopodobnie nie był naszym podejrzanym. Young, którego goniłam, z pewnością nie wyglądał na tak starego, bo zazwyczaj wampiry zachowywały swój wiek, kiedy przechodziły ceremonię. Zarówno Quinn jak i Jack, oczywiście byli dość starzy – jak na ich czasy - gdy to przechodzili.

Drugi Young był po czterdziestce, co kwalifikowało go do właściwego przedziału wiekowego. Biorąc pod uwagę fakt, że był uważany za zaginionego, zaczęłam szukać jego rodziców.

Jego ojciec, Jonathon Young, umarł miesiąc temu. Zgodnie z aktem zgonu, powodem śmierci był atak serca, więc najwyraźniej nie było tu nic złowrogiego. Jednak dlaczego oczekiwałam czegoś złowrogiego, tak naprawdę nie wiedziałam.

Jego matka nadal żyła, jednak mieszkała w Yuroke, społeczności małych gospodarstw na północnym skraju Melbourne. Zerknęłam na zegarek i zorientowałam się, że mam mnóstwo czasu, żeby tam pojechać i wrócić do domu, zanim zacznę się przygotowywać na wieczór. Zapisałam jej adres, a potem wylogowałam się z komputera i wstałam.

- Jadę porozmawiać z matką jednego z naszych Aronów Young, szefie.

Rzucił na mnie okiem.

- Bądź ostrożna. Dopóki nie dowiemy się, z czym mamy do czynienia, nie wiemy jak to zabić.

- Wątpię, żeby matka stanowiła jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Ma prawie dziewięćdziesiąt lat, na Boga.

- Staruszki są podłe i niebezpieczne – wtrącił się Kade. – Pozwól mi kiedyś, przedstawić ci mamę Sable. Ta kobieta mogłaby zamrozić przyrodzenie samego Szatana.

- Naprawdę uwielbiam poziom rozmowy, jaką słyszę u waszej dwójki – powiedział sucho Jack.

Uśmiechnęłam się i wyszłam zanim rzeczona rozmowa stanie się gorsza.

Niemal godzinę zabrał mi dojazd do Yuroke i następne dziesięć minut, by znaleźć właściwą stronę ulicy i numer domu.

Pani Young mieszkała w małym drewnianym domku, ledwo widocznym wśród eukaliptusów. Wjechałam długim podjazdem, unikając tyle dziur, ile mogłam, kiedy moje spojrzenie omiatało stary dom i podupadłą stodołę, która stała z lewej strony. Stodoła wyglądała nawet dużo gorzej niż dom, blaszany dach był zardzewiały i podnosił się w kilku miejscach, a tylny narożnik budynku był zrujnowany i wystawiony na działanie warunków atmosferycznych.

Jedynymi oznakami życia było kilka kurczaków, które skrobały ziemię przed frontem stodoły, i pies, o parchatym wyglądzie, przykuty łańcuchem do budy.

Zatrzymałam samochód i wysiadłam. Wiatr wił się między drzewami, szeleszcząc liśćmi, a ciche gdakanie kurczaków dołączało się do tego chóru. Prawie żadne odgłosy nie dochodziły z domu ani szopy. Nawet pies milczał, patrząc na mnie obojętnymi oczami.

Wyglądało tu tak, jakby to miejsce – i pies – zostało porzucone. Chociaż na sznurze wisiały ubrania, a w, przyległym po prawej stronie domu, garażu był zaparkowany samochód.

Omiotłam budynki jeszcze raz spojrzeniem, a potem sięgnęłam do samochodu i wzięłam broń. Mogłam dogadać się ze starą kobietą, ale ona była starą kobietą z szalonym synem, i chociaż nie mogłam go wyczuć, to nie znaczyło, że go tu nie ma. Yuroke nie było tak daleko od miasta, więc z łatwością mógł używać tego domu, jako kryjóWKi.

Trzasnęłam drzwiami auta i ruszyłam w stronę domu. Gdyby babsko przypadkiem było w środku i patrzyło, robiła to niezwykle cicho. Ale nie sądziłam, żeby była. Nikogo nie wyczuwałam. Jedynie śmieci i starość.

Drewniane schody zaskrzypiały i ugięły się, kiedy na nie nadepnęłam, a okno z mojej lewej strony zadrzało. Cały dom był w ruinie, futryny gniły, a deski ledwie pokrywała farba. Nawet drzwi nie wyglądały na zdolne wytrzymać brzydkiej pogody – były spaczone i wisiały pod niewielkim kątem, wyglądając na niedomknięte.

Nacisnęłam guzik dzwonka, ale nie usłyszałam towarzyszącego mu dzwonienia w domu, więc zapukałam. Chociaż nie użyłam dużej siły, całe aż zadrzały.

Nie było żadnej odpowiedzi. Zapukałam jeszcze raz, potem się cofnęłam i zajrzałam przez okno. Pokój przypominał swoim wyglądem salon i, tu także, zniszczenie było oczywiste. Gazety leżały porzucane po podłodze, ich brzegi były pożółkłe i zakręcone, gruby kurz zalegał na wzorzystych kanapach i ciemnym drewnie kredensów. Kilka filiżanek i talerzy stało na stole, na jednym było ciasto, całkiem już zielone. Więc albo pani Young nie była zbyt dobrą gospodynią, albo ten pokój nie widział ludzkiej ręki od co najmniej kilku tygodni.

- Pani Young? – zawołałam. - Riley Jenson z Departamentu. Muszę z panią porozmawiać.

Mój głos odbił się echem w pustce. Żadna odpowiedź nie nadeszła. Nawet od psa.

Chwyciłam za klamkę i nacisnęłam. Drzwi otworzyły się kilkanaście centymetrów, a potem się zacięły, zmuszając mnie do ich podniesienia nad spaczoną deską w podłodze. W środku dom pachniał tak źle, jak wyglądał. Powietrze było nieświeże i przesycone zapachem śmieci i zgnilizny.

Deski zaskrzypiały, kiedy weszłam do środka.

- Pani Young?

Nadal żadnej odpowiedzi. Ani nie wyczułam żadnego życia. Ruszyłam korytarzem, sprawdzając pokoje, gdy mijałam kolejne drzwi. Dwie sypialnie i łazienka były od frontu domu, obie dużo schludniejsze niż salon – chociaż kurz był równie gruby w tych pokojach, co we frontowym.

Korytarz prowadził do kuchni i to tutaj najwyraźniej ta stara kobieta spędzała najwięcej czasu. Kuchnia była mała, ale schludna, z czystymi talerzami i filiżankami stojącymi w suszarce. Mała część jadalna składała się ze stołu i kilku krzeseł odsuniętych do ściany, dając przestrzeń dla dużej, mocno zużytej kanapy. Telewizor stał w kącie pokoju.

Na końcu blatu zauważyłam kupkę gazet. Podeszłam i spojrzałam na datę. Najnowsza była z poprzedniego miesiąca – mniej więcej około daty śmierci Pana Younga. Może jego żona się wyprowadziła, bo nie chciała być sama, ale dlaczego zostawiła biednego, starego psa i kurczaki? To nie miało sensu.

Obróciłam się i zobaczyłam kolejne drzwi. Prowadziły prawdopodobnie do czegoś mało pasjonującego, jak pralnia, ale mimo wszystko podeszłam sprawdzić. Moja skóra zaczęła mrowieć kilka kroków od drzwi. Zmarszczyłam brwi i się zatrzymałam. Zazwyczaj odczuwałam tę reakcję, gdy w pobliżu znajdowało się srebro – ale

dlatego, do diabła, miałyby być srebro w tym starym domu, zwłaszcza jeżeli zamieszkiwała go rodzina zmiennych?

Zrobiłam krok do przodu i przytknęłam palce do drzwi. Mrowienie się nasiliło, paląc koniuszki moich palców. Z niewiadomych powodów, w pokoju za tymi drzwiami znajdowało się *całe* mnóstwo srebra.

I tak naprawdę, mógł być tylko jeden powód – ktoś chciał zatrzymać zmiennego.

Z pewnym niepokojem – i małym wysiłkiem – otworzyłam drzwi. To, co odkryłam było właściwie więzieniem. Siatka zaczynała się tuż za drzwiami i była podobna do pajęczej. Była zrobiona w kilku warstwach i, aby ją wzmocnić, siatkę potrojono. Niewielu zmiennych przeszłoby przez nią – przynajmniej nie bez poważnych ran. A nawet jeśli by zdołali, zostaliby załatwieni przez pokryte srebrem ściany. I to, co czułam – drzwi od wewnątrz także zostały nim pokryte.

Ktoś chciał być cholernie pewny, że coś – albo ktoś – się stąd nie wydostanie.

Pokój, sam w sobie, był urządony jak sypialnia. Miał łóżko, mały obszar łazienki i telewizor. Było tu także biurko i laptop w przeciwnym kącie łóżka. Książki i magazyny leżały rozrzucone na podłodze, ale nie przykrywały małego, poplamionego chodnika.

Moje spojrzenie wróciło do siatek. Czy to mogło wyjaśniać nagły wyjazd rodziców Younga z Beechworth? Bo odkryli, że ich ponoć zmarły syn żyje, ale w pewnym sensie jest potworem?

Patrząc na ten pokój, to wydawało się być bardzo możliwe.

Ale biorąc pod uwagę umocnienia, jak Young zdołał uciec? I dlaczego teraz, skoro spędził dobre trzydzieści, lub coś koło tego, lat w niewoli?

I gdzie, do diabła, była jego matka?

Odeszłam do srebrnego pokoju i rozejrzałam się. Po drugiej stronie małej jadalni zauważyłam szklane rozsuwane drzwi, które prowadziły na małe patio.

Ruszyłam w tamtą stronę, odblokowałam drzwi i wyszłam na zewnątrz. Na prawo, w małej przybudówce z tyłu garażu, była pralnia. Z lewej były schody, które prowadziły na ścieżkę obok sznurów na pranie. Różne koszule i bielizna, wiszące na sznurze, były mieszkanką kobiecych i męskich ubrań, ale wyglądały tak, jakby wisiały tam już od jakiegoś czasu. Ptasie gówna ozdabiały niektóre koszule, a same sznury już zaczęły opadać.

Zeszłam ze schodów i podążyłam ścieżką, nachylając się pod ubraniami i idąc w stronę małego ogródka warzywnego. Były tu duże, grube dynie, gotowe do zebrania, a ziemniaki i marchew dziko się rozrosły.

Oczywiście, ten ogród został opuszczony dużo wcześniej niż zmarł Pan Young.

Ścieżka prowadziła dalej, więc i ja szłam. Drzewa stały po obu jej stronach, a z większości nich zwisały owoce w różnym stopniu dojrzałości. Niestety, ptaki dobrały się do części nich, zostawiając owoce na wpół zjedzone i gnijące.

Ścieżka kończyła się małym miejscem do wypoczynku. Duże, rozłożyste drzewo zapewniało tu cień, a pod nim stał stolik i dwa krzesła. Z jednej strony była rabata obsadzona różami, napełniającymi powietrze słodkimi letnimi zapachami.

Po drugiej stronie, grób.

W końcu znalazłam Panią Young.

Rozdział 7

Ukucnęłam u podnóża grobu i obejrzałam mały, solidny krzyż, na którym wryte było jej nazwisko. Było zrobione tak z grubsza, ale wymalowane litery były widoczne i mocne, a data poniżej mówiła, że nie żyje dopiero od kilku tygodni.

Ale kwiaty, które na nim leżały, były świeże. Ktoś tutaj przychodził, żeby zaopiekować się jej grobem – i nakarmić psa – ponieważ już by zdechł, gdyby tego nie robiono.

Wstałam i nacisnęłam guzik połączenia w moim uchu, jednak biorąc pod uwagę odległość od Melbourne, nie byłam taka pewna, czy odbiorą mój sygnał. Część tropiąca urządzenia mogła znaleźć mnie w każdym miejscu w Wiktorii, ale część od łączności nie była tak silna.

- Hej, ktoś mnie słyszy?

Zgodnie z przewidywaniami, żadna odpowiedź nie nadeszła. Wypuściłam sfrustrowany oddech i wróciłam z powrotem ścieżką, tym razem okrążając dom z drugiej strony. Kurczaki się rozproszyły, uciekając przede mną, jak tylko się pojawiłam, ale stary pies pozostał nieruchomy.

Ukucnęłam przy nim i podrapałam go po głowie. Z bliska wyglądał trochę lepiej, niż sama skóra i kości, a jego ciemna, kręcona sierść była skołtuniona i zaniedbana. Ktoś mógłby przyjechać tutaj po niego, ale nie robili szczególnie dobrej roboty.

Wstałam i ruszyłam w stronę samochodu. Przeszukałam torebkę, znalazłam telefon i zadzwoniłam do Departamentu. Ku mojej radości, odebrała Sal.

- Co mogę dla ciebie zrobić, wilcza dziewczynko?

- Przyślesz zespół do mojej obecnej lokalizacji? Znalazłam grób i potrzebuję zidentyfikować ciało wewnątrz niego.

- Czy to powiązana i pilna sprawa? Ponieważ nie mamy ludzi.

- Tak do obu. Przykro mi, Sal, ale mamy wariata na wolności i musimy go zatrzymać. Dowiedzenie się, czyje to jest ciało, zbliży nas o krok do naszego celu. –

Po prostu dlatego, że wiedza, czy to jest Pani Young, czy nie, da nam wskazówkę, gdzie nie mamy szukać.

- Zobaczę, co mogę zrobić.

Co było jej sposobem na powiedzenie, że to zrobi.

- Mogłabyś także wezwać RSPCA ⁷? Jest tu pies, który wygląda, jakby nie jadł od dłuższego czasu, i kilka kurczaków, które trzeba wylapać.

- Ktoś porzucił psa? Dranie. Zaraz się tym zajmę.

Uniosłam brwi na gniew w jej głosie. Czyżby Sal uwielbiała psy? Kto by pomyślał?

- Dzięki, Sal.

Rozłączyłam się i wróciłam do psa, napełniając miskę, żeby przynajmniej miał świeżą wodę. Potem chwyciłam duży kawał drewna i poszłam do domu.

Moja skóra zaczęła mnie palić w chwili, jak tylko zbliżyłam się do tego pokoju. Odłamałam kawałek drewna i podłożyłam pod drzwi, tylko po to, aby zabezpieczyć się, by nikt i nic nie zatrzasnął ich za mną. Potem, używając reszty drewna, odsunęłam siatkę na tyle, żeby wejść do środka. Chociaż srebro nawet nie dotknęło mojej skóry, w pokoju wciąż czułam się jak w piekle. Byłam zbyt wrażliwa na ten metal, żeby zostawać tu zbyt długo.

Podeszłam do biurka i otworzyłam laptopa. Nie był podłączony do prądu, a baterie się wyczerpały. Pochyliłam się i wcisnęłam wtyczkę do gniazdka, tak żeby ekipa sprzątająca mogła spojrzeć na niego, gdy już tu przyjadą. Potem przewertowałam magazyny i książki, ale wszystkie dotyczyły komputerów i mechaniki, i nie powiedziały mi zbyt wiele o człowieku, który je czytał. Pod łóżkiem mignęły mi pornograficzne czasopisma, więc najwyraźniej jego rodzice nie byli oporni w spełnianiu jego potrzeb – ale znowu, nasuwało się pytanie, dlaczego go zamknęli? Jeśli wcześniej nie był szalony, to jest pewne jak diabli, że stał się taki po trzydziestu latach zamknięcia w pokoju wyłożonego srebrem.

Kilka gazet leżało koło łóżka, więc podeszłam i je podniosłam. Trzy z nich, miały artykuły, które zostały zakreślone na czerwono.

⁷ RSPCA – Towarzystwo Zapobiegania Okrucieństwu wobec Zwierząt

Pierwszy był o bandyckim napadzie w Brighton, więc nie mogłam znaleźć powiązania do naszych morderstw, dopóki nie przeczytałam w połowie artykułu wzmianki o naocznym świadku.

Ivan.

Drugi – najstarszy z nich – był o kweście dobroczynnej i zawierał zdjęcie z kilkoma osobami. Jedna z kobiet była zakreślona – Cherry Barnes.

Trzeci artykuł był krótki, rozplywający się w zachwytach nad nowym, zdolnym szefem kuchni pracującym w *Gorącym Króliku*. Pod spodem było zdjęcie właściciela – dużego, łysiejącego mężczyzny o nazwisku Ron Cowden. Duży, czerwony krzyż widniał na jego sercu.

To nie był żaden z mężczyzn, którzy już umarli. To był ktoś nowy.

Cholera.

W gazetą w rękę, ostrożnie wysunęłam się przez siatkę, a potem upuściłam drewno i pobiegłam do samochodu i telefonu.

- Co znowu? – odezwała się Sal, pełnym cierpienia głosem.

- Pilnie potrzebuję wysledzić mężczyznę o nazwisku Ron Cowden. Prawdopodobnie jest właścicielem restauracji o nazwie *Gorący Królik*.

- Dlaczego?

Czasami, ta kobieta była prawdziwym wrzodem na tyłku. I robiła to dlatego – bo wiedziała, że to mnie wkurzy. Mogła być taką samą suką, jak ja, kiedy tylko chciała.

- Bo jeśli jeszcze nie jest martwy, to może być następną ofiarą naszego niewidzialnego wampira.

- Wampiry nie są...

- Ten jest – przerwałam jej. Zerknęłam na zegarek. Musiałam się stąd ruszyć, bo inaczej spóźnię się na przyjęcie. – Daj mi znać, jeśli go znajdziesz. Może uda nam się go zgarnąć, jeśli go wytropisz.

- To nie powinno być trudne, ale powiem Jackowi, że mogą być potrzebni dodatkowi ludzie.

- Jak będziesz rozmawiała z Jackiem, powiedz mu, że Cherry Barnes jest prawdopodobnie ofiarą niewidzialnego wampira.

- Powiem.

- Dzięki.

Ponownie się rozłączyłam, wsiadłam do samochodu i pojechałam do domu. Nie było ani Rhoana, ani szkolnych zdjęć od Liandera. Złapałam telefon i zadzwoniłam do Liandera.

- Hej, – powiedział, – ominął cię wspaniały lunch.

- Tak, przepraszam za to. Mogę zadać ci pytanie odnośnie zdjęcia?

- No. Strzelaj.

- Czy jest na nim Ron Cowden?

Zamilkłam, a w tle zaszeleścił papier.

- Nie. Jest jakiś Jake Cowden.

- Mógł mieć brata?

- Może. Nie miałem z nim wiele wspólnego.

- A mógł mieć coś wspólnego z tym zły towarzystwem, o którym wspominałeś?

- Nie mam pojęcia. Był dość cichym dzieckiem. Trzymającym się swojego towarzystwa.

Dobra, to tam idzie to możliwe powiązanie.

- A Ivan Lang, Cherry Barnes, albo Denny ktoś tam?

- Denny ktoś tam? – Rozbawienie zabrzmiało w jego głosie.

- Przepraszam, ale nie znam jego nazwiska. – I nie przeczytałam jeszcze policyjnego raportu.

- Na zdjęciu jest Denny Spalding, jeśli to pomoże. I dwójka pozostałych też. Chociaż, oczywiście, nie ma pewności, że ta trójka to ci, których szukasz.

- Wiesz coś o nich?

- O Cherry i Dennym nie, ale Ivan był sfiksowany na punkcie wampirów. Trzeba powiedzieć, że pragnął przejść ceremonię i, któregoś dnia, stać się jednym z nich.

- Przeszedł ceremonię, tyle że, ktoś odciął mu głowę i spalił na słońcu.

- No cóż, to nie było zbyt miłe. – Urwał i najwidoczniej napił się czegoś, bo usłyszałam, jak przełknął. – Nie należał także do żadnego gangu. Ale był jednym z niewielu przyjaciół, jakich miał Jake Cowden.

- Więc, jaki do cholery jest związek między tymi wszystkimi ludźmi?

Liander prychnął.

- Tak, jakbym wiedział?

Uśmiechnęłam się.

- Przepraszam, głośno myślę.

- To chyba rodzinna cecha. – Zamilkł jeszcze raz, a potem dodał. – A skoro mówimy o rodzinach, mam do ciebie pytanie.

- Pytaj.

- Co byś powiedziała na to, żebym wprowadził się do ciebie i Rhoana?

Zamrugalam. To zupełnie zbiło mnie z tropu!

- Sądzę, że byłoby wspaniale, ale muszę zapytać, dlaczego chcesz wprowadzić się do naszego obskurnego, małego mieszkania, gdy masz swój absolutnie piękny dom? – Nie wspominając o zmyślnym małym mieszkanku nad jego studium.

- Ponieważ chcę prosić Rhoana, żeby zamieszkał ze mną, ale on nie chce zostawić cię samej w najbliższym czasie.

- To nie...

- Tak jest, nawet jeśli żadne z was nigdy o tym nie rozmawiało. Jesteście dla siebie jedynym członkiem sfory, jaki ten drugi ma, i myślę, że to będzie trudne dla każdego, kto kiedykolwiek będzie chciał rozdzielić waszą dwójkę.

- Ale to nie znaczy, że jeden musi żyć sprawami drugiego.

- Nie, ale możesz szczerze powiedzieć, że gdybyś jutro spotkała swojego partnera duszy, to mogłabyś zostawić to mieszkanie i Rhoana, by połączyć się z nim?

Otworzyłam usta, by powiedzieć *oczywiście*, ale nagle powstrzymałam się, żeby nad tym pomyśleć. Rhoan i ja mogliśmy nie żyć sprawami drugiego, mogliśmy wytrzymać dni – tygodnie – bez widzenia się nawzajem, ale jego zapach zawsze był wokół mnie, wypełniając tę część mnie, która potrzebowała sfory, potrzebowała

rodziny. I tak, jak powiedział Liander, był dla mnie wszystkim, co miałam, wszystkim, co kiedykolwiek miałam, jeśli chodziło o sfore.

Nawet, gdy zdecydowałam się związać z Kellenem, myśl całkowitego wyprowadzenia się z naszego mieszkania i z dala od Rhoana, nigdy tak naprawdę nie przyszła mi do głowy. Tak, rozważałam zostanie z Kellenem, ale nigdy nie podjęłam w tym kierunku żadnych kroków. Nigdy nie myślałam, że nie mogłabym zatrzymać tego miejsca, i równocześnie dzielić przestrzeni z Kellenem.

Może Kellen też zdał sobie z tego sprawę. I może jego problem nie był związany wyłącznie z pracą i moją niechęcią do jej porzucenia.

- Jako mężczyzna, bawiący się makijażem, jesteś zadziwiająco wnikliwy.

Roześmiał się.

- Więc naprawdę nie masz z tym żadnych problemów?

- Pod warunkiem, że nie będziesz miał problemów z bałaganem.

- Mogę zająć się bałaganem. Po prostu nie chcę już dłużej spędzać samotnych nocy.

Uśmiechnęłam się. Liander naprawdę był dobrą partią i połową – nie tylko był słodki i kochający, ale miał także cierpliwość świętego. Wątpię, żeby ktokolwiek inny trwał przy Rhoanie po tych wszystkich świństwach, jakie zrobił, czy to byłby partner duszy, czy nie.

Miałam tylko nadzieję, że mój głupi brat zda sobie z tego sprawę. Tak, kochał Liandera i tak, był mu bardziej oddany niż kiedykolwiek przedtem, ale wciąż wydawał się chcieć mieć swoją własną przestrzeń.

- Masz moje błogosławieństwo, Liander. Kiedy go zapytasz?

- Dzisiaj wieczorem. Przychodzi do mnie na kolację. Uderzę w niego tą propozycją, jak tylko go nakarmię i uszczęśliwię.

- Trzymam kciuki.

- Dzięki, prawdopodobnie będę tego potrzebował.

- Na pewno. – Zawahałam się, a potem dodałam. – Bądź trochę bardziej czujny w ciągu następnych paru dni, okej? Dopóki nie znajdę związku między tymi wszystkimi morderstwami, istnieje niewielka możliwość, że możesz również być na jego liście.

- Chyba chciałaś powiedzieć bardzo niewielka. Nie zadawałem się z Youngiem, ani z ludźmi, którzy prawdopodobnie go zabili.

- Tak, ale nie rozmawiamy tu o racjonalnym umyśle. Obiecuj mi, że będziesz ostrożny.

- Okej, obiecuję. A teraz już mnie puść, żebym mógł przygotować się na moją wielką noc.

- Powodzenia – powiedziałam i się rozłączyłam. Rozebrałam się i poszłam pod prysznic. Czas zacząć przygotowania na moją wielką noc.

Zmierzch wpełzł na niebo, zanim zatrzymałam się na małym parkingu obok *Sparkies*. Restauracja była cała w strzelistych łukami, przydymionym szkłe i chromie, usytuowana między bankami na Yarra River, jak jakiś rzadki klejnot.

Śmietanka Melbourne wysiadała z limuzyn, prowadzonych przez szoferów, i z Mercedesów – mężczyźni jednakowo elegancy, kobiety ozdobione perłami i diamentami, które świeciły i skrzyły się w jaskrawych światłach wejścia.

Złodziej miałby używanie – gdyby tylko przemknął się przez trzech strażników stojących dyskretnie w cieniu.

Wysiadłam z samochodu i wygładziłam moją sukienkę, zadowolona, że nie wybrałam czegoś czarnego. Większość przybywających kobiet było ubranych w jesienne kolory, co prawdopodobnie oznaczało, że były właśnie na topie. Moja sukienka miała prostą, skromną linię z dekoltem w kształcie V – przynajmniej dopóki się nie obróciłam, bo wtedy odsłaniała całe plecy, kończąc się kusząco nisko nad samym tyłkiem. I nie było nic jesiennego, ani skromnego w jej kolorze – była w przepysznym, głębokim szmaragdowym odcieniu, który wyróżniał się pośród jesiennych tonów tak jaskrawo, jak najjaśniejszy z żółtych.

Jedyną biżuterią, jaką miałam, był zegarek, ale nie potrzebowałam diamentów ani pereł, żeby podkreślić mój strój. Miedzianozłoty odcień moich włosów był wystarczający.

Podeszłam do drzwi i poczekałam na moją kolej do człowieka, który sprawdzał listę gości.

Jego uprzejme spojrzenie napotkało moje, a niebieskie oczy okazywały małe zainteresowanie całą procedurą.

- Pani nazwisko?

- Riley Jenson.

Przejrzał listę, przesuując palcem po stronie, a potem kiwnął głową.

- Proszę pójść do tych drugich drzwi po lewej stronie, a tam czeka bilet.

- Dzięki.

Kiwnął głową, a jego spojrzenie już przesunęło się na następną osobę. Kiedy się zbliżyłam, na czarno ubrany zmienny otworzył mi drzwi z uprzejmym kiwnięciem. W środku, powietrze było ciepłe i naperfumowane, ciężkie od zapachów ludzi i nie ludzi. Szłam niewielkim korytarzem, dopóki nie doszłam do kabiny.

Kobieta z rozjaśnionymi blond włosami i sztuczną opalenizną posłała mi ciepły uśmiech.

- Przyszła pani po bilet?

- Tak. Na nazwisko Jenson.

Przewertowała stertę biletów, wyciągając jeden.

- Riley?

- To ja. – Wręczyłam jej moją kartę kredytową. Przy odrobinie szczęścia, Jack zrekompensuje mi możliwie najszybciej ten koszt, ponieważ karta prawie osiągnęła limit. Odkryłam tydzień temu, że facet, który ręcznie robił mi szpilki z drewnianymi obcasami, właśnie poszedł na jesienny urlop, więc ruszyłam na coś, co było w pewnym sensie szaleństwem zakupów. Para, którą miałam dzisiaj na sobie – lśniące szmaragdowe z wężowej skóry – były jednymi z pięciu i były najbardziej stateczne.

Kobieta w kabinie włożyła kartę do czytnika – to była jedna z tych nowych kart chipowych, wymagających potwierdzenia odciskiem palca, a nie podpisu – więc wsunęłam rękę do maszyny i ukazało się zielone światełko na potwierdzenie.

- Stolik numer pięć, Pani Jenson. Proszę iść tym korytarzem, dopóki nie zobaczy pani mężczyzny ubranego na czarno – powiedziała, wręczając mi kartę, bilet i paragon. – On skieruje panią do właściwego stolika.

- Dzięki.

Posłała mi następny ciepły uśmiech.

- Z przyjemnością.

Ruszyłam korytarzem. Muzyka rozchodziła się w z innego pokoju, klasyczna i uspokajająca w swoim dźwięku. Głosy były przytłumione i płynęły wraz z nią, sugerując, że wewnątrz było przynajmniej sto lub więcej osób.

Strażnik przy drzwiach uśmiechnął się do mnie, gdy się zbliżyłam. Podałam mu bilet, a on zeskanował go w maszynie. Kiedy otworzyły się drzwi, zwrócił mi bilet.

- Stolik numer pięć jest na lewo, w narożniku – powiedział. – Życzę przyjemnego wieczoru.

- Dziękuję.

Wrzuciłam bilet do torebki i skierowałam się w tamtą stronę. Jedna rzecz uderzyła mnie od razu – *Sparkies* pasował do swojej nazwy. Po prostu błyszczał – w blasku ozdobnych żyrandoli, w chromie i szkle, na których tworzyły się refleksy migocących świec ozdabiających każdy stół, nawet w srebrnych i złotych niciach, które biegły przez obrusy i krzesła. Zapachy, które były oczywiste na zewnątrz, rozkwitły w pełnym zakresie. Człowiek, zmienny, czy wampir rywalizowali w wyeksponowaniu kwiecistych perfum i bogatszych tonów płynu po goleniu, tworząc kocioł aromatów, które przyprawiły moje zmysły o zawrót głowy.

Jak, do diabła, mam wyłapać ten szczególny zapach w tym wszystkim?

Odetchnęłam i się rozejrzałam. Mnóstwo ludzi siedziało, mniej więcej po dwanaście osób przy stolikach ustawionych wzdłuż pomieszczenia, ale równie dużo stało na parkiecie i rozmawiało. Mimo to, pomieszczenie wyglądało, jakby w połowie było puste. Może ludzie na czasie modnie się spóźniali.

Rozejrzałam się po numerach stolików, dopóki nie znalazłam mojego. Siedziało przy nim kilka starych babsztyli, ale jeśli nie były Enną Free, ani moim mordercą, nie miałam zamiaru tam iść, dopóki absolutnie nie będę musiała.

Zamiast tego, skierowałam się na prawo, chodząc po obrzeżach sali, próbując przejrzeć bogactwo zapachów i wytropić ten jeden, który zaprowadzi mnie do mojego podejrzanego.

Mogłam równie dobrze szukać igły w stogu siana.

Szłam z powrotem do mojego stolika, kiedy uderzył we mnie zapach, który wysłał gorącą falę pożądania przez moją skórę.

Zatrzymałam się, a moje serce waliło tak mocno, iż mogłam przysiąc, że ma zamiar wyrwać się z mojej piersi. Był tylko jeden mężczyzna, który potrafił wywołać we mnie ten rodzaj reakcji – Quinn O'Conor, wiekowy wampir, biznesmen miliarder i dawny kochanek.

Powinłam była się domyślić, że może tu być, ponieważ zawsze wydawał się wspierać takie ważne wydarzenia dobroczynne, jak to. Ale nasze ścieżki skrzyżowały się tak dawno temu, że po prostu o tym nie pomyślałam.

A gdybym pomyślała, co bym zrobiła?

Nie przyszła, wyszeptał głos z głębi mnie.

Może. A może nie. Nie byłam tchórzem, do diabła, i stawałam naprzeciw dużo gorszym spraw niż wampir zdecydowany uczyni mnie swoją – nawet, jeśli złamał moje serce i duszę przy tej okazji.

Zamknęłam na chwilę oczy, biorąc głęboki, powolny oddech, który niewiele zrobił, by uspokoić nieregularny taniec mojego tętna, a potem wolno się odwróciłam.

Nigdy, tak naprawdę, nie wierzyłam romansom, które mówiły, *Ich oczy się spotkały i wszystko inne odpłynęło*, ale to właśnie się stało.

Moje spojrzenie napotkało spojrzenie Quinna i wszystko inne – wszyscy inni – zniknęli. Był tylko on i ja w tym błyszczącym pokoju, z tym niezwykłym wrażeniem palącym się między nami tak gwałtownie, jak pożar buszu. To było wrażenie, które zawsze tam było, od samego początku, a jego nieobecność nie złagodziła tego płomienia. To tylko uczyniło to uczucie silniejszym.

I oh, wyglądał tak wspaniale. Prosta elegancja jego czarnego garnituru kładła nacisk nie tylko na szerokość jego ramion, ale także na szczupłą siłę jego ciała. Jego czarne, niemal granatowe, włosy były krótko obcięte i czyste, ale tak grube i bujne, że moje palce aż swędziały potrzebą ich przeczesania, tak jak miesiące temu, gdy byliśmy kochankami. Będąc starym wampirem, zdolnym stawić czoło światłu słonecznemu,

jego skóra utrzymała ciepłą, zdrową opaleniznę niż tę ziemisto-białą, która była wspólna dla większości z nich. A jego oczy – jego oczy zawsze brały mnie najbardziej. Były ogromnymi studniami ciemności, które trzymały jego tajemnice i uczucia dobrze schowane – zbyt dobrze, przez większość czasu – a jednak tak łatwo było zagubić się w tych nieskończonych głębiach. Pod każdym względem, miał ten rodzaj spojrzenia, który zmuszał do ciągłego się w niego wpatrywania. Mówienie, że jest przystojny, w żadnym stopniu nie oddawało mu sprawiedliwości.

Przez kilka długich minut, nic nie zrobiłam, nic nie powiedziałam, tylko stałam tam i wpatrywałam się w niego, moja skóra płonęła, a serce waliło jak szalone.

A potem się uśmiechnął, ale to był taki boleśnie miły uśmiech, który wywołał dreszcz wzdłuż mojego kręgosłupa, a pożądanie przepłynęło jak ognista kula gotowa wybuchnąć wewnątrz mnie.

Jedno dotknięcie, to było wszystko, czego było potrzeba.

Jedno dotknięcie, i byłam jego.

Ale tylko na moment, nie na wieki. Mogłam go pragnąć, jak pragnęłam kilku innych, ale przeszłość między nami była naładowana kłamstwami i brakiem zaufania, i to nie było coś, co można by było łatwo od siebie odsunąć.

Ruszył w moją stronę, poruszając się tak oszczędnymi ruchami, że to było zarazem pełne gracji, jak i silne. Ale to złamało czar i nagle cały ten hałas, ludzie i ruch, mnie otoczyło.

Przycisnęłam torebkę do mojej piersi, jakby była jakimś rodzajem tarczy, i zmusiłam się do uśmiechu.

- Dobrze cię widzieć.

Zatrzymał się trochę dalej niż na długość ramienia między nami. Jego zapach zawirował wokół mnie, miękki i pikantny.

- Jak się trzymasz, Riley? – powiedział cicho, irlandzki zaśpiew pieścił jego głos, wysyłając mój już nieregularny puls na wyższe obroty.

- Świetnie, mimo wszystko. A co u ciebie? – Boże, byliśmy tak uprzejmi, że to było aż chore – zwłaszcza, że wszystko, co chciałam zrobić to rozebrać go do naga i kochać się z nim. Właśnie tutaj, w tej chwili.

Najwyraźniej smycz prawdziwie i całkowicie uwolniła moje hormony.

- Znalazłem sobie zajęcie. – Przerwał i, na mgnienie oka, emocje wystrzeliły w jego oczach, sprawiając, że zapaliły się tak gwałtownie jak pożądanie, które ponownie wybuchło między nami w niekontrolowany sposób. Co to były za emocje, nie umiałam powiedzieć. Jak zwykle, tarcze opadły, zanim mogłam tak naprawdę je zidentyfikować. – Słyszałem o tobie i Kellenie. Przykro mi, że się nie udało.

Prychnęłam lekko, i nie mogąc powstrzymać się od niewielkiej kpiny w moim głosie, powiedziałam.

- Przecież wiesz, że w to nie wierzę, Quinn, ponieważ zrobiłeś wszystko, co w twojej cholernej mocy, żeby upewnić się, że Kellen i ja nigdy nie będziemy razem.

Podniósł rękę, jakby chciał dotknąć mojej twarzy, a potem zatrzymał ją centymetry od niej, powstrzymując się na wystarczająco długi czas, żebym mogła poczuć ciepło jego palców, ale w końcu jego ramię opadło. Jakaś część mnie żałowała tego. Inna część była za to wdzięczna.

Jedno dotknięcie nie było tym, czego potrzebowałam w tej chwili, nawet gdy moje całe ciało cierpiało z pożądania.

- To był twój wybór, Riley. Więc w końcu to uszanowałem.

- Ponieważ nie miałaś innego wyjścia. – Wzięłam głęboki wdech, a potem wolno wypuściłam. – Słuchaj, nie będę tu stała i odgrzewała przeszłości.

Nie chcę powielać tego ponownie. Nie chcę już więcej odczuwać żadnego bólu. Po prostu idź sobie, odejź, zanim to wszystko zacznie się jeszcze raz i wyląduję w jeszcze większym bałaganie.

Ale oczywiście, on nie odszedł. Czy faktycznie słyszał moje myśli, czy nie, czy też po prostu je zignorował, tego nie mogłam powiedzieć. Świadomie nie próbowałam używać telepatii, ale on i ja mieliśmy połączenie, które wykraczało poza paranormalne umiejętności. Dość często w przeszłości, czynił komentarze sugerujące, że czyta więcej z moich myśli, niż kiedykolwiek się do tego przyzna, ale nigdy tego tak naprawdę nie potwierdził ani nie zaprzeczył. Przyznał się jedynie do tego, że podzielenie się naszą krwią pozwoliło na głębsze połączenie niż to było normalne, i dlatego mógł czytać moje myśli, kiedy byłam chora, albo podczas kochania się.

Podczas jakiegokolwiek kochania się, nie tylko naszego.

To była właśnie jedna z tych rzeczy, które nas rozdzieliły. To i jego próby zmiany istoty tego, czym byłam.

Obserwował mnie, oceniając swoim ciemnym spojrzeniem. Jakbym była jakimś delikatnym zwierzątkiem, którego nie chciał przerazić. Roześmiałabym się, gdyby to nie było tak prawdziwe.

Po chwili, zapytał.

- Czego się napijesz?

- Lemoniady. Tak naprawdę to pracuję nad sprawą.

- Oh? – Zdjął dwa drinki z tacy przechodzącego kelnera i wręczył mi lemoniadę. Wzięłam szklankę, uważając, żeby go nie dotknąć. Ciepło jego palców, mimo wszystko, uderzyło we mnie, a drżenie obiegło moje ciało.

- Tak – powiedziałam, zadowolona, że mój głos brzmiał normalnie, podczas gdy moje wnętrze się skręcały. Boże, po tym wszystkim, co ten wampir mi zrobił, pomyślałbyś, że powinnam uciekać na jego widok. Ale nie, moje hormony słodkiej idiotki zachowywały się, jakbym była dojrzewającym szczenięciem przechodzącym swój pierwszy taniec przy księżycu. – Sądźmy, że mamy na wolności bakeneko.

Uniósł ciemne brwi.

- To jest istota, o której nie słyszałem już od dłuższego czasu.

- Więc wiesz o nich? – Wzięłam łyk napoju. Gazowany płyn niewiele zrobił, by złagodzić suchość w moim gardle.

- Są rzadkie. Jeśli mamy jednego w Melbourne, to mamy prawdziwy problem.

- Powiedz mi coś o nich – wymamrotałam. – Suka zabiła już pięć osób.

- To z pewnością nie jest dobry znak. – Zawahał się, a potem dodał. – Chodź, usiądziemy przy moim stoliku, a ja powiem ci, co wiem.

- A co z twoją partnerką?

Uśmiech, który dotknął jednego kącika jego warg był seksowny, a jednocześnie, niemal smutny.

- Z nikim nie przyszedłem.

- Dlaczego nie? Jesteś kawalerem do wzięcia, u którego stóp kobiety padają jak muchy, i który nigdy nie musi za to płacić, prawda?

Jego cichy śmiech wysłał małe dreszcze przyjemności w górę mojego kręgosłupa. Dobry Boże, było ze mną źle.

- Widzę, że cytujesz moje własne cholerne słowa – odparł.

- To nie jest odpowiedź na pytanie. Jak zwykle, mogę dodać.

Kiwnął lekko głową, jakby w uznaniu przytyku.

- Nie ma nikogo takiego w moim życiu, kogo pragnąłbym widzieć w tej funkcji. – Urwał, a potem dodał z lekkim rozbawieniem. – Czasami, chodzenie samemu jest lepsze od zadowalania się czymś gorszym.

- Powiedział mężczyzna, który może sobie pozwolić tylko na najlepsze – powiedziałam sucho, zupełnie ignorując podtekst jego słów.

- Ach, ale są pewne rzeczy, których nie możesz kupić, nie ważne jak bardzo próbujesz. – Uniósł nieznacznie swoją szklankę, jakby w toaście, a potem napił się zanim dodał. – To jest lekcja, której tak naprawdę niedawno się nauczyłem.

- Kto by pomyślał, że takie wiekowe wampiry, jak ty, wciąż mogą się czegoś nauczyć – odparłam lekko, chociaż zastanawiałam się, czy faktycznie się czegoś nauczył, czy to była tylko jedna z ról, którą łatwo zagrać, ale nie mająca żadnego znaczenia. Dużo było takich momentów między nami.

I jak sądzę, żeby być uczciwym, to nie było takie jednostronne. Mógł bawić się mną od samego początku, ale ja nigdy nie brałam na poważnie tego, co działo się między nami. Przecież był wampirem i nigdy nie mógłby mi dać tego, na co czekałam połowę mojego życia – dzieci i własnej rodziny.

Tyle tylko, że wszystko to było teraz poza moim zasięgiem, w każdym razie, dzięki mojej połowie wampira i doświadczalnym lekom, które siłą mi wstrzyknięto.

Obrócił się i zaoferował swoje ramię. Zawahałam się, jednak wsunęłam ramię pod jego. To nie był kontakt ciała do ciała, ale to jednak był kontakt, więc pożądanie, które przebiegło przez moje ciało, wywołało w efekcie zawroty i zadyszkę.

Nic nie powiedział, chociaż oboje wiedzieliśmy, że był świadomy mojej reakcji. W końcu był wampirem i wyczuwał przyśpieszone bicie mojego serca, jeśli nie coś więcej.

Podeszliśmy do stolika, który zajmował główną pozycję w innym narożniku parkietu. Puścił moje ramię, wyciągnął krzesło, a potem posadził mnie zanim usiadł

sam. Przesunęłam się tak, że siedziałam bokiem na krześle i twarzą do niego. Moje kolana były centymetry od jego uda, a gorąco jego ciała pieściło moją skórę tak, jak ciepło jego dotyku. A bardzo chciałam być dotykana.

Wypuściłam cichy oddech i starałam się lepiej trzymać w ryzach moje hormony. Równie dobrze mogłam próbować zgasić pożar buszu mokrym ręcznikiem.

- A więc, powiedz mi, co wiesz o bakeneko.

- Faktycznie nie ma zbyt wiele do powiedzenia, ponieważ one są niezwykle rzadkie. – Upił łyk wina, jego twarz była zamysłona. – To są koty - prawdziwe koty - które w jakiś sposób zyskują umiejętność nabierania ludzkiego kształtu, żeby zemścić się za śmierć ukochanej pani lub pana.

Uniosłam brwi.

- W takim razie one nie są odpowiedzialne za pierwszą śmierć?

- Nie.

- Więc dlaczego legendy mówią, że bakeneko są znane ze zjadania swoich właścicieli?

- Ponieważ one jedzą ciało. Najwyraźniej, to pozwala im przyjąć postać tej osoby - przydatna rzecz, skoro mają zamiar wytropić i zabić tych, których postrzegają, jako odpowiedzialnych za śmierć ich pana.

- Co właśnie robi ten, którego śledzimy. – Zamilkłam, żeby napić się gazowanego napoju. Tak naprawdę to był nieco za słodki, jak na moje upodobania. – A czy normalnie uprawiają seks ze swoimi ofiarami?

- Słyszałem tylko o jednym, lub dwóch przypadkach, gdy kot był w okresie rui.

I akurat trafił nam się taki jeden napalony.

- A dlaczego zadrapuje szyje mężczyzn, których zabija?

- To może być formą terytorialnego oznaczenia. – Wzruszył ramionami. – Pamiętaj, że nie zadajesz się z czymś, co myśli jak człowiek. To może chcieć się zemścić, ale to wciąż jest kotem i reaguje jak kot.

- Bardzo sprytny kot.

Zrobił wymowny ruch ręką.

- Oczywiście. Czy ona po prostu zabija tych mężczyzn?

- Nie. Zabiła także kobiety i przejęła ich tożsamości.

- Co sugeruje, że bakeneko myśli, że te kobiety odegrały jakąś rolę w śmierci jej właściciela. Dopóki nie są osaczeni, nic nie robią przypadkowo.

- No cóż, jedynym związkiem między tymi paniami wydaje się być fakt, że należą do tej samej grupy znanej, jako *Ladacznice z Toorak*.

- Ach, luksusowe dziwki we własnej osobie.

Uniosłam brwi na brzmienie pogardy w jego głosie.

- Powiedziano mi, że nie są nimi.

- To zależy od naszej własnej definicji dziwki, prawda? Jeśli sprzedają swoje ciała za światowe życie i prezenty, czy to nie jest forma prostytucji?

- One po prostu mogą cieszyć się seksem. Nie ma w tym nic złego.

- Nie, nie ma nic złego, nawet jeśli taka rozpustna słabość drażni czasami skostniałą wrażliwość bardzo starych wampirów.

- Cieszę się, że to powiedziałeś.

- Jeśli bym tego nie zrobił, prawdopodobnie zrobiłabyś to ty. – Uśmiechnął się kolejnym słodkim uśmiechem, rozrywając parę kolejnych nitki kontroli. – Jednak, te kobiety proszą o swoje korzyści w pierwszej kolejności. Więc, moim zdaniem, to czyni z nich prostytutki.

No cóż, to prawda, gdybyś był skupiony na określeniu prostytucji, a proszenie o zapłatę przed czynem z pewnością było jednym z kryteriów.

- Miałeś osobiste doświadczenie z *Ladacznicami*?

Potrząsnął głową.

- Nie osobiście, ale mam przyjaciół...

- Nie – przerwałam mu, udając zaskoczenie. – Naprawdę masz przyjaciół? Jakie to wstrząsające.

Jego śmiech był cichy i ciepły, napełniający jego ciemne oczy wesołością i sprawiający, że płomień pożądania rozpalił się jeszcze jaśniej.

– Tak, nawet dziwak, lubiący wszystko kontrolować, ma przyjaciół.

Uśmiechnęłam się.

- Cieszę się.

- Ja też. – Wyciągnął rękę jeszcze raz i tym razem, jego dłoń przykryła mój policzek, a kciuk lekko otarł się o moje wargi.

Jedno dotknięcie.

Jedno, jedyne dotknięcie.

I poczułam się tak dobrze, że łzy na chwilę wypełniły moje oczy. Boże, ile czasu już minęło, odkąd ktoś pieścił mnie z jakimkolwiek rodzajem uczucia czy delikatności? Mogłam dobrowolnie pohamować moją bardziej seksualną naturę, ale więcej wspólnego miało to z tym, że czułam po prostu wstręt do dotyku jakiegokolwiek innej ręki na sobie. Chciałam więcej – potrzebowałam więcej. I od tej jednej prostej pieszczoty, wiedziałam, że nie mogę pozwolić, żeby tak to się skończyło dziś wieczorem.

Pochyliłam się do przodu i go pocałowałam.

Przez krótką chwilę, nie zareagował. A potem jego druga ręka uniosła się do mojego policzka, przytrzymując łagodnie i czule moją twarz, i pogłębiając nasz pocałunek.

I czułam się tak, jakbym smakowała nieba. Jakbym wróciła do domu po długiej, długiej nieobecności. I ta część mnie, która umarła po odejściu Kellena, obudziła się do życia, podsycając pożądanie, które paliło się wokół nas, na wyższy poziom. I pomimo tego ognia – pomimo potrzeby, która śpiewała w każdym moim włóknie – nasz pocałunek był powolny i czuły, i bardzo, bardzo sumienny.

Po tym, co mogło być godzinami, jęknął – to był prawie żądający dźwięk, który drgnął moją duszą. Dźwięk, który całkowicie rozumiałam. Ponieważ, tak jak on, chciałam więcej niż tylko jego warg. Pragnęłam go, całego. Pragnęłam czuć go w moim umyśle, w moim ciele, w mojej duszy.

Co było trochę trudne do osiągnięcia, biorąc pod uwagę naszą obecną lokalizację.

Otworzył oczy i wpatrzył się we mnie.

- Czego chcesz, Riley?

- Chcę ciebie. – Mój głos był niewiele głośniejszy od zdyszanego szeptu, ale to nie miało znaczenia. Usłyszałyby mnie, nawet gdyby między nami była mila odległości.

- Na jeden raz? Czy chcesz czegoś więcej? – Posłał mi krzywy uśmiech, który wprawił moje serce w radosne podskoki. – Nie zmienię tego, czym jestem, tak jak ty nie zmienisz siebie. I wolę nie iść dalej, jeśli to jest wszystko, co chcesz. Nie chcę przygodnej znajomości, gdy chodzi o ciebie i o mnie.

Moje spojrzenie badało go przez chwilę, a potem podniosłam rękę, złapałam jego i położyłam na moich kolanach.

- Nie miałam przypadkowych znajomości od miesiący. Przestałam uprawiać seks po tym, jak odszedł Kellen.

Zaskoczenie pokazało się na jego twarzy, ale poczułam ulgę, gdy zobaczyłam, że nie było na niej niedowierzania. Uwierzył mi, tak jak kilka innych osób, kiedy im to powiedziałam.

- To jak wytrzymałaś gorączkę księżycy?

Skrzywiłam się.

- No cóż, nie wytrzymałam, ale poza tymi niewieloma dniami, powstrzymywałam się.

- To wyjaśnia pożądanie, które niemal zbiło mnie z nóg.

- Tak. Przepraszam za to.

Roześmiał się łagodnie.

- Nie przepraszaj. To była miła reakcja. – Patrzył na mnie przez chwilę, a potem powiedział. – Nie powiedziałaś mi dlaczego.

Zrobiłam głęboki wdech i wypuściłam go powoli.

- Ponieważ chciałam czegoś więcej niż tylko dotyku nieznajomego. Chciałam troski i uczucia, które miałam z Kellenem. I z tobą.

- Mogłaś skontaktować się ze mną po zerwaniu.

- Nie, nie mogłam. Kazałam ci odejść i dać mi czas, pamiętasz. A po zerwaniu, wciąż potrzebowałam tego czasu. – Nie tylko dla uzdrowienia po zranieniu, ale także by zdecydować, czego tak naprawdę chcę. Tyle że, nie wiedziałam tego aż do dzisiaj, bo dopiero pocałunek, który podzieliliśmy, mi to powiedział. – Quinn, podoba mi się

to, co mamy. Wierzę, że to jest dobre, i sędzę, że jest silne. Ale również wierzę, że gdzieś tam jest mój partner duszy, co znaczy, że nadal z nikim nie chcę się w pełni wiązać. Nawet z tobą.

- A więc dokąd to nas prowadzi?

- Do tego samego starego dylematu, jak sędzę. – Ścisnęłam jego ręce, a potem je puściłam. Świat wydawał się być o wiele bardziej zimniejszy bez jego dotyku, a moje hormony wykrzyknęły z przerażeniem.

Pochylił się i chwycił swój kieliszek z winem, jego ruchy były eleganckie i swobodne. Jakby dosłownie przed chwilą nie dzielił się fantastycznym pocałunkiem. Ale jednak mogłam wyczuć jego głód, poczuć zapach jego pobudzenia.

Wypił łyk wina i powiedział.

- Żadnej z *Ladacznic* jeszcze nie ma.

Zerknęłam na zegarek. Była już siódma trzydzieści.

- Myślałam, że ta imprezka zaczyna się o siódmej?

- Tak, ale śmietanka towarzyska ma skłonność do przybycia tuż przed głównymi wydarzeniami. Chyba, że oczywiście są na *polowaniu*,. Bo wtedy to jest już inna sprawa.

- Myślę, że większość ludzi uważa cię za jednego ze śmietanki towarzyskiej. – A pomimo zapachu jego pobudzenia, kręcącego się wokół mnie, nie wydawał się być na *polowaniu*. Ale, jeśli nawet wampir, mający przeszło tysiąc dwieście lat, nie potrafi kontrolować swoich uczuć i potrzeb, to kto mógłby?

- To miał być komplement? Pani Jenson, jestem wstrząśnięty.

- Okej, więc byłam trochę skąpa w rzucaniu komplementów. Ale ty także, kolego.

- To było niedbalstwo z mojej strony. A tak przy okazji, wyglądasz olśniewająco w zieleni.

Uśmiechnęłam się.

- Pochlebstwa za podmówieniem się nie liczą. – Odchyliłam się trochę i założyłam nogę na nogę, pokazując więcej uda. – Więc, co robimy, Quinn?

- Nie wiem. – Jego spojrzenie spoczęło gdzieś za mną. – Marcy Bennett i Enna Free właśnie weszły do sali.

Obróciłam się, żeby je zobaczyć. Dwie posągowe jasnowłose kobiety stanęły w drzwiach, jedna ubrana w ciemno pomarańczową suknię, która nie bardzo pasowała do jej zbyt opalonej skóry. Druga miała na sobie suknię w kolorze głębokiej czerwieni jesiennych liści.

- Enna to ta na prawo? – Tylko kot ubrałby sukienkę o tym kolorze do takiego odcienia skóry.

- Tak.

- W takim razie myślę, że powinnam wrócić do pracy.

Wstałam niechętnie. On również, zawijając ramię wokół mojego pasa i przyciągając mnie bliżej, jego palce rozszerzyły się na nagiej skórze moich pleców, wysyłając małe elektryczne iskierki w górę i w dół mojego kręgosłupa.

Oblizalam, moje nagle wyschnięte, wargi i wpatrzyłam się w jego ciemne oczy, widząc tam głód, widząc potrzebę. I nie tylko seksualną potrzebę.

- Sądziłam, że nie chcesz robić niczego przypadkowego?

- To ty powiedziałaś, że odpuściłaś przelotne związki.

Uśmiechnęłam się.

- No cóż, tak, ale to nie zmienia...

Delikatnie położył palec na moich wargach, uciszając mnie.

- Mam apartament prezydencki w *Langham*. Jeśli masz ochotę dalej omawiać tę sprawę, przyjdź tam, gdy tu skończysz.

- Nie jestem pewna, o której skończę tę pracę. – I nie byłam pewna, czy powinnam tam iść, bez względu na to, co czułam, czy jak bardzo go pragnęłam. Przeszliśmy tak dużo, sprawiliśmy sobie nawzajem tyle bólu, że część mnie martwiła się, że ten cykl znowu zacznie się od początku.

Nie zniosłabym już tego. W moim życiu było dość gówna. Chciałam tylko prostego, szczerego, troskliwego związku. Z żadnymi ukrytymi motywami, bez kompleksów o to, czym jestem, czy co zrobiłam. Chciałam po prostu żyć zwykłymi, codziennymi problemami w zwykłym, codziennym związku.

I naprawdę nie byłam pewna, czy Quinn i ja kiedykolwiek moglibyśmy mieć właśnie taki zwykły związek.

- To nie ma znaczenia, o której godzinie się pojawisz. Nigdzie się nie wybieram. – Pochylił się i mnie pocałował, jego wargi były namiętne i drażniąco blisko, a potem dodał. – Proszę przyjdź, Riley.

Wzięłam drżący oddech i uwolniłam się wolno.

- Nie obiecuję.

Zrobiłam krok do tyłu, chociaż wszystko, co chciałam zrobić, to zostać w jego ramionach, cała otoczona jego siłą. Poczuć się pewnie, bezpiecznie i bez troski, po raz pierwszy od czasu, który wydawał się być wiekami.

- Bądź ostrożna, kiedy zajmiesz się tym bakeneko. Nie pozwól, żeby cię posmakował.

- Ta suka nie podejdzie wystarczająco blisko, by mnie ugryźć, możesz mi wierzyć. – Posłałam mu pewny siebie uśmiech, a potem się odwróciłam i odeszłam, chociaż nogi miałam jak z waty, a każdy krok z dala od niego wprawiał moje hormony we wściekły krzyk.

Błyszcząca sala wydawała się być dużo głośniejsza z dala od cichej oazy, która otaczała Quinna i mnie, i nagle zastanowiłam się, czy znowu nie użył swoich wampirzych sztuczek. Nie na mnie, ale na innych w tej sali. Było tutaj dużo ludzi, ale był w pełni wampirem, więc nie zaskoczyłoby mnie, gdyby odgrodził nas od hałasu i ludzi, podczas gdy rozmawialiśmy.

Enna i jej przyjaciółka nie odeszły zbyt daleko od głównego wejścia, a ich spojrzenia skanowały salę, jakby kogoś szukały. Albo wyszukiwały atrakcyjny towar.

Okrążyłam salę, zbliżając się do nich z lewej strony i trochę od tyłu. Byłam o jeden stolik za nimi, gdy Enna nagle się obróciła, a jej nozdrza się rozszerzyły, gdy wessała powietrze. Nie sądziłam, że była wystarczająco blisko mnie, by pochwycić mój zapach, wtedy gdy ją goniliśmy, ale najwyraźniej byłam w błędzie. Jej spojrzenie pomknęło w moją stronę, a gniew, który był zarówno drwiący, jak i obcy, rozgorzał w głębi jej niebieskich źrenic. Obnażyła swoje zęby i wydała taki dziwny syczący dźwięk, a potem się obróciła i pobięła do drzwi.

Rozdział 8

Jak na kota, który dopiero od kilku tygodni nosił szpilki, była cholernie szybka.

Biegłam za nią, wymijając stoliki i ludzi. Jakiś głupiec w garniturze zobaczył, że ona biegnie i z galanterią otworzył jej drzwi, a potem odszedł i pozwolił im się zamknąć, sprawiając, że zmarnowałam cenne sekundy otwierając je jeszcze raz.

Na szczęście, korytarz za nimi był stosunkowo pusty od ludzi. Enna już zdążyła zniknąć za drzwiami głównego wejścia i skręcając w prawo, skierowała się nad rzekę.

Pognałam za nią, zaskakując odźwiernego i uderzając ręką o drzwi, kiedy zaczął je zamykać.

- Przepraszam – powiedział, ale ja już byłam zbyt daleko, żeby go usłyszeć.

Noc była zimna, wypełniona zapachem eukaliptusa i trochę błotnym zapaszkiem dobiegającym z Yarra River. Ale zapach kota wyróżniał się ostro w powietrzu nocy i łatwo było go śledzić. Biegłam po ścieżce, moje szpilki tworzyły ostry dźwięk, który odbijał się echem w rozświetlonych księżycową poświatą ogrodach, które nas otaczały. Przede mną uciekała żywo-pomarańczowa postać Enny, a jej ramiona pompowały tak szybko jak jej stopy. Wyglądało to tak, jakby przyzwyczajona do poruszania się na czterech nogach, nie mogła zupełnie dostosować się do ruchu na dwóch. Ale to nie pomagało, ponieważ powoli, lecz systematycznie, zbliżałam się do niej.

Tuż przed nią ścieżka skręcała na lewo i znikła za drzewami. Sięgnęłam po większą prędkość, chcąc złapać ją zanim dobiegnie do skrzyżowania i zniknie mi z oczu, nawet na krótko. Oczywiście myślała w podobny sposób, ponieważ przyspieszyła, a jej ramiona i nogi stały się niczym więcej, jak niewyraźną plamą.

Skoro chciała uciekać, to cholera będę ją gonić. Do diabła, miałam prędkość pieprzonego wampira, ale pokonywałam mniejszą odległość.

Skręt się ukazał i ona zniknęła. Byłam może ze dwie sekundy za nią, ale to jej wystarczyło, żeby wsiąknąć. Przeklełam i zatrzymałam się, moje nozdrza się rozszerzyły i wessałam powietrze, próbując złapać zarówno oddech, jak i jej zapach.

I był tam, ale nie tak silny. I niżej.

Zmieniła kształt.

Zrobiłam to samo i, z nosem przy ziemi, pobiegłam za nią. Trawa była wilgotna pod moimi łapami, a zapachy eukaliptusów i krzewów różanych mocno wypełniały noc. Jej ślad zszedł ze ścieżki i przeplatał się między drzewami i kwiatami.

Biorąc pod uwagę krętą linię, jaką obrała, nie zaskoczyło mnie to, że próbowała w ten sposób zmieszać swój zapach z innymi aromatami, tym samym czyniąc rzecz trudniejszą do śledzenia. Oczywiście, kot nie miał pojęcia, jak wrażliwy może być nos wilka.

Jej zapach stawał się coraz wyraźniejszy, a nie słabszy. Kłusowałam za nim, dopóki nie podeszłam do grubego, sękatego pnia drzewa, a zapach kota był tak silny, że praktycznie w nim utonęłam. Zatrzymałam się i spojrzałam do góry. Na wyższych gałęziach dużego starego wiązu, błyszczało na mnie dwoje niebieskich oczu.

Zmieniłam kształt i powiedziałam.

- Zejdź, Enna. Albo jakie tam jest twoje prawdziwe imię.

Warknęła w odpowiedzi, błyskając białymi zębami.

- Złaz na dół, albo cholera zestrzele cię z tego drzewa.

Warknęła jeszcze raz, ale tym razem to był głębszy, bardziej gniewny dźwięk.

No cóż, suka nie może powiedzieć, że jej nie ostrzegłam. Otworzyłam torebkę, żeby wyjąć laser, mając zamiar błyskawicznie odciąć gałąź drzewa, na której siedziała, ale w tym momencie, magia popieścić noc. Spojrzałam szybko w górę, na krótko spostrzegając kota wielkości tygrysa, a potem skoczyła w dół, prosto na mnie.

Przekląłam i zanurkowałam w bok, uderzając w ziemię ze stęknieniem, rozrywając bok mojej sukienki i wyrzucając w powietrze torebkę. Nie miałam pojęcia, gdzie upadł laser, ale nie miałam go ręce, kiedy przetoczyłam się na nogi. Moje szpilki wybrały ten szczególny moment, by utknąć w ziemi, więc potknęłam się trochę zanim odzyskałam równowagę. Od tyłu doszedł mnie ciężki głuchy odgłos, a potem kroki. Obróciłam się na czas, żeby zobaczyć jej skok. Boże, była *olbrzymia*. Większa od tygrysa z łapami tak dużymi, jak płytkie talerze.

Zrzuciłam buty, chwyciłam po jednym do każdej ręki i zrobiłam unik przed skokiem. Kocica przekreśliła się w powietrzu, atakując swoimi długimi, ostrymi

pazurami. Kilka złapało moją sukienkę, zaczepiając o cienki materiał, i rozdzierając skórę.

Poczułam okropny ból i krew zaczęła płynąć wzdłuż mojego ramienia. Syknęłam i zaatakowałam szpilką. Specjalnie utwardzany drewniany obcas zahaczył o jej bok, przecinając jej ciało i sprawiając, że krew bryzgnęła na pobliskie drzewa i krzewy różane.

Warknęła – dźwiękiem tak głębokim, że wydawało się, iż drga ziemia. Ustawiłam się, wbijając trochę palce u nóg w ziemię, by złapać równowagę i dobrze stanąć, gdy pacnęła o ziemię, a potem jeszcze raz na mnie natarła.

Jej wargi cofnęły się w warknięciu, ukazując białe błyszczące zęby. Poczekiałam niemal do ostatniej chwili, kiedy to jej pazury prawie mnie dosięgły, a potem opadłam w dół i uderzyłam obcasem szpilki, zagłębiając go mocno w jej brzuch.

To jej nie zabije, ale przeszło dziesięciocentymetrowy obcas, który wbija się w brzuch, nie wywołuje przecież uczucia komfortu.

Jej warknięcie wściekłości stało się długim wyciem z bólu, a potem znowu uciekła, a jej czarny kształt szybko zniknął między drzewami. Wstałam, chwyciłam torebkę i laser, i ruszyłam za nią.

Tym razem była jeszcze szybsza. Jak to było możliwe, nie miałam pojęcia. Może to było związane z tą magią, która pozwoliła jej zmienić swoją wielkość.

Podążyłam za jej zapachem, klucząc i wijąc między drzewami, poruszając się tak szybko, że były dla mnie tylko niewyraźną plamą. Zrobiliśmy pętlę, wracając z powrotem na ścieżkę i rzekę.

Znalazłam moje szpilki porzucone na ścieżce. Ślad kończył się nad rzeką.

Najwyraźniej, ten szczególny kot nie miał awersji do wody. Przeskanowałam ciemną rzekę, ale nie zobaczyłam niczego, ani nikogo, płynącego. W pobliżu nie było żadnych przycumowanych łodzi, więc nie mogła się za nimi ukryć. Po prostu zniknęła.

Na krótko zmieniłam kształt, żeby powstrzymać krwawienie z ramienia, a potem nacisnęłam guzik połączenia.

- Halo, czy ktoś jest na linii?

- Ja zawsze jestem na linii – powiedziała Sal suchym głosem. – W odróżnieniu od pewnych wilkołaków, o których nie wspomnę po imieniu.

Uśmiechnęłam się.

- O rany, ciekawe, kogo masz na myśli?
- Marnujesz mój czas, wilcza dziewczynko. Przejdź do rzeczy.
- A więc, właśnie zgubiłam trop bakeneko...
- Nabierasz zwyczaju tracenia swoich celów, a Jack nie będzie zadowolony.
- Zdecydowała się popływać w Yarra i zniknęła mi zanim zdążyłam ją dopaść.
- Boże, musiała być zdesperowana. Ta rzeka jest *brudna*.

A wampir wie wszystko na temat brudu. Chociaż, oddając sprawiedliwość Sal, myślałam jak każda normalna osoba i pachniała dość miło, jak na wampira. Tak samo Jack, na szczęście.

- Wzięła tożsamość Enny Free, co znaczy, że prawdziwa Enna Free prawdopodobnie nie żyje. Możesz podać mi jej adres i wysłać tam ekipę sprzątającą?

- Poczekaj.

Wróciłam i podniosłam moje szpilki. Za te pieniądze, jakie za nie dałam, nie mogłam ich zostawić. I jak tylko zmyje się z nich krew, nadal będzie można je nosić.

- Kade już tam był, żeby ją sprawdzić – powiedziała Sal. – Nie było jej w domu, a on nie poinformował o niczym niezwykłym.

- Jak mówiłam, do tego czasu ona mogła już nie żyć. – A zmienny koń nie był tak wrażliwy na zapach śmierci, jak wilk. – Podaj mi adres?

- Napier Street292, Fitzroy...

- Ona nie mieszkała w Toorak? – przerwałam jej zaskoczona.

- Toorak nie jest tak daleko – zripostowała Sal. – A ta część Fitzroy wcale nie jest taka tania, ponieważ jest niezwykle blisko sklepów na Brunswick Street i nocnego życia.

Która była związana głównie z ludźmi. Żadnych wilczych klubów nie było w rejonie Brunswick, więc większość nie ludzi trzymała się na odległość. Oprócz wampirów, które znajdowały tam chętne szyje do ugryzienia.

- Wygląda na to, że dobrze znasz ten teren.

- Mieszkam tam. Potrzebujesz coś jeszcze?

- Przekaż ekipie sprzątającej ostrzeżenie, że bakeneko jest zraniony i prawdopodobnie wkurzony, ponieważ zdołałam dźgnąć ją butem. Chyba powinni wziąć broń.

- Powiadomię ich.

- Dobra. Zdołałaś wytropić tego Rona Cowdena?

- Mieszka nad restauracją, która jest na końcu Lygon Street.

- Znalazłaś coś na jego temat? Czy miał brata o imieniu Jake?

- Tak, ale system wciąż próbuje go wytropić.

- Więc daj mu kopniaka i spraw, żeby się pośpieszył. To pilne.

- Jak zawsze.

Prawda. I może tak być, że grubo się mylę, w każdym razie. Jeśli to wszystko było powiązane z nagłym zniknięciem Younga pod koniec dziesiątej klasy, wtedy Ron nie powinien być celem. I nie mogłam sobie wyobrazić, żeby również jego brat był celem, biorąc pod uwagę to, co powiedział mi Liander.

Chociaż, Young nie zakreślił jego zdjęcia bez powodu, więc przynajmniej musiałam to sprawdzić.

- Wiesz, czy Kade obszedł już pozostałe *Ladacznice*?

- Ma problem ze zlokalizowaniem kilku z nich.

Co nie wprawiło go w dobrym humor. A znając jego punkt widzenia – wtedy, kiedy Jack nie słyszał – przyłączył się do szeregów Departamentu, by działać, a nie cackać się z obowiązkami.

- Prawdopodobnie najpierw pójde do *Królika*, a potem sprawdzę Napier Street.

- Nie dostaniesz nic ekstra za niezatwierdzone nadgodziny, wiesz.

- Wiesz co, robię to raczej z miłości do pracy, niż dla pieniędzy – odparłam sucho.

Pociągnęła nosem – to był najbardziej niedowierzający dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszałam.

- Dobranoc, wilczku.

- Nie pozwól pluskwom się pogryźć – odparłam i rozłączyłam się na jej kolejne prychnięcie.

Wróciłam z powrotem do samochodu, boso. Otworzyłam bagażnik i złapałam plastikową torbę, wrzucając do niej swoje buty. Nie wiedziałam, jak przydatne będą dla laboratorium kryminalistycznego, ale lepiej dmuchać na zimne. Chociaż, to nie znaczy, że nie będę chciała odzyskać moich butów za kilka tygodni.

Zmieniłam kształt, żeby jeszcze bardziej wyleczyć rany, a potem wzięłam szmatkę i starłam krew z ramienia. Po włożeniu dodatkowej pary praktycznych czarnych butów, które trzymałam na nagłe wypadki, wskoczyłam do samochodu i skierowałam się na Napier Street. Nie była zbyt daleko od *Sparkies*, więc dostanie się tam zabrało mi tylko około pięciu minut.

Mimo tego, Cole i jego zespół mnie uprzedzili.

Złapałam broń i wysiadłam z samochodu.

- A ty co, nagle urosły ci skrzydła, czy co?

Skrzywił się. Po raz pierwszy, od chwili jak go poznałam, wyglądał na zmęczonego. Jego twarz była mizerna, ciemne torby wisiały pod oczami, a brodę pokrywał kilkudniowy zarost – nawet jeśli szary zarost mógł dobrze wyglądać, to na pewno nie jego.

- W tej chwili są tylko dwa zespoły na tak zwanej dziennej zmianie, a tacy ludzie, jak ty i Kade, gonicie nas z miejsca na miejsce. – Przegarnął ręką swoje już zmierzwiłone szare włosy i spojrzał na ciemny dom przed nami. – Powiedziano nam, że mamy tam wejść z bronią, więc nie spodziewałam się, że tu będziesz.

- Lepiej, żebym była, tak na wszelki wypadek. Miałam starcie z naszym bakeneko i zdołałam ją dźgnąć, ale dała nura do rzeki i uciekła. Jeśli jest tutaj, jest zraniona i niezwykle wkurzona.

Zmarszczył brwi.

- Koty z zasady nie lubią wody.

- Tak, ale normalne koty nie mogą zmieniać się w ludzi, ani powiększać rozmiaru swojego zwierzęcia, więc nie sądzę, żeby zwykłe zasady w tym przypadku mogły być zastosowane. – Machnęłam ręką na dom. – Wejść pierwsza i upewnię się, że jest bezpiecznie.

- Spróbuj za bardzo nie zniszczyć miejsca zbrodni – powiedział sucho.

Uśmiechnęłam się.

- Zrobię, co w mojej mocy.

- Dobra. – Zawahał się, a rozbawienie na krótko usunęło zmęczenie z jego niebieskich oczu. – I pozwól, że powiem, iż błyskasz nam tutaj świetnymi nogami.

Spojrzałam w dół i zauważyłam, że między bójką z bakeneko, a zmianą, rozdarłam sukienkę od kolana aż do szczytu mojego uda. Na szczęście dla wszystkich, dzisiaj wieczorem miałam założone majtki, ponieważ inaczej wszystko byłoby na wierzchu. Posłałam mu uśmiech i dygnęłam.

- Dziękuję za rzadki komplement.

Przeszłam obok niego i zbliżyłam się do wykutej z żelaza bramy. Dom był ciemny i cichy, a ja nie mogłam wyczuć zapachu innego niż ludzki.

Kiedy znalazłam się już pod drzwiami, złapałam klamkę i nacisnęłam. Zamknięte. Jedno, mocne uderzeniem ramieniem szybko to naprawiło. Oczywiście, prawdziwa Enna Free już nie musiała martwić się o bezpieczeństwo, ponieważ nawet nie miała dobrych zasuw, tylko jakieś zużyte bolce.

Ostrożnie otworzyłam drzwi. Powietrze, które wypadło, było wypełnione aromatem jaśminu, ale pod nim wyczułam nuty krwi i śmierci.

Zegar tykał cicho w jednym z pokoiów po lewej stronie, ale poza tym panowała śmiertelna cisza. Dosłownie, w tym przypadku. Nie czułam zapachu kota, nie wyczuwałam obecności kota i nie sądziłam, że tu jest. Ale żeby być pewną, przełączyłam się na podczerwień i przeskanowałam pokoje szukając jakiegokolwiek oznaki ciepła ciała – dużej albo małej.

Nic.

Bakeneko tu nie było. Jedynie śmierć.

Wróciłam do normalnej wizji i weszłam do środka. Światło księżyca przeświecało przez świetliki powyżej, nadając korytarzowi przytłumiony, upiorny blask. Biały wydawał się być kolorem wybranym przez wszystkie, podążające za modą, *Ladacznice*, a jedynymi plamami koloru w domu Enny były sporadyczne przebłyski podstawowych kolorów w dużych obrazach, które dominowały na powierzchniach ścian.

Kiedy podeszłam bliżej do kuchni, inny zapach zdominował powietrze. Przypalone ciało.

Enna leżała na, nie już tak, nieskalanych płytkach, co przynajmniej w czymś różniło ją od innych. Musiała zostać przyłapana w trakcie smażenia, ponieważ po widoku tego, co zastałam, mogłam stwierdzić, że widocznie głęboki garnek do pieczenia przechylił się, gdy się przewracała, ochlapując jej twarz tłuszczem i zostawiając olbrzymie, wodniste pęcherze. Ale nie miała za dużo czasu na przeżywanie tego bólu – nie po tym, na co wskazywał bałagan na połowie jej zjedzonego ciała.

Wypuściłam oddech i spróbowałam zignorować krew i wszędzie porzrucane szczątki, gdy przechodziłam przez kuchnię do niewielkiej części jadalnianej. Znalazłam tam dolną połowę jej lewej nogi. Brakujące ramię było w łazience. A okienko było otwarte – co dostatecznie potwierdzało miejsce wejścia i wyjścia bakeneko.

Zamknęłam je, a potem przeszłam do innego pokoju i stanęłam tam, czekając. Niczego w pokoju nie było oprócz chłodu i zapachu śmierci. Ta część mnie, która mogła wyczuć zmarłych, niczego tu nie odbierała. Tak, jak na wszystkich innych miejscach zbrodni, dusza Enny była podejrzenie nieobecna.

Co, połączone z tym, co widział ten pijany świadek, potwierdzało z całą pewnością, że bakeneko konsumował dusze.

Albo to, albo mój talent zniknął bez mojego pozwolenia z jakiegoś cholernego powodu.

Ignorując drzenie, które przebiegło w dół mojego kręgosłupa, odwróciłam się i wyszłam. Cole zgiał się, by podnieść czarną torbę stojącą u jego stóp, i powiedział.

- Wszystko w porządku?

Kiwnęłam głową.

- Okno w łazience było otwarte, więc to najwyraźniej było jej miejsce wejścia. Zamknęłam je dla bezpieczeństwa, więc znajdziesz tam moje odciski. – Zawahałam się, a potem dodałam. – Bądź tylko świadomy, że ona biega wolno, więc trzymaj broń pod ręką.

- Sądzę, że jedno z nas wyczuje jej zapach zanim znajdzie się wystarczająco blisko, by ugryźć.

- Może, ale mimo wszystko uważaj. – Uśmiechnęłam się do niego. – Poza tym, nie zniosłabym, gdybym zobaczyła tę twarzyczkę oszpeconą.

Prychnął kpiąco.

- Taa, pewnie.

Minął mnie i wszedł do domu. Obróciłam się i skierowałam do mojego samochodu. Dziesięć minut zajęło mi dotarcie do dziwnie nazwanej restauracji *Gorący Królik*, a następne dziesięć znalezienie miejsca do zaparkowania. Ten koniec ulicy Lygon, z bliską odległością do dwóch najpopularniejszych wilczych klubów i nagromadzeniem restauracji i kawiarni, otwartych przeważnie dwadzieścia cztery godziny na dobę, sprawiało, że znalezienie gdzieś miejsca do parkowania było bardzo trudne bez względu na porę dnia.

Wysiadłam z samochodu i wzięłam głęboki oddech. Mieszanka aromatów zaatakowała moje zmysły – gotowane mięso, świeży chleb i kawa mieszały się z zapachami mężczyzn i kobiet. A nad tym wszystko czuć było zapach seksu i pożądania.

Chociaż wciąż było tu wielu ludzi, którzy przyszli zjeść i odwiedzić ten teren, to bliskość wilczych klubów sprawiała, że był to główny obszar spotykania się zmiennych.

A ja to uwielbiałam. Uwielbiałam te zapachy, uwielbiałam te kluby, chociaż przychodziłam tu tylko wtedy, gdy była gorączka księżycy. Brakowało mi tego. Brakowało mi także wolności i zabawy.

Ale najbardziej brakowało mi pieszczot kogoś, komu zależy. I to okazało się być większym problemem, niż kiedykolwiek sobie wyobrażałam, że będzie.

Odwróciłam się od klubów i skierowałam w stronę *Gorącego Królika*.

Jak się okazało, nie mogłam przegapić tego miejsca. Neonowy różowy znak – kompletnie różowe króliki, które skakały w regularnych odstępach – przyciągały wzrok pomimo obecności innych, rywalizujących ze sobą, znaków, a szmery głosów i muzyki, które wypływały z tego miejsca, dosłownie atakowały moje uszy.

Artykuł w gazecie najwyraźniej zrobił dobrą reklamę, ponieważ wewnątrz było pełno ludzi. Będzie ciekawie przyglądać się, czy ludzie tutaj wrócą, czy interes umrze w ciągu miesiąca lub dwóch. Lygon Street zazwyczaj szybko zyskiwała akceptację ludzkiego establiszmentu.

Zdecydowałam się wejść do środka. Wiele zapachów uderzyło w moje zmysły – perfumy, płyny po goleniu i człowieczeństwo mieszały się z mocnym zapachem alkoholu i bardziej smakowitym aromatem kawy. Ale żadne z nich nie wpływało na mnie dobrze w tej chwili.

Miejsce zostało zrobione w stylu starego baru rock-and-roll i, tak naprawdę, przypominał mi w całości *The Rocker*, który był na następnej przecznicy. Tak, jak w *The Rocker*, to miejsce miało boksy, ustawione wzdłuż jednej ściany, a stoliki i krzesła były porozrzucane po całej sali. Parkiet zdominował tył pomieszczenia i był obecnie napakowany – chociaż wydawało się, że większość ludzi gada, a nie tańczy. Ale w odróżnieniu od *The Rocker*, to miejsce nie miało schodów prowadzących do bardziej prywatnych pokoi.

Przeszłam między stolikami, a potem przepchnęłam się przez tłum ludzi czekających przy barze na obsłużenie. Ignorując zniewagi, które ciskano w moją stronę, machnęłam moją odznaką przed najbliższym barmanem.

- Czym mogę służyć? – zapytał, ledwie odrywając oczy od mieszanki, którą miksował.

- Muszę porozmawiać z twoim szefem, Ronem Cowdenem. Kręci się tutaj?

- Stolik za parkietem – powiedział i przesunął po blacie baru dwie szklanki z błyszczącą zieloną pianą. – Dziesięć dolców – dodał do kobiety stojącej obok mnie.

Wycofałam się i obeszłam parkiet. Muzyka stała się głośniejsza, gdy zbliżyłam się do szafy grającej, mocny bas wprawił w drżenie moje ciało i sprawił, że chciałam zatańczyć. Gdyby to był wilczy klub, może i bym tak zrobiła. Ale to byłby tylko zwykły taniec, nie w wilczym stylu.

Moje hormony mogły być spragnione uczuć, ale moje serce chciało więcej. A teraz, moje serce miało więcej woli niż moje hormony.

Za parkietem stały trzy stoliki i tylko jeden z nich był zajęty. Ron Cowden był nawet większy osobiście niż na zdjęciu – niedźwiedziowaty mężczyzna z pełną gęstą brodą, który prawdopodobnie chciał sobie zrekompensować brak włosów na szczycie głowy.

- Ron Cowden? – zapytałam, zatrzymując się przed nim i pokazując mu odznakę.

Zmierzył mnie wzrokiem, jego spojrzenie ledwie omiotło moje udo. Najwidoczniej to nie była męska noga.

- Tak – powiedział, rozgniatając papierosa i prawie natychmiast zapalając papierosa jeszcze raz. Obrzydliwy dym wzniósł się do góry, łaskocząc mój nos i doprowadzając mnie do łez.

- To jest nielegalne – zauważyłam, robiąc krok w tył.

- To jest moja pieprzona restauracja i robię to, na co mam ochotę. – Zaciągnął się papierosem, a potem dmuchnął dymem do góry z dala ode mnie. Przynajmniej nie był z tych, którzy zupełnie nie liczą się z innymi. – Czym mogę służyć?

- Muszę wiedzieć, czy miałeś brata o imieniu Jake, który poszedł do Beechworth Secondary College.

- Interesujące – powiedział. – Jesteś drugą osobą, która pyta mnie o to dziś wieczorem.

W głowie rozdzwonił mi się alarm.

- Ta druga osoba to był mężczyzna dobrze po trzydziestce albo koło czterdziestki, takiego gdzieś wzrostu, – podniosłam rękę kilkanaście centymetrów nad moją głowę, – z włosy tłustymi jak strąki?

- Jakbyś go widziała. – Popatrzył na mnie bystrymi niebieskimi oczami. – Dlaczego nagle wszyscy interesują się moim bratem?

- Dlaczego, nie ma tu żadnego znaczenia. Gdzie jest pański brat, Panie Cowden? Muszę się z nim skontaktować, ponieważ może być w wielkim niebezpieczeństwie.

- Wątpię w to. On nie żyje.

Uniosłam brew ze zdziwieniem.

- Kiedy to się stało?

- Więcej niż pięć lat temu. Najwyraźniej zaszkodziła mu nadmierna dawka narkotyków. – Urwał, a potem potrząsnął głową. – Mój brat to był taki niebieski ptak. Zaczął brać narkotyki, jak skończył dziesięć lat i nigdy z tego nie wszedł.

- Czy miał jakiś szczególny powód, żeby zaczął brać narkotyki? – Na przykład był świadkiem czegoś, czego nie powinien? Okay, to był prawdopodobnie za długi okres czasu, ale to po prostu wydawało się dziwne, że Cherry Barnes, Ivan Lang i Denny Spalding teraz nie żyli, a jedyną wspólną rzeczą, jaka ich łączyła, mógł być ich udział w zniknięciu Arona Younga.

- Nie mam pojęcia.

- A mężczyzna, który tu był przede mną, jak zareagował na wiadomość, że Jake nie żyje?

- No cóż, nie był zbyt szczęśliwy. Tak naprawdę, to myślałem, że mnie walnie.

I prawdopodobnie miał szczęście, że nie został zaatakowany. Young, jak się wydawało, prawie stracił kontrolę w tamtej chwili, a co było bardziej zaskakujące, że powstrzymał się od zaatakowaniem brata człowieka, którego szukał.

- Wyszedł po tym?

- Tak. – Cowden przez chwilę palił papierosa, a potem dodał. – Ochrona spisała numery jego furgonetki, jeśli jesteś zainteresowana.

- Przyjechał tutaj? – Dlaczego na Boga wampir, który umiał latać, miałby prowadzić samochód?

A potem przypomniałam sobie ten maleńki pokój i srebrną sieć, która go przykrywała. Może i mógł zmienić kształt, ale może nigdy nie miał szansy nauczyć się latać. Większość zmiennych nie nabierała swoich umiejętności do zmiany aż do okresu dojrzewania, więc jeśli Young późno dojrzał, jego umiejętności latania prawdopodobnie były mizerne – zwłaszcza, jeśli nauka nie szła mu tak, jak mnie. I może dlatego spadł na ziemię, po tym, jak wyskoczył przez okno u Ivana – a będąc zamkniętym w takim małym pokoju, przez tak długi czas, po prostu nie ufał swoim umiejętnościom fruwania na tyle, żeby zniknąć mi z oczu na czas.

- Byłabym wdzięczna za ten numer.

Uniósł rękę i pstryknął palcami. Pojawił się brązowy wilk o krzepkim wyglądzie.

- Słucham, sir?

- Czy możesz podać naszej przyjaciółce strażniczce numery rejestracyjne?

- Oczywiście. – Wyciągnął notatnik ze swojej kieszeni, zapisał numery, wydarł kartkę i mi podał.

- Coś jeszcze? – zapytał Cowden.

- Nie, byłeś bardzo pomocny. – Zawahałam się, a potem dodałam. – Na twoim miejscu trzymałabym blisko siebie ochronę na wypadek, gdyby ten facet wrócił. Jest

już odpowiedzialny za kilka morderstw, a my nie jesteśmy pewni, jakie są jego motywy.

Kiwnął głową. Odwróciłam się, żeby odejść, ale zawahałam się jeszcze raz.

- Powiedz mi jeszcze, gdy Jake był w dziesiątej klasie w Beechworth, czy kiedykolwiek wspominał o jakimś niezwykłym wydarzeniu?

Cowden zmarszczył brwi.

- Niezwykłym, w jaki sposób?

- Na przykład, czy mówił o jakiś zniknięciach, morderstwach albo czymś podobnym?

- Nie. Wiem, że gliny go przesłuchiwały, ale przesłuchiwali wszystkich w tej klasie po zniknięcie jakiegoś dzieciaka. To nim wstrząsnęło, bo potem tygodniami przemykał chyłkiem.

- Ale nigdy niczego nie powiedział na ten temat?

- Nie.

- A po jakim czasie, po tym wydarzeniu, zaczął brać narkotyki?

Palił papierosa przez kilka sekund.

- Nie jestem pewny. Znalazłem go kilka razy pijanego po tym przesłuchaniu, ale nie mogę podać ci dokładnego czasu, kiedy zaczął barć narkotyki.

- A przedtem pił?

- Był nastolatkiem. Wszyscy piliśmy. To część kultury, prawda?

Nie bardzo, ale to nie miało nic do rzeczy. Skoro więc Jake nie pił na poważnie, ani nie brał narkotyków przed zniknięciem Younga, w takim razie coś musiało się zdarzyć, że zaczął to robić potem.

Ale co? To było pytanie za milion dolarów i prawdopodobnie tylko detektyw, który prowadził sprawę, mógł na to odpowiedzieć. Zerknęłam na zegarek. Nie teraz. Chociaż była dopiero dziesiąta trzydzieści, emerytowany funkcjonariusz policji może się trochę wkurzyć, gdybym zadzwoniła do niego o tak późnej porze.

- No cóż, to dziękuję jeszcze raz za pomoc, Panie Cowden. Doceniam to.

- Nie ma sprawy – odparł i wrócił do palenia.

Wróciłam do mojego samochodu. Co teraz? Impreza charytatywna jeszcze się nie skończyła, ale wątpiłam, żeby bakeneko pojawiło się tam z powrotem. Nie była aż tak głupia. I ja nie chciałam tam wrócić ze swoim wyglądem.

Ale także nie chciałam wracać do pustego domu.

Czas decyzji, pomyślałam, ale wiedziałam, że w rzeczywistości nie było żadnej dobrej decyzji do podjęcia. Ponieważ była tylko jedna rzecz, jaką mogłam zrobić. Tylko jedna rzecz, jaką chciałam zrobić.

Chwyciłam telefon i wybrałam numer Quinna. Dzwonił przez kilka sekund, a potem jego melodyjny głos odezwał się raczej formalnie.

- O'Conor, słucham.

- Quinn? Tu Riley.

- Co za przyjemna niespodzianka – powiedział, a zaśpiew w jego głosie zabrzmiał dwuznacznie, a potem spadł o oktawę. – Tak naprawdę to nie spodziewałem się, że zobaczę albo usłyszę cię jeszcze dzisiaj wieczora.

- Muszę z tobą porozmawiać. – *Muszę cię pocałować, popieścić, kochać się z tobą.* Boże, aż się podnieciłam na samą tę myśl.

- W tej chwili?

- Tak szybko, jak tylko możesz.

- To możemy to zrobić od razu. Te funkcje są obowiązkiem, a nie przyjemną rozrywką. – Zawahał się. – Chcesz spotkać się tylko na kawę, czy pójdziemy do mojego pokoju hotelowego?

Zawahałam się. Faktycznie się zawahałam. Boże, odejście Kellena wyrządziło mojemu sercu więcej krzywdy niż sobie wyobrażałam.

- Pokój hotelowy. Potrzebuję informacji o *Ladacznicach*.

- Mam nadzieję, że to nie jest wszystko, na co masz ochotę – powiedział, a jego cichy głos wysłał dreszcz podniecenia w dół mojego kręgosłupa.

- Prawdopodobnie nie.

- Dobrze. Będę czekać przy wejściu głównym do *Langhama* za dziesięć minut.

- Będę tam.

Rozłączyłam się, wrzuciłam telefon do torebki i uruchomiłam samochód. Po raz pierwszy od wieków, podniecenie zabrzęczało w moich żyłach, więc nie mogłam powstrzymać się od głupkowatego uśmiechu, który wygiął moje wargi.

Tak, Quinn i ja mieliśmy kłopoty. Tak, mogliśmy zaszkodzić jeden drugiemu – ale razem mogliśmy być też cholernie dobrzy. A ja potrzebowałam tego natychmiast. Naprawdę potrzebowałam.

Dotarłam do *Langham* w rekordowym czasie i zaparkowałam na pobliskim podziemnym parkingu. Stawka była zabójcza, ale nie dbałam o to.

Quinn czekał obok głównych drzwi. Jego ciepłe spojrzenie przesunęło się po mnie, podnosząc temperaturę mojej skóry o kilkanaście stopni, a potem zatrzymało się na moich praktycznych czarnych butach.

- A co się stało z tymi ślicznymi zielonymi, które miałaś na nogach?

- Pchnęłam nimi zmiennego.

- Zrobiłaś bardzo paskudną rzecz. – Owinął ramię wokół mojej talii i przyciągnął bliżej. Jego ciało przycisnęło się do mojego, ciepłe, twarde i cudownie znajome. – Co zrobiła?

- To jest bakeneko, a nie normalny zmienny.

- Ach. Cóż, to nie wróży nic dobrego, prawda. Drewniane obcasy szpilek nie działają na bakenekos w taki sposób, jak na wampiry.

Jego oddech owiał moje wargi, jego usta były tak blisko, że prawie mogłam poczuć ich smak.

- Wiem – odparłam, trochę bez tchu. – Ale była w postaci raczej dość sporego kota, a to była najlepsza broń, jaką miałam.

- Jak przypuszczam, uciekła?

- Taa. I dlatego tu jestem. Muszę dowiedzieć się czegoś więcej o bakeneko.

- Powiem ci wszystko, co wiem, ale nie teraz – wymruczał, pokrywając lekkimi jak piórko pocałunkami oba moje policzki, zanim zawładnął moimi ustami, całując mnie długo i mocno.

O Boże, to było takie dobre.

- Chodźmy na górę – powiedziałam jakiś czas później.

Uśmiechnął się, a potem zsunął jedną rękę w dół mojego ramienia i złączył razem nasze palce. Bez słowa, pociągnął mnie za sobą, prowadząc przez złoto-kryształowy hol *Langham* prosto do windy. Zawiozła nas na górę i chwilę potem już szliśmy po pluszowym dywanie w stronę prezydenckiego apartamentu.

Przesunął kartę przez zamek, otworzył drzwi i wprowadził mnie do środka. Nigdy wcześniej nie byłam w prezydenckim apartamencie, ale ten był nie tylko olbrzymi, ale także szczylił się widokami horyzontu i miasta. Wszystkie te różne światła migotały jak tęcze gwiazdy, a ich cudowne piękno sprawiło, że przez moment zapomniałam o moim lęku wysokości. Co myślałam, że nigdy nie będzie możliwe. Może posiadanie umiejętności zmiany w mewę miało więcej korzyści niż sobie wyobrażałam.

Podeszłam do pluszowej kanapy, zrzuciłam buty, a potem odwróciłam się i patrzyłam, jak wolno idzie w moją stronę. Tak jak przedtem, uosabiał sobą grację i elegancję, ale tym razem doszedł dodatkowy element. Czysta i kompletna seksowność.

Oblizawałam usta i zobaczyłam, jak jego spojrzenie śledził ten ruch. Poczułam zapach rosnącej gwałtownie, pysznej żądz.

- Naprawdę potrzebuję najpierw prysznic. Jestem cała spocona i okropna.

Uśmiech wygiął jego wargi i zmarszczył kąciki jego ciemnych oczu.

- Chciałbym powiedzieć, że nigdy nie byłaś okropna, ale widziałem cię już w pozbawionym kawy stanie. – Wstrząsnął się teatralnie. – Słowo *okropna* nie daje się pod to sklasyfikować.

Uśmiechnęłam się, ale nie zaprzeczyłam.

- Którędy do prysznic?

- Tędy. – Jeszcze raz złapał mnie za rękę i poprowadził przez sypialnię, większą od całego mojego mieszkania, do łazienki, która cała była w białym marmurze i złotych dodatkach.

Sięgnął do olbrzymiego podwójnego prysznic i włączył wszystkie dysze. Potem jego spojrzenie napotkało moje i seksowny uśmiech wygiął jego usta.

- Wiesz, oczywiście, że nie masz żadnych szans na to, żeby wziąć prysznic sama.

Uniosłam brew i powiedziałam zuchwale.

- A kto powiedział, że chciałam wziąć prysznic sama?

Roześmiał się, a to był taki melodyjny, wolny dźwięk, że aż dreszcze podniecenia przebiegły przez moją skórę. Więc zawinął ramię wokół mojej talii i przyciągnął mnie do siebie jeszcze raz. Jego ciało było ciepłe i twarde w porównaniu z moim, a jego erekcja podniecająco ocierała się o mój brzuch. Pragnęłam, żebyśmy już byli nadzy, pragnęłam, żeby rozgrzana skóra dotykała skóry, a nie jedwabiu i włókna.

A potem wszystkie myśli zniknęły, gdy jego wargi opadły na moje. Całowaliśmy się, badając i przypominając sobie smak i odczucia tego drugiego, bardzo wolno i zmysłowo.

- Musisz być naga – powiedział w końcu, a jego usta były tak blisko moich, że czułam ruch jego warg.

Pocałowałam go lekko i powiedziałam.

- Jesteś całkiem zdolny, żeby poradzić sobie z tym zadaniem.

Uśmiechnął się, ciemne oczy promieniały rozbawieniem i pożądaniem.

- Jestem.

Przesunął ręce z mojej talii na ramiona, a potem zsunął z nich materiał swoimi kciukami i delikatnie opuścił ramiączka w dół moich ramion. Sukienka opadła wzdłuż mojego ciała i ułożyła się u moich stóp. Jak tylko z niej wyszłam, podniósł ją i rzucił na krzesło stojące w kącie.

- Prawie jesteśmy – zamruczał, całując moje wargi, szyję, gardło. Jego język zawirował przez chwilę na punkcie tętna u podstawy mojej szyi, a jego pożądanie wezbrało, przypalając moją skórę. Potem jego pocałunki zaczęły zsuwać się wzdłuż mojego ciała, dopóki nie sięgnął do moich piersi. Pocałował jeden sutek, potem drugi. Zadrzałam z podniecenia, wyginając się odrobinę w łuk i oferując mu lepszy dostęp. Zachichotał łagodnie i złapał zębami jeden sutek, przyszczypując go lekko, a potem ssąc. Jęknęłam, a pożądanie, które paliło się już w moim ciele, stało się piekłem, które spalało samo powietrze.

Jego wargi zostawiły moje piersi i przeniosły się na mój brzuch. Zadrzałam, ciesząc się ze zmysłowej eksploracji, nawet gdy chciałam, żeby się pośpieszył.

Wsunął palce po obu stronach moich majtek i ściągnął je w dół moich nóg. Wyszłam z nich, a ona rzucił je gdzieś w stronę sukienki. Potem zaczął całować moje uda i złączenie między nimi, zanim wstał i się cofnął. Jego spojrzenie objęło moje piersi, moje biodra, moje nogi, a następnie westchnął.

- Wspaniała – powiedział, jego spojrzenie uniosło się do moich oczu. W ciemnych głębiach odbijała się tęsknota. Tęsknota, która mówiła o miesiącach, latach - nawet wiekach - a nie tylko minutach. Kiedyś to by mnie przeraziło, ale nie teraz. Teraz, w końcu to rozumiałam. – Absolutnie wspaniała.

Ale to nie jego słowa zrobiły dziwne rzeczy z moim głupim sercem. To był sposób, w jaki one zabrzmiały, gdy to powiedział. To była tęsknota i samotność, którą widziałam także w jego oczach.

- Moja kolej – odezwałam się i przystąpiłam do rozbierania go do naga - powoli i rozkosznie - dając dostatecznie dużo czasu moim palcom, by ślizgały się po jego skórze, przypominały sobie kontury jego złotego ciała, poczuły wszystkie te szczupłe mięśnie. Dobrze było móc dotykać go ponownie, drażnić i podniecać go tak, żeby jego zapach zawirował wokół mnie, napełniając każdy mój oddech i powodując, że moja dusza wzdychała z przyjemności.

Gdy oboje w końcu byliśmy nadzy, chwyciłam go za rękę i pociągnęłam pod wodę. Spadająca woda była gorąca, ale ja ledwie to czułam, z powodu gorąca mojej własnej skóry.

- Miałam kiedyś taki sen – wyznałam, gdy złapał mydło i zaczął myć moje plecy i pośladki.

Uniół brew, ciemne oczy iskrzyły się takim samym rodzajem gorącej żądzy, jaka szalała we mnie.

- Kto powiedział, że to był sen?

Uśmiech podrażnił moje wargi i uniosłam brew.

- Spałam wtedy. Więc to musiał być sen.

- Nie ma czegoś takiego jak sen, gdy nasze umysły mogą łączyć się tak intymnie.

Wciąż mnie mył, jego ruchy były powolne i zmysłowe. Między gorącą wodą i gorącym jego rąk, byłam gotowa prawie na wszystko.

- Więc to nie był sen?

Wzruszył ramionami, bardzo elokwentnym ruchem.

- To było pożądanie i spełnienie uchwycone na polu, które jedynie telepaci z głęboką więzią, mogą osiągnąć. Nic mniej, nic więcej.

- Daj sobie powiedzieć, że to było coś o wiele więcej.

Uśmiechnął się i pocałował moje usta.

- Chciałabyś, żeby ten sen stał się rzeczywistością?

- Tak, proszę – szepnęłam.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

Obrócił mnie, i tak jak we śnie, moje plecy zostały przyciśnięte do jego twardego, gorącego ciała, a jego erekcja ocierała się o mój tyłek, gdy zaczął myć moje piersi i brzuch. Zapach lawendy rozpląnął się w powietrzu, wypełniając każdy oddech, tak jak wabiący zapach drzewa sandałowego i męczyzny.

I oh, było tak dobrze. Nawet lepsze niż w tym śnie i to było wystarczająco cudowne.

Ale teraz, tak jak wtedy, wrażenie zostania złapaną między gorąco jego ciała, bębnienie wody i pieszczotę jego rąk było niczym tortury.

Wyrwałam mu mydło i odwróciłam się. Jego piękne ciało, w półmroku łazienki, błyszczało jak rzeźbiony blado-złoty marmur, podczas gdy woda z czcią pieściła każdy mięsień, każdą wypukłość. Podążyłam za stróżkami wody, namydlając każdy cudowny centymetr, dopóki nie zadrżał od pożądania, a jego oddech nie stał się tak szybki, jak mój.

- Dość – wymruczał, zabierając mydło z mojej ręki i odkładając je do mydelniczki.

Luźno zawinęłam ramiona wokół jego szyi i go pocałowałam. Przyparł mnie plecami do mokrych, chłodnych kafelków, jego usta pożerały moje, jego gorąco opływało mnie wkoło, przepływało przeze mnie, paliło moją skórę i kontrastowało ostro z chłodem dochodzącym od kafelków.

- Boże, tęskniłem za tobą – powiedział łagodnie. – Tęskniłem za tym.

- Tak, jak ja.

Kiedy wśliznął się we mnie bardzo wolno, wypuściłam lekko powietrze. Przez chwilę po prostu tak staliśmy, jego ciało było przyciśnięte do mojego, było wewnątrz mojego, wypełniając mnie, rozpuszczając mnie, a woda lała się na nasze ciała, niewiele pomagając w zmniejszeniu gorączki, która paliła się między nami. Jego ciemne spojrzenie spotkało się z moim, a w tych hebanowych głębiach dostrzegłam

przebłysk determinacji. Ten wampir nie da się jeszcze raz odesłać bez walki. Nie pozwoli mi jeszcze raz odejść bez walki.

Ale wszystko było w porządku, ponieważ nigdzie indziej nie chciałam, ani nie pragnęłam być. Nie teraz, i nie w najbliższej przyszłości.

Zaczął się poruszać, z początku powoli, ale stopniowo zwiększał szybkość, dopóki to wszystko nie stało się namiętnością, gorączką, intensywnością. Dopóki nie utonęłam w tej burzy, ale kochałam każdą tego minutę. I tak jak wcześniej, zmysłowe gorąco naszego tańca połączyło nasze dusze, czyniąc to czymś więcej niż jedną chwilą zwykłej intymności, czymś więcej niż zwykłą przyjemnością. To zrobiło z nas jedno, w sposób wykraczający poza cokolwiek, co kiedykolwiek doświadczyłam, z kim innym. Nawet z Kellenem.

Jego pchnięcia stały się bardziej gwałtowne, natarczywe, ale przez to bardzo cudowne. Wzrósł we mnie intensywny ból, rozszerzający się po moim ciele, stający się kalejdoskopem wrażeń, które obmyły każdy zakątek mojego umysłu. Nie mogłam oddychać, nie mogłam myśleć. Mogłam tylko czuć. Nagle chwyciło mnie drzenie, więc sapnęłam i złapałam się jego ramion, by wdrapać się na jego ciało, zawinąć nogi wokół jego pasa i wcisnąć go głębiej w siebie. Przyjemność wybuchła między nami, a orgazm wstrząsnął moim ciałem, przepływając przez moją duszę. Doszedł razem ze mną, ale kiedy jego ciało wsunęło się w moje, jego zęby otarły się o moją szyję. Szarpnęłam się odruchowo, gdy przebił moją skórę, ale krótki błysk bólu szybko stał się czymś niezaprzeczalnie pięknym, i doszłam drugi raz, a orgazm wstrząsnął moim ciałem, gdy przez krótką chwilę pił z mojej szyi.

Gdy w końcu przypomniałam sobie, jak się oddycha, otworzyłam oczy i wpatrzyłam się w jego.

- To było jeszcze lepiej niż sen.
- Rzeczywistość często taka jest.

Uśmiechnęłam się.

- Rzeczywistość w tej chwili jest taka, że zaczynam być podobna do suszonej śliwki.

Zaśmiał się i zakręcił wodę. Odsunęłam się od niego i wycisnęłam z włosów wodę. Podał mi ręcznik, tak gruby i miękki, że moje palce zagubiły się w nim, a potem sam zaczął się wycierać drugim. To było, pomyślałam, tak gorące, że podnieciłam się jeszcze raz na ten wspaniały widok.

Weisnęłam moje hormony do ich pudełka i zaczęłam się wycierać.

- Przydałaby mi się teraz kawa.

- Właśnie miałem zasugerować, żebyśmy przeszli do łóżka i kontynuowali tam nasz proces ponownego poznawania się. – Zrzucił swój ręcznik wokół moich ramion i przyciągnął mnie bliżej. – Ponieważ nadal jest wiele miejsc na tobie, które chciałbym zbadać i zapamiętać.

I było wiele miejsc na mnie, które chciałam, żeby zbadał i zapamiętał...

Upuściłam mój ręcznik i przylgnęłam do niego. Był więcej niż w połowie gotowy do ponownej rundy, a to wysłało dreszcz podniecenia przez moją skórę, i dało znać, że pożąda mnie tak samo mocno, jak ja pożaądałam jego.

- Możemy mieć i kawę i łóżko. Jestem wszechstronna. Umiem dzielić moje przyjemności.

- Słyszałem to o tobie – powiedział poważnym tonem, ale jego hebanowe oczy paliły się rozbawieniem. – Ale nie jestem tego taki pewny. Może powinnaś pokazać tę wszechstronność.

Mój uśmiech był bezczelny i wyzywający.

- Swoją drogą, ty też mnie pragniesz, wampirze.

Roześmiał się niskim, głębokim dźwiękiem, który napełnił moje hormony radością, a potem złapał moją rękę i pociągnął w stronę sypialni.

- Z takim wyzwaniem, wynurzenie się z łóżka, może zająć nam bardzo dużo czasu.

I tak było.

I Boże, to było takie wspaniałe.

Jedną dobrą rzeczą w zajmowaniu prezydenckiego apartamentu, jaką odkryłam, była możliwość dostania jedzenia, jakiego tylko chciałeś, na telefon.

Siedziałam po turecku pośrodku łóżka, z tacą przed sobą, trzymając hamburgera z wszystkimi dodatkami, do tego orzechowa kawa w największym kubku, jaki hotel

mógł znaleźć, i oblane czekoladą truskawki, które były tak słodkie i pyszne, jak na to wyglądały. W tej chwili, wahałam się między nimi a hamburgerem, w zamian otrzymując pełne dezaprobaty spojrzenia od Quinna. Co prawda udawał przez parę ostatnich godzin, że nie jest tak staroświecki, gdy chodziło o kochanie się, jak myślałam, ale wciąż wydawało się, że miał kilka uprzedzeń do tego, w jaki sposób powinno się jeść.

I nie chodziło o to, że tak naprawdę nie jadł od bardzo długiego czasu.

Wycofał się na drugą stronę masywnego łóżka, do połowy przykryty prześcieradłem, opierając się plecami o wyściełane wezgłowie. Sączył czerwone wino i mogłam wyczuć jego cierpkość z miejsca, gdzie siedziałam.

Wzięłam kolejny kęs hamburgera, właściwie mrużąc, gdy hamburger i jego soki wypełniły moje usta, a potem powiedziałam.

- Powiedz mi, jak zabić to bakeneko.

- Musisz zabić jej ciało.

- To rzecz absolutnie zrozumiała, prawda? To znaczy, zabicie ciała powstrzyma większość spraw.

Uniósł swój kieliszek w toaście na moją uwagę.

- Jednak bakeneko to nie jest większość spraw. Ona jest teraz magiczną istotą, a ta magia nie tylko daje jej umiejętność do zmiany jej kształtu, ale również dostarcza ekstremalną prędkość i siłę. Nie będzie łatwo ją zabić.

To były złe rzeczy.

- Czy musimy zabić ją w jakiś szczególny sposób?

- Odcięcie głowy powinno załatwić sprawę. – Napił się wina. – A jeśli duch zostanie uwięziony w zmarłym ciele, to odejdzie z tego świata i nigdy nie wróci.

- Więc duch, sam w sobie, nigdy nie zostanie zabity?

Potrząsnął głową.

- Ale nie będzie mogła zamieszkać w innym ciele. Kiedy umrze jej ciało, ona musi zniknąć.

Cóż, przynajmniej coś. Wypiłam szybko kawę, odkrywając, że była tak samo pyszna, jako reszta uczyty.

- Na miejscu zbrodni nie było żadnych obecnych dusz, a mamy świadka, który przysięga, że widział, jak ta istota ssie usta ofiary. Myślę, że ona przejmuje dusze - czy to jest możliwe?

- Bardzo możliwe, zwłaszcza jeśli jej ataki się nasilają. – Upił łyk wina i dodał. – Każda dusza, jaką skonsumuje, wzmacnia ją, ale to również napędza jej gniew i szaleństwo. To następny powód, żeby być bardzo ostrożnym.

- To znaczy, że bakenekos żyją duszami? – Zadrzałam na tę myśl.

- *Żyją* to raczej złe słowo. One nie potrzebują dusz, żeby przeżyć, nawet jeśli to ich wzmacnia. One po prostu cieszą się bólem i cierpieniem podczas wyrywania duszy z jego umierającego ciała.

- Więc to wszystko jest częścią ostatecznej zemsty?

- Tak.

- W takim razie, jak sądzę, będzie dobrze, jak zgromadzimy pozostałe *Ladacznice*. – Wrzuciłam truskawkę do ust i przeżułam. – Mam listę czternastu nazwisk. Czy to wszystkie?

- Słyszałem tylko o czternastu, więc tak, całkiem możliwe, że tyle ich jest. Mogę sprawdzić listę, jeśli chcesz.

Uśmiechnęłam się na jego ton.

- Naprawdę ich nie lubisz, prawda?

- Bardziej można powiedzieć, że nie podoba mi się nieuczciwość w tym, co robią. – Obserwował mnie przez chwilę, jego ciemne oczy nagle stały się poważne. – Znasz moje odczucia na temat wilkołaków i ich seksualnych przekonań, ale przynajmniej wilkołaki są szczerze w swoich potrzebach. Nigdy nie kłamią, ani nie mówią pół prawd, a to podziwiam.

Westchnęłam i odłożyłam hamburgera. Nadszedł czas dyskusji, której oboje unikaliśmy.

- Nie możesz zmienić tego, czym jestem, Quinn. Zmienić mnie samej.

Odstawił wino na stolik i wyprostował się trochę. Prześcieradło zsunęło się z jego brzucha i ułożyło na wysokości szczytu jego ud, ukazując nęcące przebłyski krótkich, ciemnych włosów.

- Nauczyłem się tej szczególnej lekcji na własnej skórze. A te miesiące, kiedy byliśmy osobno... – zawahał się i spojrzał na mnie. W hebanowych głębiach odbijało się echo ponurej samotności, którą zauważyłam już wcześniej. – Były ciężkie.

- To nie miało tak być, wiesz.

Posłał mi krzywy uśmiech, od którego moje serce zrobiło dziwne podskoki.

- Wiem. Ale jak wypominałaś mi to dość często, jestem bardzo stary wampirem, który lubi robić wszystko po swojemu.

- Próba zmiany samej istoty tego, czym jestem, było zupełnie nie na miejscu.

- Wiem, i miałem dostatecznie dużo czasu, będąc sam, żeby tego żałować, wierz mi. – Wzruszył jednym ramieniem. – Myślałem, że to, co robiłem, było dla nas najlepsze. Chciałem dostać szansę, Riley, ale ty nie wydawałaś się skłonna dać mi chociaż jednej.

- Dałam ci tyle samo szans, co Kellenowi. Nie widywałam się z nim częściej niż z tobą. Ale ty byłeś aktorem pierwszego planu. Byłeś tym, który wciąż naciskał, naciskał i naciskał.

- A ty byłaś tą, która odmawiała wzięcia pod uwagę tego, że twój partner duszy może być czymś innym niż wilkołakiem – odburknął z lekką nutką gniewu w swoim głosie.

Nic nie mogłam na to powiedzieć, ponieważ oskarżenie było prawdziwe. Znalezienie mojego wilczego partnera duszy było marzeniem, za którym tęskniłam od tak dawna, jak tylko pamiętam, i to nie było jedno z tych, z którego łatwo mogłabym zrezygnować – nawet teraz, gdy znaczna część tych marzeń rozsypała się w proch i została zabrana mi przez los.

Westchnął, ale to był dźwięk frustracji.

- Nie mogę pozwolić, żeby to się skończyło, Riley. Jest po prostu zbyt wiele dobrego między nami.

Chwyciłam mój kubek z kawą, otaczając go dłońmi i pozwalając ogrzać palce.

- Pamiętasz Dię?

Zmarszczył brwi.

- Tego klona? Tą, której uratowaliśmy dziecko?

- Tak. Kiedyś zadała mi bardzo interesujące pytanie.

Ciemna brew się wygięła.

- I co to było za pytanie?

Wzięłam łyk kawy, a potem odparłam.

- Zapytała mnie kiedyś, czy istota z dwoma duszami może mieć tylko jednego partnera duszy.

Zrozumienie i być może niewielki błysk radości, przemknął przez jego hebanowe głębie.

- I kiedykolwiek znalazłaś odpowiedź?

- Nie. – Posłałam mu krzywy uśmiech. – Ale biorąc pod uwagę los, który stale rzuca mi kłody pod nogi, wcale nie jestem pewna, czy kiedykolwiek znajdę odpowiedź. Ale prawdą jest, że próbowała uzmysłwić mi to samo, co ty - że nie jestem tylko wilkiem. Jestem także w części wampirem. Więc jest całkiem prawdopodobne, że dwie połówki mojej duszy mają różne oczekiwania i różne potrzeby.

- Całkiem możliwe – zgodził się, ale jego głos był poważny, chociaż zauważyłam podniecającą mieszankę pożądania i ulgi palącej się w jego ciemnych oczach. – I jakkolwiek inny - powiedzmy, mniej kulturalny - wampir powiedziałby, *a nie mówilem*.

Roześmiałam się i rzuciłam w niego truskawką. Odchylił się, a truskawka uderzyła w lampkę na nocnym stoliku, stojącą obok niego, i odbiła się na środek pokoju.

Rozplątałam nogi, żeby wstać i ją podnieść. Nie było sensu marnować tej doskonale jadalnej truskawki.

- Wciąż wierzę, że gdzieś tam jest mój wilczy partner duszy, Quinn, więc nigdy nie będzie tylko ty i ja.

- I nadal chcesz być tym wolnym i swobodnym wilkiem, którego spotkałem kilka miesięcy temu?

Przeszłam po dywanie, a moje palce u nóg zanurzyły się w miękkich włóknach.

- Hej, zakochałeś się w tym wilkołaku, więc nie może być taka zła.

- Nie była. I nadal nie jest. Ale zawsze pragnąłem być czymś więcej niż tylko następnym numerem na liście szybkiego wybierania.

Prychnęłam łagodnie.

- Nigdy nie byłeś na liście szybkiego wybierania.

- No cóż, to jeszcze bardziej pogarsza sytuację. – Jego głos był suchy, ale rozbawienie igrało na jego wargach. – Ale wciąż będę powtarzał, że to, co mamy, zasługuje na coś więcej.

Ugryzłam truskawkę, łapiąc kawałki odpadającej czekolady drugą ręką.

- Myślę, że musimy wrócić do samego początku i zacząć od początku. Myślę, że powinniśmy zacząć chodzić na randki i zaprzyjaźnić się, zanim zdecydujemy się na coś więcej.

- I odmawiać sobie seksu? Po seksie, który właśnie uprawialiśmy? Zwariowałaś?

Zaśmiałam się.

- Nie mówię, żebyśmy odmawiali sobie seksu. Sugeruje tylko, żebyśmy włączyli w to wszystkie te zwykłe sprawy, które dzieją się w związku. Nigdy tak naprawdę tego nie mieliśmy, wiesz.

Spoważniał.

- I większa część tego była z mojej winy.

- Tak – potwierdziłam, a potem się roześmiałam uchylając się przed poduszką, którą we mnie rzucił. – Hej, ja nigdy nie powiedziałam, że to wszystko jest twoja wina. Nie zaszłam aż tak daleko.

- Przypuszczam, że powinienem być wdzięczny za małe łaski.

- Powinieneś – odparłam wyniosłym tonem, a potem zaśmiałam się łagodnie. – Nie obchodzi mnie, kto zawinił, Quinn. Po prostu chcę zacząć wszystko od początku - ale tym razem, chcę spróbować zrobić to dobrze. Albo tak dobrze, jak ty i ja możemy być.

- Usłyszenie tego powoduje, że moje stare serce chce tańczyć z radości.

Prychnęłam łagodnie i wróciłam na moją stronę łóżka, żeby napić się kawy. Ale jak tylko to zrobiłam, uderzył we mnie ból – ból tak głęboki, jakby moje serce było wydzierane z mojej piersi. Świat nagle zawirował, obrócił się i spadł, a ja nie mogłam myśleć, nie mogłam oddychać. Był tylko ból, paralizujący ból.

Tylko, że on nie był mój.

Był Rhoana.

Panda68

Tłumaczenie: panda68

Rozdział 9

Uderzyłam mocno o podłogę i leżałam tak przez kilka sekund, mój oddech był przerażony, a moje serce biło milion razy na minutę.

Coś strasznego musiało stać się z Rhoanem, skoro zareagowałam w ten sposób. Ale jednak nie czułam, żeby był w niebezpieczeństwie. Nie czułam, żeby w jakiś sposób został zraniony.

- Riley? – Quinn nagle znalazł się obok mnie, jego ręce sunęły po moim ciele, szukając jakichkolwiek ran czy urazów, których nie było. – Riley, co ci jest?

- Rhoan – wysapałam, jakoś wstając na ręce i kolana. Ponownie uderzyły zawroty głowy i obleciał strach. Boże, co się działo? – Coś mu się stało.

Quinn złapał mnie w pasie i postawił na nogi.

- Ubierzesz się sama? Gdzie twój telefon?

- Tak, dam radę, w mojej torbie.

Okręcił się i poszedł do salonu. Chwiejąc się na nogach skierowałam się do łazienki i pospiesznie ubrałam. Świat zakręcił się jeszcze raz, więc złapałam narożnik prysznica, żeby utrzymać się prosto. Gdy przeszło, odnalazłam buty i ruszyłam do salonu.

Quinn dzwonił z mojego telefonu.

- Nie ma żadnej odpowiedzi od Rhoana, ani z mieszkania, ani z jego telefonu.

- Nie był w domu. Był u Liandera... – urwałam i wstrząsnęło mną przerażenie. O Boże, czyżby coś stało się Lianderowi?

Proszę, nie pozwól, żeby to był Liander.

Wyrwałam Quinnowi telefon i szybko wykręciłam numer Liandera. Nie było żadnej odpowiedzi, a automatyczna sekretarka się nie włączyła. A on zawsze – zawsze – włączał ją, gdy wychodził.

- Musimy pojechać do Liandera.

- Ubiorę się i wezmę moje kluczyki...

- Ja prowadzę...

- Nie! – powiedział, prawie brutalnie, z drugiego pokoju. Nie zły na mnie, ale zły dla mnie. – Nie, bo możesz znowu poczuć to, co cokolwiek dzieje się z Rhoanem. Nie możesz ryzykować swojego - i innych - życia.

Klucze zabrzączały, kiedy je chwycił, a potem był znów przy mnie, mając na sobie spodnie i niosąc w ręku marynarkę, ale będąc bez koszuli. Złapał mnie za łokieć i ruszyliśmy w stronę windy. Jak tylko drzwi się zamknęły, zadzwoniłam do Departamentu.

Odpowiedziała Sal.

- Co znowu, wilcza dziewczynko?

- Potrzebuję natychmiast lokalizacji Rhoana.

- Poczekaj. – W tle stuknęły klucze i rozległ się dźwięk komputera. – Porusza się, jedzie Epson Road.

- Gdzie jest najbliższa przecznica?

- Właśnie skręcił w Bangalore Road.

Jechał do Liandera, nie do swojego warsztatu i poddasza.

- Powiedz Jackowi, że coś stało się z Lianderem. Powiedz mu, że Rhoan może potrzebować przyhamowania.

- Zrobi się. – Zawahała się. – Jedziesz tam teraz?

- Tak.

- Uważaj na siebie, wilcza dziewczynko.

- On jest moim partnerem ze sfory – powiedziałam i się rozłączyłam.

Winda zjechała na parking i drzwi się otworzyły. Quinn ponownie złapał moje ramię i poprowadził do swojego Porsche.

- Gdzie mieszka Liander? – zapytał, zdzierając tylne opony, gdy przyspieszył.

- Na Kensington. Wjazd z Epson Road.

Kiwnął głową i prędkość samochodu się zwiększyła. Światła i budynki tylko migwały obok, ale tak naprawdę niczego nie widziałam. Byłam zbyt zajęta zamartwianiem się.

- Masz jakiś pomysł, co się mogło stać? – zapytał Quinn, po kilku minutach.

- Może, ale modłę się do Boga, żebym była w błędzie.

- Dlaczego?

- Ponieważ mamy na wolności seryjnego mordercę, a Liander może być jednym z jego celów.

- Jeszcze raz, dlaczego?

Rzuciłam na niego okiem. Jego odpowiedzi były krótkie i ostre, a jego koncentracja skupiona na drodze i tych kilku samochodach, które były na ulicach o tej porze.

- Ponieważ nasz zabójca wydaje się ścigać ludzi, którzy kiedyś chodzili z nim do tej samej klasy. Nie mamy zielonego pojęcia dlaczego, poza faktem, że zabójca zniknął po sprzeczce z jakimiś dzieciakami z tego samego roku.

- I Liander był jednym z tych dzieciaków?

- Tak, ale nie miał nic wspólnego z tym zabójcą ani dzieciakami, które najwyraźniej coś mu zrobiły.

- Więc zabójca jest teraz wampirem?

Zawahałam się.

- Cóż, pachnie jak wampir, ale jest niewidoczny w ciągu dnia i zdolny do chodzenia w świetle słonecznym bez szkody. Przypuszczam, że on był jakiegoś rodzaju zmiennym zanim nim został.

- Żaden wampir nie jest odporny na światło słoneczne - nawet bardzo stary.

- A on nie jest bardzo stary, ale goniłam go po ulicy i łądak się nie spalił.

- W takim razie on nie jest wampirem.

- To, czym jest?

- Może być tuzinem innych rzeczy. – Zawahał się. – Fakt, że staje się upiorny w ciągu dnia sprawia, że skłaniam się do *bhuty*.

- Do czego?

- To jest rodzaj wampira, który może powstać po tym, jak ktoś doświadczy gwałtownej śmierci. Oni ponoć nie żywią się krwią, ale raczej jelitami i ekskrementami, i nie mają fizycznego ciała za dnia. Tylko w nocy.

Ten opis całkowicie pasował do tego, co wiedziałam o Youngu.

- Mogą nie mieć fizycznego ciała, ale nadal mogą podnosić rzeczy i używać ich, jako broni, za dnia.

Zerknął na mnie.

- Już miałaś z tym kontakt?

- Tak, zaskoczył mnie. Nie spodziewałam się niewidzialnego wampira. – Spojrzałam przez okno, poznając lokalizację i wiedząc, że jesteśmy prawie na miejscu. Ta wiedza nie przyczyniła się do rozładowania mojego napięcia. Tylko je podniosła. – Czy ta bhuta może zginąć jak normalny wampir?

- Tylko, jeśli złapiesz go w nocy. Nie można go zabić w ciągu dnia.

Świetnie. Po prostu świetnie.

- Boże, mam nadzieję, że nic się nie stało Lianderowi.

Quinn zabrał jedną rękę z kierownicy i ścisnął moje kolano. Jego ręce były ciepłe na mojej skórze, jego dotknięcie pocieszające – nawet, gdy to nie złagodziło mdlącego strachu ściskającego mój żołądek.

- Liander jest byłym wojskowym. Umie walczyć. Wszystko będzie z nim w porządku.

Oblizalam wargi i odwróciłam wzrok od troski widocznej w jego oczach. Nie dlatego, że nie chciałam jej widzieć, ale dlatego, że próbowałam być silna i jakikolwiek rodzaj zrozumienia i troski w tej chwili mógł po prostu doprowadzić mnie do łez.

- Jestem strażnikiem – powiedziałam cicho, – ale takie sprawy przeważnie trzepią mnie po tyłku.

- Ponieważ nie oczekiwałaś...

- Liander też nie. – Moją jedną nadzieją był fakt, że ostrzegałam go, żeby był ostrożny. *Proszę, proszę, uważaj na siebie, Liander.*

Quinn wparował na Bangalore Road tak szybko, że aż zapuszczają opony, a zapach spalonej gumy na krótko wypełnił samochód.

- Uważaj na progi zwalniające – powiedziałam, ale o sekundę za późno. Samochód przeleciał nad pierwszym, a potem opadł na zderzak.

- Dzięki za ostrzeżenie. – Głos Quinna był suchy, ale widocznie nie zmniejszył prędkości, dopóki nie dojechaliśmy do następnego progu.

Boże, byliśmy blisko, tak blisko... część mnie chciała wysiąść i pobiec, żeby już tam być i wiedzieć. Mój żołądek zawiązał się w węzeł, a pot zaczął spływać po kręgosłupie. Nigdy nie myślałam, że kiedykolwiek będę tak przerażona o kogokolwiek innego w moim życiu.

Skręciliśmy za róg i ukazała się ulica, na której mieszkał Liander.

- Tam zaparkuj. – Wskazałam miejsce do zaparkowania po prawej stronie ulicy, jak tylko moje spojrzenie omiotło sznur stojących samochodów.

Rhoan już tu był, ale musiał zostawić samochód w pośpiechu, ponieważ drzwi od kierowcy były otwarte, a kluczyki w stacyjce.

O Boże, o Boże...

Quinn zatrzymał się na jednym z wolnych miejsc. Samochód ledwie się stanął, a ja już wyskoczyłam na zewnątrz i zaczęłam biec, a dźwięk moich obcasów rozbrzmiewał echem w ciszy wciąż śpiącej nocy.

W trzypiętrowym segmencie domu Liandera nie paliły się żadne światła, więc nic nie wskazywało na to, że coś było nie w porządku. Frontowe drzwi były otwarte, jednak to, że nie były wyrwane ani uszkodzone w jakikolwiek sposób, nie było dobrym znakiem. Liander za bardzo dbał o bezpieczeństwo, żeby zostawić je w taki sposób. I wątpiłam, żeby Rhoan również zostawił je otwarte. Gdyby drzwi były zamknięte, kiedy tu dotarł, prawdopodobnie rozwaliby je w łuku zobaczenia tego, co tam się stało.

Zrobiłabym tak samo, gdyby sytuacja była odwrotna.

Przebiegłam przez bramkę i w górę po schodach. Quinn był ciepłą, ciemną obecnością za mną, ale kiedy wbiegłam do środka, zatrzymał się.

Obróciłam się, żeby na niego spojrzeć. Skrzywił się.

- Liander nigdy nie zaprosił mnie do środka, więc nie mogę przestąpić progu – powiedział. – Ale idź znajdź brata. Będę tutaj, gdybyś mnie potrzebowała.

- W takim razie, jak bhuta go przekroczył? I nie wyobrażam sobie, żeby Liander zaprosił go do środka.

- Nie musiał. Bhuta nie podlegają takim ograniczeniom, jakie powstrzymują większość wampirów.

- Jeszcze więcej pieprzonych cudownych wiadomości. – Okręciłam się i zniknęłam w ciemności.

W domu nie było słycać żadnych dźwięków. Zapach jagnięcej pieczeni i pikantnych warzyw wisiał w powietrzu – dowody obiadu, który Liander zaplanował. Jego zapach, łagodny i męski, wypełniał cały dom. Piżmowy i skórzany zapach Rhoana był niewyczuwalny, ale czułam ciepło jego obecności. Był na górze.

Chwyciłam się poręczy i zaczęłam się wspinać. Moje kroki wydały cichy dźwięk na grubym dywanie, ale to nie miało znaczenia. Rhoan i tak będzie wiedział, że tu jestem, tak samo, jak ja wiedziałem, że on tu jest.

Doszłam na pierwsze piętro – to, na którym była sypialnia. Cisza wydawała się być tu wyraźniejsza, ale, podczas gdy powietrze wciąż utrzymywało mocny zapach gotowania i Liandera, coś innego zaczęło się pojawiać.

Strach.

Krew.

Energia popieściła mój umysł, a mrowienie ciepła, które poruszyło włókna mojej duszy, chciało wdrzeć się w sposób wykraczający poza dotyk, poza seks. Quinn, naciskając lekko na moje tarcze, chciał ze mną porozmawiać, chciał, żebym otworzyła paranormalne drzwi, przez które moglibyśmy się porozumieć.

Opuściłam kilka warstw tarcz i powiedziałam.

Jeszcze nic nie mam. Rhoan jest na górnym piętrze, ale nie mam pojęcia, gdzie jest Liander. Zawahałam się, a potem dodałam. Czuję krew.

Ja też. Nie ma jej dużo, więc to jest przynajmniej jedna dobra rzecz. Ale na górnym piętrze czuję bicie tylko jednego serca. Jeśli to Rhoan jest tam na górze, w takim razie to musi być jego.

To, gdzie do diabła, jest Liander?

Nie wiem. Ale uważaj. Gniew, który czuję jest przerażający.

To mój brat, Quinn. On mnie nie skrzywdzi.

To, że jesteście rodziną nie zawsze cię ochroni. Nie wtedy, gdy osiągnięty jest ten poziom strachu.

Oblizalam wargi i wspiełam się na następne piętro. To, zasadniczo, była jedna duża otwarta przestrzeń, którą Liander używał, jako przestrzeń biurową, i była spowita w ciemności podobnie jak niższe piętra.

I chociaż także tutaj nie słyszałam żadnych dźwięków, zapach gniewu i strachu zgęstniał, a wszystko to było owinięte w zapach Rhoana.

- Rhoan? – powiedziałam cicho, zatrzymując się na krótko na najwyższym stopniu i się rozglądając.

- Wyszedł. Posprzeczialiśmy się, a potem on wyszedł.

Głos, który doszedł z ciemności był wątlm cieniem jego normalnego stanu. Strach uderzył we mnie, mocniejszy i silniejszy niż wcześniej.

- Co masz na myśli mówiąc wyszedł? – Weszłam do pokoju, a potem się zatrzymałam. Sączące się przez okna, będące na drugim końcu pomieszczenia, światło księżycy dawało dość blasku, żeby oświetlić rozbite meble, rozrzucone papiery i krew rozbryzgniętą na ścianie.

O Boże, o Boże...

Zamknęłam oczy i zrobiłam głęboki wdech. Liander nie mógł nie żyć. Rhoan by nie mówił, gdyby tak było. Wstrząs po śmierci partnera duszy często wprawiał żyjącego partnera w stan katatonii – w coś, co Ben praktycznie potwierdził, gdy opowiadał o śmierci swojej partnerki.

Zrobiłam jeszcze kilka kroków do przodu i w końcu zobaczyłam Rhoana. Klęczał przy czymś, co było kiedyś biurkiem Liandera, a teraz było niczym więcej jak roztrzaskanymi pozostałościami. Co było dowodem na to, że naprawdę stoczył poważną walkę. Ale walczył z czymś o wiele silniejszym, o wiele szybszym, niż on. Z czymś, co nawet nie działało w ramach normalnych zasad rządzących wampirami.

Przegrał, ale żył. Przynajmniej, to było coś, czego trzeba się było złapać, coś, z czym można było pracować.

Podeszłam bliżej i zobaczyłam, że Rhoan przytula coś do swojej piersi. Coś, co było białe, ale miejscami poplamione na ciemno. Miejsca te pachniały całkiem jak krew.

Nie, nie, nie, pomyślałam i wzięłam głęboki, drżący oddech, by uspokoić wciąż rosnący strach.

- Rhoan – odezwałam się. – On żyje. Musimy stąd spadać i go znaleźć.

W końcu spojrzał na mnie. Jego szare oczy były szeroko otwarte i zszokowane, wypełnione bólem, który sięgał dna duszy.

- On jest ranny. Jest umierający.

- Ale wciąż żyje. – Zmusiłam głos do ostrzejszego tonu. Musiałam przebić się przez jego szok, ból i winę; musiałam sprowokować go do działania. – Liander nie siedziałby tutaj ściskając zakrwawioną koszulę, jeśli sytuacja byłaby odwrotna. Jesteś pieprzonym strażnikiem. Zacznij działać!

Gwałtownie wstał na nogi i rzucił we mnie zakrwawioną koszulę.

- Powąchaj! Poczuj to! To jego krew jest na koszuli. Jego strach! Cokolwiek po niego przyszło, nie mógł poradzić sobie z tym sam. A był wyszkolony w wojsku. – Przegarnął ręką swoje grube, rude włosy, a potem się obrócił. – Nie było mnie tutaj, Riley! Powinienem być, ale nie byłem.

Złapałam koszulę jedną ręką. Krew była gęsta i lepka w dotyku, co znaczyło, że była w miarę świeża. I pozostał na niej zapach potu i strachu – wiele mówiące znaki, zważywszy na to, że nigdy nie widziałam, żeby Liander bał się jakiegokolwiek fizycznej groźby.

Rzuciłam koszulę na przewrócone krzesło i powiedziałam.

- To nie czas na wzajemne oskarżenia, Rhoan. On żyje. Zacznijmy stąd i spróbujmy go znaleźć.

- Nie mogę. – Słowa jakby zostały z niego wyrwane. – Czuję, że jest w tarapatach, wiem, że jest ranny, ale nie mogę wyczuć, gdzie on jest. To nie jest tak, jak z tobą i ze mną.

- W takim razie znajdziemy go w stary, dobry sposób - przez stare, dobre dochodzenie.

- Jak? Nawet nie wiemy, kto, albo co, mu to zrobiło.

- Tak naprawdę, to wiemy.

Określił się twarzą do mnie, a czysta furia w jego oczach rzucała na kolana.

Uważaj, Riley. On w tej chwili nie myśli logicznie i szuka czegoś – lub kogoś – na kim mógłby wyladować swój gniew.

No, co ty powiesz. Uniosłam obie ręce – mało przydatny gest, gdyby faktycznie zdecydował się zaatakować.

- W jednym ze śledztw, które prowadzę, głównym podejrzanym jest coś, co Quinn nazywa bhuta - wampir bez fizycznego ciała w ciągu dnia.

- A co to ma wspólnego ze zniknięciem Liandera? – Jego głos był bezbarwny i zimny, a jego oczy zmieniły się z tych, przypominających ludzkie, w coś, co widziało tylko śmierć. Chciało tylko śmierci.

W spojrzenie strażnika. Spojrzenie zabójcy.

Widziałam je tylko kilka razy, ale z pewnością to nie było coś, co spodziewałam się zobaczyć wymierzone w moją stronę.

Uniosłam odrobinę brodę i wyzywająco spojrzałam mu w oczy. Może to nie był najlepszy ruch, kiedy stałam przed wilkiem na krawędzi szaleństwa, ale również nie mogłam się wycofać. Gdyby poczuł, albo zobaczył, jakikolwiek rodzaj słabości w swoim obecnym stanie, mógłby po prostu zaatakować.

- Nie jestem całkiem pewna, w jaki sposób Liander jest w to wplątany, ale Aron Young- ten bhuta, o którym mówimy - wydaje się tropić i zabijać każdego, kto był w tej samej dziesiątej klasie, co on.

- A Liander był?

- Tak. Mówiłam mu, żeby uważał na siebie, Rhoan, ale tak naprawdę nie myślałam, że znajdzie się w niebezpieczeństwie...

Nie powiedziałam niczego więcej i nawet nie zauważyłam ciosu. W jednej chwili stałam, w drugiej leciałam przez pokój. Uderzam w ścianę z taką siłą, że zrobiłam w niej dziurę, a potem ześlizgnęłam się na podłogę.

Poczułam jego ruch: gwałtowna siła szła prosto na mnie. Walcząc z gwiazdami i koniecznością podniesienia się, rzuciłam się w bok, chwytając nogę roztrzaskanego krzesła, leżącą obok mnie, i rzucając ją z całej siły.

Drewno uderzyło go tuż pod lewym kolanem. Usłyszałam głośne pęknięcie, kiedy noga krzesła się złamała, ale siła uderzenia strąciła go z nóg i upadł na plecy. Złapałam następną nogę, a potem podniosłam się na własne, wciągając z powrotem krew, która zaczęła kapać mi z nosa, i skoczyłam mu na brzuch, przyciskając jego ramiona moimi kolanami i wpychając nogę krzesła pod jego brodę.

- Suka – wymamrotał, jego oczy wciąż były szkliste i wściekłe, a ciało rzucało się jak mustang.

- Dosyć! – krzyknęłam i przycisnęłam nogę krzesła trochę mocniej do jego szyi. Oddychał chrapliwie, walcząc o oddech, ale nie zwolniłam nacisku. Nie mogłam, skoro był w takim stanie umysłu. On nawet *mnie* nie widział. Nie widział niczego i nikogo oprócz Liandera, gdzieś tam leżącego i krwawiącego.

- Rhoan, *spójrz* na mnie. To jest głupie - musimy znaleźć Liandera, a nie walczyć.

Wciąż nie słuchał, zbyt skupiony na żalu, którym się owinął. Wciąż walczył, zmuszając mnie do mocniejszego przytrzymania go nogami, żeby na nim zostać.

Krew skapywała z mojego nosa, rozpryskując się na jego twarzy i ustach. Oblizła je automatycznie i nagle jego ruchy się uspokoiły.

- Krwawisz – powiedział, a chłód zaczął znikać z jego oczu.

- Cholera, zastanawiam się dlaczego? – Otarłam nos ramieniem. – Zamierzasz jeszcze raz mnie uderzyć? Czy wreszcie skończysz ze swoim napadem złości i będziesz gotowy zrobić coś pożytecznego?

- Nie chciałem... – urwał. Obydwoje wiedzieliśmy, że chciał. – Przykro mi.

- Do cholery powinno ci być. – Odrzuciłam nogę krzesła i wstałam. – Powinieneś chyba zmienić kształt. Myślę, że uszkodziłam ci nogę.

- Tak – odparł, krzywiąc się, gdy próbował nią poruszyć. Zmienił kształt, leżąc przez kilka sekund w postaci wilka, a potem powrócił do ludzkiej postaci. Podniósł się na nogi i skrzywił. – Lepiej, ale nie świetnie.

Nie potrafiłam mu współczuć. Mogłam zrozumieć, dlaczego zaatakował, ale to nie znaczy, że dostanie ode mnie jakiegokolwiek współczucie. Zwłaszcza, kiedy bolała mnie szczęka, a nos pulsował.

- Na początek najważniejsze – powiedziałam. – Musimy znaleźć stare szkolne zdjęcie Liandera, które miał mi dać, i sprawdzić na nim wszystkie nazwiska. Musimy wiedzieć, czy porwał tylko Liandera, czy wziął ich wszystkich.

- Ono jest na dole na stoliku. – Okręcił się i skierował do schodów. Gniew wciąż w nim musował, mocny i silny, ale przynajmniej w tej chwili był skierowany gdzie indziej. – Pokazał mi je zanim zaczęliśmy się kłócić.

Poszłam za nim na dół.

- O co, do diabła, posprzeczałeś się z nim tym razem?

- Chciał się do nas wprowadzić.

- I co?

Spojrzał przez ramię.

- Wiedziałaś?

- Najpierw zapytał mnie o zgodę. – Uniosłam rękę do mojej szczęki, masując ją lekko. Bolało, kiedy mówiłam, ale nie czułam, żeby coś było złamane. Może wyprowadził swój cios w ostatniej chwili. – Tylko nie mów mi, że o to się pokłóciliście.

- Nie wiem, czy jestem na to już gotowy.

- Nigdy nie będziesz gotowy na to, czego on chce, Rhoan. – Zawahałam się, a potem dodałam surowo. – A teraz równie dobrze możesz przestać się o to martwić.

Zatrzymał się i odwrócił się gwałtownie.

- To było nie fer...

- Nie, to co mu robisz jest nie fer. On jest twoim partnerem duszy, Rhoan. Cholera, dlaczego właśnie tak nie zaczniesz go traktować?

- Z powodu tego! Z powodu takich rzeczy!

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem.

- Co jego porwanie ma wspólnego z waszym związkiem?

- Z tym, co może mu się przydarzyć. Jestem strażnikiem...

- To jest pieprzona wymówka Rhoan i dobrze to wiesz.

- Jak możesz tak mówić, skoro sama straciłaś Kellena z tego samego powodu?

- Kellen odszedł, ponieważ nie chciał siedzieć w domu i zastanawiać się każdej nocy, czy to będzie ta noc, kiedy nie wrócę do domu. Liander zaakceptował tę możliwość i chce z tym żyć.

- Ale ja nie. Jeśli się z nim związę, jeśli zrobimy ceremonię przy księżycu, a potem coś mi się stanie, on umrze. A ja tego nie chcę. Nie mógłbym z tym żyć.

- Śmierć nie zawsze jest końcowym wynikiem więzi księżycy. – Chociaż nie miałam na to dowodów. Ben mógł przetrwać śmierć swojej parterki, ale oni nie przysięgli sobie miłości przy księżycu. Może tu była różnica.

- Nie obchodzi mnie to. – Obrócił się i zbiegł po schodach. – Nie chcę ryzykować pełnego związania.

- Ale on nie prosi cię o ryzykowanie, Rhoan. On prosi cię o możliwość wprowadzenia się do nas i stania się częścią naszej rodziny. Czy naprawdę to tak wiele?

- To jest ryzyko...

- Życie samo w sobie jest przeklętym ryzykiem! Co potwierdza porwanie Liandera przez seryjnego mordercę.

Wymamrotał coś pod nosem. Wyłapałam słowa *suka* i *śmieszne*, więc się uśmiechnęłam.

- Ta suka będzie ci kopać dupę tak długo, dopóki nie zaczniesz postępować rozsądnie w sprawach, które dotyczą Liandera.

Prychnął i przeszedł wielkimi krokami przez salon, by pochwycić stare zdjęcie i wyciągnąć je w moim kierunku.

- Proszę.

Wzięłam od niego zdjęcie i obejrzałam.

- Gdzie jest telefon? Moja komórka została w samochodzie.

Wskazał na lewo, a potem skrzyżował ramiona, rozdymając nozdrza.

- Dlaczego jest tutaj Quinn?

- Ponieważ dostałam od ciebie emocjonalny cios, a to wstrząsnęło mną tak bardzo, że nie mogłam prowadzić. – Podniosłam słuchawkę i wybrałam numer Jacka.

- Przypuszczam, że powinienem być wdzięczny, że nie mógł przestąpić progu, bo inaczej moja dupa byłaby już historią.

- Masz absolutną rację – zauważył spokojnie Quinn od drzwi. – Jesteś za stary, żeby zachowywać się jak niezdolny dzieciak.

- Chryste, najpierw opierdala mnie siostra, a potem jej kochanek. – Zamilkł. – Jak to się stało, że wy dwoje, znowu jesteście razem? Kiedy to się stało?

- Nie jesteśmy razem, tak jakby – powiedział Quinn. – Jeszcze nie, w każdym razie.

Rhoan uniósł brew, kiedy spojrzał na mnie.

- Śmieszne, ponieważ masz na sobie jego zapach, co wskazuje, że byliście razem.

- Uprawianie seksu nie oznacza, że jest się razem. To po prostu znaczy, że byliśmy napaleni – odparłam, a gdy Jack odebrał telefon, powiedziałam. – Szefie, mamy problem.

- Sal mi powiedziała. Z tobą i Rhoanem wszystko w porządku?

- Tak, jakoś przeżyliśmy to spotkanie. Rhoan teraz myśli trochę bardziej trzeźwo.

Zerknęłam na Rhoana, gdy to powiedziałam. Skrzywił się i przesunął ręką po włosach. Jego ciało wciąż było naprężone od napięcia, a zapach jego gniewu i frustracji wypełniał powietrze. Kontrolował się, ale ledwo.

- Co z Lianderem?

- Zaginął. Myślę, że Aron Young może go mieć.

- Dlaczego? Jakie jest jego powiązanie z tymi innymi ludźmi, których Young zamordował?

- Z tego, co widzę, jedynym związkiem pomiędzy którymkolwiek z nich jest fakt, że oni wszyscy chodzili do tej samej dziesiątej klasy, co Young. To niewiele.

- Dla pokręconych umysłów, często nie musi być. Czego potrzebujesz?

- Potrzebuję tropu furgonetki i następujących nazwisk. Liander jeszcze nie umarł, więc został złapany, a nie zabity na miejscu. Young wie, że depczemy mu po piętach, więc może zbierze całą resztę. Może planuje jedną wielką morderczą imprezkę.

- To możliwe. Podaj mi szczegóły.

Odczytałam nazwiska, a potem dodałam numer rejestracyjny, który napisał mi bramkarz.

- Myślę o tym, żeby pojechać do Vinny. Posmakowała go i jestem pewna, że wie więcej niż nam mówi. Myślę, że już najwyższy czas, żeby za to zapłaciła.

- Tylko uważaj – ostrzegł. – Emo nie trzeba dotykać, żeby wyssały z ciebie uczucia. Ona i jej grupa mogą osuszać z daleka, jeśli będą tak chcieli.

- Nie będzie chciała tego próbować na Rhoanie w tej chwili. Możesz mi wierzyć.

- Wyobrażam sobie. – Jego głos był suchy. – Na pewno oboje wyszłicie z tego bez szwanku?

- Możemy chodzić, możemy mówić i na pewno możemy wymienić jeden lub dwa ciosy. Wszystko w porządku.

- To dobrze. Skontaktuję się z tobą, jak tylko zdobędziemy jakieś informacje.

- Dzięki, szefie. – Rozłączyłam się.

- Więc kim jest ta Vinny? – zapytał Rhoan.

- Wampirem emo, który rozbił swój obóz w jednym z tych opuszczonych budynków komunalnych. Wspominałam już o niej wcześniej, nie pamiętasz?

- Nie. – Zmarszczył brwi. – Kiedy?

- Po premierze, gdy ty i Liander przyszliście do domu urzędnici.

Ciemność przebiegła przez jego twarz, a potem wziął głęboki, drżący oddech.

- A tak. Przypominam sobie. Chodźmy, zatem, zobaczyć się z Vinny, bo nie będzie następnej szansy.

Przytuliłam go, a jego ramiona owinięły się wokół mojego pasa, przytrzymując mnie na krótko. Mogłam na nim poczuć strach, poczuć ból. Czulałam drzenie jego kończyn, co było mieszanką gniewu i potrzeby by zaatakować, sprawić ból tym, którzy byli za to odpowiedzialni.

Vinny niech lepiej niczego nie próbuje na moim bracie.

Odsunęłam się.

- Quinn powinien prowadzić, bo możesz jeszcze dostać jakieś odczucia od Liandera.

Kiwnął głową i przeczesał jeszcze raz swoje włosy.

- Nic nie czuję w tej chwili.

- Nic mu nie jest, Rhoan. Wiedziałbyś, gdyby było inaczej. – Obróciłam się i ruszyłam do drzwi, żeby nie mógł zobaczyć niepokoju w moich oczach. Nie odczuwanie tego, co dzieje się z Lianderem, nie było dobrym znakiem.

To znaczyło, że stawał się coraz słabszy, a połączenie między nimi przygasało.

Nie mógł umrzeć. *Boże, losie, czy czymkolwiek tam jeszcze jesteś, ty, co patrzysz z góry – proszę nie pozwól mu umrzeć.*

Quinn nie stał już przy drzwiach. Poszłam ulicą, podążając za jego zapachem, i słysząc, jak zapuszcza silnik. Samochodu Rhoana, nie Quinna. W samochodzie brata było więcej miejsca.

Quinn nawrócił, a potem zatrzymał się, by nas wpuścić.

- Gdzie? – zapytał, patrząc na mnie, gdy wsiadłam z przodu. Jego oczy paliły się gniewem i niepokojem, i odrobiną głodu. Chociaż pożywił się na mnie wcześniej, to jednak miałam na sobie zapach krwi, a to pobudziło jego wampirze zmysły do życia.

Podałam mu adres, a potem wciągnęłam, wciąż kapiącą mi z nosa, krew.

- Przepraszam – powiedziałam, gdy już mogłam.

Wzruszył ramionami i wrzucił bieg samochodu, ruszając tak ostro, że zapiszczały opony.

- Jestem na tyle stary, że umiem kontrolować mój głód, Riley. I wcale nie ma aż tyle krwi. – Spojrzał w tylne lusterko. – Chociaż nie było ku temu powodu.

- Spróbuj stracić kogoś, kogo kochasz, i wtedy zobaczymy, jak zareagujesz – odciął się Rhoan.

- Straciłem. I ludzie umierali z tego powodu. Chodzi mi jednak o to, że Liander wciąż żyje, a ty nie powinienes zachowywać się tak, jakby umarł.

- Do jasnej cholery, musiałaś go tu przyprowadzić?

Przy całej irytacji słyszanej w głosie Rhoana, łagodna krytyka Quinna wydawała się wywołać jakiś efekt. Zapach strachu trochę się zmniejszył, a do głosu doszły gniew i determinacja. Przy odrobinie szczęścia, to dostarczy mu energii na to, co przyniosą najbliższe godziny.

Przy odrobinie szczęścia, te godziny nie przyniosą śmierci. Przynajmniej nie śmierci Liandera.

Pędziliśmy przez ciemne ulice na złamanie karku, a dzięki bystremu refleksowi Quinna przedostawaliśmy się przez czerwone światła i jako taki ruch uliczny z niezwykłą łatwością.

Wreszcie ukazały się rozwalające się stare bloki mieszkań komunalnych. Punkty światła błyskały to tu i tam, ale większość budynków była ciemna. Moje spojrzenie powędrowało na ostatnie piętro. Żadne światła się tam nie świeciły. Ale przecież, pokój Vinny był spowity w ciężki aksamit, więc było mało prawdopodobne, by przez nie widoczne było światło.

Quinn podjechał do ścieżki, prowadzącej prosto do głównych drzwi. Gdy zatrzymał samochód, natychmiast z niego wysiedliśmy. Zapach wampirów zakreślił się w powietrzu, mocny i mierznący.

- Dużo ich tam jest – zauważył Quinn, wstręt pojawił się na jego twarzy, a jego spojrzenie omiotło budynek.

- Co najmniej czterdzieści – potwierdziłam.

- Jak, do diabła, jeden wampir może kontrolować czterdziestu nowonarodzonych? – zapytał Rhoan z niedowierzaniem.

- Ona nie jest wampem krwi. – Przecisnęłam się przez rozwalone frontowe drzwi. Rozległy się nasze kroki i małe smak strachu dotknął powietrza. Zerknęłam na Quinna, zanim zaczęłam się wspinać. – Dlaczego się wycofują? Nie byli tacy, kiedy byłam tu ostatnim razem.

Jego uśmiech był zdecydowanie ponury.

- Kiedy ostatnio tu byłaś, nie towarzyszył ci jeden z najstarszych.

- Mogą powiedzieć, czym jesteś?

- Nie. To ja pozwałam im dowiedzieć się, czym jestem. Zaufaj mi, w gnieździe emo zawsze lepiej wysłać ostrzeżenie, jakie będą miały kłopoty, zanim zaczną próbować jakiś sztuczek.

Rhoan zmarszczył brwi.

- Jakie sztuczki mogą zastosować emo, a które różnią się od tych stosowanych przez wampiry krwi?

Quinn rzucił na niego okiem.

- One żywią się emocjami. Dlatego z korzyścią dla nich jest to, kiedy podniosą je w górę, tak bardzo jak to tylko możliwe.

- Ach. – Rhoan rozważał to przez chwilę, a potem powiedział. – Więc mój gniew i strach o Liandera będzie tym, czym prawdopodobnie będzie się bawić?

- Najprawdopodobniej. Jeśli nie będzie zważać na ostrzeżenie.

Spojrzałam z powrotem na niego.

- Czy to ostrzeżenie wysłałeś telepatycznie?

Kiwnął głową.

- I emocjonalnie. Jestem empatą, zapomniałaś.

Był również czymś całkowicie innym – czymś, co nie było tylko wampirem. Chociaż jego matka była człowiekiem, to ojciec pochodził z rasy znanej, jako kapłani Aedh – istot, które były raczej energią niż ciałem, i które były postrzegane przez ludzi, jako wysokie, złote i skrzydlate istoty. Byli, tak naprawdę, rasą, która najwyraźniej miała swoje korzenie w legendach o aniołach. Nie wiedziałam o tym zbyt wiele, ale odniosłam wrażenie, że swoje umiejętności odziedziczył po ojcu.

Poza tym, Vinny nie wydawała się być typem, który boi się obecności jednego ze starszych – ale starszego, który był czymś, co już nie istniało w niczym poza mitem? Tak, to powinno wstrząsnąć jej zbyt pewnym siebie małym światem.

Doszliśmy na ostatnie piętro. Teraz inna dziewczyna pilnowała drzwi i, tak jak poprzednia, była ubrana zwyczajnie i, podobnie jak tamta, miała podejrzaną wybrzuszenie na prawym biodrze. Ale, w stosunku do poprzedniej strażniczki, ta dziewczyna wyglądała na zmartwioną.

- Chcemy zobaczyć się z Vinny – oznajmiłam, zatrzymując się przed nią mniej niż metr. Pachniała pomarańczą, ale pod nią wyczułam strach.

Nie przede mną, nie przed Rhoanem. Ale przed Quinnem.

Oblizwała wargi i powiedziała.

- Vinny jest raczej zajęta...

- Jeśli Vinny nie chce mieć wyważonych drzwi, to lepiej je otwórz – stwierdziłam.

Jej wzrok zgasł na chwilę, a potem odparła głosem o kilka oktaw niższym, niż jeszcze sekundę temu.

- Ale starszy zostaje na zewnątrz.

- Starszy rozwali to miejsce, jeśli nie otworzysz tych drzwi, Vincenta. – Chociaż głos Quinna wciąż był zdecydowanie łagodny, to jednak stalowy ton, ukryty pod nim, był ostrzeżeniem dla tego, kto miał choć trochę rozumu.

A Vinny miała rozum.

Strażniczka cofnęła się i otworzyła drzwi. Quinn wyciągnął rękę i powiedział.

- Oddaj mi broń.

Nuta rozkazu rozbrzmiała w jego głosie i dziewczyna posłuchała bez szemrania. Quinn włożył broń do kieszeni, a potem wskazał nam gestem ręki, żebyśmy weszli.

Rhoan pierwszy przeszedł przez drzwi. Ja podążyłam za nim, spojrzeniem omiatając aksamitny przepych zanim zatrzymałam go na przytulnym, małym kąciku Vinny w drugim końcu pokoju. Podobnie jak przedtem, towarzyszyło jej kilku nastolatków w togach, ale tym razem, ich napięcie było czymś, co mogłam poczuć. Nie było żadnych pieszczot, omdlewających oczu ani tajemniczych, małych uśmiechów.

Ile broni mieli ukrytej pod swoimi strojami? Więcej niż kilka, jak podejrzewałam.

- Nie podoba mi się nachodzenie mojego domu w ten sposób – oznajmiła Vinny, a jej głos był tak zimny, jak wyraz jej twarzy. Jej wzrok ledwie dotknął mnie, czy Rhoana, bo bardziej skupił się na mężczyźnie, który wszedł za mną. – To jest sprzeczne ze zwyczajami wampirów, jak dobrze wiesz, starszy.

- Zwyczaje wampirów dostosowują się do okoliczności – odparł Quinn suchym głosem. – To fakt, którego powinnaś się już nauczyć, jeśli żyjesz wystarczająco długo. A co, w chwili obecnej, jest bardzo dyskusyjne.

Powietrze napełniło się nagłym szeptem i gniewem wielu innych umysłów, które wydawało się uderzać w moje zmysły.

- To jest groźba, wampirze? – Jej głos był cichy. Śmiertelnie.

Quinn jedynie się uśmiechnęła.

- Po prostu fakt, Vincento. To nie ja, jednak, jestem tym, którego powinnaś się bać w naszym małym trio. Chociaż możesz, jeśli chcesz.

Jej spojrzenie przesunęło się na Rhoana i na mnie, pozornie tylko opuszczając Quinna.

- Dlaczego przyszłaś tu bez zaproszenia, wilku? Złapałaś już tego łajdaka, który zamordował Ivana?

- Nie, ale go złapiemy. Ponieważ powiesz nam wszystko, co o nim wiesz.

Uśmiechnęła się i odchyliła się do tyłu na swojej sofie.

- Znasz cenę informacji.

Nie miałam okazji odpowiedzieć. Rhoan po prostu zrobił krok do przodu, zawinął rękę wokół jej bladej szyi, a potem szarpnięciem podniósł ją z sofy w powietrze.

Wampiry w togach, stojące za meblem, wkroczyły do akcji – kilka przeskoczyło przez skórzaną kanapkę na Rhoana, inni błyskawicznie wyciągnęli broń.

Nie ruszyłam się. Nie musiałam.

Rhoan, jakby mimochodem, odepchnął dwa, które go zaatakowały, a potem zakołysał zwisającą Vinny w ich kierunku.

- Jak ktoś strzeli, ona umrze. Ktoś się poruszy, to ona też umrze.

- Nie możesz... – głos Vinny głos zachrypnięty i, chociaż wampiry tak naprawdę nie musiały oddychać, jej twarz nabrała interesujący odcień czerwieni.

- Oh, mogę – odparł Rhoan z lodowatym spokojem. Głosem zabójcy, nie mojego brata. – My strażnicy mamy władzę do zabijania szkodników bez pytania. Tylko jest pytanie, na które musisz sobie odpowiedzieć, czy jesteś szkodnikiem, czy też nie.

- Nie mogę... – urwała, z trudem łapiąc powietrze, jak ryba wyciągnięta z wody.

Zerknęłam na Quinna i otworzyłam połączenie między nami.

Czy ona udaje?

Jego rozbawienie przetoczyło się przez moje paranormalne linie.

Do diabła, tak. Mogłaby wygrać Oscara za swój występ.

Jeden z nastolatków w todze przesunął się nieznacznie. Energia prześlizgnęła się po naszym połączeniu, znikome echo mocy, którą Quinn cisnął przez pokój w dzieciaka, które się poruszyło.

- Przestań – powiedział z tym stalowym poleceniem. Dzieciak zamarł, a jego oczy się rozszerzyły. Były tak szerokie jak oczy jego pani.

- I rzuć tę broń – dodał Quinn. – Wszyscy rzućcie broń.

Broń zabrzęczała o podłogę. Każdy dzieciak miał co najmniej dwie.

- Kopnijcie je pod kanapę, poza wasz zasięg.

Zrobili tak. Spojrzałam na Vinny. Po raz pierwszy, zobaczyłam strach w jej oczach.

- Gotowa do pomocy, a nie przeszkadzania? – zapytał Rhoan łagodnie.

Kiwnęła głową. Rhoan opuścił ją na podłogę i poluznił trochę swój uścisk na jej szyi.

- A teraz, bądź uprzejma i odpowiedz na pytania Riley.

Vinny oblizwała swoje wargi, a potem zapytała.

- Co chcesz wiedzieć?

- Dlaczego Aron Young porywa i morduje tych, którzy byli razem z nim w dziesiątej klasie?

- Jak mówiłam ci już wcześniej, on szuka zemsty za swoją śmierć.

- A dlaczego dopiero teraz? Dlaczego nie w lata zaraz po swojej śmierci?

- Ponieważ wcześniej nie był w stanie wyjść.

A więc był więziony przez swoich rodziców.

- Jak zdołał wyjść?

- Jego matka... była chora. Na serce, czy coś takiego. Wypuściła go.

A potem umarła, a on ją pochował zamiast pozwolić jej zgnić tam, gdzie leżała. No cóż, nawet diabelski bhuta ma jakąś słabość.

- Powiedz mi, gdzie on jest.

- Podałam ci adres...

- Jeden adres – wtrąciłam ostro. – Wampiry, z zamiarami ohydnych czynów, zawsze mają więcej niż jedną dziuplę.

Nauczyłam się tego na własnej skórze.

Rozbawienie przemknęło na krótko przez jej oczy.

- To prawda. Jednak, nie mogę podać ci tej informacji, ponieważ jej nie mam.

Cholera. A miałam nadzieję, że Vinny da nam łatwe odpowiedzi, ale cholera powinnam to wiedzieć lepiej. Los nigdy nie był tym, który dawał mi szybkie wyjścia.

- Czy jest jeszcze coś, co możesz mi o nim powiedzieć? Coś, co może pomóc nam go znaleźć?

Obserwowała mnie przez chwilę, a potem dodała.

- Spróbujcie w jego domu. Czulałam smak wspomnień tego domu w jego myślach.

- Mamy ludzi w jego domu. Jego tam nie ma.

- W którym domu? Nie mówię o domu po jego śmierci, ale raczej o domu, gdzie mieszkał. O miejscu, gdzie to wszystko się zaczęło.

Beechworth. Ale jak udało mu się zgromadzić tam tak wiele osób, nie mówiąc o tym, jak sam mógłby nad nimi zapanować? Beechworth był dobre trzy godziny jazdy do Melbourne. Na zdjęciu szkolnym było osiemnastu nastolatków, co oznaczało, że wciąż było piętnastu na czarnej liście Arona. To było całe mnóstwo ludzi do wytropienia. Całe mnóstwo ludzi do opanowania.

A potem przypomniałam sobie numer rejestracyjny, który dostałam od Rona Cowdena. Young miał furgonetkę, która na pewno mogła przewieźć pewną liczbę osób.

- Puść ją, Rhoan.

Spojrzał na mnie.

- Mamy wszystko, czego potrzebujemy?

- Tak myślę.

Puścił ją i się cofnął. Vinny ukryła się bezpiecznie za swoją sofą, ale jej ubrani w togi nowonarodzeni nie zabrali się do jej pocieszania, czy pieszczona. Quinn wciąż trzymał ich nieruchomo.

Przerażającą rzeczą było to, że wydawał się nie używać zbyt wiele wysiłku.

- Nie jesteś już tu mile widziana – powiedziała Vinny, ogarniając nas spojrzeniem swoich ciemnych oczu, w których widniał gniew. – Proszę wyjdźcie.

Obróciłam się i podążyłam za Rhoanem i Quinnem do drzwi. Ale kiedy się do nich zbliżyłam, Vinny dodała.

- Mogłam być potężnym sojusznikiem, Riley. Szkoda, że wybrałaś inną ścieżkę.

Odwróciłam się przodem do niej.

- Piłam wino ze starszymi i z bogami ciemności. Młody wampir emo jest na samym końcu drabiny rzeczy, których się boję.

Uśmiechnęła się tym swoim zimnym uśmiechem.

- Dobrze wiedzieć, że nawet strażnicy błędnie oceniają sytuację.

- Oh, błędnie oceniam mnóstwo spraw, ale jest jedna sprawa, o której zawsze powinnaś pamiętać. – Napotkałam moim spojrzeniem jej zimny wzrok i zobaczyłam, jak coś zamigotało w jej brązowych głębiach. Tylko, co to było, nie umiałam powiedzieć, ale to nie był strach. Zapach tego nie był jedynym, który mogłam wyczuć w całym tym zamieszaniu, nawet jeśli to było w jej oczach. Co kazało mi się także zastanowić, czy to nie było nic więcej niż tylko gra. – Zawsze zdejmuję moich wrogów, Vinny. Więc powinnaś się zastanowić, czy naprawdę chcesz być jednym z nich.

I z tym słowami, obróciłam się i wyszłam przez drzwi.

Tłumaczenie: panda68

Rozdział 10

- To była groźba, z której nawet Jack byłby dumny – zauważył Rhoan, kiedy wsiedliśmy z powrotem do jego samochodu. – Wygląda na to, że zrobił z ciebie dobrego strażnika.

- Ugryź się, bracie. – Nawet nie chciałam rozważać, czy faktycznie musiałabym potwierdzić moje słowa, gdyby Vinny zdecydowała się sprawić nam wszystkim kłopoty.

- Gdzie teraz jedziemy? – zapytał Quinn, kiedy uruchomił samochód i ruszył.

- Beechworth, najwyraźniej – odparł Rhoan, a potem zerknął na mnie. – Jeśli wierzysz, że to, co powiedziała to prawda.

- Wierzę. Chcesz zadzwonić do Jacka i dowiedzieć się, czy może dla nas zdobyć adres? I zapytaj, czy miał szczęście z tymi nazwiskami ze zdjęcia Liandera. Ja zadzwonię do Sal i zobaczę, czy może umówić mnie z facetem, który był tam wtedy gliną.

- Wiesz co, – powiedział Quinn swobodnym tonem, – jak na kobietę, która nie chciała być strażnikiem, to tak naprawdę wykonujesz całe mnóstwo roboty strażnika.

- Ty też możesz mnie ugryźć, wampirze.

- Oh, zrobię to, i będzie smakować bosko.

Uśmiech szarpnął moimi wargami.

- Jak możesz skoncentrować się na prowadzeniu, coś zobaczyć, skoro jedziesz tak szybko?

- Ach, jestem już stary, a z wiekiem przychodzi wszechstronność. W tej chwili mogę robić dwie rzeczy na raz. Co, jak przypuszczam, zademonstrowałem już wcześniej dzisiejszego wieczora. – Uniósł brew, gdy na mnie spojrział. – Podobało ci się, prawda?

Uśmiechnęłam się.

- Seks? Wampirze ugryzienie? *Tak* dla obu.

- Wiesz, co mam na myśli.

Westchnęłam.

- Tak. Nadal są granice, których nie przekroczę, ale nie mogę nie wykonywać tej roboty. Dreszcz pościgu jest silnie uzależniający, jak się obawiam.

- O, tak – odparł miękko Quinn. – Może być bardzo uzależniający.

Dziwna nuta w jego śpiewnym głosie zwróciła moją uwagę.

- Byłeś gliną w przeszłości?

- Byłem cazador'em.

Uniosłam brew.

- A co to jest?

- Cazador to wampir-egzekutor. Nadzorowali świat wampirów dla Starszych na długo wcześniej niż zrodził się pomysł powstania Departamentu.

- Słyszałem o nich różne opowieści – wtrącił się Rhoan z telefonem przy uchu. – Z tego, co zrozumiałem, nie wszyscy z nich stali po stronie aniołów.

- Niestety, to prawda. – Quinn lekko wzruszył ramionami. – Bardzo trudno jest nie stać się uzależnionym do zabijania, a nie polowania, jeśli robisz to od dłuższego czasu. Zwłaszcza, jeśli jesteś wampirem. Dlatego cazador'zy służyli przez nie więcej niż kilka dekad. Ryzyko uzależnienia było w ten sposób dużo mniejsze.

Więc wciąż ich mieli? I czy to znaczyło, że byli gdzieś tam gorsi psychole niż ci, którymi zajmował się Departament? To była przerażająca myśl.

- Nawet, jeśli wykonywali swoją robotę przez kilka dekad, to czy łaknienie zabijania nadal nie jest problemem?

- Wampiry uczą się, już od samego początku po swoim narodzeniu, jak okiełznać swoje najbardziej ciemne pragnienia. To ogólnie wymaga dużo czasu - rozlewu krwi - by przejść ten trening.

Patrzyłam na niego przez dłuższą chwilę, dostrzegając ciemność pod jego pogodnym wyrazem twarzy. Widząc smutek. Kiedyś pragnęłabym dowiedzieć się, co czuje, ale nie teraz. Może dorosłam. A może po prostu bardziej potrafiłam

zaakceptować dary i intuicję, które miałam. Poza tym, nawet gdyby teraz zatrzymali mnie w tej pracy, to również pomogliby mi przeżyć.

- Kogo zabiłeś?

Nie spotkaliśmy się wzrokiem.

- Kogoś, kto nie zasłużył na to, żeby umrzeć. – Zawahał się, a potem dodał miękko. – Kogoś, kogo kochałem.

- W takim razie nie było na nią zlecenia?

- Nie. Ale była dobrą przyjaciółką z kimś, kogo dom został zaplanowany do wyczyszczenia. – Zerknął na mnie, a posępny błysk w jego oczach nie pozostawił mi wątpliwości, że czyszczenie było całkowite - każdy mężczyzna, kobieta, i dziecko. – Była u nich w domu, gdy poszedłem tam wykonać zlecenie. Nawet jej nie zauważyłem - nawet nie zdawałem sobie sprawy, co zrobiłem, dopóki nie było po wszystkim.

- I wtedy zrezygnowałeś z życia, jak cazador?

Kiwnął głową.

- Kiedy wyszedłem z szaleństwa zabijania, i stałem tam, pokryty jej krwią, z jej rozerwanym ciałem u moich stóp. – W jego ciemnym spojrzeniu zobaczyłam echa bólu, który wciąż się nie uleczył, chociaż podejrzewałam, że to wszystko zdarzyło się bardzo dawno temu. – Wtedy przysiągłem sobie już nigdy więcej nie zabijać na czyjś rozkaz. To jest przyrzeczenie, którego dotrzymałem do dzisiaj.

Ale które nie mówiło, że nie będzie zabijał. Widziałam, jak to robił nie jeden raz, ale też nie wątpiłam, nawet po tym wydarzeniu, że jego przeszłość usłana była ciałami. Był przecież bardzo stary wampirem, a żaden z nich nie był święty.

Nawet ten, który pochodził od aniołów.

- Jak długo byłeś cazador'em?

- Dwieście lat. – Gorzki uśmiech wygiął jego wargi. – I byłem w tym bardzo dobry.

- Po dwustu latach, nie można oczekiwać niczego więcej niż biegłości. – Zawahałam się, a potem zapytałam. – Więc jak dawno to się zdarzyło?

- Miałem ukończone trochę ponad trzysta lat, gdy zacząłem.

A więc zrezygnował siedemset lat temu.

- Trzysta lat to przyzwoity wiek dla wampira, żeby w to wejść, prawda?

- To nie zawsze byli ci starsi, ale tak, przeszłość była krwawym miejscem do przeżycia. – Skrzywił się nieznacznie. – Ludzkość nie była tak liczna, jak dziś, ale za to miała o wiele więcej przesądów i tradycję zabijania tego, czego nie rozumiała.

- Ale dlaczego to nie starsi byli cazador'ami? Można by pomyśleć, że im starszy wampir, tym będzie lepszym cazador'em.

- To prawda. Ale także, im jesteś starszy, tym wyżej cenisz sobie przeżyte lata i swoje życie. – Jego uśmiech odzyskał trochę ciepła, a rozbawienie zmarszczyło kąciki oczu. – Chcąc powtórzyć po tych wszystkich hollywoodzkich i literackich mitach, że stare wampiry oplakują to, czym są, albo żałują swojego długiego istnienia, to niestety ma to bardzo mało wspólnego z rzeczywistością.

- A jednak musi być taki ktoś, kto ich zabije, ponieważ w większości mitów znajduje się ziarno prawdy. – Nawet najgorsze mity o wilkołakach miały w sobie ziarno prawdy. Poza tym, sam kiedyś powiedział, że jakiś jego stary przyjaciel wyszedł na słońce, ponieważ jego romans źle się skończył.

Oczywiście, to okazało się być niczym więcej niż artykułem z pierwszej strony gazet, rozpowszechnionym przez wariata, który chciał stworzyć armię klonów, ale dlaczego miałby w to uwierzyć, skoro tak naprawdę to nigdy się nie zdarzyło?

- Rzeczywiście to się zdarza, ale rzadko. – Spojrzał na mnie, a ciepło w jego oczach jeszcze bardziej urosło. – I zanim zapytasz, nie, nigdy nie kochałem nikogo aż tak bardzo. A nawet gdybym, wątpię, żebym rozważał taką rzecz.

- Ponieważ nigdy nie dasz siebie całego jednej osobie?

- Ponieważ zbyt mocno kocham życie. – Posłał mi rozbawione spojrzenie. – I wybacz, ale nie jesteś odpowiednią osobą, żeby mówić o dawaniu siebie całej innej osobie.

- Hej, próbowałam. To nie moja wina, że się nie udało. – Nie moja wina, że stawiałam żądania, które były przez mnie niemożliwe do wykonania - nawet gdybym mogła to zrobić. – Poza tym, dotrzymam zobowiązania, kiedy w końcu mój partner duszy zdecyduje się pokazać. Do tego czasu, będę musiała dawać sobie jakoś radę sama.

- No dobra – odezwał się Rhoan z tylnego siedzenia. – Starczy tych pogaduszek. Jack mówi, że osiem z tych piętnastu nazwisko zaginęło w ciągu ostatnich sześciu godzin. Byli świadkowie dwóch porwań i obaj podali opis pasujący do Arona Younga.

Jeden z nich podał także opis pojazdu - białej furgonetki, której numery pasują do tych, o które prosiłaś Jacka, by je odnalazł. Jack obecnie próbuje wytropić go przez satelitę.

Obróciłam się, żeby spojrzeć na niego.

- Więc ta ósemka została porwana, nie zabita?

- Tak. – Nadzieja zaświtała jaśniej w jego oczach. – I mamy adres domu, w którym mieszkał w Beechworth. Najwyraźniej, jest tuż za miastem.

- Żadnych oznak obecności właścicieli, czy kogokolwiek, kto go zajmował? – zapytał Quinn.

- Najwyraźniej obecni właściciele nie mają nic wspólnego z Youngiem. Spróbował dzwonić na wymieniony numer, ale nikt nie odbiera.

- Young jeszcze tam nie dojechał. – Przecież, porwał Liandera nie mniej niż godzinę temu. – Poza tym, nie mamy pewności, że to tam właśnie jedzie.

- Lepiej miejmy nadzieję, że tak, inaczej Liander będzie martwym facetem.

- Nie skreślajcie go jeszcze – powiedział Quinn łagodnie. – To twarda sztuka i ma coś, o co warto walczyć. Ciebie.

Rhoan parsknął miękkim, szyderczym śmiechem.

- Może zdecydować inaczej, po moim głupim zachowaniu dzisiejszego wieczora.

- No cóż, przy odrobinie szczęścia, będziesz miał okazję to naprawić. – Posłałam mu ponure spojrzenie i dodałam. – I lepiej, żebyś tak zrobił.

Jego uśmiech był blady, ale niemniej był.

- Jak mówi stary komunał - nigdy nie wiesz, co dostaniesz, dopóki tego nie stracisz.

- Tylko pamiętaj powiedzieć to Lianderowi, gdy w końcu go ocalimy.

- Mam taki zamiar, uwierz mi. – Wypuścił oddech, który niewiele pomógł na złagodzenie napięcia wciąż będącego w jego ciele.

Oparłam się pragnieniu powiedzenia *lepiej, żebyś tak zrobił*, i zamiast tego powiedziałam.

- Niech zgadnę, ale Jack nie znalazł akt dotyczących zniknięcia Younga?

Rhoan prychnął łagodnie.

- Najwyraźniej to jest zwykła procedura w terenowych komendach policji, że po dwudziestu latach przeprowadzają czystkę w plikach. Mają gdzieś kopię dysku, ale nadal nie mogą jej znaleźć.

- Równie dobrze możemy zwrócić się bezpośrednio do źródła. – Wyciągnęłam telefon z kieszeni i nacisnęłam guzik, żeby zadzwonić do Departamentu. – Czy Jack ma jeszcze jakieś informacje o domu, w którym wydaje się, że Young mieszka?

- Przebija się przez miejskie pliki, żeby znaleźć coś o tym domu. Da nam znać, jeśli zdobędzie plany rozkładu tego miejsca.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Riley? – zapytała Sal.

Przytknęłam telefon do ucha i powiedziałam.

- Muszę skontaktować się z Jerrym Mayberry. Był funkcjonariuszem policji w Beechworth. Jest na emeryturze, ale najwyraźniej wciąż jeszcze żyje.

- Poczekaj, zobaczę, co mogę zrobić. – Zawiesiła rozmowę, a metaliczna muzyka zatrąbiła mi w ucho. Skrzywiłam się i odsunęłam telefon z ucha.

- Jak ten gliniarz może nam pomóc? – zapytał Rhoan.

Obejrzałam się na niego.

- Był na służbie, gdy Aron Young zniknął. Może będzie mógł nam powiedzieć coś więcej niż to, co napisano w gazetach.

Sal wróciła na linię.

- Okej, znalazłam adres i numer telefonu. Chcesz, żebym cię z nim teraz połączyła?

- Tak. Dzięki, Sal.

- Więc zaczekaj. – Znowu zawiesiła rozmowę, a potem usłyszałam kliknięcie i telefon zaczął dzwonić.

I dzwonić.

No odbierz, no odbierz, myślałam, ale wtedy zerknęłam na zegarek i zdałam sobie sprawę, że dzwonię o nieludzkiej porze. Biedak prawdopodobnie spał otulony ciepłutko w swoim łóżku.

W końcu odezwał się szorstki głos.

- Halo?

- Czy to dawny sierżant Jerry Mayberry, z posterunku policji w Beechworth?

- Tak, to ja.

- Panie Mayberry, tu Riley Jenson, z Departamentu. Badamy kilka morderstw, które wydają się być połączone z pańską starą sprawą i zastanawiałam się, czy mógłby pan mi pomóc w ustaleniu kilku szczegółów.

- Spróbuję, ale moja pamięć nie jest już tak dobra, jak kiedyś. – Zawahał się. – Departament, mówisz? Jaka sekcja?

- Oddział strażników, Panie Mayberry.

- Martin Bas wciąż tam dowodzi?

Uśmiechnęłam się. Nie było niczego złego z umysłem tego człowieka. Ani, jak podejrzewałam, z jego pamięcią.

- Nie, Martin Bass nie pracuje już w oddziale strażników, sir. Teraz dowodzi Jack Parnell od ośmiu, lub coś koło tego, lat.

- Ach, tak. – Jego ton zmięknął trochę. – O jakiej sprawie mówimy?

- Zniknięcie Arona Younga.

- Ach. To była dziwna sprawa.

- W jaki sposób, Panie Mayberry?

- Mieliśmy dowody w postaci śladów na linie i gałęzi drzewa, mieliśmy rozpryski krwi, która, jak wierzyliśmy, pochodziła od ofiary, i byliśmy pewni, że został zabity. Ale nigdy nie odnaleźliśmy ciała, a żadne z dzieciaków nie chciało mówić.

- Ale myślał pan, że coś wiedzieli?

- O, tak. Połowa z nich zaczęła pić i brać narkotyki po kilku tygodniach od zniknięcia Younga.

- O ilu dzieciakach mówimy?

- Siedmiu. Byli dobrymi dziećmi, ale trochę dzikimi. Podpuszczali się nawzajem, gdy byli w grupie.

I to wtedy działy się zazwyczaj złe rzeczy. Presja rówieśników mogła być niewiarygodnie potężną sprawą, zwłaszcza kiedy byłeś nastolatkiem i próbowałeś zbyt bardzo się dopasować. A podejrzewałam, że tak mogło być w przypadku Younga.

- Jak pan myśli, co mogło się zdarzyć?

- Prawdopodobnie inicjacja poszła źle. Mieliśmy wtedy problem z gangiem - większość dzieciaków w nim była, oprócz pary szczeniąt wilka. Ta siódemka była najgłośniejsza z ich.

- Więc inicjacje były wspólne?

- Do diabła, tak. Zazwyczaj to było coś prostego, jak kradzież znaku ulicznego albo spuszczenie swojej głowy w sedesie, ale banda Harveya była zwolennikiem wystawiania na próbę siły i zaangażowania w ich ceremonie.

- W jaki sposób?

- Mieliśmy jednego dzieciaka, który rozłupał sobie głowę kamieniem. Najwyraźniej kazano mu go trzymać nad głową przez kilka godzin - zaczynając w południe, w środku lata.

- Wygląda na to, że to była czarująca banda. – A jeśli to była próbka ich wyczynów, w takim razie nie trudno było sobie wyobrazić, jak przechodzili do dalszych testów - czegoś bardziej niebezpiecznego. – Kim był ten Harvey, o którym pan wspomniał?

- Był przywódcą gangu. Prawdziwy twardziel, z bardzo wybuchowym, wrednym charakterem. On z pewnością nie miał złotego serca.

- Co się z nim stało?

- Został znaleziony w krzakach, niedaleko miejsca, gdzie ostatnio widziano Arona Younga. Nie żył od kilku dni, ale zanim znaleziono jego ciało dobrały się do niego zwierzęta. Miał wyjedzony brzuch.

Obiegł mnie chłód. Bhuta żywiły się jelitami zmarłych i nie wydawało się to być przypadkiem, że facet, który dowodził gangiem, został znaleziony w ten sposób. Więc dlaczego nie zabił wtedy Denny'ego? Albo Ivana? Albo nawet Cherry Barnes? Dlaczego czekał aż do dzisiaj?

- Co powiedział koroner?

- Miał mocne stłuczenie na boku głowy, ale nie było żadnych śladów walki czy innych urazów. Koroner powiedział, że prawdopodobnie się poślizgnął i uderzył w głowę, a zmarł w następstwie upływu krwi i wychłodzenia.

Stawiałam raczej na to, że upływ krwi miał bardziej coś wspólnego z wyjedzeniem jelit niż jakąś raną na głowie.

- Czas śmierci?

- Dziesiąta, z różnicą godziny w tę lub w tamtą.

Bhuta mogły chodzić za dnia, więc z pewnością nie można było wykluczyć możliwości, że to Young stał za śmiercią Harveya.

- Po jakim czasie, po śmierci Harveya, rodzice Younga wyprowadzili się z miasta?

- Chyba nie sądzisz, że brali w tym udział, prawda?

- Nie. Po prostu jestem ciekawa.

Zamilkł, a w tle zagwizdał czajnik.

- Minął więcej niż tydzień, lub coś koło tego, jak ich dom poszedł na sprzedaż. Przesłuchaliśmy ich, tak a propos, zanim otrzymaliśmy raport koronera. Obydwoje mieli niezbite alibi z dnia jego śmierci.

Co do tego nie miałam wątpliwości. To był ich syn, więc kto by nie miał, jak przypuszczam.

Czyżby więc, to oni byli odpowiedzialni za powstrzymanie szалу zniszczenia Younga zanim na dobre mógł zacząć? Czy to był powód ich nagłej decyzji o przeprowadzce?

- Gdzie dokładnie znaleziono ciało Harveya? Możemy będziemy musieli tam podjechać i rozejrzeć się po tym terenie.

- Niczego nie przegapiliśmy. – Jego głos zaostrzył się nieznacznie.

- Nie mówię, że tak, Panie Mayberry. Tylko, że mamy nowe dowody na zniknięcie Younga, a to może pomóc nam zrozumieć to lepiej, jeśli obejrzymy ten obszar.

- Oh – odparł już bardziej udobruchany. – Został znaleziony w Parku Historycznym, koło miejsca, gdzie zwykle spotykał się gang. To była polana otoczona przez granitowe odkrywki i czarne cyprysy, co czyniło z tego, w pewnym sensie, naturalny amfiteatr.

- Może mi pan podać więcej wskazówek?

- Cóż, to jest za starym budynkiem prochowni, w pobliżu Spring Creek. Zorientujesz się, jak to zobaczysz.

Świetnie. Będziemy włóczyć się tam godzinami. Których nie mieliśmy.

- Coś jeszcze może pan powiedzieć o tej sprawie? Jakiś dziwny, ale smakowity kasek, który nie znalazł się w raporcie, ale instynkt podpowiadał, że może być z tym związany?

Zawahał się.

- No cóż, było dwoje dzieci, które mógłbym przysiąc, że były świadkami...

Świadkowie. Kawałki układanki nagle zaczęły układać się w swoje miejsca.

- Przypadkiem nie był to Jake Cowden i Ivan Lang?

- Ci sami. Jako wilcze szczenięta, mieli skłonność do bycia samotnikami, ale często podkradali się i szpiegowali gang. Cowden, co jakiś czas, wysyłał mi mailem zdjęcia, które często były całkiem pomocne, gdy badaliśmy drobne incydenty.

- Czy przesłał panu coś o Youngu?

- Nie, ale poinformował mnie, że jego aparat zniknął następnego dnia, a poza tym miał podbite oko. Ivan wyglądał tak samo.

- Ale nigdy nic nie powiedzieli?

- Odmówili. Cowden zaczął pić wkrótce po tym.

- A co z Cherry Barnes?

Prychnął.

- Ta stwarzała więcej kłopotów niż była warta.

- W jaki sposób?

- Była dziewczyną Harveya i prawdziwą flirciarą. Harvey zawsze wdawał się przez nią w bójkę.

I dorosła, żeby zostać kiepską naśladowczynią *Ladacznice*. Dziwnie odpowiednie.

- Dzięki za pomoc, Panie Mayberry.

Mruknął.

- Jeśli dowiedzie się, co się stało z Youngiem, byłbym wdzięczny za telefon.

- Nie ma sprawy, Panie Mayberry. – Rozłączyłam się.

- Masz coś? – zapytał Rhoan.

- Może. – Wsunęłam telefon do kieszeni i powtórzyłam to, co Mayberry mi powiedział. – Sądzę, że jest bardzo prawdopodobne, że Young raczej wróci do miejsca swojej śmierci, niż tam gdzie mieszkał.

- Prawdopodobnie myśli, że tak jest bezpieczniej – zauważył Quinn. – Poza tym, on wie, że Departament jest na jego tropie, i również wie, że możemy zdobyć adresy jego zamieszkania. Ale znalezienie lokalizacji jego śmierci, sprzed więcej niż dwudziestu lat, to już inna sprawa.

- Ja wciąż nie rozumiem, dlaczego on robi to wszystko dopiero teraz – powiedział Rhoan. – Dlaczego nie wykończył większości z nich po tym, jak wykończył Harveya?

- Podejrzewam, że jego rodzice odkryli, co zrobił, i go powstrzymali. Zamknęli go na wiele lat, pamiętacie.

- Zostanie zamkniętym w pokoju chronionym srebrem raczej nie wpływa dobrze na zachowanie zdrowego umysłu – zauważył Quinn.

- Nie. – Zerknęłam na zegarek jeszcze raz. – Musimy tam być przed świtem, tak żebyśmy mieli szansę na zabicie tego łajdaka. Jak szybko ta dziecina potrafi jechać?

- Dowiedzmy się, okej? – odparł Quinn, naciskając stanowczo pedał gazu. Samochód wyrwał się z chrapliwym rykiem.

- To nie jest sportowy samochód, – powiedział sucho Rhoan, – więc może pojawić się drzenie, gdy przekroczysz dwieście na godzinę. Będziesz to czuł w ramionach.

- Dwieście na godzinę nie dowiezie nas do Beechworth przed świtem, prawda? – zapytałam.

- Nie.

- W takim razie nie martw się o drzenie i po prostu spraw, żeby to zardzewiałe pudło się ruszyło.

Quinn zerknął na mnie, rozbawienie dotknęło jego warg i błysnęło w jego ciemnych oczach. Moje hormony odtańczyły szczęśliwy mały taniec, ale stłumiłam je i kazałam zachowywać się porządnie. Teraz nie był na to czas.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

Rhoan prychnął.

- Dzień, w który żadne z nas nie wierzyło, jest dniem, w którym wpadamy na śmierć.

- Kto pytał publikę o zdanie?

- Nikt – warknął Rhoan. – Więc zamknij się i prowadź, mój przyjacielu.

Dla odmiany, Quinn zrobił dokładnie to, co mu powiedziano.

Może jednak była nadzieja dla niego.

Czerwony palce świtu zaczynały ocierać się o niebo, gdy Quinn zatrzymał samochód obok starych kamiennych murów, które otaczały budynek prochowni w Beechworth.

Wysiadłam z samochodu i wciągnęłam powietrze, a moje nozdrza się rozszerzyły, gdy skosztowałam zawartych w nim aromatów. W powietrzu przedświtu utrzymywał się chłód, który czułam jak lód, ale pod nim znajdowały się zapachy eukaliptusa, ziemi i świeżość wody.

A pod tym wszystkim, wyczułam ślad strachu.

Strachu, który był gęsty i mocny, i pochodził z więcej niż jednego źródła.

Ci ludzie nadal żyli. Przy odrobinie szczęścia, Liander wciąż był jednym z nich. Złapałam telefon i zadzwoniłam do Departamentu, prosząc dyżurnego o wezwanie karetek i jakiegokolwiek pomocy medycznej, jaką najbliżej znajdzie.

- Słyszę bicie serca – odezwał się Quinn łagodnie, kiedy przechodził przed maską samochodu. – Są trochę daleko, więc trudno określić, ile właściwie ich jest.

- Ale z pewnością więcej niż jeden – stwierdził Rhoan, zamykając cicho drzwi od samochodu. – I to jest dobra wiadomość dla tych z nas, którzy tego potrzebują.

Ścisnęłam lekko jego ramię.

- Jak go zaatakujemy? – Spojrzałam na Quinna. – I jak zabijemy coś, co jest nie tylko niewidzialne, ale także niepokonane w ciągu dnia?

Quinn popatrzył na czerwone niebo.

- Mamy dobre pół godziny zanim słońcem faktycznie wejdzie. Musimy zaatakować go wcześniej, albo będziemy zmuszeni czekać do następnej nocy.

- Czekanie nie jest w moich planach w tym szczególnym momencie czasu – powiedział Rhoan niskim głosem. – Więc zaatakujemy wspólnie, czy indywidualnie?

- Razem – powiedziałam. – Widziałam, jak walczy. Jest szybki i silny, niezależnie od faktu, że był więziony przez wiele lat.

- Oblęd często doprowadza ludzi do krawędzi. – Quinn spojrzał na Rhoana. – Znajdę i ochronię Liandera i innych zakładników. Zabijanie zostawię wam. Wy jesteście tu oficjalnie. Ja nie.

A Jack czasami mógł stać się drażliwy, że włączyliśmy w sprawę cywila – chyba, że oczywiście zrobiłby to sam. Popatrzyłam na swojego brata.

- Jak przypuszczam, nie masz broni w bagażniku?

Skrzywił się.

- Nie. Wyciągnąłem broń i schowałem, kiedy pojechałem samochodem na myjnię.

Przestrzegając zasad, jak zwykle. Podczas, gdy ja, nawet nigdy nie umyłam samochodu, nie mówiąc już o przestrzeganiu zasad bezpieczeństwa, o których przypominał Jack, w sprawie przechowywania broni, kiedy nie byłam na służbie. Co niewątpliwie któregoś dnia wpędzi mnie w kłopoty, ale do tego dnia, będę cieszyła się łaską losu.

- Więc nie masz żadnej broni?

- Mam kilka słupków.

Zerknęłam na Quinna.

- Zadziałają?

- Jeśli nadziejesz go, gdy będzie widoczny, to tak.

- W takim razie spróbujmy – powiedział Rhoan.

Podszedł do bagażnika i je wyciągnął, a potem wręczył mi dwa i rozciągnął ramiona.

- To chodźmy.

Jego szare oczy stały się zimne i martwe. Oczy myśliwego. Oczy zabójcy.

Spojrzałam na Quinna. Posłał mi uśmiech, który był subtelną mieszanką pewności siebie i pożądania, a potem obrócił się i rozpląnął w półmroku. Zmieniłam wzrok na podczerwień i obserwowałam go, jak biegnie w stronę linii drzew, a potem odwróciłam się i podążyłam za moim bratem.

Podczas gdy nie mogłam słyszeć bicia serca, tak jak on i Quinn, to nadal byłam wilkiem i zapachy potu, krwi i strachu, które unosiły się w powietrzu, były dla mnie łatwo rozpoznawalne. I stawały się coraz silniejsze.

Kiedy granitowe pokłady zaczęły stawać się coraz liczniejsze, a eukaliptusy ustąpiły miejsca czarnym cyprysom, Rhoan się zatrzymał, wskazując na prawo i unosząc pięć palców. Kiwnęłam głową, ale zastanowiłam się, czy Young faktycznie da nam aż tyle czasu. Przecież był wampirem i mógł usłyszeć bicie serca równie dobrze, co Rhoan czy Quinn. Bez względu na to, jak daleko posunął się w swoim scenariuszu zemsty, w końcu zda sobie sprawę, że tu jesteśmy.

Przeszłam w cieniu między drzewami, idąc ostrożnie, ale szybko, trzymając się nisko tam, gdzie to było możliwe. Kusilo mnie, by zmienić się w wilka, ponieważ w tej postaci byłam w lesie bardziej cicha i dużo bardziej śmiertelna. Jeśli jednak Young by mnie zauważył i zaatakował, mój wilk będzie na przegranej pozycji. Zęby przeciwko pięści i stopom – zwłaszcza, że miał za sobą prędkość wampira – nigdy nie będzie dobrą rzeczą.

Zapach krwi i strachu stał się mocniejszy, a za tym przyszedł dźwięk głosów. Jeden z nich rozpoznałam. Liander.

Żył. Na chwilę zamknęłam oczy i cicho złożyłam dziękczynną modlitwę losowi.

Jednak ta wiedza nie rozładowała ani trochę mojego napięcia. Ponieważ, oprócz Liandera, inny głos przypląnął wraz z wiatrem, a ten nie brzmiał szczególnie spokojnie, ani rozsądnie. Zwolniłam i, używając kamienia, jako osłony, wyjrzałam na polanę.

Liander i inny mężczyzna zostali przywiązani za nadgarstki do olbrzymiej gałęzi, która zwisała nad polaną. Obaj byli rozebrani do naga, a ich stopy wisiały kilkanaście centymetrów nad ziemią. To musiało boleć, takie zawieszenie w ten sposób, ale na nieco-posiniaczonym ciele Liandera było mało dowodów na zadawanie bólu. Jego ciało było usłane siniakami, dowodami walki, które przyjął, i które wywołały ból u Rhoana, ale chudy mężczyzna zawieszony obok niego był prawie nietknięty, oprócz swoich nadgarstków. Chociaż podejrzewałam, że nie jest w dobrej kondycji po tym, co zrobił Young, i jego raczej rozpaczliwych prób ucieczki.

Nie miałam pojęcia, gdzie byli inni jeńcy. Na pewno nie byli na polanie, ale też furgonetki, której używał Young, nigdzie nie było widać. Może trzymał ich gdzieś schowanych, by zabawić się nimi innego dnia. Quinn ich odnajdzie i ochroni. Wątpiłam, żeby nawet bhuta mógł się przeciwstawić komuś, kto spędził dwieście lat, jako zabójca wampirów.

Nie widziałam Younga, ale nie miałam wątpliwości, że ten drugi głos, który słyszałam należał do niego. Część mnie chciała natychmiast tam pędzić, złapać Younga i zacząć okładać go bezsensownie za to, co zrobił Lianderowi i temu drugiemu mężczyźnie. Ale pozostały jeszcze dwie minuty z tych pięciu, które pokazał mi Rhoan, więc nie wątpiłam, że mój brat by mnie pobił, gdybym nie zrobiła dokładnie tego, o co prosił. Poza tym, był tutaj starszym strażnikiem i miał dużo więcej do stracenia. Cicho odetchnęłam i rozsiadłam się, żeby poczekać.

Przypuszczałam, że te dwie minuty będą ciągnęły się jak wieczność.

Znalazłem furgonetkę i innych ludzi, którzy zostali porwani, odezwał się Quinn.

Zawahałam się, obawiając się najgorszego, ale zapytałam.

Wszyscy żyją?

Tak. Pobici i zakrwawieni, ale żywi. Nie uruchomię furgonetki, ponieważ Young może usłyszeć, ale możesz być pewna, że nie zbliży się ponownie do tych ludzi.

To była jedyna obietnica, w którą całkowicie wierzyłam.

Dzięki.

Uważaj na siebie, Riley.

Teraz zaczynasz gadać jak Jack.

Jego ciepły śmiech przebiegł przez mój umysł. Moje wargi wykrzywiły się do uśmiechu, ale ten szybko zgasł, gdy pojawił się Young. Jego chuda twarz wykrzywiona była wściekłością, a proste włosy ocierały się o jego plecy i ramiona. Rękami uderzał w swoje uda, a z każdym poruszeniem, z każdym uderzeniem, coraz silniej rozchodził się zapach krwi. Zmarszczyłam brwi, koncentrując moje spojrzenie na jego rękach i po raz pierwszy zauważając długość jego pazurów. Musiały mieć dobre trzy centymetry długości i były ostre jak brzytwa. Za każdym razem, jak się trzepnął, rozdzierały materiał jego poplamionych dżinsów i raniły ciało.

Wydawał się tego nie zauważać. Albo o to nie dbał.

Przed oczami pojawił mi się obraz pleców Ivana – rozdarte i okrwawione pasy ciała nie zostały pocięte ani nożem ani batem. Czy w ten właśnie sposób Young został zabity? Nie pomyślałam o tym, by zadać Vinny to pytanie.

- Nie macie pojęcia, co ci ludzie mi zrobili.

Głos Younga był wysoki i nierówny. Cały czas szedł przez polankę i mówił, uderzając się o uda. Zapach krwi stale rósł, tak jak błyski szaleństwa w jego oczach. W ten sposób coraz bardziej się podnieca, nagle zdałam sobie sprawę.

- Nie macie pojęcia, jak oni zrujnowali moje życie.

- Nikt nie zrozumie, przez co przeszedłeś – powiedział Liander, jego głos był bardzo spokojny pomimo bólu, jaki musiał odczuwać. – I masz prawo być zły.

Próbował identyfikować się z Youngiem i rozładować sytuację. Warte spróbowania, pomyślałam, ale Young nie był takim zwykłym wariatem. Miał więcej niż dwadzieścia lat, by obmyślić swoją zemstę, i bardzo wątpiłam, żeby spokojny, pełen współczucia ton tutaj pomógł.

- Ci dranie zostawili mnie na pewną śmierć. Rozplatali mnie i zostawili na pewną śmierć. – Krew bryzgnęła połyskliwie, gdy uderzył się w udo, a zęby zaczęły wystawać z jego warg. – Ale ja nie umarłem. Znalazłem sposób, żeby żyć, i będę miał swoją zemstę. Na każdym.

- Skoro nie umarłeś, w takim razie nie miało tak się stać. Los najwidoczniej miał inne plany wobec ciebie.

Kiedy Liander mówił, jego spojrzenie ześlizgnęło się z Younga na drzewa otaczające polanę, i już wiedziałam, że zdaje sobie sprawę, iż tu jesteśmy. Boże, miałam tylko nadzieję, że Young również sobie tego nie uświadomi.

Zerknęłam na zegarek. Jeszcze trzydzieści sekund.

Przeniosłam ciężar ciała z jednej nogi na drugą i spróbowałam stłumić stale rosnący niepokój.

- Ale nie każdy był odpowiedzialny za twoją śmierć, Aron – ciągnął Liander, wciąż tym miękkim, spokojnym tonem. – Nie każdy zasługuje na śmierć.

Young obrócił się gwałtownie i powoli podszedł do Liandera, aż jego twarz znalazła się centymetry od jego, a kiedy się odezwał ślina trysnęła z jego ust.

- Nikt tutaj nie podniósł palca, żeby pomóc.

- Trudno pomóc, kiedy nie wiesz, że coś się...

- Każdy wiedział, co ten gang robił – powiedział Young, przerywając Lianderowi, – i nikt nic nie zrobił. Dlatego sam, zasługujesz by umrzeć. Wszyscy z was.

I z tymi słowami, podniósł swoje krwawiące pazury i zamachnął się na brzuch Liandera.

Skoczyłam na nogi i wbiegłam na polanę. Ale byłam wolna, dużo bardziej wolna, niż mój brat. Skóra Liandera ledwie zaczęła rozdzielać się i krwawić, gdy Rhoan nagle już tam był, z rykiem na ustach i mordem w oczach.

Uderzył w Younga z pełnym impetem i obaj polecili w powietrze, uderzając metry dalej o ziemię i wpadając na drzewo. Gwałtownie skręciłam, omijając ich, nadal biegnąc w stronę Liandera. Jego brzuch wciąż się otwierał, a krew, skrawki ciała i Bóg wie, czego jeszcze, zaczęły się z niego wylewać.

- Dlaczego kawaleria zawsze przybywa za późno? – powiedział, a rozbawienie w jego łamiącym się głosie nie ukrywało bólu, który był tak oczywisty na jego twarzy i w oczach. Rzuciłam słupki i złapałam go wokół bioder, próbując podnieść jego ciężar z nadgarstków jednym moim ramieniem, drugą rękę przyciskając do jego krwawiącego brzucha. Tyle, że moja dłoń prześlizgnęła się po krwi i nagle moje palce znalazły się w nim.

Żółć podeszła mi do gardła, ale przełknęłam ślinę i wyszarpnęłam rękę, ignorując metaliczny smród krwi i odór strachu – strachu, który był zarówno mój, jak i jego – i złapałam tak dużo z jego wnętrzości, ile mogłam, by powstrzymać ich dalsze wypadanie.

- Quinn – krzyknęłam, nie poświęcając ani sekundy czasu, by otworzyć link między nami. – Potrzebuję noża i pomocy.

Zza mnie doszedł krzyk. Mocny, przenikliwy krzyk, który nawet nie brzmiał tak, jakby pochodził z ludzkiego gardła. Krzyk Rhoana, nie Younga.

Wiedział, że Liander umiera.

Byli partnerami duszy i mógł to poczuć.

Nie, nie, *nie!*

Bójka za mną się wzmogła. Chciałam spojrzeć, chciałam zobaczyć, czy z moim bratem było wszystko w porządku, ale się nie ośmieliłam. Musiałam najpierw zająć się jego kochankiem, ponieważ bez Liandera, nie miałabym już brata.

- Ja nie umieram – szepnął Liander, jego skóra była bardzo blada, a ciało drżało. – Nie umrę, Rhoan. Obiecuję.

Nie mógł dotrzymać tej obietnicy. Nie wtedy, gdy szybko nie otrzyma pomocy.

Boże, gdzie byli ci pieprzeni lekarze?

Gdzie, do diabła, był Quinn?

Ledwie o tym pomyślałam, a on już był.

- Przytrzymaj go – powiedział i coś srebrnego zabłysło do góry. Nagle Liander spadł bezwładnie w moje ramiona, a ja mruknęłam cicho, przyciskając go do siebie. Moje ciało drżało z wysiłku nie pozwalając mu spaść.

Quinn uwolnił drugiego mężczyznę i opuścił go na ziemię, a potem przeszedł nad nim i wrócił do mnie.

- Okej, mam go – powiedział, przejmując ode mnie ciężar ciała Liandera.

- Ostrożnie – powiedziałam z paniką w głosie. – Kawałki jego wnętrzości wyciekają z rany.

- Prawdopodobnie jelita cienkie. – Nie patrzył na mnie, ale na Liandera, łagodnie dotykając obszaru jego podbrzusza. – Czy coś tutaj boli?

Liander potrząsnął głową. Quinn mruknął.

- Na szczęście, nie ma obrażeń wątroby ani śledziony. – Spojrzył na mnie. – Widziałem podręczną apteczkę w samochodzie. Pobiegnij i przynieś ją.

Nie miałam pojęcia, jak, do diabła, podręczna apteczka miała pomóc, ale się nie sprzeczałam. Po prostu wstałam i pobiegłam. Rhoan walczył jak wariat, ale to prawdziwy wariat był bity na krwawą miazgę.

Rhoan nie miał zamiaru szybko go zabijać. Nie miał jeszcze zamiaru użyć słupków leżących w pobliżu na ziemi. Young musiał najpierw *zapłacić*.

A ja nie miałam nic przeciwko temu. Naprawdę nie miałam.

Dobiegłam do samochodu, rozsunęłam energicznie drzwi, i zobaczyłam apteczkę na tylnym siedzeniu. Jak tylko ją złapałam, usłyszałam syreny i nadzieja wstrząsnęła moim ciałem.

Przyjechali na czas, by go uratować.

Miałam taką nadzieję.

Musiałam w to wierzyć. Dla dobra Rhoana, i dla mnie.

Wróciłam z powrotem na polanę, tak szybko jak mogłam, i opadłam przy Quinnie. Skóra Liandera była blada i wilgotna, a jego oddech był szybki.

- Wstrząs – oznajmił Quinn. – Są tam sterylne bandaże?

Moje palce drżały tak mocno, że zanim otworzyłam apteczkę musiałam kilka razy próbować.

- Tak – powiedziałam, patrząc na niego.

- Otwórz jeden i daj mi.

Zrobiłam tak i dodałam.

- Jest wilgotny.

- Doskonale. – Przykrył nim wyciekające jelita. – Czy jest tam jakiś duży brzuszny, albo uniwersalny?

- Jest gruby bandaż.

- To podaj.

W powietrzu rozległ się krzyk, ochrypli dźwięk bólu, który niósł się i niósł, i trochę brzmiał jak słowa. *Moje oczy, moje oczy...*

Rhoan wciąż dokonywał zemsty. Zamknęłam oczy i powiedziałam.

- Rhoan, skończ to. Liander cię potrzebuje. – Popatrzyłam na Quinna. – Karetka już tu jedzie.

- W takim razie idź tam i sprowadź ich tutaj szybko. – Jego głos był ponury. – Musimy zabrać go do szpitala.

Wstałam i odwróciłam się. Zobaczyłam, jak Rhoan złapał Younga za szyję i złamał mu kark. Słysząc było pęknięcie i Young opadł bezwładnie. To nie był zabójczy ruch, ponieważ złamana szyja w pełni nie zabijała wampira, ale na pewno go unieruchamiała.

Zamknęłam oczy.

- Skończ już, Rhoan.

Spojrzał na mnie przelotnie, jego okrwawiona, wolna od uczuć, twarz, jego spojrzenie, wciąż było zabójcze. A potem obrócił się, chwycił kołek i wbił w serce Younga. Young krzyknął, ale dźwięk nagle ucichł, kiedy z rany buchnął niebieski ogień, rozprzestrzeniając się szybko po ciele Younga, trawiąc go i niszcząc.

Rhoan przez chwilę patrzył na to beznamiętnie, a potem się odwrócił. Jego spojrzenie powędrowało obok mnie i wtedy jego twarz się skurczyła, by szlochając podbiec do Liandera.

Oparłam się instynktowi złapania go, pocieszenia, i pobiegłam znaleźć jedyną nadzieję, jaką miał Liander.

Rozdział 11

Dwadzieścia cztery godziny później, siedziałam w szpitalnej poczekalni, trzymając za rękę mojego brata i mając nadzieję na lepsze.

Liander stracił dużo krwi i miał teraz operację, podczas której zszywali mu jelita i brzuch. Mógł być wilkołakiem, ale były takie rany, z których nawet wilkołak nie zdoła się wyleczyć bez pomocy.

Rhoan nie powiedział ani słowa, odkąd tu przyjechaliśmy. W porównaniu do zawiadomionych rodziców Liandera, którzy natychmiast przyjechali, po prostu trzymał mnie za rękę i wpatrywał się w ścianę, z pustym wyrazem twarzy.

Nie pozwalając sobie na myślenie.

Nie pozwalając sobie na odczuwanie.

Pod pewnymi względami, sam brak uczucia przerażał mnie, po prostu dlatego, że wiedziałam, że to wszystko jest tam, duszone w sobie, gotowe wybuchnąć, kiedy stanie się najgorsze. I nie byłam pewna, czy ktoś z naszej czwórki będzie zdolny pohamować jego gniew i żal, gdyby Liander odszedł.

Miałam tylko nadzieję, że Ben ma rację. Nadzieję, że nie jest wyjątkiem od reguły, i strata partnera duszy niekoniecznie oznacza śmierć. Nie chciałam stracić mojego brata – a już szczególnie nie w ten sposób.

Przełknęłam gorzki smak strachu i odepchnęłam negatywne myśli. Liander będzie żył. Obiecał to, a nie był facetem, który lekko składa obietnice.

Quinn wrócił do poczekalni z tacą kaw w swoich rękach. Postawił ją na małym stoliku przed nami, a potem zaproponował po jednej rodzicom Liandera. Yann, cięższa wersja Liandera, potrząsnął głową, ale Raina – srebrny wilk – przyjęła kubek z wdzięcznością, a mały uśmiech podziękowania rozbił niepokój wyryty na jej zmarszczonej twarzy.

Quinn podał mi kubek i też wzięłam go z wdzięcznością, sącząc gorący płyn i krzywiąc się trochę na jego gorzki smak. Szpitalna kawa była równie niedobra jak to, co mieliśmy w biurze.

- Rhoan? – odezwał się Quinn, oferując mu jeden z plastikowych kubków.
- Nie, dziękuję.
- Rhoan... – zaczęłam, ale przerwał mi ostro.
- Nie!

Jego głos był ochrypnięty od mieszaniny niepokoju i ledwie tłumionej furii – czyli tego, czego nie było widać na jego twarzy. Uścisnęłam jego rękę. Mogłam sobie tylko wyobrazić, przez co przechodził, i chociaż jego reakcje były bardzo denerwujące w tej chwili, to były również całkowicie zrozumiałe. Do diabła, nie było mowy, żebym była tak spokojna, jak obecnie był on, gdyby to mój partner leżał na sali operacyjnej.

Quinn usiadł przy mnie, przyciskając swoje ciepło do mojego boku i, w ten sposób, pomagając wygrać z chłodem grożącym, że mnie obezwładni. On, tak jak ja, czuł zapach starej krwi, ale mój zapach był również zmieszany z aromatem strachu i potu, a to było zdecydowanie nieprzyjemne. Tak, jak moja sukienka, która stała się sztywna i niewygodna z tą całą krwią na niej zaschniętą. Pociągnęłam lekko za materiał. To była już kolejna sukienka, która wylądowała w śmieciach. Ta robota wprowadzała zamęt w mojej szafie. I w moim życiu.

Boże, proszę, pozwól, żeby Liander z tego wyszedł.

Wzięłam kolejny łyk kawy, a potem oparłam się trochę bardziej o Quinna, kładąc głowę na jego ramieniu. Nic nie powiedział, tylko zarzucił ramię wokół moich barków i mnie przytulił.

Cudownie było, że on tu był, i to nie tylko dlatego, że jego obecność miała dziwnie uspokajający efekt. Quinn był przekonany, że Liander dojdzie do siebie, a to przekonanie wyciekało z niego jak ciepły koc, dusząc płomień paniki, która inaczej by się pojawiła.

Ale byłam również zadowolona z tego, że jest tutaj dla mnie. Zadowolona, że mam kogoś, na kim mogłabym się wesprzeć, gdybym tego potrzebowała. Nie było zbyt wiele osób w moim życiu, o których mogłabym to powiedzieć, ale fakt, że czułam to teraz, z Quinem, uświadomiło mi, że nieważne ile trudności było między nami, musieliśmy dać temu odejść.

Mogłam być niezależną, czasami głupią suką – okej, większość czasu – ale nawet ja potrzebowałam kogoś od czasu do czasu. Kogoś, kto nie był moim bratem, albo jego kochankiem.

W ciszy zadzwonił mój telefon. Nabrałam tchu i wypuściłam go wolno. Wiedziałam bez patrzenia, że to będzie Jack.

- Potrzebuję cię w pracy – powiedział, gdy odebrałam.

- Jack, wciąż jesteśmy w szpitalu...

- I wciąż mamy biegającego na wolności zabójcę – przerwał mi. – Przykro mi, Riley. Wiem, że chcesz być z Rhoanem, ale potrzebuję jednego z was tutaj. Kade jest dobry, ale ona nie ma tropiących umiejętności wilka.

- A co z Iktarem?

Jaszczurka-duch przeszła szkolenie w tym samym czasie, co Kade, ale raz była na dziennej, a raz na nocnej zmianie. Najwyraźniej miała parę zastrzeżeń, co do pracy z wampirami – bo nocna zmiana była obsługiwana tylko przez wampiry – w tym samym czasie, ale pierwsza zmiana udowodniła, że też w pewnym sensie była dla niego kłopotliwa. Ludzie mogli być przyzwyczajeni do obecności zmiennych i wampirów, ale widok jaszczurki, z jej twarzą bez wyrazu i skłonnością do chodzenia nago, spowodowało więcej niż tylko kilka wstrząsowych reakcji. Poza tym, umiejętności Iktara były najbardziej przydatne w czasie między świtem, a zmierzchem. Jak tylko znalazła się odrobina cienia, jaszczurka mogła po prostu zniknąć – i bardziej w pełni niż mógł to zrobić wampir. Co było bardzo przydatną umiejętnością, gdy tropiło się psycholi.

- Kazałem mu wczoraj wieczorem zebrać pozostałe Ladacznice – powiedział Jack.

- Więc wszystkie są bezpieczne?

- Nie. Brakuje Jenny Franklin i Joan Hawkins, ale nie ma żadnych oznak przemocy w ich domu. Krewni byli niestety mało pomocni.

Niedobrze. Zawahałam się. Zatrzymanie bakeneko było priorytetem, wiedziałam to. Ale tak samo był nim mój brat. I powstrzymanie go, gdyby coś poszło nie tak.

- Jack...

- To nie jest prośba, Riley. To jest rozkaz. Nie karz mi tam przychodzić i cię zmuszać.

Wypuściłam oddech. Wiedziałam, kiedy przegrywałam – i z pewnością nie chciałam sceny w szpitalu. Nie wtedy, gdy mój brat był tak słaby psychicznie.

- Muszę pójść do domu i się przebrać, zanim zacznę pracować.

- Zrób tak, a potem spotkaj się z Kadem na Toorak Road.

Podał mi pełny adres, a ja zmarszczyłam brwi.

- Czy to nie jest parking?

- Tak. Pojawił się kolejny nagi mężczyzna, którego znaleziono w jego samochodzie na górnym poziomie.

Co? To nie brzmiało zbyt dobrze.

- Przypuszczam, że jest w tym samym stanie, co inni?

- Gorszym.

Chciałam zapytać, co mogło być gorsze od tego, co już widzieliśmy, ale miałam złe przeczucia, że poznam odpowiedź wcześniej niż bym chciała. Poza tym, widziałam już to gorsze. Wiele razy. I wydawało się, jakby źli ludzie nie mieli w ogóle szacunku dla człowieka – i nie tylko człowieka.

- Cholera.

- Tak. – Urwał. – Rozmawiałem już z kilkoma kobietami wczoraj wieczorem. Wszyscy zamordowani mężczyźni byli dawnymi kochankami Cherry Barnes. A wszystkie zamordowane kobiety były następnymi kochankami tych mężczyzn.

Co zasadniczo zgadzało się z tym, o czym rozmawiałam z Dią.

- A więc, nie mogąc złapać rzeczywistego zabójcy swojej pani, bakeneko bierze odwet za to, co widzi, jako zdradę zaufania do swojej pani. I najpierw zabija kobiety, by móc przybrać ich formę, a potem zabija mężczyzn?

- Na to wygląda.

I jeśli to nie była kocia samoświadomość własnej wyższości bakeneko, mogliśmy nigdy się nie dowiedzieć, kto stoi za tymi wszystkimi morderstwami.

- Czy cięcia na ciele Cherry pasują do tych na ciele Ivana i Dennego?

- Tak. Wydaje się, że ona była pierwszą ofiarą Younga.

- To znaczy, że to Young stworzył bakeneko?

- Tak – powiedział Jack ponuro. – Bądź na linii, Riley. Chcę przez cały czas wiedzieć, gdzie jesteś.

- Dobrze. – Rozłączyłam się i zerknęłam na Rhoana. – Muszę iść.

Nawet na mnie nie spojrział.

- Nic mi nie będzie.

Nie wierzyłam w to. Ani trochę.

Quinn lekko ścisnął moje ramię, a potem zabrał swoje ramię. Mój świat wydał się od razu zimniejszy bez niego. Przez chwilę, zastanawiałam się, czy znowu nie używa swoich wampirzych sztuczek, żeby zasugerować mi coś psychicznie. Oprócz faktu, że moje tarcze znacznie urosły od czasu, gdy próbował tego ostatni raz, tak naprawdę nie sądziłam, że zrobiłby coś takiego, gdy wciąż ustalaliśmy to, co działo się między nami. Mógł być bardzo stary wampirem i chodzić swoimi drogami, ale nie był głupi.

- Następne morderstwo? – zapytał łagodnie.

Kiwnęłam głową, a potem otworzyłam połączenie pomiędzy nami i powiedziałam miękko.

Zaopiekujesz się dla mnie Rhoanem? Wiem, że to jest wielka przysługa, ale...

Pochylił się i powstrzymał moje słowa pocałunkiem. I oh, co to był za pocałunek.

To nie jest żadna wielka przysługa, powiedział po chwili, a jego ciepły i miękki oddech owiał moje wargi. Rhoan był moim przyjacielem na długo wcześniej niż byliśmy ze sobą. Zaopiekuję się nim dla ciebie, nie miej, co do tego wątpliwości.

A głośno dodał.

- Bądź ostrożna.

Poczułam się tak, jakby zdjął ciężar z mojej duszy. Uśmiechnęłam się i dotknęłam delikatnie jego twarzy.

- Będę.

Pocałował mnie jeszcze raz i dodał.

- Zadzwoń do mnie, jak już skończysz. Mamy kilka rzeczy do omówienia.

Rzeczy do omówienia, decyzje do podjęcia. Ale była jedna decyzja, której nie trzeba było podejmować. Quinn wrócił do mojego życia i byłam bardziej niż szczęśliwa z tego powodu. Ale, w jakim charakterze zostanie, to się dopiero okaże.

Pozwoliłam palcom zsunąć się po jego policzkach i przez wargi. Pocałował delikatnie koniuszki moich palców, wysyłając dreszcz aż do palców u moich nóg. Westchnęłam, ale zmusiłam się do wstania. Chciałam zostać, nie tylko dla mojego brata, ale też by napawać się ciepłem i siłą Quinna, ale niestety byłam strażnikiem, a tam byli umarli ludzie.

- Bądź ostrożna z tym bakeneko – dodał, a jego ciemne oczy wypełnione były niepokojem. – Pamiętaj, że w tej chwili skonsumowała kilka dusz, i to sprawi, że będzie jeszcze szybsza i bardziej zabójcza.

- Hej, załatwiłam bożka śmierci - jak źle może być z bakeneko po czymś takim?

Nic nie powiedział. Dotknęłam ramienia brata i wyszłam. A uczucie, że właśnie kuszę los, zaciążyło mi w żołądku.

Ostatnie piętro parkingu zostało zamknięte kordonem z żółtej taśmy i czujnych gliniarzy. Zapach krwi unosił się na wietrze, mocny i świeży, i gdzieś tam słyszałam mówiącego Kade'a, a jego głębokie tony wywołały uśmiech na moich wargach.

Uśmiech, który nie miał zbyt dużych szans tam zostać, biorąc pod uwagę stopień zapachu krwi. Zapowiadało się na coś bardzo nieprzyjemnego.

Machnęłam odznaką pilnującemu najwyższy poziom strażnikowi, a potem przeszłam pod taśmą i podeszłam do podjazdu. Jeden z ludzi Cole'a – zmienny ptak – wkładał do torby coś, co dziwnie przypominało kawał mięsa, więc się zatrzymałam.

- Czy to jest to, co myślę?

Zerknął na mnie, jego twarz była bez wyrazu, ale w brązowych oczach palił się ogień gniewu.

- Tak.

A więc to było ramię. Albo to, co z niego zostało, w każdym razie. Bakeneko z całą pewnością, z każdym morderstwem, stawał się coraz bardziej agresywny.

- Powstrzymaj tę rzecz, dobrze? – dodał, zapinając zamek błyskawiczny torby z większą siłą niż to było konieczne. – Nie chciałbym zobaczyć tego, co zrobi następnym razem.

- Ani ja. – Mój głos był ponury. Zerknęłam na podjazd, jak tylko doszedł do mnie głos Cole'a, a potem spojrzałam z powrotem na zmiennego ptaka. – Masz jakieś imię?

- Ludzie nazywają mnie Dobbs.

- Czy to imię, czy nazwisko?

- Przyjaciele nie używają mojego imienia.

Ani żaden z jego wrogów, sądząc po jego tonie.

- Dzięki, Dobbs.

Kiwnął głową i wrócił do makabrycznego zadania zbierania niewielkich kawałków ciała, porozrzucanych wkoło.

Wiatr uderzył we mnie z pełną siłą, kiedy weszłam na ostatnie piętro, aż cofnęłam się o krok do tyłu zanim sobie to uświadomiłam. Zadrżałam i zebrałam latające końce mojego płaszcza, szybko go zapinając. Dzięki Bogu, że miałam szansę się przebrać – moja nasiąknięta krwią sukienka sprawiłaby, że bym tu zamarzła.

Kade i Cole kucali z tyłu niebieskiej Toyoty. Nawet z tej odległości, było ewidentnie widać, że żaden z mężczyzn nie był zadowolony.

Ruszyłam do przodu, obcasami butów stukając o beton, zanim dźwięk został rozwiany przez wiatr. Żaden z mężczyzn się nie obejrzał, chociaż obaj zdawali sobie sprawę z mojej obecności.

- Co się dzieje? – Zatrzymałam się za Colem i pochyliłam, żeby zajrzeć pod samochód. Coś, co przypominało krwawą jatkę z ciała, leżało w połowie pojazdu.

Ale nie tułów, który by pasował do ramienia. Tamto ramię było męskie. To wyglądało na ciało kobiety.

Chociaż mogłam to tak naprawdę potwierdzić tylko na widok ładnej złotej bransoletki, która wciąż wisiała na oglądanym przez mnie ramieniu.

- Dwie ofiary? – zapytałam, modląc się do Boga, że się mylę.

- Dwie ofiary – potwierdził Cole, wstając i zdejmując zakrwawione rękawiczki. – Sądźmy, że jedna z nich nie ma z tym nic wspólnego.

Wyprostowałam się i napotkałam chłodne spojrzenie jego niebieskich oczu.

- Czyli w niewłaściwym miejscu, o niewłaściwym czasie?

- Niestety, tak.

- To nietypowe, prawda? To znaczy, miała świadków, gdy zabiła sprzedawcę butów w oknie, i nie zrobiła w związku z tym żadnego ruchu.

- Biorąc pod uwagę fakt, że nie zajmujemy się niczym normalnie ludzkim, kto powiedział, że coś jest, lub nie jest, typowe? – Cole skinął na mnie, żebym poszła za nim.

Rzuciłam okiem na Kade'a, które wciąż uważnie studiowało ciało, a potem się obróciłam i podążyłam za zmiennym wilkiem. Zobaczyłem drugie ciało dużo wcześniej niż do niego doszliśmy. Jego tułów był rozłożony w poprzek bagażnika sportowego samochodu, a spojrzenie czystego przerażenia zamarło na jego twarzy. Albo to, co z niej zostało.

Wyraz twarzy wskazywał na to, że to jest człowiek, który doświadczył głębi piekła w środku jednej z największych pojemności życia.

Zatrzymałam się i cicho skatalogowałam jego urazy. Upływ krwi z poszczególnych zadrapań już mógł być śmiertelny, ale ona również rozerwała go, kończyna po kończynie, zostawiając tylko jego tułów i głowę na bagażniku samochodu.

Zamknęłam oczy i walczyłam z złością, podchodzącą mi do gardła. To nie było tak, że nigdy nie widziałam ciała rozczłonkowanego w podobny sposób. Widziałam, ale to nie znaczy, że zobaczenie czegoś takiego jeszcze raz, będzie teraz o wiele łatwiejsze. I wątpiłam, żeby kiedykolwiek było.

- Boże – powiedziałam ochrypłym głosem.

- Tak – odparł Cole. – Sądzę, że musiała przybrać postać kota, żeby się stąd wydostać, ponieważ cała była pokryta krwią po tym wszystkim.

Oderwałam spojrzenie od ciała i się rozejrzałam.

- Obie ofiary musiały zapewne krzyczeć. Ale oczywiście nikt ich nie słyszał?

Wyraz twarzy Cole'a stał się ponury.

- Miejscowi gliniarze już przesłuchują sklepikarzy i klientów. Wątpię, żeby coś zdobyli.

- To w takim razie, jak znaleziono ciało?

- Kawalek kobiety wyleciał z boku budynku. Uderzył w pomoc kuchenną z pobliskiej restauracji, kiedy wyrzucał śmieci.

- Ktoś już z nim rozmawiał?

- Myślę, że został mu podany środek uspokajający. – Cole się skrzywił. – Prawdopodobnie będzie miał koszmary przez następne tygodnie, biedny dzieciak.

- Nie on jedyny. – Potarłam lekko moje ramiona, ale nagle przestałam, ponieważ moc zaczęła pieścić powietrze, a dziwne mrowienie śmignęło przez moją skórę.

Wezbrało we mnie podniecenie. To nie była tylko eskalacja przemocy, która różniła to miejsce zbrodni.

- Co? – zapytał cicho Cole.

- Jest tutaj dusza. – Moje spojrzenie obrzuciło cały parking, ale nie zobaczyłam niczego, co byłoby podobne do strzępiastego dymku duszy. Oczywiście, wiatr mógł rozwiać jakikolwiek jej ślad wcześniej niż się w pełni uformowała.

- Czyja dusza?

- Nie wiem. – Obróciłam się i zrobiłam kilka kroków w kierunku tylnej ściany. Wiatr był tutaj mniej szaleńczy i, tylko na mgnienie oka, smuga dymu zawirowała w cieniu pokrywającego narożnik parkingu.

Kim jesteś?, zapytałam. Dowiedziałam się, nie tak dawno temu, że moja zdolność do wyczuwania i słyszenia dusz, rozciąga się także na możliwość telepatycznej z nimi rozmowy. Nie chodziło o to, że to było coś podobnego do całych rozmów między nami. Umiejętność rozmawiania z grobu, wydawała się zabierać dużo siły, więc wiele dusz robiło niewiele więcej niż wypowiedzenie słowa albo dwóch, zanim ich obecność się nie rozpadła i nie ruszyły dalej.

Ale tym razem, jedno słowo może być wszystkim, czego potrzebujemy, żeby powstrzymać zabijanie innych niewinnych przez bakeneko.

Zrobiłam kolejny krok do przodu i chłód w powietrzu nagle wzrósł. Cokolwiek to było, było blisko. Musiało być. Obecność duszy na tym świecie, zawsze wydawała się przyciągać mnie do wściekłego chłodu krainy cieni.

Ponownie dym zawirował w cieniu. Tylko niewielki kosmyk, niewyraźny zarys – nic, co można by określić duchem. Ale było tam. Jego moc zakręciła się wokół mnie.

Kim jesteś?, zapytałam jeszcze raz.

Przez chwilę nie było żadnej odpowiedzi, ale energia w powietrzu się podniosła, dopóki coś podobnego do światełek nie zatańczyło na mojej skórze.

Dlaczego?, nadeszła odpowiedź. Bardzo cicha. Bardzo zagubiona. I z pewnością kobieca.

Nikt nie wie, dlaczego ta istota, jest taka destruktywna, odparłam, nie cierpiąc tego, że musiałam z nią rozmawiać, nie cierpiąc tego, że czułam jej ból w ten sposób. Chociaż, w jakiś dziwny sposób, to prawdopodobnie jej pomagało. Nie odpowiedziałaby, gdybym jej tutaj nie było. *Nie byłaś jej planowaną ofiarą. Wszłaś jej po prostu w drogę.*

Chłód w powietrzu wzrósł, a wraz z nim nadszedł gniew.

To nie był mój czas.

Nie mogła tak myśleć, ale los zawsze miał inne pomysły na tyle rzeczy.

Możesz mi coś powiedzieć na temat tej istoty?

Była szybka. Odczucie energii się zwiększyło, dopóki mrowienie na mojej skórze nie odczułam, jakby było ogniem. Na bardzo krótko, w cieniu ukazała się twarz – szczupła, ładna twarz z szerokimi straconymi oczyma. *Zabrała moją torebkę. Mój telefon. Moje kluczyki do samochodu.*

Wzięła także twoje życie, ale zachowałam tę myśl dla siebie. Nie miałam pojęcia, czy dusze mogą odczuwać wstrząs, ale ta jedna pokazywała każdą możliwą tego oznakę. Nie chciałam jeszcze bardziej pogorszać sprawy.

Jak się nazywasz?

Maria. Maria Kennedy-Smith.

Czy jest coś, co możesz powiedzieć mi o osobie, która ci to zrobiła?

Znałam ją. Ale to nie było dla niej ważne.

Chłód w powietrzu zaczął przygasać, a cień po raz kolejny połknął jej niewyraźne kształty.

Kto to był?

Jenny Franklin.

Jedna z zaginionych kobiet. Więc skoro jej ciała nie było w mieszkaniu, gdzie do diabła bakeneko ją zabiło?

Dlaczego ona to zrobiła?

Myśl była prawie zawodem. Zadrzałam i potarłam moje ramiona.

To nie była ona. To był sobowtór. Jenny też nie żyje.

Energia prawie zniknęła, a ogień na mojej skórze był niczym więcej, jak pieszczotą ciepłą.

Dopadnij to, czymkolwiek jest, nadeszła myśl. Powstrzymaj ją.

A potem zniknęła, kierując się tam, gdzie przeznaczono miejsce dla jej duszy.

Odetchnęłam i się odwróciłam. Cole patrzył na mnie z wyraźnym zainteresowaniem.

- Wiesz co, nie zauważyłem tego wcześniej, ale prawie wydajesz się przygasać, kiedy to robisz. Tak, jakby oni wysysali z ciebie życie.

Potarłam ramiona.

- Dzięki nim, czuję chłód tej drugiej strony. Więc może to właśnie wysysa coś ze mnie. – Kto to wiedział? To mógł być talent, który Jack chciałby w pełni wykorzystać, ale na pewno nie był to jedyny, jaki Departament często widział. Moimi nauczycielami byli magowie, a nie inni ludzie, którzy mieli taką samą umiejętność.

- Jeśli to jest to, musisz być cholernie ostrożna. Możesz osiągnąć punkt, z którego powrót stanie się trudny.

Stłumiłam dreszcz na tę myśl i zmusiłam się do uśmiechu.

- A co to? Troska o strażnika? Czyżby świat miał się skończyć?

Prychnął łagodnie.

- Czyżbym powiedział, że troszczę się w ten, czy w inny sposób? Kobieto, źle mnie zrozumiałaś. – Jego niebieskie oczy zamigotały, co rozwiłało szorstkość jego słów. – A więc, co ta cholerna dusza powiedziała?

Uśmiechnęłam się. Nienawidzący strażników, pogardzający wilkołakami zmienny naprawdę troszczył się o to, co się ze mną stanie. Mógł nie podnieść palca, by mi pomóc, ale troszczył się. Miło było wiedzieć, ponieważ nawet, jeśli dokuczałam mu w nieskończoność i dawałam mu się we znaki, to tak naprawdę go lubiłam.

- Nazywała się Maria Kennedy-Smith. Jej zabójczynią była Jenny Franklin, jedna z *Ladacznic*, których nie zamknęliśmy do aresztu prewencyjnego.

- I już nie zamkniemy. Bez dowodów, można powiedzieć, że faktycznie jest martwa.

- Tak. – Wyciągnęłam telefon z kieszeni. Gdybyśmy namierzyli samochód Jenny, to prawdopodobnie znajdziemy trop bakeneko. Obejrzałam się, kiedy podszedł Kade.
– Znalazłeś coś?

- Bakeneko jest szalony.

Prychnęłam naciskając guzik połączenia do Departamnetu.

- Nie potrzebujesz empatii, żeby to wiedzieć.

Posłał mi rozdrażnione spojrzenie.

- Nie, mam na myśli to, że ona staje się szalona. Nie było żadnego śladu obłądu w tym, co zrobiła z Gerardem Jamesem. Nie było nawet obłądu w tym, co zrobiła z tym facetem od butów. Ale był już obłąkany gniew w mieszkaniu tej ostatniej kobiety, natomiast tutaj... – Zawahał się. – Tutaj widać przemoc z czystej przyjemności zabijania. Mogła mieć motyw, gdy zaczynała, ale dawno już wyszło to poza granice.

- Więc w tej chwili zabija dla samego zabijania?

- Można tak powiedzieć.

- Cholera. – Odetchnęłam i dodałam. – Jenny Franklin był jedną z tych kobiet, którą miałeś zabrać do bezpiecznej kryjówki, prawda?

- Tak, ale sprawdziliśmy jej dom i nie było po niej żadnego śladu. Nie zjawiała się też w pracy. Jak ostatni słyszałem, łącznicy poszukują lokalizacji kilku jej byłych, żeby sprawdzić, czy mogą rzucić światło na jakiegokolwiek miejsce jej pobytu. – Patrzył na mnie przez chwilę, a potem powiedział. – Tylko mi nie mów, że pod tym samochodem są jej szczątki.

- Nie, te resztki należą do Marii Kennedy-Smith. Jej dusza nie została zassana przez bakeneko, i dlatego wiem, że kot miał postać Jenny.

Kade spojrzał na Cole'a.

- Dlaczego miałyby zmarnować zupełnie dobrą duszę?

- Może to było niezamierzone zabójstwo. Może musiała zniknąć stąd, zanim nie zostanie zauważona. – Cole wzruszył ramionami, a potem popatrzył na mnie. – Krzycz, jeśli masz jeszcze jakieś pytania.

Okręcił się i odszedł, biorąc kolejną parę czystych rękawiczek zanim wrócił do ciała pod samochodem. Odwróciłam wzrok. Nie chciałam patrzeć na to, co wydobywa z tego, co zostało po Marii. Nie teraz, kiedy jej ból i gniew wciąż były świeże w moim umyśle.

- Co mogę dla ciebie zrobić, wilcza dziewczynko? – Odezwał się znajomy głos w moim uchu.

- Kade mówi, że w samochodzie Jenny Franklin podłożone jest urządzenie naprowadzające. Wiesz, czy jest już dostępne?

- Poczekaj sprawdzę. – Zamilkła. – Okej, ma białego Porsche i obecnie jest zaparkowany na Lygon Street.

To była długa ulica z mnóstwem klubów i restauracji. Znalezienie tam bakeneko mogło nam zająć wieczność.

- Czy jest coś w przeszłości Jenny, co może naprowadzić nas na ślad tego, dlaczego bakeneko tam poszedł?

- Jeden z jej byłych jest właścicielem Lygon Towers i mieszka na ostatnim piętrze. Próbowaliśmy się z nim skontaktować, ale nikt nie odbiera.

Gdyby jeszcze był jednym z byłych Cherry, w takim razie to był prawdopodobnie wystarczający powód do tego, dlaczego nie odpowiada. Jak na przykład, śmierć z rąk krwiożerczej, oszalałej kocicy.

- Przyślij mi adres.

- Dobrze. Oh, i Jack właśnie kazał się upewnić, że będziesz miała włączony nadajnik i dźwięk.

- Jack zrzędzi. – Rozłączyłam się i przełączyłam niewielki guzik w moim uchu na nadawanie i dźwięk. Usłyszą mnie, gdybym zaczęła wołać o pomoc, ale znowu nie usłyszę ich, chyba że przełączę guzik jeszcze raz.

Kade marszczył brwi.

- Dlaczego bakeneko miałyby iść, tak od razu, od jednego zabójstwa do drugiego? Z tego, co wiem o kotach, mają skłonności do przespania się po zabiciu.

- Może właśnie to robi. Może liczy na to, że będzie bezpieczna ukrywając się w mieszkaniu jednego z byłych Jenny. – Wzruszyłam ramionami. Ta rzecz była kotem, ale tak naprawdę nikt nie potrafił powiedzieć, jak pracowały jej procesy myślowe? – Ale tam jest zaparkowane Porsche, więc chodźmy.

Uśmiechnął się i zarzucił ramię na moje barki, jego palce, jakby mimochodem, otarły się o moją pierś. Nawet przez gruby płaszcz i sweter, poczułam gorąco tej pieszczoty. Ale, przecież doskonale wiedziałam, co te sprytne palce potrafią zrobić. Niestety, nie będą robiły już niczego dobrego dla mnie, i to nie tylko dlatego, że mieliśmy do złapania obłąkanego zabójcę.

- Wiesz, że za tobą pójdę wszędzie – powiedział, a rozbawienie wzbogaciło jego ciepły ton. – Także mogę zrobić ci wszystko, ale mi na to nie pozwolisz.

- Jak tylko zobaczysz naprawdę wściekłego Jacka, zrozumiesz dlaczego – odparłam cierpko. – A tymczasem, ty prowadzisz. Przynajmniej znajdziesz zajęcie dla swoich rąk.

- Mam automatyczną skrzynię biegów. Więc będę miał mnóstwo możliwości do zabawy moimi rękami.

Prychnęłam łagodnie i wywinęłam się spod jego ramienia.

- Jesteś niepoprawny.

- Jestem zmiennym koniem. Pieprzymy się do utraty zmysłów.

- Lepiej spróbuj skoncentrować się na złapaniu naszego zabójcy, co?

Potrząsnął smutno głową.

- Nie jesteś ani trochę zabawna.

- O, jestem wciąż w centrum zabawy, tyle tylko, że ty nie jesteś już na liście zaproszonych. – Popchnęłam go lekko w kierunku pochylni. – Prowadź, człowieku-koniu. Mamy zabójcę do powstrzymania.

Budynek mieszkalny należący do byłego Jenny stał w samym sercu Lygon Street i blisko klubu *Niebieski Księżyc*. Ciężki, głuchy odgłos dawnego rock-and-rolła przebijał się przez nieustanny szum ruchu ulicznego i wywołał uśmiech na moich wargach, jak tylko wysiadłam z samochodu.

Nie wróciłam do *The Rocker*, odkąd przestawili się na bardziej współczesną muzykę, by przyciągnąć młodszy tłum podczas weekendów, ale miło było wiedzieć, że zupełnie nie porzucili muzyki w starym stylu, co czyniło z nich jeden z popularniejszych wilczych klubów. Pomyślałam, że chyba zacznę znowu ich odwiedzać, kiedy mój celibat dobiegł końca.

Ale jak tylko ta myśl przyszła mi do głowy, naszły mnie wątpliwości. Czy naprawdę byłam gotowa rzucić się głową w przód, by stać się ponownie swobodnym wilkiem? Część mnie szeptała tak, ale ta druga część – część, która wciąż była zraniona – mówiła nie. Miałam teraz Quinna i, na tę chwilę, to mi wystarczało.

Zwłaszcza, biorąc pod uwagę fakt, że Quinn byłby ponownie zdolny złamać mi serce.

Obróciłam się i popatrzyłam na budynek przede mną. Był nowoczesny w stylu – cały w szkle, metalu i ostrych kątach – i, przynajmniej jak dla mnie, nie było w nim niczego atrakcyjnego. Nawet jego bliskość do wilczych klubów nie skłoniłaby mnie, bym tu zamieszkała. Nawet z zewnątrz, nie wyglądał na dość *otwarty*.

Kade ruszył w stronę budynku, a winda zawiozła nas na ostatnie piętro. Były tam tylko jedne drzwi, ale na dzwonek u drzwi nikt nie odpowiedział.

- Chcesz, żebym się włamał? – zapytał Kade, a *rzucić mi wyzwanie* uśmiech wykrzywił jego wargi.

Uniosłam brew.

- Myślałam, że twoja burzliwa młodość dotyczyła tylko włamań do starych samochodów, nie do domów i mieszkań.

- Nie, powiedziałem tylko, że robiłem rzeczy, które skreśliłyby twoje włosy. – Złośliwy uśmieszek się rozciągnął, stając się wystarczająco seksowny, by podkręcić palce u moich nóg. – A jak myślisz, dlaczego wylądowałem w wojsku? Było albo to, albo więzienie.

- Więc te twoje dzikie wygłupy zapędziły cię w kozi róg?

- Tak naprawdę, to mój ojciec mnie zapędził. Był glina. Złe posunięcie, jeśli masz ojca za gliniarza, mówię ci.

- Mogę sobie wyobrazić. – Machnęłam ręką na drzwi. – Jesteś pewny, że potrafisz je otworzyć? Elektroniczne zamki są teraz dużo bardziej nieustępliwe niż w twoich burzliwych dniach.

- Tak, ale zawsze trzymałem rękę na pulsie. Tak, na wszelki wypadek. – Wyjął z kieszeni coś, co przypominało małe czarne pudełko, a potem przycisnął do czytnika klucza. Sekundę później, usłyszałam sygnał i drzwi się otworzyły.

Posłałam mu śmiertelnie poważne spojrzenie.

- Nosisz elektroniczny otwieracz zamków w swojej kieszeni?

- Oszczędza wyłamywanie drzwi i obolałe ramię.

- Wiesz, że to jest nielegalne, prawda?

Uśmiechnął się.

- Nie zatrzymuje to drani, to nie zatrzyma mnie.

Potrząsnęłam głową i wyciągnęłam z kabury laser.

- Gotowy?

Uniósł brwi wyciągając swoją własną broń.

- Skarbie, zawsze jestem gotowy.

- Słyszałam to o was, ogiery. – Otworzyłam drzwi i szybko weszłam do pokoju. Salon był duży, biały i nieskazitelny, ze współczesnymi meblami, które pasowały do nowoczesnego stylu budynku.

I nie był pusty, jak sobie uświadomiłam, gdy uderzył we mnie zapach kota i śmierci.

Bakeneko tu było.

Rozdział 12

Nie miałam czasu ostrzec Kade'a.

Ledwie miałam czas, by odwrócić się w kierunku zapachu, gdy uderzyła mnie olbrzymia czarna łapa, rzucając mną przez salon i posyłając na ścianę. Tynk wgniótł się od siły uderzenia, a laser wyleciał z mojej ręki.

Runęłam na podłogę tak mocno, jak o ścianę, a ból przeszył mój kręgosłup. Zignorowałam go i machnęłam z rozdrażnieniem na ciepły płyn spływający po moim policzku od przecięć.

Ale zapach krwi, który wypełnił powietrze, nie był tylko mój. Kade'owi udało się odsunąć od drzwi, ale nie zdążył schować się w kącie przed bakeneko, i jego prawa ręka została pocięta tak okropnie, że mogłam zobaczyć błysk kości. Jednak miał na tyle czasu, by złapać metalowe krzesło z jadalni, i teraz to była jedyna rzecz między nim, a wściekłą furią bakeneko. Nie byłam tylko pewna, czy metal wytrzyma moc uderzenia tej istoty.

Nie miałam pojęcia, gdzie ma swój laser. Czy podobnie, jak ja mój, zgubił go, gdy bakeneko zaatakowało.

Była masywna – wielki czarny potwór, który był równy wzrostem do zmiennego konia. Jej łapy miały rozmiar cholernych talerzy, jej pazury były grube i brutalnie ostre.

Musieliśmy się jej pozbyć – i to szybko.

Podniosłam się na nogi, ale musiałam oprzeć się ręką o ścianę, gdyż dostałam zawrotów głowy. Potrząsnęłam głową, żeby ją oczyścić, posyłając kropelki szkarłatnej cieczy na nieskazitelną biel, i wtedy zobaczyłam laser leżący na podłodze, więc rzuciłam się, by go złapać. Zawinęłam palec wokół spustu, odbezpieczając broń, ale oparłam się pragnieniu wystrzelenia. Kade stał tuż za bakeneko, co znaczyło, że mogłam go postrzelić. Nie mogłam tego zrobić, bo siła rażenia tej rzeczy mogła na wskroś zrobić dziurę w betonowej ścianie i zabić kogoś po tamtej stronie. Nawet gdyby przeszedł na drugą stronę, to by nie pomogło. Wyczułam ruch i się przesunęłam.

Bakeneko warknął i podniósł łapę do kolejnego zamachu na Kade'a. Westchnęłam i nacisnęłam spust. Niebieski promień wystrzelił, ale, tak jak się obawiałam, bakeneko to zobaczył i się poruszył. Promień nie trafił w ciało, tylko przedziurawił grubą szybę za nimi i zniknął w ciemnościach.

Stworzenie ryknęło – dźwiękiem przepełnionym furją – a potem niespodziewanie, okręciło się i wyskoczyło przez to samo okno. Strzeliłam jeszcze raz, ale suka poruszała się tak szybko, że strzał przypalił tylko jej włosy od tyłu, zanim zrobił jeszcze jedną dziurę w szkle.

Kade rzucił się do przodu, próbując złapać ogon stworzenia, ale miał zbyt wiele krwi na swoich rękach i nie mógł dobrze chwycić.

Stworzenie uderzyło w okno najpierw głową. Szkło się roztrzaskało, grube odłamki rozprysły się, kiedy poleciały za stworem w zimne popołudnie.

- Cholera – warknął Kade, podbiegając do rozbitego okna i wyglądając na zewnątrz.

Szybko dołączyłam do niego. Mój żołądek natychmiast się zbuntował, ale odepchnęłam stary strach i skoncentrowałam się na naszym celu. Wielki kot, z wywiniętym nad łbem ogonem, spadał w dół na beton, ale w ostatniej możliwej sekundzie wyglądało na to, że znalazł równowagę i wylądował na czterech łapach. Byliśmy pięć pięter wyżej, ale cholerna suka nawet nie wydawała się tego zauważyć.

Tak naprawdę, nawet nie wydawała się kuleć, kiedy pobiegła ulicą, a jej pojawienie się wywołało piski paniki i ludzie odskakiwali jej z drogi. Podniosłam laser, ale nie ośmieliłam się strzelić – bakeneko poruszał się tak szybko, że nie miałam gwarancji, że ją dostanę. Ale byłam pewna jak diabli, że kogoś bym trafiła.

- No cóż, przynajmniej wiemy, jak wydostała się z biura Jamesa. – Przycisnęłam laser do piersi Kade'a, a potem wdrapałam się na parapet. – Mam włączony nadajnik. Jedź za mną samochodem.

- Nie sądziłem, że umiesz latać...

- Nie umiem – warknęłam. – Przynajmniej, niezbyt dobrze. Ale to *niezbyt dobrze* właśnie może zrobić różnicę. Idź.

Poszedł, jednak jego wyraz twarzy bardzo dobrze sugerował, że spodziewa się znaleźć mnie rozpląszczoną na chodniku, gdy już znajdzie się na dole.

Wzięłam głęboki wdech, a potem sięgnęłam po magię w głąb mojej duszy, przywołując postać mewy w moim umyśle i czując, jak jej moc, wzbiera w moich kończynach, przekręca i zmienia mój kształt.

Już w postaci mewy rozłożyłam moje skrzydła, zamknęłam oczy i skoczyłam. Przez chwilę uczucie spadania było tak przytłaczające, że wezbrała we mnie panika, ale potem przypomniałam sobie, że należy lecieć i zaczęłam poruszać skrzydłami. Poczułam, jak napływ powietrza, podwiewa moje pióra i uczucie spadania nagle się skończyło.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam chodnik niemal ocierający się o mój brzuch. Przepłynęła przez mnie ulga, chociaż rzeczywistość była taka, że do chodnika niewiele brakowało, i tym bardziej podkreśliła potrzebę powrotu do Henry'ego i do ćwiczeń.

Uniosłam się do góry, nabierając wysokości, tak że leciałam między budynkami i nad ruchem ulicznym, i dostrzegłam w oddali bakeneko. Była niczym więcej jak niewyraźną czarną plamą, a jej obecność była bardziej widoczna dzięki fali pieszych, którzy rozpiechrzali się na boki, by zejść jej z drogi. Śmignęła za narożnik, opuszczając Lygon, ale kierując się na Rathdown Street, żeby po chwili skręcić w lewo i biec dalej.

Podążałam za nią, zastanawiając się, gdzie do diabła zmierza, i mając nadzieję, że nie będzie za szybka. Zaczęły mnie już boleć mięśnie w moich skrzydłach i klatce piersiowej. Mogłam być wysportowana, ale nie latałam zbyt dobrze.

Nie mogłam dostrzec samochodu Kade'a, ale mógł utknąć w korku. Nie wszystkie samochody Departamentu miały syreny, które pozwoliłyby przebić się przez czerwone światła, co w pewnym sensie było niebezpieczne.

Musiałam mieć tylko nadzieję, że był blisko. Że jechał za nadajnikiem. Nie chciałam stanąć sama, twarzą w twarz, z tą rzeczą.

A ona śmigła dalej, czarna niewyraźna plama, która najwyraźniej nie czuła żadnego znużenia. Sklepy i mieszkania ustąpiły miejsca kawiarniom, małym domkom i magazynom. Rathdown Street doszła do skrzyżowania i, po raz pierwszy, bakeneko się zatrzymało i uniosło nos. Niewątpliwie chcąc wyczuć jakikolwiek ślad tropiących. Miałam nadzieję, że jestem wystarczająco wysoko, by uniknąć zostania zwietrzoną, ponieważ nie miałam już siły, by wzlecieć, choć odrobinę, wyżej.

Jej postać zaczęła połyskiwać, zmieniać się, dopóki na miejscu kota nie stanęła wysoka, jasnowłosa kobieta. Podciągnęła urwany rękaw zakrwawionej sukienki z powrotem na miejsce, a wtedy ponownie pojawiło się lśnienie, i sama sukienka

zaczęła się zmieniać, dopóki już nie była podarta ani zakrwawiona. Co oznaczało, że to również była część czarów, a nie rzeczywistość. Interesujące.

Jej buty zniknęły, gdy zmieniała swoją sukienkę i była teraz na boso, gdy ruszyła w poprzek drogi. Szła szybko przez park, okrążając drewniane ogrodzenie, zanim skierowała się na parking przed opuszczonym magazynem. Krążyłam nad nią, chociaż wysiłek utrzymania moich skrzydeł nieruchomo do ślizgu, sprawił moje kończyny w drżenie.

Bakeneko podniósł pięść i, jakby mimochodem, wyważył drzwi, a potem zniknął w środku. Oblediałam teren wkoło jeszcze raz, szukając innych możliwych wyjść. Było tu mnóstwo okien i drzwi, ale po pięciu minutach okrążania, nie zauważyłam po niej żadnego śladu. Może planowała się tu schować – nie miała już przecież powodu do dalszej ucieczki, ponieważ myślała, że jest bezpieczna. Poza tym, nie mieliśmy do czynienia z czymś, co myślało, choć trochę jak człowiek, więc kto wiedział, co faktycznie planowała?

Nadal okrążałam to miejsce, obserwując punkty wyjścia mogące wskazywać na jakikolwiek ślad ruchu, ale budynek pozostał cichy. Kilka minut później, zobaczyłam zatrzymującego się niebieskiego Forda. Kade wysiadł i popatrzył w niebo.

Obróciłam się i skierowałam do niego, zmieniając kształt, gdy dostatecznie zbliżyłam się do ziemi. Zrobiłam kilka kroków, by złapać równowagę, ale i tak złapałam ją dopiero po tym, jak Kade chwycił mnie za ramię i przytrzymał.

- Boże, cała drżysz.

- Taa, latanie nie jest moją mocną stroną. – Wstrząsnęłam kończynami by złagodzić ból. Ale tak naprawdę niewiele to pomogło. – Bakeneko zaszył się wewnątrz magazynu.

Spojrzenie Kade'a przesunęło się ponad moim ramieniem, a potem zmarszczył brwi.

- Tutaj jest mnóstwo punktów wyjścia. Jeśli wejdziemy, może bardzo łatwo nam uciec.

- Tak. – Dotknęłam ucha. – Riley do Departamentu.

- Słyszeliśmy – odezwał się Jack. – Dwa zmienne ptaki już są w drodze. Będą pilnować wyjść, gdy wejdziecie do środka.

- Za ile tu będą?

Zamilkł, a potem powiedział.

- Dwie minuty. Iktar będzie tam w pięć.

- Powiedz mu, żeby zajął się głównym wejściem. My wejdziemy od strony parkingu. – Urwałam i dodałam po sekundzie. – I powiedz mu, żeby był ostrożny. Ta rzecz jest duża i zła.

- W takim razie, wy też uważajcie.

- Znasz mnie. Zawsze uważam.

Jego niedowierzające prychnięcie rozbrzmiało w moich uszach.

Zawahałam się, a potem zapytałam.

- Masz jakieś wieści ze szpitala?

- Przykro mi, ale nie.

Cholera. Węzeł w moim brzuchu zacisnął się odrobinę mocniej, ale zrobiłam, co w mojej mocy, by odepchnąć zmartwienia na bok. Miałam zabójcę do schwytania i, jeśli nie poświęcę temu całej mojej uwagi, mogłam skończyć w szpitalu przy boku Liandera.

To naprawdę uczyniłoby dzień Rhoan'a kompletnym.

- Więc, wchodzimy? – zapytał Kade.

- Nie mamy wyboru.

Podał mi laser, a potem wyciągnął drugi z za paska spodni. Niebezpieczne miejsce na schowek, pomyślałam.

- A pomoc nadejdzie?

Spojrzałam na niebo. Dwie brązowe kropki krążyły w górze. Nie mogłam powstrzymać mojej zazdrości na widok tego, co robili z taką łatwością.

- Nasze oczy są na niebie. Iktar nadejdzie od frontu.

Nacisnął lekko spust lasera i broń pisnęła, gotowa do działania.

- W takim razie chodźmy.

Włączyłam mój laser, a potem podążyłam za nim do budynku, trzymając się tak nisko i tak blisko, jak to było możliwe dla wsparcia. Przy odrobinie szczęścia, odgłos

ruchu ulicznego, dochodzący z pobliskiej Brunswik Road, stłumi dźwięk naszych kroków.

Gdy doszliśmy do drzwi, przyparłam plecy do brudnego muru z cegły, czując jego chłód przesączający się do mojego kręgosłupa. Za wyłamanymi drzwiami, magazyn był ciemny i cichy. Żadnych skrzypnięć, żadnego zawodzenia wiatru przez wybite szyby, nic, co wyglądało na straszne, czy nie na miejsce.

Jednak mimo wszystko byłam przestraszona. Prawdopodobnie dlatego, że wiedziałam, co czyha w środku.

Napotkałam spojrzenie Kade'a. Uniósł trzy palce, a potem wskazał na lewo. Kiwnęłam głową i cicho policzyłam. Na trzy, wśliznęłam się przez drzwi, z uniesionym i gotowym laserem, a moje spojrzenie omiotło pomieszczenie.

Znalazłam tylko ciszę. Powietrze było przepelnione zapachem oleju i starości, ściany były brudne i oślizgłe. Samo pomieszczenie było wypełnione cieniami, oprócz światła przenikającego przez brudne okna. Doskonale warunki dla czarnego kota, który chciał pozostać niezauważonym.

Z lewej strony znajdowała się betonowa pochylnia i przejście, które szło w górę i wokół pomieszczenia. Kilka drzwi wiodło do jeszcze głębszej ciemności. Na prawo również znajdował się ciąg drzwi. Wyglądały na dość solidne i były zamknięte na kłódkę, tak że bakeneko nie mógł pójść w tamtą stronę.

Obróciłam się do Kade'a i dałam znak, że może wejść do środka. Ruszył na prawo, z rozszerzonymi nozdrzami, zamasyście poruszając bronią.

- Ona wie, że tu jesteśmy.

Chociaż powiedział to szeptem, jego słowa wydawały się odbić od ścian tak ostro, jak dzwoniący dzwonek. Albo może tak się wydawało, ponieważ byłam cholernie spięta.

- Wyczuwam rozbawienie dochodzące zza drzwi numer dwa.

- Pomyślałbym, że będzie bardziej zła niż rozbawiona.

- No cóż, człowiek prawdopodobnie by był, ale ta rzecz nie jest człowiekiem.

Prawda. Wypuściłam oddech, a potem ruszyłam szybko po pochylni wprost do pierwszych drzwi. Głęboka ciemność nie wyglądała zachęcająco. Pomimo tego, że

Kade wyczuł rozbawienie dochodzące od strony innych drzwi, zapach kota był tutaj mocniejszy i bardziej ostry. Może dwa korytarze gdzieś tam się łączyły.

A może to była część planu bakeneko. Przecież koty czerpały radość z bawienia się ze swoimi ofiarami.

Kade zatrzymał się przy mnie. Skinęłam w stronę drzwi i dałam mu sygnał. Kiwnął głową.

Zamrugalam, by zmienić moją wizję na podczerwień, a potem wpadłam za nie szybko i nisko pochyłona. Nic się nie poruszyło na korytarzu. Kilka drzwi prowadziło z niego, ale wszystkie były zamknięte. Para dwuskrzydłowych drzwi czekała na drugim końcu. Skierowałam na nie laser, a potem kiwnęłam w ich stronę głową.

Kade wszedł i ruszył szybko, ale cicho, do pierwszych drzwi. Z plecami opartymi o ścianę i gotowym laserem, zacisnął rękę wokół klamki, a potem gwałtownie je otworzył. Nic na niego nie wyskoczyło. Wizualnie sprawdził pokój, zerknął na mnie i potrząsnął głową.

Przesunęłam się do kolejnych drzwi i powtórzyłam jego działania, podczas gdy on spoglądał na podwójne drzwi. Niczego nie było w pokoju, oprócz śmieci i rozbitych mebli. Pozostałe dwa pokoje również były puste.

Pozostały nam więc już tylko dwuskrzydłowe i to, co było za nimi.

Zapach kota nie był tutaj mocniejszy niż wcześniej, a jednak moja skóra mrowiła od świadomości jej obecności. Może to był strach, może to było moje jasnowidzenie próbujące wysłać mi ostrzeżenie, którego tak naprawdę nie potrzebowałam, ale tak czy owak, nie mieliśmy innego wyboru, jak tylko kontynuować naszą misję.

Zerknęłam na Kade'a i ledwie skinęłam ręką, że wchodzę pierwsza, gdy zamroził mnie odgłos kroków wyszeptanych w ciszy.

Ludzkich kroków, cicho się oddalających.

A potem śmiech, miękki i kpiący.

Suka z całą pewnością wiedziała, że tu jesteśmy.

Zrobiłam krok w przód i kopnięciem otworzyłam drzwi. Po drugiej stronie powitało nas nic więcej, jak tylko ciemność. Poczekalam, dopóki drzwi nie śmignęły z powrotem do nas, a potem zanurkowałam przez otwarcie, błyskawicznie wstając i

opierając się na jednym kolanie, a potem błyskawicznie skanując pokój. Bakeneko tutaj nie było. Tylko jej zapach ponad ciężkim, stęchłym powietrzem.

- Ona się bawi – powiedziałam cicho, kiedy Kade wszedł przez drzwi.

- Nie obchodzi mnie to, co ona robi, pod warunkiem, że na koniec ją zabijemy. – Kiwnął głową w stronę schodów na drugim końcu pokoju. – Tam poszła?

- Wydaje się, że tak.

- To chodźmy.

Poszedł pierwszy, jego kroki odbijały się echem w ciszy. Dłużej nie było już sensu zachowywać się cicho. Wiedziała, że tu jesteśmy, i biorąc pod uwagę fakt, że słuch kota musiał być tak ostry, jak wilka, prawdopodobnie usłyszałyby nas niezależnie od tego, czy byliśmy cicho, czy nie.

Pobiegliśmy w górę po schodach i wylądowaliśmy w korytarzu, który był długi, wąski i jeszcze ciemniejszy niż pokój poniżej. Z tego korytarza odchodziło osiem drzwi, a większe, podwójne czekały na jego końcu.

- To miejsce jest pieprzonym labiryntem – wymamrotał Kade z oburzeniem w głosie. – Chociaż wydaje się, jakby nasz cel, biegł prosto do drzwi na końcu każdego korytarza.

- *Wydaje się* jest tutaj właściwym słowem – odparłam, nie wierząc w to, że zostawiłaby lekko uchylone drzwi. Przesunęłam spojrzenie na najbliższe pokoje. – Chociaż podczerwień nie pokazuje żadnego śladu ciepła w pobliżu.

- Ta suka gdzieś tu jest, więc ją znajdziemy.

Ruszył do przodu, pozornie wolny od strachu, który skręcał mój żołądek. To było dziwne. To znaczy, stałam twarzą w twarz z rzeczami dużo gorszymi niż bakeneko, a jednak praktycznie drżałam na myśl konfrontacji z nią.

Może to była po prostu wiedza, co może zrobić.

Umrzeć to była jedna sprawa. Wszystkich nas przecież kiedyś to czekało. Ale umrzeć i mieć *zjedzoną* duszę to już była całkowicie inna sprawa. Nie byłam taka pewna, czy wierzę w reinkarnację, ale byłam pewna, jak diabli, że nie chciałam, by moja dusza pałętała się po tym świecie.

Ruszyliśmy do przodu, tak jak przedtem, sprawdzając dokładnie każdy pokój zanim poszliśmy dalej. Pomimo mojego strachu, w żadnym z nich, nie czekały na nas żadne pułapki.

Ale zapach kota stawał się coraz wyraźniejszy.

Co oznaczało, że się zbliżamy.

Zatrzymałam się przy uchylonych drzwiach i spojrzałam na Kade'a. Wskazał na mnie, potem na prawo i uniósł pięć palców. Kiwnęłam głową i wessałam oddech, uwalniając go cicho, gdy liczyłam.

Przy pięć, wykopaliśmy drzwi i wbiegliśmy do środka – ja na prawo, Kade na lewo.

Pokój był duży i pełen okien, ale przesączające się przez nie światło było żółte i przyćmione. I było tu mnóstwo cienia, w którym mógł ukryć się kot.

Kątem oka zobaczyłam ruch. Okręciłam się i wystrzeliłam, promień lasera przeciął ciszę, kiedy mój palec przycisnął spust. Puściłam go, gdy zobaczyłam coś małego i futerkowego z bardzo długim ogonem.

Nie kota. Coś bardziej podobnego do szczura.

Odetchnęłam i ruszyłam dalej, trzymając się ścian i będąc nisko pochylona. Kade był po drugiej stronie, dotrzymując mi kroku, ponieważ nie poruszałam się prędkością wampira. Dźwięk jego lasera był ostrym echem mojego.

Ponownie, coś poruszyło się w cieniu. Obróciłam się z laserem, ale to był tylko następny szczur, truchtając wzdłuż ściany.

Co było dość dziwne. Nie byliśmy wystarczająco blisko szczurów, żeby je wystraszyć, więc skoro uciekały przed kotem, to dlaczego nie mogliśmy jej zobaczyć?

Nawet na podczerwieni, nie było żywego śladu życia oprócz szczurów.

Wtedy uderzyła mnie pewna myśl.

Bakeneko mógł zmieniać swoją wielkość. Dlaczego nie mogłaby się zmniejszyć do rozmiaru zwykłego kota, tak samo jak stawała się większa?

Zatrzymałam się i okręciłam.

Zobaczyłam coś dużego i czarnego wyłaniającego się z cienia, gdzie przed chwilą był szczur.

- Kade! Za tobą!

Wystrzeliłam z lasera w tym samym momencie, gdy krzyknęłam ostrzeżenie, ale bakeneko poruszał się zbyt szybko. Skonsumowała wiele dusz i teraz była szybsza niż cokolwiek, co kiedykolwiek widziałam.

Ale to nie miało znaczenia. Wciąż naciskałam spust.

I wciąż pudłowałam.

Kade obrócił się i wystrzelił na oślep. Strzał smagnął stworzenie po boku, a ona krzyknęła – wysokim dźwiękiem furii, który sprawił, że zabołały mnie uszy.

A potem była już na nim, całym swoim ciężarem, a jej prędkość cisnęła oboje do tyłu, z czego mogłam tylko zobaczyć walczącą czarno-brązową kulę.

Przekląłam i ruszyłam biegiem przez pokój. Wciąż się toczyli, obracając się po brudnej betonowej podłodze, ale Kade, w jakiś sposób, zdołał zacisnąć ręce wokół szyi stworzenia. Naprężone mięśnie na jego ramionach były wystarczającym dowodem na siłę, której używał, by spróbować ją udusić, ale wydawało się, że osiągał tylko tyle, iż trzymał jej niesamowicie ostre zęby z dala od swojego gardła. Pomimo tego, jej pazury rozdzierały go wszędzie indziej.

Nie mogłam ryzykować strzału. Tak jak wcześniej, mogłam zabić równie łatwo Kade'a, jak też bakeneko. Więc wyciągnęłam ręce i złapałam ją za ogon.

- Hej, suko, spróbuj zaszarżować na kogoś w swoim własnym gatunku dla odmiany.

Zaparłam się tak mocno, jak mogłam, i oderwałam ją od Kade'a. Ale przekręciła się i zamachnęła pazurami. Uchyliłam się przed uderzeniem i cisnęłam nią z całej siły o ścianę. A potem wystrzeliłam z lasera.

Tym razem trafiłam w sukę.

Jasny promień smagnął ponownie po jej ciele, ześlizgując się po tylnej nodze, tnąc ciało i ścięgna. Spalony zapach futra i skóry wypełnił powietrze, ale kiedy nacisnęłam spust jeszcze raz, bakeneko już było w ruchu, a jej prędkość nic nie straciła pomimo poważnej rany.

Kade, krwawiąc z tuzina różnych ran, skoczył na nogi i pobiegł na lewo. Złapał swój laser i nacisnął spust, ale z istotą biegnącą pełną parą, żadne z nas nie miało szczęścia jej trafić. Wypadła przez drzwi w drugim końcu pokoju i zniknęła.

- Ona bawi się w chowanego – powiedział. Krew spływała po jego ramieniu i obu nogach, a brzuch miał kilka głębokich cięć. A to, połączone ze świeżymi - ale już nie krwawiącymi - ranami, które zaliczył w mieszkaniu, nie było miłym widokiem.

- Lepiej się zmień, żeby zatamować krwawienie – poradziłam. – Iktar już tu powinien być. Poszukaj go, a ja tymczasem wytropię to stworzenie.

- Pieprzyć to. – Prychnął. – Myślisz, że pozwolę ci samej ścigać tę rzecz? Masz chyba nierówno pod sufitem, skarbie.

Mogłam mieć nierówno pod sufitem, ale byłam bystrzejsza i szybsza niż on. Byłam również mniej ranna.

- Kade, potrzebujemy pomocy, żeby ją złapać.

- Iktar może wytropić uczucia równie dobrze, co ja. Znajdzie nas szybciej niż myślisz. Ruszaj, Riley.

Nie było sensu się sprzeczać. To było oczywiste nie tylko w jego tonie, ale także w widocznym w jego oczach gniewie. Chciał złapać to stworzenie za wszelką cenę.

Pobiegłam do przodu, podążając za zapachem kota i spalonego ciała. Moc wprawiła w drzenie moje zmysły, kiedy Kade się zmienił, by zatamować krwawienie, a potem odgłos jego kroków odbił się echem, gdy podążył za mną.

Wpadliśmy do następnego pokoju. Bakeneko nigdzie nie było widać, ale kilka ognisk ciepła życia kucalo po kątach.

- Suka jeszcze raz bawi się szczurami.

Podniosłam laser i wystrzeliłam w kierunku najbliższego gniazda. Wysoki pisk był odpowiedzią na atak, a te szczury, których nie zabiłam, rozpierzchły się.

Jeden z nich był szybszy niż reszta, a biegnąc zmieniał się i rósł, dopóki nie stał się czymś podobnym do wielkiego kota. I jeszcze raz biegła wprost na Kade'a. Wystrzeliliśmy, bliźniacze niebieskie promienie przecięły brudne cienie, chybiając bakeneko, ale rozwalając wszystko inne. Okna, ściany, szczury.

Wyskoczyła w powietrze, a jej ciało było niczym więcej, jak niewyraźną plamą czerni.

- Kade! – krzyknęłam, ostrzegając go, ale tak naprawdę on tego nie potrzebował.

Rzucił się w bok, ale olbrzymia kocia łapa uderzyła go w pół-skoku, wytrącając go z równowagi i rzucając prosto na jedno z brudnych okien. Szkło się roztrzaskało, a chwilę potem Kade zniknął.

Przekląłam i wystrzeliłam z broni, trzymając mój palec na spuście i wysyłając ciągły promień w stronę bakeneko. Laser stawał się coraz bardziej gorący w moich rękach, dopóki nie stało się już prawie niemożliwe jego trzymanie, ale nie na wiele to się zdało. Suka poruszała się szybciej niż jakikolwiek wampir, i kiedy ja tworzyłam szlak ze spalonych i dymiących cegieł, tynku i gruzu, bakeneko pozostawał cały.

Kiedy na broni zaczęło błyskać czerwone światło, jako ostrzeżenie, że się wyczerpuje, cofnęłam się pod ścianę i rozejrzałam za inną bronią.

Oprócz martwych szczurów, którymi mogłabym w nią bezsensownie rzucić, nic innego tutaj nie było.

Laser w końcu się wyczerpał, jasny promień ucichł z cichym dźwiękiem. Odrzuciłam gorącą broń i poruszyłam palcami. Wyglądało na to, że muszę to zrobić w inny sposób – przynajmniej, dopóki nie pojawią się Kade i Iktar.

Bakeneko w końcu przestał się ruszać, a jej postać ponownie przybrała ludzki kształt. Ale teraz wydawało się, że to zabiera jej więcej czasu niż wcześniej. Może energia, którą zużywała, w końcu się wyczerpała.

- Ciebie – powiedziała – zjem. Twoje ciało ładnie pachnie.

Jej głos był niski i dziwnie szorstki – głos kogoś, kto nie był przyzwyczajony do kontrolowania strun głosowych. To sprawiło, że się zastanowiłam, jak jej się udało utrzymać fasadę bycia Alaną Burns przez całą noc. Ale z drugiej strony, może nie miała potrzeby dużo mówić. Była przecież z politykiem, a oni byli znani z tego, że uwielbiali słuchać brzmienia swojego własnego głosu.

Zmieniłam trochę moją pozycję, stawiając ciężar na palcach nóg, żebym mogła szybko wystartować, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Pomimo tego, byłam więcej niż szczęśliwa, mogąc zająć ją rozmową, dopóki nie nadejdzie na pomoc kawaleria – taką przynajmniej miałam nadzieję. Nie mogłam ryzykować i pozwolić jej uciec. Spowodowała już zbyt wiele śmierci – i zginęło zbyt wiele dusz.

Poza tym, wolałam raczej walczyć słowami niż pięściami. Miałam już dość blizn na sobie.

- A dlaczego mnie? – zapytałam, obserwując jej oczy i ignorując uśmiech zadowolenia igrający na jej wargach. – Dlaczego nie tego faceta, którego wyrzuciłaś przez okno? On smakuje o wiele lepiej niż ja, możesz mi wierzyć.

- On nie jest blady. Tylko tych bladych muszę zabić. – Zaczęła iść w moją stronę, leniwy uśmiech na jej wargach się rozciągnął. Kot bawiący się swoją ofiarą.

Poruszyłam palcami, próbując złagodzić napięcie wijące się w moich mięśniach.

- Dlaczego tylko takich wybierasz? To nie wydaje się być w porządku.

- Blade kobiety zabiły moją panią. Nienawidziła ich, a one ją zabiły.

- Twoja pani została zabita przez wampira dla zemsty. Jej śmierć nie miała nic wspólnego z którymkolwiek z tych ludzi.

Albo ze mną. Ale nie sądziłam, że bakeneko to obchodzi. Jej poszukiwanie zemsty zmieniło się w pełne żądzy zabijanie.

Była już w połowie pokoju, jej kroki były długie, ale nieco kacze. Nie było żadnego napięcia w jej ramionach, żadnego śladu na to, że oczekiwała jakiegokolwiek walki – tak, jakby sądziła, że jestem czymś, co można szybko i łatwo zabić. I może taka byłam – suka mogła nie być silniejsza od boga śmierci, ale na pewno była szybsza.

- Nie – powiedziała. – Wszystko jej zabrali. Ukradli jej życie, więc ja kradnę ich.

- A mężczyźni, których zabiłaś?

- Nienawidziła ich. Nienawidziła tego, co jej robili. – Powolny uśmiech wykrzywił jej wargi. – Wykorzystuję ich, tak jak oni wykorzystywali ją.

Jak kot może mówić o zachowaniu, gdy potraktuje cały świat, jak swoich podwładnych.

- Była *Ladacznicą*. Więc jak mieli ją traktować?

Bakeneko zmarszczył brwi.

- Nie znam tego słowa.

- To oznacza, że była niewiele lepsza od lubieżnej kotki w rui i tak była traktowana.

Oczy bakeneko spochmurniały.

- Za to, rozerwę cię bardzo powoli...

Słowa ledwie wyszły z jej ust, gdy skoczyłam na nią. Musiałam – złapanie jej przez zaskoczenie było jedyną rzeczywistą nadzieją na sprawienie jej jakiś poważnych uszkodzeń. Miałam czas, by zobaczyć, jak jej oczy lekko się rozszerzyły, a potem uderzyłam w nią głową, zbijając ją z nóg. Obydwie mocno uderzyliśmy o ziemię, ale szybko skoczyłam na nogi i uderzyłam ją jeszcze raz, jedną stopą trzaskając ją w twarz i rozbijając nos, drugą łapiąc za gardło. Rozłożyła się na ziemi, wydając bulgoczący dźwięk, a uśmiezek zniknął za chmurą gniewu i bólu. Uderzyłam nią o beton i jeszcze raz uniosłam do góry. Kształt bakeneko zaczął się zmieniać, stając się ponownie kotem. Ale zmiana nie była już tak szybka jak wcześniej, więc może ciągle uderzanie i rany, które jej zadawałam, zaczną przynosić efekty. A poza tym, nie chciałam widzieć jej w kociej postaci. I może łapy, mogące osiągnąć rozmiar wiader, w ogóle by się nie pokazały. Nie wtedy, gdy musiałabym z nimi walczyć.

Przekląłam i rzuciłam się do przodu, chwytając jej ramię i wykręcając je z całej siły. Warknęła dźwiękiem, który tylko w połowie był ludzki, a potem zamachnęła się na mnie ręką, która była już częściowo zmieniona, rozrywając moją kurtkę i dostając się do skóry. Zacisnęłam zęby, żeby powstrzymać krzyk podchodzący mi do gardła, ale mocniej przytrzymałam jej ramię i ponownie wykręciłam. Kość trzasnęła i nagle jej lewe ramię zwisło nieprzydatnie. Jedna mniej broń do martwienia się.

Uderzyła mnie jeszcze raz, odrzucając w bok. Zrobiłam kilka kroków do tyłu, zanim złapałam równowagę. Ale do tego czasu, osiągnęła swój pełny kształt kota. I skoczyła prosto do mojego gardła.

Zanurkowałam poza jej zasięg i przetoczyłam się na nogi, a potem okręciłam i zaatakowałam obutą stopą, tnąc obcasem przez jej pysk. Ciało i kość ustąpiły od siły uderzenia i bryznęła krew.

Warknęła jeszcze raz i zaatakowała pazurami, skrobiąc w dół mojej nogi i w głąb ciała. Ból wybuchł, mocny i gorący, ale zignorowałam go, obróciłam się jeszcze raz i wyprowadziłam następne uderzenia w jej pysk, tym razem wybijając zęby.

Krzyknęła w furii i rzuciła się na mnie. Nie miałam czasu na ucieczkę i napotkałam jej uderzenie, ale złapałam ją za gardło jedną ręką i rzuciłam się z pazurami na jej oczy drugą. Oddech śmignął z moich płuc, zostawiając mnie na bezdechu, gdy tylne nogi bakeneko rzuciły się z pazurami na moje ciało, a jej cuchnący oddech omył moją twarz.

Przetoczyłyśmy się po zimnym betonie, moje chrząknięcia mieszały się z jej warknięciami, kiedy zadawałyśmy sobie nawzajem ciosy pięścią i pazurami. Mój kciuk znalazł jej oczodoł i wbił się głęboko, rozpaczliwie próbując ją oślepić. Krzyknęła ogłuszająco i zaczęła potrząsać głową, desperacko próbując uwolnić się od mojego ucisku. Ja jednak wbijałam palec głębiej i głębiej, dopóki oko nie wypłynęło pod moim kciukiem i nie uderzyłam w kość. Szybkim ruchem wyrwałam gałkę oczną z oczodołu.

Wrzasnęła i nagle jej połamane zęby znalazły się w moim ciele, wgrzyzając się w moje ramię. Pot spłynął po mojej twarzy, a ból rozżarzony do białości zaczął palić mój bark i uderzył prosto do mózgu. Podciągnęłam nogi do góry, rozpaczliwie starając się oprzeć moje stopy o jej brzuch, zanim wgrzyzie się do kości.

Oderwała głowę w bok, zwalniając uchwyt, ale zabierając ze sobą kawał ciała. Krzyk wypalił moje gardło, ale razem z nim przyszedł gniew i desperacka siła. Moje stopy znalazły oparcie i popchnęłam z całą siłą, jaką miałam, rzucając nią przez głowę.

Skoczyłam na nogi kolejny raz i się cofnęłam, a krew skapywała z koniuszków moich palców i rozpryskiwała się na betonie.

Bakeneko uderzył o przeciwległą ścianę, a potem się wyprostował, balansując na trzech nogach, a prawy bok jej pyska krwawił i był rozszarpany. Z jej pyska zwiślał kawałek ciała – mojego ciała – a potem jej język się wysunął, zbierając go do środka i połykając.

Dziwaczny uśmiech rozciągnął jej strzaskany pysk, a potem nagle jej postać zmieniła się jeszcze raz. Tylko, że tym razem nie była blondynką.

Tym razem, była mną.

I była idealna.

Doskonała.

Poza faktem, że miała złamane ramię, a nie rozerwane i wyrwany kawałek ramienia, mogłam wpatrywać się w perfekcyjnie ubrane odzwierciedlenie. Oczywiście, chociaż magia pozwoliła jej na zmianę, ukryła okrwawione ubranie, czy wylupione oko, to nie mogła uleczyć złamanej kończyny. Miło było wiedzieć, że niektóre czary zmiennych nadal zostawały na stałe w gatunku.

- Wyjdę stąd, strażniczko. Wyjdę stąd i nikt mnie nie powstrzyma.

Poruszyłam zakrwawionymi palcami i zmieniłam pozycję moich stóp.

- Jak cholera stąd wyjdiesz.

I z tymi słowami, rzuciłam się na nią. Gdyby pozostała w ludzkiej formie, miałam jakąś szansę. Ale to nie była moja jedyna szansa.

Iktar i Kade musieli być blisko.

Uchyliła się szybko, ale jej prędkość wydawała się być ograniczona, nie wiadomo czy przez ludzką postać czy rany, ale uderzałam w nią mocno, a mój but zatopił się głęboko w jej boku, a potem posłałam ją w powietrze.

Okręciłam się. Bakeneko odzyskał równowagę, ale zamiast zaatakować, zaczął uciekać. Pobiełam za nią, zastanawiając się, dlaczego do cholery nagle się wycofywała, skoro suka była tak pewna zwycięstwa.

Sekundę później, dostałam swoją odpowiedź.

Drzwi za nią zostały wyrwane z zawiasów i pojawiły się dwie postacie, jedna była czymś więcej niż tylko cieniem, druga pokryta krwią i zmalretowana.

- Zastrzelcie ją! – krzyknął bakeneko moim głosem. – Rozwalcie jej ten pieprzony mózg!

Żaden mężczyzna się nie zawahał.

Obaj unieśli broń i wystrzelili.

Rozdział 13

Tylko, że oni nie strzelili do mnie.

Strzelili do stworzenia noszącego moją twarz.

Jedna jasna wiązka cięła po jej nogach, druga przez szyję. Na jedną krótką chwilę, na jej twarzy pokazał się wstrząs, a potem jej głowa oddzieliła się od reszty ciała, tak samo jak pozostałe nogi, i spadały z głuchym odgłosem na podłogę.

Wpatrywałam się w nią przez chwilę, nie mogąc uwierzyć, że tak nagle wszystko się skończyło, a potem przetarłam drżącą ręką moją twarz i napotkałam spojrzenie Kade'a, który pokuśtykał do mnie.

- Skąd wiedzieliście?

Posłał mi uśmiech, który był jednym wielkim obolałym znużeniem.

- Przegapiła brak twojego małego lewego palca.

- W takim razie, obaj jesteście bardziej spostrzegawczy niż ja, dzięki Bogu! – Nawet tego cholera nie zauważyłam.

Owinął krwawiące ramię wokół mnie i wciągnął mnie w uścisk, który był tak przejmujący i pocieszający, że zachciało mi się płakać.

- Jesteś w strzępach – powiedział po chwili.

- Przyganiał kocioł garnkowi.

- Obydwoje powinniście iść do szpitala – zauważył Iktar.

Spojrzałam nad ramieniem Kade'a i zobaczyłam go, jak lekko potrąca nogą ciało bakeneko. Jak tylko to zrobił, znad ciała zaczął unosić się dym, skręcając się i wirując ku niebu. Zawirował wokół ludzkich szczątków, odnajdując kształt i solidarność. Na krótko przybierając postać kota.

Postać obróciła się i jej upiorne spojrzenie napotkało moje. Nic nie powiedziała, tylko po prostu się ukloniła, a potem się rozwiła i wzniosła ku niebu, całkowicie znikając.

- Zniknęła – powiedziałam i zastanowiłam się, gdzie tego rodzaj rzeczy, jak ona, idą w życiu pozagrobowym.

Iktar spojrział na mnie, jego ciało prawie zginęło w cieniu, a z twarzy, bez wyrazu, nie dało się nic odczytać.

- Zawsze lepiej się upewnić.

I z tym, wycelował laser w jej serce i wystrzelił. Jaszczurki-duchy wierzyły, że dusza mieszka w sercu, i przez zniszczenie serca niszczysz duszę, zapobiegając w ten sposób jej wędrówce. W tym przypadku, był za późno, ale wątpiłam, żeby to sprawiło mu jakąś różnicę. Dusze wydawały się wzrastać z całości, nie tylko z serca.

- Ma rację – zauważył Kade. – Powinniśmy jechać do szpitala i się przebać.

- Ty możesz tam jechać. Ja idę do domu wziąć prysznic i coś zjeść. – Ale najpierw musiałam zmienić kształt i zatamować krwawienie. Nie wspominając już o tym, że to pomoże uzdrowić brakujący kawałek mojego ramienia.

Ale po tym wszystkim, i tak pójdę do szpitala – żeby trzymać brata za rękę i czekać na wiadomości o Lianderze.

- Mocno krwawisz, wiesz. To znaczy, uwielbiam uściski, ale pomiędzy nami tworzy się spora kałuża.

Roześmiałam się i cofnęłam. Miał rację – pod naszymi nogami była całkiem duża kałuża krwi.

- Więc zabieraj się do szpitala. Sable skopie ci tyłek, jeśli nie będziesz miał dość siły, by rozpieszczać ją w sposób, w jaki zasługuje, by być rozpieszczaną.

- Masz cholerną rację. – Dotknął delikatnie mojego zadrapanego policzka. – Podwieźć cię?

Potrząsnęłam głową.

- Wezmę samochód Iktara. Może się stąd zabrać z ekipą sprzątającą.

- Ekipa sprzątająca mnie nie lubi – zauważył Iktar.

Uśmiechnęłam się.

- Cóż, możesz pokazać swoją sztuczkę w nieodpowiednim momencie.

Widziałam ten trick sama i zupełnie nie mogłam zrozumieć ich niechęci. To znaczy, penis, którego mógł wciągnąć do swojego ciała, co było wystarczająco szokującą sztuczką, ale zdolność wyprodukowania wypustek wzdłuż niego było już... ordynarne.

- Hej, prosili się o to – odparł. – To nie moja wina.

Uśmiechnęłam się i potrząsnęłam głową. Iktar nie był przygnębiony z powodu tego, że nie był lubiany, a ja musiałam się zastanowić, czy nie robił tego umyślnie. Nasza jaszczurka nie przejmowała się, nie tylko tym, że szokowała ludzi, ale także tym, że zrażała ich do siebie. Ich kultura miała to dziwne przekonanie, że im mniej miałeś przyjaciół, tym byłeś bardziej potężny. Oczywiście, wierzyli również w to, że rodzina jest wszystkim, co się liczy, a tego już *kompletnie* nie mogłam zrozumieć.

Kade pochylił się do przodu i pocałował mój nienaruszony policzek.

- Dzisiaj było fajnie.

- Masz bardzo dziwną definicję zabawy – skwitowałam suchym głosem. – A całowanie jest wbrew zasadom.

- Tak, jakbyś dbała o zasady. – Zasalutował mi na pożegnanie, a potem okręcił się na pięcie i wyszedł.

Podeszłam do Iktara i wyciągnęłam rękę.

- Kluczyki?

- W samochodzie.

- Dzięki.

Kiwnął głową, a potem jego niebieskie spojrzenie napotkało moje.

- Ta praca zabije nas wszystkich, prawda?

Zawahałam się, a potem kiwnęłam głową.

- Prawdopodobnie. Żaden z nas nie jest nieśmiertelny, Iktar.

Jego spojrzenie wróciło do ciała bakeneko, by po chwili pokiwać powoli głową.

- Przypuszczam, że to taki sam dobry sposób, jak każdy inny.

- Oh, sądzę, że zestarzenie się i odejście w spokoju, otoczonym przez przyjaciół i tych, którzy nas kochają, będzie dużo lepsze od tego.

Jego spojrzenie wróciło do mnie.

- Ale, ani tobie ani mnie, to nie jest przeznaczone, prawda?

- Prawdopodobnie nie. – Ścisnęłam lekko jego ramię, jego ciało było zimne i lepkie pod moimi palcami, a potem odeszłam. Nie chciałam myśleć o przyszłości, której być może nie będę miała. Chciałam tylko dostać się do szpitala i upewnić się, że moja teraźniejszość jest cała i zdrowa.

Chirurg Liandera zjawił się godzinę po tym, jak zjawiłam się z powrotem w szpitalu.

Yann i Raina natychmiast wstali, ale Rhoan się nie poruszył, jego wyraz twarzy był ostrożnie obojętny, ale napięcie momentalnie się wyostrzyło.

- Jak poszła operacja? – zapytała Raina, jej zwykle ciepły ton był słaby. Drżący.

Posiwiwały chirurg posłał jej jeden z tych uśmiechów, który, jak się wydaje, używają doktorzy na całym świecie. Ten jednak mówił, że wszystko jest w porządku, nawet jeśli sprawy nie potoczyły się tak, jak miały.

- Naprawiliśmy jelito i uszkodzenia jelita cienkiego, ale nie mamy stuprocentowej gwarancji na to, że pozbyliśmy się wszystkich fekalii z jamy brzusznej, więc musimy obserwować, czy nie wda się zakażenie. Z tego powodu, powstrzymaliśmy go przed zmianą srebrem.

- Ale srebro może go zabić...

- A przez zmianę, może przyspieszyć zakażenie, a nie leczenie, i to może być niebezpieczne. Musimy odczekać dzień lub dwa, żeby mieć pewność. – Lekarz posłał jej swój najlepszy profesjonalny uśmiech. – Nie użyliśmy aż tyle srebrna, żeby go zabić, tylko pohamować. To pali, ale wyleczy się z tego i będzie dobrze.

- Oh, dzięki Bogu! – powiedziała Raina, podnosząc rękę do piersi.

Chirurg się zawahał, a potem dodał.

- Stracił dużo krwi i będziemy musieli zatrzymać go w szpitalu trochę dłużej, niż zwykle robimy w przypadku wilka, ale tylko ze względu na ryzyko zakażenia, które jest tutaj dużo większe, ale myślę, że sam się uleczy.

- To są wspaniałe wiadomości, doktorze – powiedział szorstko Yann.

Chirurg się uśmiechnął.

- Chciałbym, żeby wszyscy moi pacjenci byli tak twardzi, jak ten młody człowiek. Nie lubię tracić pacjentów.

Co samo w sobie już mówiło, jak blisko śmierci był Liander.

- Możemy go zobaczyć, doktorze? – zapytała Raina.

Chirurg zawahał się jeszcze raz.

- Ale tylko dwie osoby. I na krótko.

- Dziękuję, panie doktorze.

Kiwnął głową i okręcił się na pięcie.

- Tędy.

Raina uściśnęła rękę swojego męża i ruszyła za chirurgiem. Yann się nie ruszył.

- Rhoan? – powiedział ostrym głosem.

Rhoan szybko na niego spojrzał.

- Tak, proszę pana?

- Lepiej ty idź, chłopcze, dopóki chirurg jest na tyle uprzejmy.

Nadzieja na krótko przemknęła przez zmęczoną twarz Rhoana.

- Ale on jest pańskim synem...

- A twoim partnerem. I wiem, że prawdopodobnie bardziej ucieszy się z twojej obecności niż mojej. Idź, synu. Idź się z nim zobaczyć.

- Dziękuję – odparł Rhoan i powlókł się za Rainą. Zawinął ramię wokół jej barków i razem poszli korytarzem.

Uśmiechnęłam się do Yanna.

- Dziękuję.

Yann machnął ręką na moje słowa.

- Twój brat jest prawdopodobnie jedynym powodem, dla którego Liander przeżył. To była poważna rana, dziewczyno.

- Wiem.

Jego spojrzenie przesunęło się po świeżych ranach, wciąż widocznych na moim ramieniu i twarzy.

- Widzę, że tak.

Usiadł z powrotem. Oparłam się o ramię Quinna i w końcu pozwoliłam sobie na odprężenie.

Z Lianderem będzie wszystko w porządku, tak jak z moim bratem.

Może los nie był taką suką, jak myślałam.

Dzień później, lekarze potwierdzili, że Liander wyzdrowieje ze swoich ran. Przenieśli go z intensywnej opieki na oddział ogólny, ale wciąż go powstrzymywali od zmiany. Najwyraźniej, chcieli poczekać jeszcze jeden dzień zanim pozwolą mu się zmienić i przyspieszyć leczenie.

Ale przynajmniej teraz, na oddziale ogólnym, Rhoan mógł usiąść przy jego boku i trzymać jego rękę. To właśnie robił przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny, a Jack wydawał się to rozumieć. Nie zamięczał Rhoana ani razu, żeby wrócił do pracy.

Może tylko mojemu życiu intymnemu nie mógł okazać jakiegokolwiek współczucia.

Podalam Rhoanowi kawę i hamburgera, i usiadłam przy nim. Po raz pierwszy od kilku dni, wyglądał na faktycznie odprężonego. Wypiłam łyk gorzko-słodkiego płynu, próbując udawać, że był orzechowy i dobry, a potem powiedziałam.

- Więc, jakie masz plany?

Rozpakował hamburgera i ugryzł, a potem splukał tym, co śmieli tu nazywać kawą.

- Kiedy będzie już mógł wyjść, planuję zabrać go do domu i zaopiekować się nim.

- Do jego domu, czy do naszego domu?

Spojrzał mi w oczy i posłał zmęczony pół uśmiech.

- Do naszego domu. Tego właśnie chciał.

Moje serce wykonało szczęśliwy mały taniec za Liandera, ale część mnie nie mogła uwierzyć w to, że Rhoan naprawdę to ma na myśli – że któregoś dnia znowu nie zmieni zdania i nie złamie serca swojemu kochankowi jeszcze raz.

- A co z tym, czego ty chcesz?

Wziął kolejny kęs hamburgera, a potem nieznacznie wzruszył ramionami.

- Jednak miałaś rację.

Uniosłam brwi.

- Chyba po raz pierwszy. Nie dlatego, że mam rację, bo zazwyczaj ją mam, ale dlatego, że faktycznie mi ją przyznałeś.

Prychnął łagodnie.

- Ciesz się, póki możesz, ponieważ to się już nie powtórzy.

- Oh, jestem pewna, że tak. Bo po prostu mam rację, ot co.

Uśmiechnął się i przechylił, uderzając mnie lekko ramieniem. Kawa rozlała się ponad krawędziami kubka, pryskając na moje dzinsy.

- Hej, ostrożnie. To może nie jest najlepsza kawa, ale jednak kawa, więc nie marnujmy jej.

Potrząsnął głową i skończył hamburgera. Po wrzuceniu papierka do śmieci, powiedział.

- Zawsze bałem się jakichkolwiek zobowiązań i śmierci, i zostawienia Liandera, by radził sobie sam. Nigdy tak naprawdę nie myślałem, że sytuacja może się odwrócić.

- Wszyscy kiedyś musimy umrzeć, Rhoan. – Ale to może być za wiele, wiele lat i nie podczas pracy, jak stwierdził Iktar.

- Do diabła, tak, ale ty i ja, mamy wyższy wskaźnik śmiertelności niż większość.

- Wiesz co, to naprawdę przynębiający sposób myślenia, gdy tak siedzę w szpitalu pełnym chorych ludzi i duchów. – Upiłam łyk kawy i dodałam. – Więc, skoro nagle zdałeś sobie sprawę, że Liander jest tak samo podatny na śmierć, jak ty i ja, pozwolisz mi zamieszkać razem z nami?

- Jestem gotowy oddać mu więcej z siebie. Zamierzam spróbować dać mu to, czego chce, do pewnego stopnia, ponieważ zasługuje na lepsze życie i więcej mnie.

Uśmiechnęłam się.

- Cóż, to prawda.

Prychnął łagodnie.

- Ale jesteś suką, siostrzo.

- Miałam znakomitego nauczyciela, bracie.

Potrząsnął głową.

- Nie chcę ceremonii. Nie mogę. Po prostu nie mogę. Nie z tym, co robimy, nie z tym, z czym mamy do czynienia. Ale mogę dać mu wszystko, czego będzie chciał.

Brak ceremonii nie oszczędzi Lianderowi ani zranienia, ani bólu, ani gorszej rzeczy, jaką byłaby śmierć Rhoana. Nie, jeśli to, co powiedział Ben było prawdą. Ale nie miałam zamiaru dawać bratu kolejnego powodu do odepchnięcia Liandera. Nie wtedy, gdy w końcu dostawał wszystko to, czego chciał.

- On nigdy nie chciał ceremonii, Rhoan. Wszystko, czego kiedykolwiek chciał to ty.

- I w tym problem, siostrzo. Kocham to, co robię. Kocham adrenalinę. – Zawahał się, a potem dodał cicho. – Jestem od niej uzależniony. Potrzebuję jej. Nie mogę całkiem się jej pozbawić, nawet dla Liandera.

I on nie mówił o zabijaniu. On mówił o seksie.

- Nie wiedziałam.

Jego spojrzenie napotkało moje.

- Liander wiedział. Powiedziałem mu jakiś czas temu, gdy postawił mi ultimatum, że albo odpuszczę sobie innych mężczyzn, albo on odejdzie.

- Więc dlatego byłeś taki grzeczny.

- Wszędzie z wyjątkiem pracy. Rozumiał to, Riley. Naprawdę.

- To niezwykle facet.

- Twierdziłem to od samego początku i nie chcę go stracić. – Jego spojrzenie skierowało się na kochanka. – A już szczególnie nie w taki sposób. Jeśli któryś z nas ma umrzeć, niech to będę ja.

- Lepiej niech nikt nie umiera w naszej małej rodzinie – powiedziałam łagodnie. – Myślę, że poradziliśmy już sobie z dostateczną ilością gówna w naszym życiu.

- Nieprawdaż. – Patrzył na mnie przez chwilę, a potem wyciągnął rękę i delikatnie dotknął moje wciąż okaleczone ramię. – Dziura stopniowo się leczy.

- Tak, na szczęście. – Chociaż zabierze to jakiś czas, wyleczy się i prawdopodobnie nawet nie zostanie zbyt duża blizna. Za to skończę z jedną więcej na mojej twarzy, gdzie jeden z pazurów bakeneko rozciął głęboko ciało. Ale przynajmniej nie jest na środku twarzy, ani nie była zbyt duża. Mogłam z tym żyć.

Szczególnie biorąc pod uwagę to, co mogło się zdarzyć.

- Nadal wyglądasz na bardzo zmęczoną. Może powinnaś pójść do domu i odpocząć.

- Braciszku, wyglądam lepiej niż ty.

- Tak, tylko że ja nie straciłem wiadra krwi i nie odmówiłem zabrania się do szpitala, żeby coś z tym zrobić.

Nie, ale on omal nie stracił czegoś znacznie gorszego. Swojego serca. Swojej duszy.

- Wiesz, że nienawidzę szpitali.

- I daję ci sposobność wydostania się z jednego z nich.

Patrzyłam na niego przez chwilę, a potem powiedziałam.

- Jesteś pewny, że nie chcesz towarzystwa?

- Nic mi nie będzie. Lianderowi nic nie będzie. Wszystko jest dobrze. Idź do domu i odpocznij.

Pochyliłam się i go pocałowałam.

- Dzięki. Tylko jedź, braciszku. Będiesz potrzebował wszystkich sił, jakie zbierzesz, by zająć się Lianderem, gdy wróci do domu.

Prychnął cicho.

- A ty myślisz, że jestem złym pacjentem. Poczekaj aż weźmiemy go do domu.

Z niecierpliwością tego oczekiwałam, więc się uśmiechnęłam.

- Zabrać do domu to tak ładnie brzmi, prawda?

- Tak – odparł i pstryknął mnie w nos. – Idź.

Więc poszłam.

Nastał zmierzch zanim dojechałam do domu. A o drzwi naszego mieszkania, stał oparty, czekający na mnie, przejrzysty plastikowy wazonik z jedną czerwoną różą.

Jako lekarstwo na zmęczenie, zadziało cholernie dobrze.

Z uśmiechem, igrającym na moim wargach, weszłam do mieszkania, rzuciłam torbę i klucze, a potem usiadłam na kanapie i przeczytałam liścik.

Naprawdę chciałbym zacząć od początku i dlatego chcę zabrać cię na kolację. Na naszą pierwszą oficjalną randkę. Żadnych ograniczeń. Żadnych oczekiwań. Tylko ty i ja, w końcu poznający siebie nawzajem.

Nie było żadnego podpisu, ani imienia, ale to nie było potrzebne. To mogło być tylko od jednego mężczyzny.

I wyglądało na to, że Rhoan nie będzie jedynym, który w końcu miał się czego doczekać.

Z głupim uśmiechem, wyginającym moje wargi, prawie pobiegłam do telefonu, żebym mogła zadzwonić do mojego wampira.